

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**ALEKSANDER (LESZEK) DUNIN
BORKOWSKI**

PARAFIAŃSZCZYNA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

TOM I

Pod napisem *Parafiańszczyzna* czytałem w dzienniku lwowskim bardzo zajmujący artykuł Leszka Dunina Borkowskiego. Z niecierpliwością oczekiwałem obiecanego dokończenia, lecz nadaremnie. Krzywdą byłoby dla kraju i piśmiennictwa, gdyby pomysł tak szczęśliwie poczęty uwiądnął w samych zawiązkach. Jeżeli pojąłem dobrze myśl autora pierwszej wizyty, chciał on odmalować obraz teraźniejszego wyższego społeczeństwa nazwanego z francuska wielkim światem. Istotnie, ta warstwa zasługiwała już od dawna na bliższą uwagę. Posiadając wszelkie ułatwienia w nabyciu oświaty, służyła zwykle za wzór niższym klasom. Wychowywanej przez najpierwszych guwernerów lub w najslawniejszych zakładach, podróżującej po całym świecie, wchodzącej w najznakomitsze towarzystwa, posiadającej księgozbiory i znajomości z uczonymi w kraju i za granicą nikt nie śmiał zarzucić głupstwa, zepsucia, dziwactwa itd., owszem, brano na przykład jej znachodzenie się, jej grzeczność, jej politykę, jej rozsądek, i zapatrywano się na nią jak na niedotykalne bożyszcze Molocha.

Tymczasem uczyła historia i uczy, że świat wielki wprowadzał najpierwszy cudzoziemszczyznę, najpierwszy pogardał ojczystymi rzeczami, wyśmiewał ojczyste zwyczaje, najpierwszy trwonił na okazałości i zbytki, najpierwszy pognebiał i niewolił, najpierwszy uniewinniał rozwiązłość i zepsucie, najpierwszy przedawał się i zdradzał, najpierwszy wzywał pomocy i opieki obcych przeciw własnym współziomkom, najpierwszy zapominał o klęskach ojczyzny, najpierwszy oswajał się i zaprzyjaźniał z ciemnizycielami narodu, bywał i bawił się w ich domach, nadskakiwał i podchlebiał wrogom, uganiał się za ich zaszczytami i łaską; jednym słowem, najpierwszy chwycił wszystko, cokolwiek przyczynić się mogło do upadku ojczyzny i zepsucia współziomków. I jakże taką przewrotność i nikczemność, takie zapoznanie godności człowieka, brać za rozum i oświatę? Jakże ludzi takich stawiać za wzór? Nie wypadałoby przypatrzeć się bliżej ich postępkom i zasadom? Nie chcemy się omamiać pozorami; nieraz miał dureń biret, płaszcz doktorski i patent. Widzieliśmy bezbożnych z tiarą, a w towarzystwach dobroczynności samolubów i skąpców. Już by nas nie powinny zaślepiać ubiór ani nazwisko. Trzeba raz zerwać zasłonę z oblicza pogańskich bałwanów i naga prawdę pokazać; a to, co na nieszczęście budziło cześć i szacunek, obudzi śmiech i pogardę. Niech poznają prostaczkowie, że owa wielka pani w aksamitach, dyftykach i w złocie, której widok przejmował ich uszanowaniem, której ręki nie śmieli się dotknąć, jest tak dobrze dogodnicą jak najpospolitsza z ulicznic. Godzi się im zatem szczęścia próbować, jeżeli są w tym błędzie, że od pierza zawisł smak potrawy.

W tym celu postanowiłem rzucony przez Leszka Dunina Borkowskiego pomysł pochwycić i dalej w tymże samym duchu obrobić według możliwości mojej. Oprócz tego, co nastęrczyła mi własna znajomość ludzi, starałem się jeszcze o miejscowe materiały i wiadomości pomocnicze, których po większej części używałem bez żadnej odmiany. Zamawiam sobie i na przyszłość pomoc znajomych i przyjaciół w nadsyłaniu podań krążących w ustnych powieściach lub w rękopisach. Wiem, że nie odpowiem dokładnie przesadzonym może oczekiwaniom;

autor pierwszej wizyty wykonałby to zapewne szczęśliwiej; lecz zanim mu wypadnie zamiary swoje uskutecznić, przebaczy, że go w tych lekkich początkach wyprzedzam, tym bardziej, że nie zapieram się odebranego natchnienia i za natracenie mi pierwszych myśli, a nawet planu całego, publicznie składam podziękowanie. Przez wzgląd na potrzeby i interes ogółu nie chciałem się opóźniać z tą pracą, bo przekonany jestem, iż nawet pomimo mierności swojej większą korzyść przyniesie jak wszystkie romanse i poezje średnich pisarzy.

WSTĘP

WIZYTA PIERWSZA

Znowu odzywam się do was, kochane czytelniczki, bo potrzebuję waszego pobłażania, ażebym z łaski nie wypadł, jeśli jej jeszcze odrobinę posiadam. Dotknąłem bardzo drażliwego przedmiotu i może mię spotkać los owego malarza w bajce, który na nieszczęście podobne twarze malował. Wolałbym ja malować piękniejsze, ale życie społeczne i marzenia mimowolne tyranizują się nad biednym pisarzem. Mówić o parafiańszczyźnie jest to oburzać parafianów, a zatem wielką część ziemi zamieszkałej. Ale natomiast cieszą się księżycowi mieszkańcy, bo wiem to od Herszla, że na księżycu nie ma parafianów. Nasi zaś ziemscy są albo fizyczni, albo moralni, albo łączą w sobie te obydwa rodzaje w doskonałość zupełną. Nie dziw, że ludzie wychowani na wsi, nie mający sposobności obeznania się ze zwyczajami miasta, z prawidłami tak nazwanego wielkiego świata, śmiesznie się w nim wydają i zachowują niezgrabnie. Zanim tedy się włożą w to życie nowe dla nich zupełnie, zanim nabędą tej wymaganej światowości i nauczą się swobodnie z nią obchodzić, nazywają ich zwykle parafianami, ale niesłusznie. O takich tedy mówić nie będę. Mają oni nieraz w nie obciętym spiczasto paznokciu więcej zdrowego rozumu niżeli najpierwsi modnisie w całych pięknie utrefionych głowach.

Ale komuż nie zdarzyło się widzieć ludzi jak najtroskliwiej powierzchownie utresowanych, ubranych jak najmodniej, a przecież moralnie chromych, garbatych i niezgrabnych? Któż w życiu swoim nie napotkał owych europejskich Chińczyków, odtrącających nie przez brak sposobności, ale przez upór przesądny wszystko, cokolwiek nowego nasuwa przemysł, sztuka, a nawet i moda? Inni znowu, przeciwnie, chwytają się wszystkiego dlatego, że nowe, bez najmniejszego namysłu i rozbioru. Komuż nie zdarzyło się widzieć owych salonowych purystów, śmiesznych w samej usilności, ażeby nie być śmiesznymi? Nieznajomość świata nie czyni nas parafianami, tylko udawanie tej znajomości. Zrzekać się przyrodzonych przymiotów dla widzimisia drugich lub dla zwyczaju, a przybierać obce, nieraz istocie naszej niewłaściwe i niestosowne, oto jest parafianizm prawdziwy. Jak choroba dopiero daje poznawać i oceniać zdrowie, tak też i parafianizm pojawia się najwidoczniej na wielkim świecie, najbujniej na nim wyrasta. Ileż to osób najprzyjemniejszych w swoich domach wiejskich, z sąsiadami gościnnymi i uprzejmymi, wolnych od śmieszności i przesady, staje się w salonach stołecznych bardzo pociesznymi, nieporadnymi i nieznośnymi? Jak ryba wyciągnięta z wody traci całą swoją swobodę i ciężko oddycha. Kto przez słabość, jakiej człowiek tylko podpada, gwałtem z własnego wyklucza się żywiołu, ażeby żyć sztucznie w obcym, ten jak ryba na wietrze staje się parafianinem koniecznie. Każdy nabytek i zwyczaj niewłaściwy naturze i zdolnościom naszym jest parafiaństwem.

Parafianstwo dowodzi najlepiej bliskiego pokrewieństwa rodzaju ludzkiego z małpim, bo jest małpiarstwem. Małpy są parafianami, a parafianie małpami. Jak piśmiennictwo jest najsprawiedliwszą miarą oświaty narodu, tak znowu parafianstwo jest najlepszym barometrem jego ciemnoty. Któż zaprzeczy, iż ciemnota jest tym większa, im więcej jest ludzi nie myślących głowami swoimi? Oryginalność Anglików i przesada w wybijaniu się spod jarzma zwyczajów, w dziwaczeniu, ażeby tylko nie naśladować, jest zawsze dowodem wielkiego ich oświecenia. Cokolwiek w nas jest cudze, nie własne, cokolwiek nie wypływa z namysłu i głębi istoty naszej, to nie może do niej tak dokładnie przystawać, ażeby przyczepka nie była widoczną jak jaka łatka. Otóż parafianie nie są niczym innym jak tylko suknią łątaną. Gdzie tylko pokazała się własna dziura, zasłoniono ją cudzą szmateczką, bez względu na to, że przypięto bawełnę na jedwab lub czerwone sukno na czarnym; i tak się jakoś zszywa parafianin. Ma on w życiu właśnie tę rolę, jaką odgrywa na reducie arlekin. Niektórzy z nich są to łata na łacie, że już ani dojrzeć pierwiastkowego kroju i rodzimej barwy. Obrawszy sobie za wzór któregoś z salonowych świeczników, myślą jego głową, czują jego sercem, starają się jego sposobem mówić, wykrzywiać, chodzić, kłaniać, uśmiechać, ubierać itd. A że ten ich wzorowy iluminarz błyszczy także światłem gdzieś u wyższego ołtarza zachwyconym, a to światło znowu jeszcze wyżej czerpało blask swój tak, że źródło pierwotne gdzieś aż o kilkadziesiąt szczebli leży oddalone, rozszarpują zatem parafianie pomiędzy siebie tę odrobinę czyjegoś dalekiego rozumu, a biorąc ją w spadku w linii prostej i ubocznej, w setnych następstwach, sami nareszcie nie wiedzą, komu mają być wdzięczni za to, że umieją chodzić, kłaniać się, siedzieć i mówić, chociaż nie myślą. Z tego względu ciała ziemskie wiele mają podobieństwa do ciał niebieskich; Niektóre z nich tylko posiadają swoją własną przezroczystość i jasność, inne zaś krążą wieczyście koło nich, świecąc tylko ich światłem. Otóż parafianie są tym właśnie na ziemi, czym w obłokach, używając słów astronomii, corpora opaca. Gdyby nie jakieś tam słońce, toby ich widać nie było. Nie potrzebuję podobno wspominać, że parafianie uważają w najlepszej wierze wszystkie te pióra pawie, którymi się stroją, za swoje własne i nie wychodzą z tego błędu, aż nadto potrzebnego do ich szczęścia, że inni także nie poznają się na tej kradzieży. W pewnym słowa tego znaczeniu są parafianami ci także, którzy wychodząc z zasady, że nauka jak wszystko inne koniec swój mieć powinna, doszedłszy do pewnego kresu osądzili się za skończonych i stanęli nagle, pomimo tego, że wszystko inne naprzód pomyka. Czynią oni sobie z reszty życia rekreację, a postępy czasu są dla nich dziwną nowiną. Francuzi nazywają ich stacjonariuszami. Oganiają się oni, czym mogą, jak od natrętnych bąków i komarów, od wszystkich nowych zmian, wiadomości i wynalazków.

Ani się wzruszy skała w ziemię wryta,
Ani jej rzeka ustąpi koryta.

Jak parafianie w ogólności są niezgrabnymi naśladowcami czyjegoś tam rozumu lub głupstwa, tak też i oni są przedstawicielami jakichciś tam czasów. Ich przysposobiony obręb moralny jest im światem, domem i zasklepioną skorupą ślimaczą. Wyłazą z niego na świat rzeczywisty jak gdyby po długim, twardym letargu. Niektórzy z nich ubierają się modnie, zachowując tylko układność i wyobrażenia z czasów dawniejszych, co jedno przy drugim wygląda oczywiście bardzo niestosownie a zabawnie. Inni znowu zostają wewnątrz i zewnętrznie wierni tej dobie, w której się za życia jeszcze zatrzymali na wieczny odpoczynek. Nie odmieni ich przykład ani cierpkie żarty i śmiechy młodszych, swawolnych pokoleń. Najmniejszą zmianę w ubiorze uważaliby za straszną rewolucję, za wielką burzę w ciszy ich życia. Wiszą jak pijawki ze stoiczną wytrzymałością przy dawnym. W odkrycia i wynalazki nie wierzą, a tych, co o nie się kuszą, mają za oszustów, za burzycieli ludzkiej spokojności. Rozmawiają bez ustanku o srogościach Robespiera i o dworze Stanisława Augusta, którego dosyć nachwalić się nie mogą. Żałują upadłych dynastii, mają Francję zawsze za cesarstwo, a Belgię

zawsze za najważniejszą kwestię polityczną. Noszą zwykle pięknie karbowane, jak szczecina sterczące, trójszlarkowe żaboty, szeroko na rękawy wyłożone białe mankiety, długie, twardo wykrochmalone, od ucha do nosa sięgające kołnierzyki, fraki z krótkim stanem, a z długim i wąskim ogonem, który w czasie ukłonów rozmachują nogą na prawo i na lewo, białe pończochy i trzewiki z wielkimi sprzączkami. Są nudnosłodcy w towarzystwie i zasługują sprawiedliwie na nazwisko lukrecji. Całą ich rozmową są pochwały i pochlebstwa, nad którymi się nie umęczą, bo je umieją na pamięć i powtarzają od lat kilkunastu. Uśmiech nie schodzi z ich twarzy, a nogi zwijają się ciągle po posadzce w gotowości do ustawicznych ukłonów. „Ach, jaka pani jesteś piękna! Jaka zachwycająca!” „O mój dobrodzieju!” „O mój łaskawco!” – oto są zwrotki nieustannie przez nich powtarzane.

Posiadają także spory zapas anegdot o cesarzu Józefie, o Fryderyku W., o Ludwiku XVI i większą część bonmotów Pirona; lecz tego nie używają, tylko jak ciężką artylerię, kiedy chodzi o odniesienie stanowczego zwycięstwa, to jest, chcąc kogoś ogromem wiadomości swoich przywalić lub wystąpić z nimi przed człowiekiem rozumnym na dowód, że także nie darmo żyli lat kilkadziesiąt na świecie. A w czasie tego przeglądu swych skarbów ukrytych są tak uszczęśliwieni opowiedzeniem każdej anegdoty, że nie tyle cieszyć się musiał Kolumb ujrzawszy susz świata nowego. Toteż im to służy nieskończenie do zdrowia, więc żyją pospolicie długo, wyglądają czerstwo i rumiano. Wyłącznym ich żywiołem jest tak nazwana galanteria, narzucają się kobietom ze swoimi uśmiechami i dowcipami, sądząc, że nimi bawią przeWybornie.

Mają się sami za wielkich bałamutów i zwodzicieli, ciesząc się serdecznie, kiedy im to inni przyznają. Nie umieją się poznawać na przesadzonych i żartobliwych pochwałach, biorą je zawsze za prawdę i serce im rośnie. Są zwykle łagodni, wdzięczni i nie mściwi, temu tylko nigdy by odpuścić nie mogli, kto by im dał do poznania, że już są starzy.

– Jak też pan myślisz, wiele ja lat mieć mogę? – pytał mię jeden z takich sześćdziesięcioletnich dobrodziejów.

– Najmniej pięćdziesiąt kilka – odpowiedziałem mu w prostocie ducha.

Zbył mnie wprawdzie milczeniem, lecz uważałem, iż odtąd krzywo na mnie pozierał, a nawet był żenowany moją przytomnością, jak gdybym mu, jak druga metryka, przypominał bez ustanku te pięćdziesiąt kilka.

Parafianami takimi rzadko są kiedy żonaci, są nimi po większej części kawalerowie, rozwiedzeni i wdowcy. Pamiętają oni o swoich przyjaciółach i znajomych, odwiedzają ich często, przynosząc cukierki, które umieją zręcznie wpuszczać w długie kieszenie na każdym balu i obiedzie.

– Stary, ale jary! – mówił mi pewien kołnierzykowy kawaler.

– O! Pan jesteś – odpowiedziałem – prawdziwie jeszcze niebezpieczny.

– Żarty to, mój dobrodzieju! Było to kiedyś, łaskawco! – i uściskał mię tak przyjaźnie, że sobie pomiał żaboty, na których wisały jeszcze okruszyny smacznego obiadu i kropelka francuskiego sosu, za jadanego zapewne łakomie; bo jakże by się tam dostał pomimo założonej za chustkę serwety i całej elegancji osiemnastowiekowej, z jaką mój łaskawca trzymał jedną rękę na krawędzi stoła, a drugą podawał do ust potrawy na koniuszku łyżki i widelca, w okrągleniu zupełnym.

Uśmiechnęła się na to siedząca naprzeciwko osoba wzrostu średniego, twarzy pełnej, płci brudnociemnej; o latach nie powiem, bo to panna. Uśmiech ten był dziwną mieszaniną ironii, rezygnacji, żalu i nieukontentowania; a dołki jego rozciągnęły się przy tym tak mocno od nosa aż do samej brody, złożyły się w tak grube i ciemne fałdy, że patrzący z daleka byłby je wziął za czarne, zawiesziste wąsy.

Pojałem, że to wszystko było tylko zapowiedzeniem i domaganiem się głosu. Jakoż istotnie rzekła:

– Nie dawne to czasy, a ileż w społeczeństwie odmiany!

Na te słowa powiewała poważnie, jak wachlarz, szeroka, korunkowa szlarka przy czytku, ustrojonym w róże i niezabudki. (Odtąd nazywać będziemy mówcę tego Niezabudką.)

– Gdzież się podziela owa młodzież grzeczna, uprzejma, nadskakująca, gotowa każdej chwili na usługi dam? Nie ma już domów, gdzie by można brać wzory szlachetnego znachodzenia się i tej prawdziwej, delikatnej grzeczności. Dawniej, a nie bardzo to tak dawno, kiedy u jenerałowej podolskiej chustka wypadła mi z ręki, na przebój rzuciła się młodzież do nóg moich, który ją prędzej podniesie. A wszystko było tak zgrabnie, lekko i ostrożnie, że nikt się nie potrafił, nikt się nie pośliznął ani nie upadł. Rozkosz jest wspomnieć, jak na ten dowód powszechnej uwagi na mnie aż zółkły ze złości twarze wielu matek i córek. Teraz już nigdy chustki z ręki nie wypuszczam, bobym ją pewnie sama musiała podnosić. Dawniej, a nie bardzo to tak i dawno, grzeczność dla dam była bezinteresowną, była obowiązkiem każdego dobrze wychowanego młodzieńca, a sentymenta były poszukiwane i wyżej cenione niż piękność lub, Boże uchronaj, zalotność. Teraz każdy nadskakuje tej tylko, która mu się podoba, nie ustąpi ci nawet swojego siedzenia, a śmieje się z rozrzewnienia serca, z uczuć wzniosłych i głębokich.

– C'est juste, mościa dobrodziejko – odpowiedział Kołnierzykowy Łaskawca. – Nie ma dziś młodzież sposobności kształcenia się i układania. Wszystko to jakieś rubaszne, zamasyzste i gburowate. Jak który stapa, to całą nogą, aż dom się trzęsie, a z daleka z drogi umykaj. Damy nawet muszą się rozstępować. Do tańców przychodzą w butach i to z jakimiś chłopskimi obcasami. Gdzieżby to ścierpiano na dworze Stanisława Augusta, który był szkołą przyzwoitości i smaku. Młodzieńcy w trzewikach jak panienczki przechadzali się ostrożnie na palcach, podając się naprzód tylko jednym ramieniem, wyginając się zwinnie na prawo, to na lewo, i mówiąc ciągle pardon! na obie strony z lekkim ukłonem. Teraz niejeden gotów cię poszturknąć albo po wywoskowanym trzewiku nadeptać, i jeszcze coś tam burczy pod nosem. A proszę no posłuchać ich konwersacji, jak zabawiają płeć piękną! Nie wybierają i nie różnią słów szlachetnych i delikatnych od nieszlachetnych i grubych. Jak zaczną mówić, to jakieś prawdziwe akademickie traktaty, których nie masz w żadnej encyklopedii, jakieś postrzeżenia świeże i niesłychane. Na co to wszystko? Dostyc już było elegancji i grzeczności na świecie, teraz powoli ubywa, a lepiej pewno nie będzie. Niechby tylko umieli te dykteryjki i dowcipne, dwuznaczne aluzje, które już inni bez nich wymyślili, które świat uznawał za dobre i zabawiające. Niechby odczytywali memuary sławnych galantów i dowcipnisiów na dworze królów francuskich, nim jeszcze Francja została cesarstwem, co pochłonęło ton wielki i elegancję, niechby obaczyli, jakie daje przepisy...

Wtem mrugnęła na mnie młoda hrabina, poszedłem więc ku niej i nie dosłuchałem rozmowy, która poczęła stawać się historyczną.

– Dostyc już długo – rzekła z uśmiechem – przypatrujesz się pan tym dziwacznym oryginałom. Bawią oni na chwilę, lecz à la longue nudzą niezmiernie. Prawdziwie przyszloby mi umierać, gdybym musiała wieczór cały z nimi przepędzić. Nie pojmuję, jak ludzie na wielkim świecie żyjący, wchodzący w lepsze towarzystwa, mogą nie widzieć znacznych postępów, jakich doznały wychowanie, sztuka i moda. Znachodzenie się ludzi terażniejszych, układ ich ciała, sposób przystępowania i kłaniania się mają oczywiście więcej swobody i wdzięku niż dawniej, kiedy wszyscy byli tak śmiesznie wymuszeni i wy krygowani jak marionetki. Śmiać mi się chce i gniewać, słysząc wychwalane dawne czasy z dworskości i układności. Czyliż lekkość i swoboda strojów i ruchów terażniejszych nie jest zbliżeniem się do natury, zwycięstwem odniesionym nad niewolą dawniejszej, krępującej etykiety? Czyliż włosy zawinięte w warkocze, kosa spleciona gładko i nisko upięta nie piękniej się wydają jak owe rozczochrane i napudrowane piętra na głowie? Dziś każdy zachowuje prawidła dobrego gustu i przyzwoitego obejścia tak łatwo i od niechcienia, jak gdyby o nich nie wiedział, jak gdyby to były koniec

ności, samo przez się z każdego wypływające natury. Czyliż ujęcie sztuki w formy tak jej dogodnie i przestronne, iż zdaje się być przyrodzoną, nie jest wielkim ulepszeniem i ozdobą, które winniśmy wiekowi naszemu?

Z zadziwieniem pojrzałem na krasomówczynię, której lica lekki ożywił rumieniec, a łagodny uśmiech uprzyjemniał. Była ona ubrana według mody ostatniej: obcisłe rękawy, pomarszczone w rurki i fontaziami upięte, dobrze się wydawały na białym i zaokrąglonym ramieniu. Na tyle głowy wisiał, jak kwiat kaktusu, malutki toczek aksamitny z długim kutasem. Po chwili milczenia mówiła dalej:

– Ta para dziwaków, minione czasy wychwalająca, słyszała niegdyś ze swojego kilkusetletniego romansu. Dawne to i bardzo już dawne historie, słyszałam o nich od mojej matki. Zdaje się, iż ogień rozpalony za młodu nie przygasł na starość. Byłby to żywy epilog stałości tamtowiekowej. Patrz pan, jak poprawiająca nas wszystkich Niezabudka łyska z daleka od maści i różu, jak zerka ukosem spod długiej szlarki, wiszącej jak okap nad czołem; a jej ulubiony jak się przybliży poważnie i ostrożnie, z jakimi pretensjami i ceregielami?

Pojrzałem i nie mogłem wstrzymać się od śmiechu na widok tych wiecznych konkurentów, których sentyment łączył, a los zawistny i rodzinne stosunki dzieliły. Kołnierzyk dobywał właśnie z kieszeni garść karmelków, a Niezabudka podawała mu otwartą tabakierkę, z której on wzięwszy szczyptę ostrożnie, wytrząsał ją z lekka na ziemię, gołe tylko palce przykładając do nosa, ażeby kichnięciem nie narobić wielkiego hałasu. Zdawali się sobą bardzo zajęci i uszczęśliwieni; z ich rozmowy jednak nie mogłem dosłyszeć więcej nad to: – dawniej, a nie bardzo to tak dawno?

Wtem rozwarły się drzwi od przedpokoju i wszedł słusznego wzrostu przystojny mężczyzna. Najprzód błysnęły białe rękawiczki i jasna, złotem przetykana kamizelka. Długie, w pukle zwinięte włosy opierały się na kołnierzyku u fraka, którego szerokie poły dodawały postawie powagi i zaokrąglenia. Na nodze świecił jak lustro wąski but lakierowany. Wszedł śmiało, skłonił się z wolna, a nie poznałem go, dopiero jak mi podał rękę.

– Czy to są czary, Adolfie? – rzekłem zdumiony – wczoraj zastałem cię w łóżku, otoczonego pigułkami i ulopkami, a dziś pomimo mrozu wychodzisz, wyglądasz tak zdrowo.

– Miałem migrenę – rzekł od niechcienia. – Ten przeklęty ból pozbawia mię nieraz największych przyjemności; szczęście przynajmniej, że nie zwykł trwać długo. Nawykłem do niego i wiem, że skoro minie, już i zdrow jestem. Przychodzi jednak czasami w taką chwilę, że wolałbym inną razą cierpieć dwa razy dłużej i więcej.

– Aha! – rzekłem z uśmiechem – żal ci jeszcze wczorajszego obiadu?

– I to, i często inne podobne płata mi psikusy – odpowiedział prędko i poszedł dalej witać się i rozmawiać.

– Biedaczek – rzekła mi cicho hrabina – zdrow jest jak ryba i nigdy go głowa nie boli. Ale wiem z pewnością, że nie był wczoraj zaproszony na obiad; ze wstydu zatem udał słabego, zajadał pigułki i popijał ziółkami. Nie znachodzisz pan to zabawnym, ażeby człowiek światowy i do rzeczy, aby mężczyzna na takie zważał drobnostki? Podróżował po Europie, wznosił się nad ciasny widnokrąg naszego parafiaństwa, a przecież podobne wypadki tak mocno bierze do serca, że dostał raz istotnej żółtaczki z tego, iż nie był na bal zaproszony.

Zastanowił mię zdrowy rozsądek tej pani, uważałem ją za wyższą nad śmieszności i parafianizm świata wielkiego; już gotowałem się wynurzyć to na prędce powzięte mniemanie, kiedy przybliżył się hrabia, a z poufalej rozmowy małżonków pomiarkowałem, że ten, który z taką dokładnością opisywał mi słabości obłąkanych, był na nieszczęście także obłąkany.

– A jeszcze czego nie stało? – odpowiedziała hrabina

mężowi – nie dość, że wprowadziłeś mię w jak najdziwaczniejszą mieszaninę, pomiędzy romansujących dziwolągów, pomiędzy adwokatowe i Bóg wie jakie tam owe, brakuje tylko jejmość woźnych i podstarościc.

– Mógłbym się spodziewać? – odpowiedział hrabia, uznając słusność zarzutów.

– Dosyć! – przerwała żona – proszę mi oszczędzić tych prezentacyj; ja nie chcę poznać nikogo. Niech każdy żyje w swojej sferze i pomiędzy swoimi. Aż umieram ze wstydu, kiedy pomyślę, że jutro mogą roznieść po mieście, w jakim to ja znajdowałam się towarzystwie. Nie pojmuję, jakim czołem pokazać się pomiędzy ludzi? Na przechadzkach i w miejscach publicznych te dzisiejsze znajomości kłaniać mi się będą i przypominać. Mon Dieu, quelle honte! Mais je vous assure, iż zawsze udawać będę, że ich nie poznaję, że ich nie pamiętam.

– Uspokój się, ma chère! – mówił hrabia łagodnie – zabawimy jeszcze chwileczkę dla przyzwoitości i wyniesiemy się czym prędzej. Ty już się krzywisz tutaj, a cóż dopiero gdybym ci powiedział, że nas namawiają na jakąś tam swoją zabawę?

– I tym ludziom także zabawy są w głowie? – rzekła hrabina ze śmiechem. – Nie, pilnowaliby swoich procesów, za które im dobrze płacimy! Idź, powiedz, żem przeziębila się wczoraj, że mam katar i chrypkę, że się znajdować nie będę. Wdawajże się z ludźmi stanu niższego, to zaraz się to nadyma i poufali, zaraz projekta! Otóż są skutki liberalizmu; potrzeba zmyślać i żenować się. Na te słowa odszedł posłuszny małżonek, a ja udałam się z wolna za nim, ciekawy szczegółów o jutrzejszej zabawie. Przechodząc koło okna usłyszałem rozmawiającą na osobności młodą parę.

– Gdzież bym ja tam jechała? – mówiła bankierowa do męża – tam ma być malarz; gotów się nawet ośmielić prosić mnie do tańca! Ci ludzie są bardzo zuchwali. Sądzą, że każdy czołem bić powinien przed ich talentem. Co to jest ten talent, który bez pieniędzy wyżyć nie może, za który tak płacimy, jak za każde inne rzemiosło? Wspieramy i protegujemy sztuki naddobne, kupujemy obrazy, ile nam ich potrzeba, do ubrania pokojów, ale zażyłość nasza z najpierwszymi osobami nie dozwala, abyśmy wchodzili w takie towarzystwa.

– Nie pojedziesz tam moja lubko – mówił o kilka kroków dalej adwokat do swojej żony – tam będzie śpiewaczka, kto wie, co ona za jedna?

„Piękne, pomyślałem sobie, są przygotowania. Bankierowa się lęka, ażeby talent nie ubliżył szkatule, adwokatowa nie pójdzie, aby się nie otrzeć o śpiewaczkę, której rodowód jest ciemny, a hrabina nie pójdzie, aby się nie otrzeć o adwokatową, pomimo całej jasności jej pochodzenia”.

– Karolu! – powiedziałem przyjacielowi, który się właśnie nawinął – czyli ci wszyscy panowie i panie wczoraj dopiero przybyli do Europy, i to gdzieś z końca świata, od słupów herkulesowych, albo z puszczy afrykańskich, w których największą osobliwością jest człowiek?

– Gdzież tam – odpowiedział mi Karol – są oni wszyscy wzrosli w mieście, wychowani na wielkim świecie i wchodzą w najpierwsze towarzystwa.

– Skądże się bierze, mój drogi, ten mandarynizm? Dlaczego każdy ma się za lepszego, a tak są sobie wspólnie niedogodni, jakby się dzisiaj po pierwszy raz zeszli? Wyobrażenia ich nie są towarzyskie; musiało ich coś gwałtownego przymusić, że się zjechali. Ale założę się, jak się rozjadą, już ich nikt więcej razem nie obaczy.

– I przegrasz zakład – rzekł Karol ze śmiechem. – Są oni tutaj właśnie w swoim sosie i nigdzie by im lepiej być nie mogło. Znają się i zjeżdżają już od lat dwudziestu, zawsze obmawiając się i pogardzając nawzajem. Ale nie są oni tak bardzo złośliwi, zawistni, głupi i dumni, jak się tutaj wydają; mają nawet swoje przymioty, zdatności i zasługi, ale je kryją troskliwie, w przekonaniu, że na wielkim świecie trzeba być koniecznie innym niż w domu. W tym tedy cała zagadka śmieszności, iż zrzekają się siebie, aby być tylko wielkoświatowymi. Dmą się, krzywią i obmawiają dlatego, aby im nie zarzucono, że się nie umieją znaleźć. O wychowaniu dzieci, o gospodarstwie domowym itp. mogliby rozmawiać nawet rozsądnie, lecz te codzienne, pospolite przedmioty byłyby godnymi świata wielkiego? Mówią więc głupstwa. Za oczyma hrabina przyjmie i uściska uprzejmie adwokatową; adwokatowa śpiewaczkę, a bankierowa malarza. Ale na wielkim świecie potrzeba pokazać znajomość życia, ton i ambicję, potrzeba pokazać, że nie z prostakami żyć się nawykło, że się obcowało z pa-

nami; nie można się pospolitować. Nie są to złe skłonności ani niebezpieczne nałogi, jest to tylko parafiańszczyzna świata wielkiego, mój przyjacielu.

– Ale nie mówię tu – odpowiedziałem – o tych drobnych głupstwach i śmiesznościach, których znajdziesz tym więcej w każdym salonie, im biedniejsze i powierzchowniejsze jest wychowanie ludzi, którzy tam wchodzi. Ale życie w świecie powinno by udzielić przynajmniej początkowej znajomości świata i jego zwyczajów. A nie jestże to prawda ogólnie uznana i zachowana, prawda przemawiająca do najprościejszego rozumu, że nikt się talentów o pochodzenie i dyplomata nie pyta? Nie jestże talent sam przez się najzaszczytniejszym herbem, jaki sama przyroda wycisnęła w piersiach swojego ulubieńca? Nie jestże on odznaczeniem, jakie człowiek człowiekowi ani nadać, ani odjąć nie może? Nie objawiaż się w nim widocznie piętno boskości i wiarygodności tego wysokiego pochodzenia? Minęły już czasy moralnego barbarzyństwa, w których aktorów na cmentarzu grzebać nie chciano. Czyli dopiero tyle postąpiła cywilizacja, że już umarłych kładą przecież przy sobie, ale żywi pomieścić się razem jeszcze nie mogą? Z czego wnosić mamy na oświatę, ugrzecznienie i światowość, jeżeli taką dzikość napotykamy w obyczajach? Wszak tym ludziom potrzeba koniecznie do podziwiania talentów, ażeby śpiewaczka była księżniczką, a najmniej szlachcianką, a malarz hrabią lub szlachcicem; i jeszcze nie wiem, ożyliby te talenta nie ubliżały tylko wielmożności? Tytuł jest dosyć obszernym płaszczem, ażeby wszystkie brudy zasłonić, a talent kusy to ubiór, pod którym widzą więcej złego, niż jest rzeczywiście. O! Panowie moralisci, rzucajcie kamień na tego, który...

Byłbym tak deklamował bez końca, gdyby nie następujące zdarzenie, które wszystkich oczy zwróciło. O kilka kroków od nas siedziała wystrojona młoda kobieta. Suknia jej i ubiór głowy były żywcem wyjęte z ostatniego frankfurckiego żurnalu, i to z tak bojaźliwą dokładnością, że najmniejszy fałdzik nie był odmienny; kolory nawet wstążek, kutasów, piórek itd. zgadzały się zupełnie z opisaniem. Od kilku chwil już uważałem, jak ta osoba, którą dla zbytekniej punktualności nazwiemy Obrazkiem, różne stroiła miny, to prostując się i poprawiając na stołku, to żując coś w ustach, to gryząc wargę spodnią, to strzelając w bok oczyma i prędko je znowu zrywając, jakby je wszędzie coś straszliwego płoszyło, to wywijając nogą, przez podniesienie sukni cokolwiek odkrytą, jak gdyby chciała wybijać takt swojemu fyrtalstwu. Nie wiem, z jakiego znowu to wszystko wyjęła żurnalu i opisu? Wtem zbliżył się do tego niespokojnego Obrazka jakiś średniego wieku mężczyzna, z głową pochyloną i w zanedbanym ubiorze. Skłonił się i rzekł głośno z filuternym uśmiechem:

– Moja żona miała dziś służyć pani dobrodziejce, ale jest słaba.

– O! Co pan mówi? – odpowiedział Obrazek żwawo dygając, prostując się i poprawiając. – Czyżby to być mogło; mamże uwierzyć? Moim to jest obowiązkiem służyć pierwszej pani Janowej; jam się powinna pierwszej przedstawiać, jako później do miasta przybyła; wiem o tym dobrze. Znam wszystkie prawa dobrego tonu i w niczym im nie uchybię. Pierwsza uszanowanie moje oddam jak najspieszniej; byłoby to ubliżeniem dla mnie, gdybym się dała uprzędzić. Nie jestem jeszcze taką parafianką. Chciej pan zapewnić żonę, że pierwsza do niej pośpieszę. Ja byłabym w rozpaczy, gdyby się stało inaczej! Ja pierwsza, zaręczam...

Wtem mąż pociągnął ją z tyłu za suknię i umilkła jak koń osadzony w galopie.

– Co mi za parafianka z partykularza – mówiła w drugim rogu salonu jakaś wysoka jejmość, dobrej tuszy, z nosem zadartym do góry, z ogromną furą spódnic pod suknią. – Jeszcze nie pooddawała wizyt, a już wchodzi w towarzystwa, w których się z nami zdybuje. Przeszłego roku sąsiadowałyśmy z sobą i często u niej bywałam; ale teraz lornetuje ją, przypatruję się i niby nie poznaje; niech się nauczy sposobu życia. Chce robić znajomości, ciekawam, kto ją też będzie wprowadzał? Kto ją nauczy, jak się ma ubrać i znaleźć? Obaczmy, jak będzie przyjęta i uważana?

– Powiedz mi, mój Karolu, czego się ta rubaszna pani tak dąsa?

– Jest to parafianizm, mój przyjacielu. Urościła sobie prawo okrzesywania i przedstawiania wszystkich w świat wstępujących i nie może tego odpuścić, jeżeli kto sobie i bez niej poradzi. Jak skąpiec pilnując skatunki swojej sądzi, iż skarbów całego świata pilnuje, tak ona myśli, że u niej tylko schowana jest światowość i ton przyzwoity. Tymczasem jest to parafiańszczyzna, nic więcej. Patrz np., jak szczerze się gniewa i jak z tym śmiesznie wygląda. Gotowa odchorować nawet; to nieszczęście, iż nie tak idzie na świecie, jak ona sobie ubrdała. O niej to powiadają, iż przyszedłszy raz jednego na wieczór, kiedy już nie zastała miejsca na kanapie, gdzie przede wszystkim lubi siadywać – bo stół jej powagi ujmuje i jest może dla przydatków tyłu za wąski – zgięła się w pół obok kanapy i tak siedziała sobie na powietrzu z wielką dokuczliwością nóg już nie młodych, ale zarazem z respektem wszystkich, myślących, że ona siedzi na kanapie. „Co to za przebiegłość!” „Co za światowość!” „Jak sobie na wszystko umie poradzić!” – dziwowały się inne matrony. – „I przysłała modnie, bo późno, i siedziała przecież na kanapie!” Słuchaj tylko, jak mówi zawsze głośno, powoli, dobitnie, z wysoką powagą i dyktatorską pewnością. Szkoda tyle wysilenia i aktorstwa na głupstwo. – Dla tej przybranej powagi i protektorskiego tonu nazwano ją La Grande Dame. Do niej udają się po radę we wszystkich modnych wątpliwościach. U niej się kują miłosne intrygi, u niej ma ulubioną stolicę swoją zausznictwo. „Gryzę się – mówiła niedawno młoda mężatka – nie wiem, jak by się ubrać stosownie na wieczór jutrzejszy?” „Uspokój się – odpowiedziała jej przyjaciółka – pojedę do Grande Damy i dowiem się”.

I mężczyźni nawet poddają się jej nieprzeblaganej wyroczni. „Nie wiem, co mają znaczyć te włosy na twarzy?” – mówiła do pewnego elegancika; a nazajutrz naśmiałem się serdecznie, widząc go już bez brody i wąsów. Podobno, za jej radą, całe to zgromadzenie dałoby sobie głowy poobcinać i nikt by na tym nie stracił.

– La Grande Dame tylko – przerwałem – bo gdzież znaleźć naprędce nowe owce, które by pokornie pozwoliły ostrzygać się i zapiekać?

– Uważaj jeszcze – mówił Karol dalej – te dwie panie, które przypadek zapewne obok siebie posadził, jak wznoszą ramionami, jak odwracają głowy i słowa do siebie nie mówią. Nie nawidzą się za to, że są obydwie młode i przystojne. Jak je rozróżniła natura, dając jednej twarz bladą, a drugiej pąsową, tak też i one starają się różnić we wszystkim. Co jedna chwali, to druga gani. Odwracają się, a znają wady swoje najskrytsze, widzą najpierwsze, co która zrobiła złego lub śmiesznego, i zawsze jedna mówi o drugiej, że źle wygląda, jak gdyby nie wiedzieć jak dobrze przypatrywały się sobie. Obmawiają się wzajemnie o zalotność, ale podobno pan Zefiryn mógłby osądzić najlepiej, która niegrzeszna, bo pomimo całej różnicy i zawziętości w tym jednym guście dosyć się zgadzają. Gdyby też jeszcze było i drzeć się o co, ale to fanfaroni lekki jak plewa. Oto go tam widzisz z czarnymi wąsikami, z bródką hiszpańską i z uśmiechem zupełnego zadowolenia, który wiesz, co oznacza.

W tej chwili właśnie zbliżał się do Twarzy Bladej zaczynając od słów:

– Jak pani zachwycająco wyglądasz!

Gdybyście widziały, moje czytelniczki, męczarnie Twarzy Czerwonej, jak zaperzona odwróciła się gwałtownie do swojej sąsiadki na prawo, jak jej coś dużo plotła jak na pytlu, jak śmiała się, a nie serdecznie, jak się niepokoila i trzęsła; gdybyście czuły całe piekło, jakie wrzało natenczas w jej ciele płomieniejącym jak żar, dopiero byście pojęły, co to jest za nieszczęście słyszeć pochwały Twarzy Bladej, będąc Twarzą Pąsową. Jest to parafianizm, moje najmilsze, którego radzę wam wystrzegać się.

Osoby rozrzucone w salonie coraz bardziej zbliżać się zaczęły i rozmowa stawała się powszechniejszą. Jedna z dam, którą dla czerwonego nosa Gilem nazwiemy, zapraszała do siebie na wieczory czwartkowe, niektórych zręcznie pomijając. Przy zaprosinach dodawała zwykle:

– Mais je vous previens que ce n'est aucune soire (sic) dansante et seulement pour coser (sic) avec quelques personnes et ne pas rester seul.

Kiedy już pominęła Twarz Błądą, ozwała się takowa z uśmiechem i na wpół cicho do Plewy Paryskiej:

– Quel jargon!

WIELKI KALIBER

którego tą razą bliżej nie poznamy

Elle nous invite! Ażebyśmy ją bawiły! Dostaniemy po filiżance ukropu i po ciasteczku za to, że gospodyni godziną później spać się położy, bo noce teraz długie niezmiernie.

LA GRANDE DAME

w pół cicho

Pocziwa to kobieta, lubię ją. Ale prawda, że jej herbatki są ziewającymi herbatkami. Zjeżdża się osób kilkanaście, ażeby jedna na drugą patrzyła.

PLEWA

W Paryżu jeżeli proszą, to na to, ażeby bawić zaproszonych, nie zaś żeby zaproszeni bawili. To jakiś nowy zwyczaj, o którym nie słyszałem, chociaż bawiłem dwa lata w Paryżu.

ADOLF

Dla młodych ludzi nie masz zabawy bez tańców.

OBRAZEK

Bo co mają mówić z sobą osoby dobrze znajome? Przyjaciółki, które się co dzień widują? Już i przedmiotów nie stanie pour causer codziennie. Mówimy w domu. Jeszczeż zjeżdżać się na to, by mówić? Toby się piersi popsuły. Tańce są dobre, bo mówić nie trzeba.

To mówiąc zachowywała ściśle przecinkowanie, bo zawsze, gdzie wypadła koma, kropka, dwukropek i tak dalej, poprawiała się na stołku krocie j lub dłużej, raz lub dwa razy.

NIEZABUDKA

Ma także i konwersacja swoje przyjemności, jest ona wielkim resursem. Wiadomo, jak zajmujące bywały tego rodzaju wieczory w Paryżu u pani Gofrę np.

PLEWA

Byłem dwa lata w Paryżu, a o tej pani nie słyszałem, nie musi wchodzić w wyższe towarzystwa.

NIEZABUDKA

Ale rozmowa potrzebuje być koniecznie ożywiona duchem kostycznym, dowcipem i krytyką.

GIL

który, powracając, te ostatnie słowa posłyszał

Cóż, pani chcesz krytykować, pomiędzy osobami równego urodzenia i wychowania? Nie szlachetniej że jest pობлаzać z chrześcijańską miłością, ukrywając wady pomiędzy sobą i zgryzoty ofiarując Bogu.

HRABINA

Już i tak złośliwe pospólstwo dużo na nasz rachunek zmyśla i przydaje, zazdroszcząc nam naszego znaczenia, majątków i uciech. I któż temu winien, że my z urodzenia mamy lepsze imię i wychowanie od innych?

TWARZ PAŚOWA

Są niektóre zwyczaje i formy przez nas przyjęte i zachowywane, a nie znającym wielkiego świata opacznie się wydające. Biorą je zaraz za zalotność, za płaskość i poniżenie.

TWARZ BLADA

Ale właśnie znajomość świata wielkiego na tym zawisła, ażeby umieć miarę zachować i między formą a rzeczywistością pewne pociągnąć granice. Inaczej pod pozorem zwyczajów świata wielkiego można by się dopuszczać istotnie złych uczynków. – Zresztą cóż w tym jest ciekawego, jak o nas sądzą prostacy? Niech sobie mówią, my róbmy swoje.

KAROL

Przecież dla ludzi z czołem nie wytartym nie może być obojętną opinia publiczna. Trzeba mieć bardzo tępe uczucie, ażeby nie bolały podejrzenia i obmowy, zwłaszcza jeżeli daliśmy do nich słuszne pozory albo, co gorsza, przyczyny.

TWARZ PAŚOWA

C'est juste, il ne faut pas braver l'opinion publique.

TWARZ BLADA

Dla nas opinią publiczną jest opinia, jaką sami pomiędzy sobą mamy o sobie. Bo byłoby rozsądnie, ażeby na ludzi posiadających wyższe wychowanie wpływała opinia ludu bez okrzesańcia i bez nauki?

KAROL

Nie chodzi tu pani o rozstrzygnięcie naszych wiadomości i rozumów. Postępki są najlepszymi rzecznikami, oskarżając lub broniąc. A proste uczucie złego i dobrego, śmiesznego i dziwnego jest wrodzone najpospolitszemu człowiekowi. Owszem, w sercu nie zepsutym przez nawyknięcia i miękkości życia jest ono żywszym i sprawiedliwszym.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

Wszystkiemu temu aktorowie są winni; bo ośmielają się wyszydzać nas na scenie. Wystawiają nasze zwyczaje, depopularyzują nas.

NIEZABUDKA

Imaginez! To powinno być zakazane.

ADOLF

Ależ bo aktorowie odgrywają sztuki przez innych pisane.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

O, komponują oni i dodają dużo i sami. Zresztą czemu nie wybierają sztuk łagodnych i nie obrażających?

HRABINA

Niech wyśmiewają niższe klasy, u których tyle jest prostactwa.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

Nie mamy wprawdzie dobrych komedyj oryginalnych, ale za to jest co tłumaczyć, byle się tylko trzymało Moliera, Arnolta, Pikarda, Bomarszego itp., a nie uganiano za nowościami, które są potworne, albo też za tą przechwalaną teraz angielszczyzną; kiedy tymczasem nie znam sztuk niedorzeczniej szcych jak Szekspira; co już utrzymywał i Wolter, który posiadał wybornie język angielski.

NIEZABUDKA

Ale nie godzi się go wspominać, bo rozumu swojego na złe używał: był ateistą, naśmiewał się z pobożności.

GIL

Podobnie i terazniejsze dramata Francuzów przepelnione są jeszcze wolterowską filozofią. Wyszyszają w nich najczęściej osoby poważne i świątobliwe, podkopują moralność, wystawują w pięknym świetle zbrodniarzy, uniewinniają okolicznościami najobrzydliwsze występki, wprowadzają zdarzenia nieobyczajne, okropne i przesadzone.

PLEWA

W Paryżu jest na to sposób, bo jest kilkanaście teatrów; a tam, gdzie bywa noblesa, nie ośmielają się przedstawiać tylko sztuki klasyczne nieśmiertelnych Kornellów i Rasynów.

TWARZ BLADA

Kiedy bo po części słuszny jest zarzut, że tym sztukom brakuje działania. Jest w nich pełno głębokich myśli i wzniosłych uczuć, dają się zatem czytać z przyjemnością; ale przedstawione nie czynią wrażenia, bo są tylko opowiadaniem. Też same wady można by zarzucić i dawniejszym romansom, zapełnia je nudna sentymentalność i długie deklamacje; w terazniejszych zaś znajduję głębszą znajomość serca, więcej ciekawych stosunków i nauczających położeń.

NIEZABUDKA

Pardon! Dlaczegoż to tkliwość ma być nudna i szkodliwa? Wszakże literatura serca zmiękczać powinna, ale nie czynić je dzikimi, nielitościwymi, tygrysimi.

TWARZ PĄSOWA

Istotnie, nie masz silniejszych środków zepsucia i zbałamucenia jak terazniejsze romanse. Dawać je czytać osobom niewinnym i niedoświadczonym jest jedno, co chceć je uwieść i zgubić. Co chwila jakaś nieprzyzwoitość; pełne charakterów przewrotnych, stosunków ohdnych, zdarzeń rozwiązanych, opowiadań nieobyczajnych i wymysłów prawdziwie szalonych.

KAROL

Podobno dałaś się pani uprzedzić M. Gr. o literaturze, którą podobało mu się przezwąć szaloną. Tymczasem sława najpierwszego z naszych krytyków nie powinna by uwodzić, bo krytyka jest u nas jeszcze w pieluchach. Zanim się wzmoże, musi wprzód filozofia wielkie poczynić postępy. M. Gr. brakuje usposobień po temu. Powstaje on na francuszczyźnie, a we wszystkich jego myślach i dowodach, w całym sposobie badania widać wychowanie francuskie, wykształcenie na wzorach francuskich, przejęcie się piśmiennictwem przedhugonowskim i przedbalzakowskim; co czyni ducha jego właśnie niekrytycznym, nienawykłym zgłębiać i nieprzyjaznym nowszym utworom. Podobne to jest dosyć do polityki tego łysego, który przeciw łysinie jak najgoręcej wykrzykiwał, aby się nikt nie domyślał, że nosi perukę. Sąd M. Gr. jest zawsze abstrakcyjny. Nie wywodzi on z zasad, tylko wnioskuje z postrzeżeń, że zja-

wisk. Przeto nie masz w rozrzuconych zdaniach jego ścisłego następstwa. Zjawiska mogą być powierzchownie różne, a przecież wewnątrznie jednakie. Poemat może być polski, narodowy, chociaż przedmiot wzięty z dziejów arabskich i obrobienie do przedmiotu zastosowane. Dobry krytyk powinien wytknąć jego znamiona ogólne i podciągnąć pod stałą zasadę. Szczegółowy rozbiór, szczegółowe wytknięcie zalet i wad jest pracą pomniejszą, bo każdy czytelnik ma na to jakie takie uczucie i rozsądek. Ale rozgatunkowanie ogólne pomysłów i dążności względnie na ducha wieku i potrzeby postępu: oto jest zadanie wyższej krytyki. Przyjął on w literaturze i krytyce niby zasadę narodowości, lecz nie wyokazawszy jej pierwiastku i jego następstw, nie jest ona zasadą, tylko abstrakcją z Mickiewicza, Zaleskiego, Goszczyńskiego, Malczewskiego i kilku innych. Jako abstrakcja może być prawdziwą i dobrą, jako zasada byłaby może mylną i złą, może nową niewolą dla talentów. Jak dawni recenzenci warszawscy ze swoich wzorów klasycznych utworzyli sobie pojęcie sztuki, tak też i M. Gr. z wzorów tego-czesnych. Można by go nazwać Dmochowskim romantycznym. Tymczasem zakładzinami estetyki nie powinny być wyroby, choćby największych jeniuszów, tylko wyrozumienie i wyjaśnienie przeznaczenia ludzkości i piśmiennictwa w ogóle, a potrzeb narodu w szczególności. Nie zrobiła przeto krytyka u nas postępu. Przykłady i ich rozbiory były dawniej i są teraz, a estetyki nie było i nie masz. Nie masz ogólnego wyrozumowania nieomylnego pierwiastku, według którego każdy nowo pojawiający się talent dałby się umieścić i ocenić. Potrzeba by znowu, zbierając z niego wnioski, tworzyć zasadę, to jest popisać nowe tomy nowych abstrakcji. Taki był charakter krytyki francuskiej przed ich obeznaniem się z krytykami Niemców, taki był żywioł wszystkich niezliczonych la Harpów, i to jest główne znamię krytycyzmu M. Gr. Nie dziw, że nie podobają mu się terazniejsze płody francuskie! Patrzy on tylko na kwiaty, jak gdyby na tym był koniec. Nie zgłębiwszy przymiotów i wartości rdzeni woła, że kwiaty są brzydkie, nie domyślając się, że owoce mogą być słodkie i potrzebne, że w gruncie, to jest w terazniejszym społeczeństwie, może być dźwignia, której te kwiaty są koniecznym skutkiem. Od utworów sztuki nie należy wymagać przedsięwzięć i zamiarów moralnych, dosyć jeżeli wynikłości są moralne. Na nazwisko szalonych nie zasługują tylko pisma kilkunastu autorów, takich jak Bruys d'Ouilly, Ernestowie Desprez i Legouve, Arnould Farency, Allarte de Thérace i kilku innych, równie mało znanych. Przyczyniłby się znacznie do postępu krytyki Kraszewski, gdyby, dotrzymując sumiennie obietnicy uczynionej w «Orędowniku», zamieszczał w «Athenaeum» recenzje bez względu na różność zasad, wyznawanych przez niektóre bractwa literackie, jakie po części sam przyjął. Śmiesznie było słyszeć, jak dotychczas pochlebiali sobie jak dzieci zaprzyjaźnieni pisarze: M. Gr. Kraszewskiemu, Kraszewski M. Gr. itd.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

w ucho do Niezabudki

Nie powiedziałem? Akademickie traktaty! Mówi jak gdyby o czymś znajomym, o M. Gr., o Kraszewskim, o «Athenaeum», o «Orędowniku»; a ja o tych panach dzisiaj dopiero słyszę raz pierwszy.

NIEZABUDKA

w ucho do Łaskawcy

W godzinkach jest wzmianka o orędownicze niebieskiej, lecz o orędowniku nie ma wspomnienia. Będzie to podobno błąd drukarski, gdyż powinno być arędowniczka.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

w ucho do Niezabudki

Imaginez! Nie poznać się na błędzie drukarskim!

LA GRANDE DAME

Od nas to tylko zależy, ażeby aktorowie lepszy wybór czynili i autorowie lepiej pisali. Wszakże aktorowie grają i autorowie piszą tylko dla zarobku. Będą się musieli pomiarkować i nam dogadzać, jeżeli przestaniemy bywać w teatrze i czytywać książki.

OBRAZEK

A bez tego obejść się można i żyć wygodnie. Ja sama bywałam wiele po świecie, wszędzie jeździłam sztafetą, a nie było mi tęskno, że książki nie miałem w ręku już...

Wtem pociągnął ją mąż z tyłu za suknię i ustała jak koń osadzony w galopie.

GIL

W drodze najprzyjemniejszą lekturą są żurnale.

OBRAZEK

Już to w ogólności nie masz dzieł przyjemniejszych jak żurnale: np. «Le Voleur», ile w nim zabawnych powieści! Ile dowcipnych postrzeżeń!

WIELKI KALIBER

Kiedy bo dochodzi nas bardzo nieregularnie. Nie uwierzycie, jak byłam zgryzioną przeszłego tygodnia, tu trzeba się było ubrać na bal, a o moim paryskim żurnalu ani słychu; jak tu się ubrać bez wzoru i opisanía!

KAROL

Bo czemuż panie nie trzymają dziennika mój wychodzącego we Lwowie? Mieści on w sobie wszystko, cokolwiek nowego najcelniejsze mają żurnale, a dochodzi najwcześniej i bez zawodu.

OBRAZEK

Czy podobna! We Lwowie wydają żurnale?

KAROL

Tak jest, już od dwóch lat.

LA GRANDE DAME

Ciekawa jestem stylu w tych lwowskich żurnalach. Jaka też w nich jest francuszczyzna?

KAROL

Jest to dziennik polski, po polsku pisany.

WIELKI KALIBER

Est-il possible! Żurnal po polsku!

OBRAZEK

To nie do uwierzenia!

TWARZ PAŚOWA

Prawdziwie, słyszę o tym raz pierwszy.

TWARZ BLADA

My byśmy nie miały wiedzieć o żurnalach u nas wychodzących?

PLEWA

Ależ bo to nie żurnal, lecz dziennik czy siennik mód. Żurnale nie mogą być pisane, tylko po francusku i wychodzą tylko w Paryżu.

LA GRANDE DAME

C'est excellent! Siennik mód.

GIL

I ja tak samo słyszałam od dawna, że żurnale nie mogą być, tylko po francusku.

LA GRANDE DAME

Ciekawa jestem, jak też ten siennik lwowski wygląda? Czy podobny do ludzi i co też w nim piszą?

HRABINA

Musi to być zapewne pisemko dla pospólstwa, dla klas niższych i partykularzów, gdzie czytają po polsku.

KAROL

Owszem, wyśmiewają w nim. parafianów, co by posiadających wyższy ton i wychowanie bardzo zajmować powinno. Chciej pani zaspokoić swoje ciekawość, a przekonasz się, że żurnale mogą być po polsku i że celem literatury nie jest pieniężny zarobek.

GIL

Jak to nie zarobek? Kiedy La Grande Dame tak utrzymuje.

HRABINA

Wyśmiewają parafianów? Muszę go dostać koniecznie.

NIEZABUDKA

Teatr i literatura są także na to, ażeby nas bawić; aby było jak spędzać długie wieczory zimowe.

LA GRANDE DAME

Alboż to nie ma zabaw prywatnych? I onegdaj był bal, na którym znajdowało się osób kilka-naś-cie. Pan byłeś na nim, panie Adolfie?

ADOLF

Nie, pani! Nie byłem.

KAROL

Jak to? Wszak cię tańczącego widziałem.

Adolf spłonął się cały, udał, że nie słyszy, i pomyślał: „co to za parafianin! Jakiego nabawił mnie wstydu! Wydał w głos, że znajdowałem się na zabawie, o której La Grande Dame z drwinami wspomina”.

GIL

Więc pan byłeś? Panie Karolu! Jakże się tam bawiono?

KAROL

Wyśmienicie! Lepiej niż gdziekolwiek.

LA GRANDE DAME

To prawdziwie szkoda, że osób było tak mało.

KAROL

Owszem, to tylko czyniło zabawę przyjemniejszą. Chciej pani wierzyć, że ciżba nie jest wesołością. Do dobrej zabawy potrzeba dobranych sposobów myślenia, charakterów i gustów; a o to trudno w natłoku. Wszakże w każdej kopalni mała tylko żyłka jest złota, a dużo brudu i prochu.

LA GRANDE DAME

Otóż mamy i o górnictwie!

PLEWA

cicho do Twarzy Paşowej

Wdałże się z nią w rozmowę, toż go obrobi! I dobrze mu tak. Ten Karol ma zawsze jakieś swoje uwagi i myśli niepodobne do ludzkich, o których nie słyszałem chociaż byłem dwa lata w Paryżu.

TWARZ PAŞOWA

cicho do Plewy

To głowa ekscentryczna.

GIL

My o zabawach, a on o złocie i prochu!

ŁASKAWCA

w ucho do Niezabudki

Sprzecz się z poważnymi damami, a nie umie tezis swojego obronić. Mówi dużo, a nie ma nic dowcipnego; otóż to młodzież terazniejsza!

NIEZABUDKA

Boże uchowaj!

GIL

cicho do Twarzy Bładej

Nie będę prosiła Karola na czwartki do siebie; on się bawi wyśmienicie i bez nas. Pan Plewa to jest skończony młodzieniec!

TWARZ BŁADA

cicho

A przyjaciel Karola est-il bien?

GIL

To jakiś prawdziwy parafianin! Wszedł tutaj, bo z gospodynią domu znał się gdzieś na wsi. Nikomu się nie prezentuje, do nikogo słowa nie przemówi, jest widać pomieszany licznym zgromadzeniem i myśli o niebieskich migdałach. Nie musiał bywać na wielkim świecie.

– I gdzieżeś to mnie wprowadził, mój przyjacielu! – rzekłem zdziwiony do Karola – czy tylko nie do domu wariatów?

KAROL

Jesteś w najmodniejszym salonie stolicy, pomiędzy parafianami wielkiego świata.

NIESZCZĘŚCIA WIELKIEGO ŚWIATA

WIZYTA DRUGA

Dnia nie pamiętam, ale przypominam sobie, że było to wieczorem po godzinie siódmej. Blask lampy umbrą ujęty zaledwie pokój oświecał, padał jednak dość jasno na pulpit i rozłożoną na nim ćwiartkę papieru. Wtem wszedł Karol i słowa nie mówiąc usiadł na stołku.

– Ha! W samą porę Karolu! Nie uwierzysz, jakie to nieszczęście myśleć i myśleć, a nadaremnie. Oto już pióro zgryzione, a kartka biała jak była. Zmiłuj się! Powiedz mi co o parafianach.

– O! Żleś się udał – rzekł Karol – nie spodziewaj się tego ode mnie. Jeszcze by za przysługę tobie wyświadczoną nazwano opowiadanie moje obmową. Nie uwierzysz, jak ci parafianie są opryskliwi i zaraz wszystko biorą do siebie. Nie można nic tak dziwnego wymyśleć, nic tak głupiego opisać, ażeby któryś z nich nie powiedział lub przynajmniej nie pomyślał sobie: to pewno ja jestem. Słabi są na umyśle, a podobni do tych słabych na ciele, którzy czytając książki lekarskie każdą opisaną chorobę biorą za swoją. Z tą tylko różnicą, że słabi cielesnie chwytają na oślep każdą podawaną radę, słabi zaś umysłowo zaraz gniewają się, jak gdyby to pisarz obyczajowy nie był także lekarzem moralnym. Słyszałem o pewnej damie, która mówiła do malarza swojego: opuść pan tę gulkę i te dziuby, bo ich dawniej nie było; otóż i parafianie żądają tego od portrecisty dusz swoich.

I któż im winien, że się widzą tam nawet, gdzie ich nie ma? Jest to jedno z ich nieszczęść i zgryzot ogólnych. – Popatrz się zyzem, nie ukłoń się dosyć nisko, prześlęp którego; ho-ho! już i uraza. Śmiej się, z czego chcesz, oni są przekonani, że z nich się śmiejesz. Wytykaj na oślep wady jakie bądź kolwiek, oni się do nich przyznają. Zupełnie jak ów Maciuś wołający: „Matusiu, on mi się wydrzeźnia!” Czego nie rozumieją, to biorą za kpiny i urazę, podobni do tej szlachcianki, ba, nawet baronowej, której kiedy powiedział pewien młodzieniec w zażyłości z nią będący: „Dziś niema z Porticzi”; wzięła to za wielkie nadużycie poufałości i odparła z roziskrzonymi od gniewu oczyma: „Pan zapominasz się, pozwalasz sobie zanadto! Proszę w moim domu i w naszej przytomności zaniechać takich nieprzyzwoitych wyrazów”. A po chwili oddaliwszy się na bok powiedziała mu cicho: „Jak będziemy sami, mów o tym jak najwięcej, ale menażuj mnie pośród gości; tajemnica robi osobę przyzwoitą”. – Nie będę ci zatem mówił o parafianach, bo nie jest to tak łatwo, jak być parafianem. Mogę ci jednak skuteczną dać radę: chodź ich zobaczyć! Usłysz ich samych; a wtedy, jeżeli kto się skrzywi, to nie dowcipne! Ha! Wszakże i oni nie dowcipni, tylko parafianie; to nudne! Bo i oni nudni troszeczkę, to takie lub owakie! Bo i oni tacy. Więc koniec końcom, jakie to jest, to jest, ale takie jak oni.

– Wyborna rada, mój przyjacielu! Służę ci.

Już miałem w rękę kapelusz i byliśmy przy drzwiach, kiedy się Karol nagle zatrzymał:

– Cóż znowu, w surducie? A wiesz, że surdut wieczorem należy do najpierwszych nieszczęść wielkiego świata? Człowiek w surducie przechodzi się jak gdyby dżuma po salonie, każdy go unika, pozierają na niego bojaźliwie, aby się, broń Boże, do kogo nie przybliżył; żenują się jego znajomości. Niedawno mówiła mi nasza hrabina: „Nie uwierzysz pan, jak byłam wczoraj pomieszana i zgryziona, oto ten parafianin przyszedł do mnie na herbatę w surducie. Jak gdyby na złość, miałam wtedy u siebie wyższego tonu osób kilkanaście. Rzęsisty pot wystąpił na mnie, nie wiedziałam sama, gdzie siedzę i co mówię. Przytomność mnie odchodziła, o mało nie zemdlałam. Gdybym mogła, byłabym mu poszarpała te poły wiszące z przodu. To prawdziwe szczęście, że tego dobrze nie odchorowałam”.

– A to co innego, Karolu! Szanujmy ich drogie zdrowia – i wciągnąłem frak na siebie.

Po chwili byliśmy już w salonie. Za nami wszedł jakiś niskiego wzrostu szczupły młodzieniec, który jeszcze dosyć chłopczykowato wyglądał. Nazwiemy tę twarz okrągłą historykiem Anfę dla ważnego odkrycia, jakie uczynił Anfę w historii, jak o tym zaraz się dowiemy. Usiadł z fantazją małego zwycięzcy, a widać mu było z wierzchu, że coś bardzo ważnego dokazał.

– A wiecie panie – rzekł – że z łaski waszej enfin przez noc całą oka zmrużyć nie mogłem? I dzisiaj przez dzień cały nie byłem enfin zdalny do niczego. Enfin z niecierpliwością oczekiwałem wieczora, ale teraz mam już enfin broń przy sobie na zwalczenie enfin waszego niedowiarstwa.

To mówiąc wyjął książeczkę z kieszeni, która zajmowała w rzeczypospolitej książkowej to samo miejsce, co jej właściciel pomiędzy ludźmi, bo była w dwunastówce. Wielkimi popatrzył Karol oczyma, jak gdyby sam sobie nie dowierzał, że widzi książkę w tym miejscu i w takim ręk. Dostrzegł zadziwienie to historyk, więc po małej pauzie, jaką zachował zapewne dla zaostrzenia ciekawości, mówił dalej:

– D’abord, przepraszam panie, że się ośmieliłem przynieść literaturę na herbatę, lecz enfin nie odzyskałbym nigdy spokojności, gdybym enfin nie przekonał i naocznie nie dowiódł, że enfin twierdzenie moje, w które państwo powątpiewaliście, było enfin prawdziwe zupełnie. – Pozwolą panie, że im przeczytam.

Wtem posunął różową tasiemkę i czytał: „Kiedy Władysław Jagiełło przyjął chrzest święty i Litwę do wiary chrześcijańskiej nawracał, namiestnik Chrystusa przysłał mu na znak zadowolnienia placek z własnoręcznym podpisem”.

W czasie czytania niektóre z dam ruszyły z miejsc swoich i różnie zazierały w książkę, to przez ramiona, to przez głowę, bo czytelnik był niski.

– A co – rzekł historyk enfin, wskazując palcem miejsce odczytane.

– Co teraz, to wierzymy – odezwały się damy – przyznajemy słuszność, przepraszamy za nasze niedowiarstwo; kto by się spodziewał? Placek! Ha! Różne były dawniej zwyczaje.

– Już ja pewno – mówił dalej Anfę – bajek nie gadam; ale któż mi nagrodi enfin zgryzoty wczorajsze i noc bezseną?

– Czy nie mógłbym – rzekł Karol – obaczyć także to miejsce ciekawe?

– I owszem, i owszem – odpowiedział Anfę podając książeczkę – pan byłeś jeden z najmocniej przeczących i zgryzłeś mnie najwięcej.

– Ależ bo – mówił Karol, pojrzawszy w książkę – tutaj jest placet, nie placek.

– Co, placet? – zawołał historyk w gniewie, jakby mu kto wieniec zwycięstwa z głowy zdejmował, łypnął błyszczącymi oczyma, aby się samemu przekonać. – Prawda, mais enfin jest to oczywiście błąd drukarski, bo cóż znaczy placet?

LA GRANDE DAME

Oczywiście! Bo placet nie ma znaczenia.

NIEZABUDKA

Jak to pięknie, że pan oddajesz się literaturze w przedmiotach poważnych i nauczających.

OBRAZEK

A jaki dobry! Jak się starał usilnie, aby nas przekonać.

GIL

Winszować potrzeba, że w tak młodym wieku tyle gruntownych uzbierał wiadomości, że już i starsze osoby może przekonać.

Ze wszech stron sypały się pochwały wielkiego czytania i bystrej przenikliwości naszego historyka, który rósł jak na drożdżach wynagrodzony sowicie za wczorajsze utrapienie. Na próżno Karol kilka razy zaczynał: „Placet znaczy...” Wspomniał nawet placetum regi[um], ale nikt go już nie słyszał i nie rozumiał, tak byli wszyscy zajęci sławą i wielkością małego Anfena.

Kołnierzykowy Łaskawca rzekł, wzruszając ramionami, w ucho Niezabudki:

– Imaginez! Rozum terazniejszy! Nie poznać się na błędzie drukarskim! A zawsze jakieś trudności, byle się tylko sprzeczać i innym sukcesów zazdrościć. Zdarzyło mi się także wiedzieć, o czym nie wiedzieli inni; i gdyby nie ta zawiść, byłbym dziś sławnym autorem, bo miałem talent.

NIEZABUDKA

Oj! Te terazniejsze rozumy! Prawdziwe nieszczęście. Wszystko chcą wiedzieć, inaczej jak wiedziano dawniej; a nie tak to i dawno. Książka jest drukowana, jeszcze im nieprawda. Żyj że tu teraz w zgodzie i w harmonii!

Do Anfena

Żal mi prawdziwie, żeśmy tak wczoraj panu dokuczyły.

ANFĘ

Enfin, mam już satysfakcję zupełną.

TWARZ BŁADA

Wystawiam sobie, jak to musi być przykro, kiedy w przekonania nasze nie wierzą.

PLEWA

Są to męczarnie Kassandry.

TWARZ PAŚOWA

Quel brillant esprit!

TWARZ BŁADA

w ucho Grande Damie

Podziwia go w żywe oczy; co za płaskość!

Głośno do Plewy

Żałowałam bardzo, żeś mnie pan wczoraj w domu nie zastał. Trzeba było prawdziwie nieszczęścia, ażeby mi właśnie wczoraj wypadło wyjechać, kiedy zwykle o tym czasie bywam u siebie.

PLEWA

Je vous assure, że się tym zgryzłem, bo wizyty białe u osób, które widzieć pragniemy, można do nieszczęść policzyć. A wczoraj miałem szczęście do takich nieszczęść; nie przyjęto mnie tylko w jednym miejscu, i tam jeszcze panna Piwonia nie wyszła, powiedziano, że słaba.

HRABINA

O! Tak jest, słaba na zdrowie. Chciano by, aby wyszczuplała, i rady dać sobie nie mogą. Biorą ją w prasy, głodzą na szpinaczkach, poją octami i mlekiem wapiennym, kąpią w solach i ługach. To męczennica!

LA GRANDE DAME

Męczennica! Gdyby tylko pomogło; sroższe jeszcze męczarnie znosiłaby z rozkoszą. Każda z nas zrobiłaby toż samo, bo przynajmniej, czy może być większe nieszczęście, jak dla osoby wielkiego świata, zwłaszcza dla panny, twarz taka jak u dziewczki?

TWARZ BLADA

Nie ma gorszej słabości, jak takie zdrowie zwierzęce. Ja bym się pewno na świat nie pokazała, gdybym była taką pucułowatą i czerwoną. Zamknęłabym się w klasztorze i zagryzła na śmierć.

TWARZ PAŚOWA

w ucho Gilowi

Niech sobie mówią co chcą, ja tego do siebie nie biorę.

Głośno

Les extrémités se touchent. – Alboż i te żurnalowe piękności, nie jestże to straszna klęska i prawdziwe utrapienie? Aż słabo się robi patrzeć na nie. Ja bym umarła z rozpacz, gdybym, broń Boże, była blada i wymokła jak jaka pustelnica korzonkami żyjąca.

TWARZ BLADA

w ucho Grande Damie

Niech sobie mówi co chce, ja tego do siebie nie biorę.

Głośno

Na płeć karmazynową wyborny jest sposób: często krwi sobie upuszczać. To łagodzi zarazem ostrość humorów i opryskliwość uśmierza.

TWARZ PAŚOWA

Na błądliwość śledziową wymyślili róż we Francji, a w Polsce rosną buraki; chociaż to nieboszczyka nie wskrzesi i temperamentu nie doda, oszukuje jednak tych, co się na farbownych lisach nie znają.

TWARZ BLADA

Alboż pani śmiałybyś zarzucić, że ja różu używam?

TWARZ PAŚOWA

Alboż pani śmiesz twierdzić, że ja krew sobie upuszczam?

TWARZ BLADA

Ja tego do pani nie mówię.

TWARZ PAŚOWA

I ja tego do pani nie mówię.

LA GRANDE DAMA

Przestańcie już, przestańcie! Na co tych żartów?

GIL

Do czego to? A propos zdrowia, jak też się miewa pani córeczka?

WIELKI KALIBER

Bardzo źle, doktor nie czyni żadnej nadziei. W tym roku nieszczęścia zawzięły się na mnie. Wystawcie sobie, zapisałam kilkanaście balowych sukien z Paryża. Spuściwszy się na to, nie sprawiałam tutaj. Tymczasem karnawał nadszedł, a ja doświadczyłam zawodu. Aż w głowę zachodzę, co teraz począć? Jest z czego oszaleć! Przyjdzie może parę balów opuścić, tego nie przeżyję. A jeszcze dziecko mi słabe. Jak nadejdą później, na cóż się zdadzą? Same suknie balowe. To jest prawdziwe nieszczęście! A jeszcze dziecko mi słabe.

TWARZ PAŚOWA

Pojmuję dobrze twoją boleść, bo byłam już sama w takim okropnym położeniu. Właśnie jakoś natenczas przegrał mój mąż proces wielkiej wagi i zgryzł się bardzo, niepokoił się i zmizerniał do niepoznania. Pamiętam jak dzisiaj, godzina obiadowa już uderza, a byłam proszoną na świetny obiad, wystawcie sobie, krawiec nie przyniósł mi sukni, na którą czekałam. Myślałam, że umrę na miejscu. Nie ma słów dosyć na odmalowanie mojej męczarni; to trzeba doświadczać. Nie pojechać, czyż to być może? Udać słabą, to potrzeba by się wywieść świadectwem protomeyka, bo taka jest etykieta dworska; przyjechać późno i zastać wszystkich przy stole, jakżeby to wzięli?

KAROL

Alboż pani nie mogłaś wziąć innej sukni?

TWARZ PAŚOWA

Kiedy wszystkie suknie już po raz miałam na sobie. O! Panowie tego nie rozumiecie; ale ja bym umarła ze wstydu, gdyby mi przyszło dwa razy w jednej pokazać się sukni.

KAROL

Zapewne! Jest to bardzo wstydliwie, nieobyczajnie!

HRABINA

Alboż i to nie jest boleśnie, jeżeli nas kto uprzedzi w podobnym ubiorze, jak przygotowaliśmy dla siebie? Niedawno dostałam stroik z Wiednia, śliczny jak pieścidełko. Ukrywałam go troskliwie nawet przed własną służącą. Ale nieszczęście jak się zaważmie, to nie ma na to sposobu. Trzy dni przed bale, na który był przeznaczony, obaczyłam taki sam zawój na tej

Obziera się

advokatowej. Jesteśmy dziś, chwała Bogu, same, więc mogę śmiało rozmawiać. Parafianka tak się wystroiła na herbatę, jak gdyby na mszę wielkanocną. Nigdy jej tego nie zapomnę. – Ja tak się cieszyłam moim stroikiem. Tyle obiecywałam mu sukcesów! Tak mi był do twarzy! I wreszcie darowałam mojej garderobiance, raz nie mając na sobie. Już ciż nie będę naśladować! Niestety! Jaka to teraz nastąpiła mieszanina po salonach. Prawdziwe pokaranie boże! Trudno jest znaleźć towarzystwa, które by całkiem było dobrane. Te z niższych klas pną się i wszędzie wściubiają, czy mają przyjaciół, czy nie mają, byle się tylko znajdować pomiędzy

nami, a tak się czubią i stroją, czy trzeba, czy nie trzeba, byle tylko pokazać, że mają pieniądze. – Że to teraz tylko pieniądze! To jest prawdziwe nieszczęście. – Jeszcze dla mężczyzn to wszystko jedno, ale dla nas męka okropna. Mężczyźni tego nie czują i nie rozumieją, nawet naśmiewają się z naszych utrapień i biorą nieraz za bagatelkę, co srodze dokucza.

PLEWA

Pardon, Comtesse! Rozumiem ja to dobrze i unikam troskliwie zgromadzeń, które nie są dobrane. Jestem w nich żenowany i jak nie swój. Bo nie można pogardzać ludźmi i trudnoż jest z wieloma poufalić się i bratać. Towarzystwo mieszane odbiera mi swobodę i wesołość; stają się zaraz *reservé*. Byłem dwa lata w Paryżu i napatrzyłem się temu, co jest najmodniejsza i najprzyzwoitsza. Wiem zatem, jak czasem te na pozór bagatelki rzeczywiście boleśniejszą są klęską jak śmierć przyjaciela lub własna choroba. Bo cóż robić? Od śmierci trudno ochronić; to są prawa natury. Ale serce krwawo rozrania, jeżeli zmuszeni jesteśmy prawidła wielkiego świata przekroczyć, pomimo naszej wiedzy i woli. Wygląda to tak właśnie, jak gdybyśmy byli parafianami i nie znali etykiety albo nie mieli za co jej dogodzić. Pamiętam, jakie sam wycierpiałem męki w Paryżu wkrótce po moim przyjeździe. Naznaczono mi godzinę siódmą na posłuchanie w pokojach królewskich. Pilnowałem tedy jak oka siódmej godziny. Już byłem gotów zupełnie, a zamówiona remiza jeszcze nie nadeszła. A trzeba paniom wiedzieć, bo to już do znajomości kraju należy, że chociaż w Paryżu wielka jest oświata i cywilizacja najpierwsza, bo to w każdym miejscu, na każdej ulicy jest jakieś oświecenie, jakaś nauka: to przecież wynajmujący powozy tak są zawodni jak krawcy tutejsi. Czas wprawdzie był piękny, lecz iść piechotą na wizytę do króla, może być większe nieszczęście dla człowieka umiającego czuć i znającego się na rzeczy? Com wtedy wycierpiał, to ledwo z mękami skonania zrównane być może. To bladłem, to czerwieniałem; zdawało mi się, że dostanę konwulsyj i zginę na apopleksję.– Nareszcie spóźniłem się, a król, który na mnie czekał, uśmiechnął się, co mi serce raniło sztyłem, bo wziął mnie zapewne za parafianina.

TWARZ BLADA

Co teraz, to panu wierzę, że umiesz nieszczęścia nasze czuć i pojmować; ale pan tylko jeden, bo na to trzeba żyć ciągle na wielkim świecie. Prostacy mają je za nic i wyśmiewają jeszcze. *Les barbares!*

TWARZ PAŚOWA

w ucho Gilowi

Chwali go w żywe oczy! Co za nieprzyzwoitość! Co za nikczemność! Patrz, jak się wdzięczy, a jak mizernie dzisiaj wygląda. Wielu znajduje ją ładną, gdzie oni oczy podzieli. *Les tristes adoreurs d'une beauté équivoque!*

HISTORYK ANFĘ

O! Niech mi pani krzywdy nie czyni. Może to także enfin rozumiemy troszczki. Czytałem enfin wiele o podobnych historycznych ambarasach i nieszczęściach. Kiedy pewien uczony francuski wsadzając księżnę Ber[r]y do powozu wziął ją enfin... Lecz to tu niestosowne; i nie śmiem enfin opowiadać przy pannach. Cha, cha, cha. Miałem nawet enfin w domu przykład, chociaż innego rodzaju, zawsze enfin dowodzący, jak te na pozór drobne nieszczęścia pieką piekielnie. Kiedy przeszłego roku przegrałem enfin sumę dość znaczną, bo było to jakoś przy kieliszku i nie uważałem, że sześć siódemek już wyszło, przyszedłem enfin do pokoju matki mojej i zastałem ją enfin we łzach załamującą ręce. Przykro mi się zrobiło, zacząłem enfin przeproszać i gry się zarzekać, aby ją uspokoić. Więc roześmiała się serdecznie i powiedziała mi enfin: dziecko jesteś! Pieniądze można odzyskać, ale ty nie wiesz, że suczka moja bonoń-

ska enfin zdechła tej nocy. Nie pomogły lekarstwa i zabiegi, to szkoda nieodżałowana, to jest enfin nieszczęście nie do nagrodzenia.

NIEZABUDKA

Ach! Jakże dobre serce ma matka pańska! Szczerze ją Za to Kocham. I dla biednych zwierząt litość mieć w sercu potrzeba. Ileż nie wycierpiałam przez całe trzy dni i noc, kiedy zasłabła moja bengalska papuga! Boże, uchronij! Gdyby tak dłużej potrwalo, przyszłoby mi samej w łóżko się położyć. Żyłam w największej obawie, od godziny do godziny oczekiwałam strasznego kryzys, lekarstwa własnymi podawałam rękami i nie mogłam się uspokoić, choć trzech doktorów zapewniało, że przy takiej troskliwości przyjdzie do zdrowia. Lecz życia nasze są w ręku bożym. Teraz już z łaski bożej zdrowa zupełnie, a winnam to po części i sobie, bo w takich razach na nikogo spuścić się nie można. Jeszcze, jak na złość, właśnie wtenczas zasłabła mi panna służąca, moja faworyta, i nie miałam się kim wyręczyć, bo odesłałam ją do szpitalu. Wiadomo, jaki pyszny grobowiec postawiła księżna generałowa swojemu wiernemu kotkowi. Wszakże ten monument kosztował kilkanaście tysięcy. O! Serce wspaniałe i ludzkie umie żałować i być wdzięcznym.

LA GRANDE DAME

Te trzy dni kłopotu przypomniały mi także moją trzydniówkę. Jak wtedy się namęczyłam, co wycierpiałam, to tylko Bogu wiadomo. Nie chcę wymieniać osoby, lecz miałam wprowadzić pewną panią w świat po raz pierwszy. Nieśmiało to, wieśniaczka, ani się ubrać, ani się uklonić, bo o rozmowę to mniejsza; a była zaproszona na bal za dni kilka. Aby się dobrze znalazła, kiedy ja ją wprowadzę, wymagała moja ambicja. Nuż tedy zwijać się po sklepach, po krawcach i po modniarkach, zamawiać fryzjerów; a potem jak się do mojej panny zabiorę, jak ją zacznę wyginać, prostować i mujstrować, jak jej zacznę pokazywać, radzić i namawiać. Pracowałam tak nad nią i dniem, i nocą, aż pot się lał z nas obydwóch i nóg pod sobą nie czułam. Jest to ogromna męka i tylko dla prawdziwej przyjaźni można takie uczynić poświęcenie. Prawda, że za sukienkę zapłaciłyśmy dwieście ryńskich monet, ale też za to wszyscy przyznali, że była najmodniejsza i najgustowniejsza. W takiej toalecie wszystko się inaczej wydaje. Ścisnęła z początku kilku młodzieńców za rękę i przez ten fortel niewinny tyłu miała tancerzy, że sobie dać rady nie mogła. Wielki zrobiła éclat!

KAROL

Oby tylko ten fortel niewinny i ten wieczór tańców drogo potem w życiu nie przepłaciła!

LA GRANDE DAME

Quelle idée! Proszę! A to dlaczego?

KAROL

Bo się tylko zalotność w kobiecie podoba, ale nigdy zalotna kobieta. Jakoż przekładamy zalotne mężatki nad panny, bo koniec końcom wesele być może, ale nie małżeństwo. Nie zardzościmy mężom żon tych, które nas ściskają, chociaż żonom podchlebiamy i nadskakujemy. Filozofia w tym krótka: nie ja, to kto inny, kiedy już tak ma być konieczne. Zresztą zapewne rodzice tej panny innego życzyli jej losu jak kilka chwil pustych i kilka kropel potu, które potem przeważy okropnie czczość podeszłego wieku i czara łez gorzkich. Straszne to dla szlachcica pareset ryńskich na jedną sukienkę, kiedy innej potrzeba na każdą zabawę. Może się ojciec zadłużył albo z posagu ubyło. Zresztą panna, która się stroi i ściska dla tańców, jak pójdzie za męża, będzie się stroić i ściskać dla zwyczajnego. A potem przykrości i niezgody domowe, i rozwód.

LA GRANDE DAME

Powoli, powoli, panie Karolu! Bo jeszcze za mąż nie poszła.

KAROL

Tym gorzej; bo panna, która była płochą za młodu, staje się przemądrą na starość, co ją czyni bardzo śmieszną i nudną.

LA GRANDE DAME

Złośliwa aluzja, już wiem, do kogo. – Lecz nie jest jeszcze tak starą, znajdzie się taki...

PLEWA

My w mieście używamy, a po wsiach się żenią.

GIL

Co to szkodzi, że młoda panna trochę się w świecie zabawi? Czyżby już dlatego za mąż pójść nie miała? Która ma pójść, to pójdzie, jak przyjdzie czas i znajdzie swojego.

KAROL

I jeśli posag jest znaczny. Bo w wielkim i w małym świecie wielu jest takich, co dla posagu nie biorą rzeczy zbyt ściśle ani przed ślubem, ani po ślubie. Ale gdyby młodzież więcej posiadała rozumu i uczucia honoru, gdyby umiała lepiej własną godność poważać, lepiej powołanie i szczęście małżeńskie pojmować, gdyby mężowie umieli czuć hańbę tych rozłożystych ozdób, jakie im żony po głowach budują, o! to najlepszym posagiem byłoby wychowanie ciche i skromne, zasady obyczajne i uczucie wstydu bez tańców, zalotności i kiepskiej francuszczyzny. A uczciwy szlachcic, a nawet lokaj uczciwy, oceniając godność człowieka, nie patrzyłby się na pannę, która gdzieś spadła z nosa komu bądź kolwiek. Dobra jest ona jako naczynie, o którym Wolter wspominał. Dobra, aby się z nią bawić, póki młoda, bo na starość staje się nudną, a nie przydatną nawet do grzechu. – Prawdziwą opatrnością dla pańien wielkiego świata jest nieudolność myślenia w młodzieży i brak zasadniczego wychowania. Etykieta, dogadzając brudnym, ukrytym chuciom i zepsuciu możniejszych, wprowadziła po salonach zwyczaj, które są tylko środkami ułatwiającymi rozwiązłość. Nie ulegać im lęka się młoda panienka albo mężatka; powstać przeciwko nim nie chce młody małżonek, w obawie, aby się śmiesznie nie wydać, aby ich nie wzięto za parafianów, za nie znających zwyczajów świata wielkiego. A jak się raz już zacznie, jak się raz utrże to, co z początku obrażało wrodzoną wstydlivość, ho! pewno na miejscu nie stanie, lecz idzie dalej, jak tylko można. Każde ziarno wydaje odpowiednie istocie swojej owoce. I jakże z tego zbytniego zbliżenia się i ośmielenia salonowego, z tej nieustającej obłudy i obmowy, nie ma wyrósć obojętność na opinię, lekceważenie obowiązków i bezwstyd? Znałem sam młodego małżonka, który się cieszył niezmiernie, że jego żona ludziom się podoba. Miałże za swoje uciechy dwa lata później! Inny, a i panie znacie go dobrze, bo w dom ten uczęszcza, gryzie się bardzo, ilekroć dostojne spojrzenia i wyrazy innej, nie jego dostają się żonie. To samo ziarno wyrasta aż do najwyższego szczebla podłości, której wspomnienie oburza, kiedy mąż np. cieszy się, że przez żonę dostępuje jakichciś względów albo dostatek w dom jego przybywa.

TWARZ BLADA

To jest okropne! To zrujnowało już szczęście i zamożność niejednej rodziny. Ale dlaczego przypisywać to światu wielkiemu, ale nie raczej osobistemu zepsuciu i upodleniu?

TWARZ PAŚOWA

w ucho Gila

Niech sobie mówią, co chcą, ja tego do siebie nie biorę.

KAROL.

Bo osobiste zepsucie jest tylko skutkiem, a przewrotność świata wielkiego rzeczywistą przyczyną. A jeżeli nie wszystkim osobom wchodzącym, w świat wielki zarzucić można takie upodlenie, to znać, że u niektórych temperament albo przyrodzone dobre skłonności silniejsze były niż przykład i nauka. Może też i różne okoliczne przeszkody stały na zawadzie, szpetności nie licząc, bo widzieliśmy, że nie ma tak wielkiej, ażeby odstraszyła guwenera.

GIL

Na co to mówić? Nie lepiej jest modlić się, aby nas pan Bóg od złego zachował?

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

Moralność, której religia naucza, jest najlepszym obrońcą i hamulcem.

KAROL

Bierna to jest cnota, mój panie! Najlepiej jest unikać przynęty i sposobności. Człowiek myślący powinien powstać czynnie przeciwko przyczynie zepsucia, powinien się uwolnić spod jarzma uprzywilejowanych zwyczajów, nie naśladować ich; powinien jak człowiek Chrystusa powierzony mu talent rozmnożyć, ale nie zagrzebywać go.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

A toby nas wzięto za wymyślników i dziwaków! Człowiek rozsądny powinien to robić, co i drudzy; na co koterie i niezgody?

PLEWA

Mnie państwo zapytajcie, bo przecież Paryż jest stolicą dobrego tonu i gustu, przykładem wielkiego świata i najmodniejszego społeczeństwa. Napatrzyłem się przez dwa lata, jak w Paryżu wszyscy umiejają się do siebie stosować i nie uważają na te usterki, którym słabość ludzka podlega. Ja byłem dwa lata w Paryżu, a wszystko działo się jakoś tak przyzwoicie i właściwie, że i mężowie byli kontenci, i kobiety bawiły się. Nikt tego nie brał za złe, bo w takich stosunkach główną jest rzeczą sprytność w prowadzeniu i utajeniu.

TWARZ PAŚOWA

Pan Karol chciałby, abyśmy nigdzie nie bywały, tylko nudziły się w domu. A ja się przyznam, iż nie masz dla mnie większego nieszczęścia, jak cały wieczór zimowy w domu przepędzić. Kiedy się zdarzy dzień taki, że nie ma balu, herbatki lub recepcji, to już umieram z nudów i niecierpliwości. Bo na cóż zjeżdżamy się do miasta?

KAROL

Przebacz więc pani, gdy posądzę, że jej znać brakuje uzdolnienia, aby się zająć domem, mężem, dziećmi lub książką.

LA GRANDE DAME

Oj! Te to wasze książki wszystkiego złego są przyczyną. Pan masz przesadzone idee, a wszystko z czytania egzaltowanych pisarzy. Autorowie pozwalają sobie ubliżać wyższemu społeczeństwu, bo nie mogą do niego należeć. Najlepszy zatem byłby środek nie czytać ich. Ciekawa jestem, kto też kupi, jak my nie kupimy? Wszakże dosyć nabywa się rozumu i do-

świadczenia ze zwyczaju przez samo napatrzenie się na świat. Na co tu jeszcze czytać? Bez jakichciś wielkich rozumów każdy się obejdzie, to tylko robi ludzi nieszczęśliwymi.

PLEWA

Mnie gdyby autor jaki ubliżył, nie poprzestałbym na tym, aby go nie czytać; ja bym go wyzwał na pojedynek. Niech na drugi raz pisze tak, aby się podobał. Ja byłem dwa lata w Paryżu, ja bym sobie poradził! Ja wiem.

TWARZ BŁADA

Quel courage! Jak by się umiał ująć za honor kobiet!

TWARZ PAŚOWA

Le brave des braves!

HISTORYK ANFĘ

Czyliż to warto narażać się? Odwagę trzeba enfin zachować do ważniejszych potrzeb. Najlepiej byłoby odpisać. Alboż to nie ma takich, którzy by się najęli i tego odpisali. Historia mówi: jaką kto bronią walczy, od takiej niech ginie. A to nie historia, to religia, cha, cha, cha.

KAROL

W imię Paryża, przepuszczajcie panowie winy pisarzom. Autor z piórem w rękę jest tak jak aktor na scenie. Udaje cesarzów, królów itd., maluje ludzkie błędy i śmieszności; a skoro aktor koronę, a autor pióro na bok odłożą, wracają znowu do swoich zwyczajnych stosunków i zajmują miejsce w społeczeństwie, jakie zajmowali. Jakież np. wojażer wyzywałby aktora za to, że udawał i wyśmiewał tych płytkich podróżników, którzy, jak często się zdarza, podróżowali bez żadnej korzyści. Byli na ulicy, u króla, w kawiarni, w traktierni, jeszcze gdzieś; a myślą, że Paryż poznali i mogą o nim więcej rozprawić od tak nazwanych domatorów. Tymczasem Paryż tak jest dokładnie i drobiazgowo nawet opisany, że go zapewne lepiej poznać można w własnym kąciku jak w samym Paryżu. Pisać jest obowiązkiem autora, on pełni swój urząd tak dobrze jak każdy inny, i sumiennie, a nie pochlebstwa, wymagamy od niego. Czemuż nie wyzywamy sędziego, że nas potępił albo nam zadał niesłusność? Ażeby chorowitemu społeczeństwu ulżyć lub je wyleczyć, potrzeba dotknąć choroby, jaka go szpeci. I tak chcąc wykorzenić dziwactwa parafiańszczyzny, potrzeba je wytknąć, potrzeba pisać o parafiańszczyźnie. Nikt by zapewne nie chciał być śmiesznym, ale się zapatruje na drugich, małpuje świat wielki; a tak w mniemaniu, że robi nie wiedzieć jak pięknie i mądrze, wystrycha się niechcący na dudka. Nie jestże chrześcijańskim uczynkiem wytknąć mu znamiona śmieszności, odsłonić stronę rozsądną i uchować od tego czubka?

PLEWA

Pan masz przesadzone idee, a wszystko z czytania książek. Ja byłem dwa lata w Paryżu, ja wiem.

HISTORYK ANFĘ

Tak jest, przesadzone idee z czytania enfin egzaltowanych książek. Czytać wiele to mąci rozum, lepiej mało, a z pożytkiem.

KOŁNIERZYKOWY [ŁASKAWCA]

Oj! Te książki to prawdziwe nieszczęście.

LA GRANDE DAME

Ja zawsze mówię: najlepszy sposób nie czytać ich, przecież bez tego można mieć rozum nie tylko dla siebie, ale i dla drugich.

GIL

Kto by się tym kłopotał, nie czytać i koniec. Mnie co inszego w głowie, bo cukier i kawa bardzo są drogie. Drożyzna to jest prawdziwe nieszczęście, zwłaszcza dla ludzi ubogich; dla nas to jeszcze, chociaż gdzie znaczny jest ekspens, tam cukier i kawa wielką czynią rubrykę. U mnie piją kawę i panna służąca, i kamerdyner, i kucharz, c'est-à-dire avec du lait. Czemu to nie pozwalają z Brodów sprowadzać? Imaginez qu'à Brody une tête de sucre, un ocile de café et une quarte de rhume (*czytaj rium*) sont la troisième partie de meilleur marché qu'ici. A przy tym gatunek cukru wpływa bardzo na dobroć pieczyw, o czym przekonałam się roku przeszłego. En effet la seule raison que les vieilles et les pâtés m'ont manqué, était la mauvaise qualité du sucre. A przyznam się, iż odchorowałam nawet tę zgryzotę; wolałabym umrzeć jak, nie żałując znacznych ekspensyj, dołożywszy wszelkiego starania, sprosiwszy łaskawych i znakomitych gości, wstydzic się potem za te niewyrosłe baby i pozapadałe placki. Czy może być gorsze nieszczęście?

PLEWA

Przykro to jest, zwłaszcza dla tak grzecznej gospodyni jak pani, ale ciasta, czy się udadzą, czy nie, są przecież ciastami. Jest zatem nierównie boleśniej, kiedy wcale jeść co nie ma. Doświadczyłem tego zaraz po powrocie z Paryża, poszedłem do restauracji i nie zastałem nawet stołów nakrytych. Pytam o obiad, a garçon śmieje mi się w oczy, mówiąc, że niezadługo będzie kolacja. L'imbécil[e]! Ja byłem dwa lata w Paryżu i zawsze obiadowałem o piątej. Może być większe barbarzyństwo jak obiad w południe? Zgniewałem się i zgryzłem, bo wygłodniałem jak Tantalus; a na kolację oczywiście anim się pokazał. Kto z ludzi znających świat jada kolację? Poszedłem spać głodny i strapiony. Przykro mi było, że kraj nasz tak jest jeszcze daleki od cywilizacji; to jest prawdziwe nieszczęście; bo bez cywilizacji nie masz pomyślności. Ja byłem dwa lata w Paryżu, napatrzyłem się i nawykłem.

NIEZABUDKA

Ma także i cywilizacja swoje przykrości, ta wychwalana wolność druku np., klęska prawdziwa! Ileż nadużyć i szykan! Założyłabym się, że *La vieille fille* Balzaka jest wyszydzeniem jakiejś rzeczywistej bogobojnej i nieszczęśliwej osoby. Co ona temu winna... Oj! Ta wolność druku! Mówcie sobie panowie, co chcecie, o cywilizacji! Dawniej to co innego, a nie bardzo to tak i dawno.

[KOŁNIERZYKOWY] ŁASKAWCA

Nie dziś się to cywilizacja zaczęła. I kiedyż jaśniało więcej bystrych dowcipów i pięknych rozumów jak przed grubiańskim cesarstwem. Napoleona. A Encyklopedyści? Chociaż wolności druku nie było! Ta mniemana cywilizacja dzisiejsza jest to istotny tyfus, co społeczeństwa wyższe umarza, więc dobrego tonu coraz już mniej.

FACJENDA

Zdarza się czasami i bez wolności druku wyuzdana swawola drukarska godna srogiemu ukarania. Przy największej bacznosci wkradają się nadużycia. Niedawno ogłoszono w gazecie wyjazd mojej córki, nazywając ją hrabiną, a wszyscy wiedzą, że ona jest księżną. Nie jestem arystokratka i nie chodzi mi o tytuł, bo to wszystko jedno; ale dlaczegoż nie oddać każdemu słuszności? Trudnoż już zrzekać się tego, czym kto jest. Aż wszystkie złości biorą na takie osobiste przekąsy i dokuczania. Ale zaniósłm zaskarżenie i nie wątpię, że ten dowcipny ga-

zeciarz mnie popamięta. O! Nie daruję mu tego! Pewno nie zaśpię! Niech na drugi raz będzie roztropniejszy. Na co tych przykrości? Kiedy ja nie ubliżam nikomu i nie tylko nie ujmuję z tego, co się należy, ale często dodaję, chociażby nawet uczucie godności na tym cierpiało. Nie zważam już na to, szlachcic czy nieszlachcic, i pomimo przyzwyczajenia mojego nie mówię wasan, choćby tak wypadalo, ale według mody terażniejszej pan, nawet do kupca, do księgarza, do malarza i do autora, co to swoje dzieła na sprzedaż roznosi. Do tego tylko przemoc się nie mogę, ażeby rzemieślników panami nazwać, na tym bym nadzwyczajnie dużo cierpiała i każdą rażą splonęła od wstydu. O! Ja nie jestem zdolna podchlebiać. Toteż już wolę z takimi ludźmi całkiem nie mówić, posyłam do g nich zwykle mego kamerdynera. Ale spodziewam się, że krawcy i szewcy nie piszą w gazetach. Zresztą nikt by się wstydzić nie powinien tego, czym jest, a każdy ma prawo ująć się za swoje.

KAROL

Wybacz mi pani, ale są okoliczności, w których nie możemy inaczej dowieść rozsądku i zacności uczuć, tylko wstydząc się tego, czym jesteśmy. I tak jest u nas, np. rodzina, której przodek, niezbyt dawny, marnując przez rozrzutność majątek, nabywał go znowu przez frymarkę, a że już nic nie miał własnego, frymarczył zatem własnością publiczną, zaufaniem i swobodami swojego narodu. Tym sposobem uzyskał znaczne włości, wielki tytuł. Potomkowie jego mogą być ludzie uczciwi. Co oni winni, że przodek był urwisz? W takim razie jednak czyliż nie wypadałoby się wstydzić nabytków pradziadka, wstydzić imienia nawet i jak najrzadziej z nimi się popisywać, aby je świat chociaż na chwilę zapomniał? Jeżeli, przeciwnie, chlubią się tym, co by ich wstydzić powinno, nie jestże to prawdziwe nieszczęście?

GRANDE DAME

Pan masz zawsze w ustach jakieś dwuznaczności, jakieś skargi i żaloby.

KAROL

Owszem, sędzę, że wytłumaczyłem się dosyć jasno.

GIL

Wspomniałaś o żalobie, a ja też uważam, że pani dziś jesteś całkiem czarno ubrana, czy tylko nie jakie nieszczęście?

GRANDE DAME

Tak jest; alboż nie wiecie? Po śmierci Karola X-go żaloba dworska. Wszystkie byśmy powinny wdziac ją.

TWARZ PAŚOWA

Najchętniej, byle nam tylko żadnego balu nie urwała, bo dopiero byłoby nieszczęście prawdziwe.

TWARZ BLADA

Już ja się na to nie piszę, chociaż i z tańców kwituję.

TWARZ PAŚOWA

Pani byłoby do twarzy.

TWARZ BLADA

Właśnie, jak pani w szafranowy.

GRANDE DAME

Przestańcież! Przestańcież! W tak okropnych wypadkach należy odłożyć na bok wszystkie względy i osobistości.

GIL

Święte słowa.

[KOŁNIERZYKOWY] ŁASKAWCA

Godzi się, godzi! Zasłużył na to przez swoje nieszczęścia. Wszak i ja mam krepę na kapeluszu, czy panie nie uważałyście?

Kiedy pokazywał kapelusz, kilka dam usunęło się na bok i toczyło pomiędzy sobą bardzo żywą rozmowę, szepcąc, śmiejąc się i trzepiąc. Nie dolatywały mnie tylko niektóre ich słowa.

– Ja się zagryzę – mówiła jedna – ja jeszcze połowę nie umiem.

– Ja umiem wszystko – mówiła druga – i powtarzam jak pacierz; a przecież w ogromnym jestem kłopotcie: liczne zgromadzenie mnie zmiesza, wszystko zapomnę.

– Jest to prawdziwa męczarnia – mówiła trzecia – opuścić wszystkie zatrudnienia domowe, o niczym już nie pamiętać, tylko się uczyć. Lecz cóż byśmy nie zrobiły pour l'amuser? Il le veut.

– Si l'on nous en savait grâce au moins – dodał młody, krępo zbudowany mężczyzna – bo trudy są znaczne i poświęcenie prawdziwe.

– O czym to mówią? – zapytałem bliżej stojącego Karola.

KAROL

O pańszczyźnie wielkiego świata.

PAŃSZCZYNA WIELKIEGO ŚWIATA

WIZYTA TRZECIA

– Winienes mi tłumaczenie, Karolu! Co to jest pańszczyzna świata wielkiego?

– A co jest świat wielki? Co jest pańszczyzna w ogólności? – odpowiedział Karol. – Kiedy już tak podobało się Panu Bogu, że biedna ziemia nasza dwa dźwiga światy, mały i wielki, a obydwaj składają się z istot dosyć do siebie podobnych, muszą być zatem jakieś wyraźne znamiona stanowiące ich różnicę. Przypatrywałem się dobrze światom obydwom i w obydwóch uważałem zawsze ludzkie postacie, a często bydlęce władze i skłonności. Zwierzęta świata wielkiego nie uznawały czas długi zwierząt świata małego za ludzi, obchodziły się z nimi jak z bydłami: zaprzęgały do pługa i przedawały po targach. Po długich prośbach i przedstawieniach wymogli przecież filozofowie i naturaliści wyobrażenia odmienne. Teraz świat wielki ma już po większej części mieszkańców świata małego za ludzi, tylko gorszego gatunku; stanowiąc właśnie taką różnicę, jaka jest między porcelaną a fajansem. Zapatruje się on oczyma tego podróżnika, który o koniach naszych wieśniaków powiada: „C'est une espèce des animaux qu'on ap[p]elle[!] konia”.

Wiem, że równie na wielkim, jak i na małym świecie widziałem głowy i brody zarośnięte i gołe, oczy i usta, i nosy na jednym miejscu; owszem, na wielkim świecie jest czasem nos nie między oczyma, ale w kieszeni, mimo tego jednak utrzymują znawcy, że świat wielki różni się od małego już samą powierzchownością. Jak nasi Polacy poznają się między cudzoziemcami z samego pozoru, z twarzy i z chodu, tak też wielkoświatowiec z węchem wyprawnym pozna wszędzie koleżkę na pierwszy rzut oka z ułożenia, z ukłonu i ruchu. Na oddanie tych różnic zostały wprowadzone wyrażenia: postawa pańska, rysy szlachetne, chód znakomity, oko imponujące, powierzchowność układna, obiecująca itd. Znaki takie jeżeli kto na małym świecie dostrzeże, dziwi się bardzo, skąd się tam wzięły! Oprócz różnic wierzchnich są jeszcze inne, wewnętrzne, chociaż także nie moralne, tylko cielesne, a najgłówniejszą jest urodzenie. Świat wielki zowie się wielkim, bo z samych składa się wielkości: z wielkiego urodzenia, z wielkiego majątku i z wielkiego wychowania; bez wielkiego rozumu tylko obejść się może, a nawet są z sobą niedobrze. Ażeby tedy do wielkiego świata należeć, potrzeba być najmniej szlachcicem, chociaż masz tam także rozmaite stopnie wielkości, a jaśnie oświeceni i jaśnie wielmożni poglądną z góry i z ukosa na mieszczących się pomiędzy nimi wielmożnych, znosząc ich tylko jak Żydków niektóre państwa chrześcijańskie. Toteż wielmożni, jeżeli się umięją na tej znakomitej łasce poznawać, pełnią służby powolne: nadskakują, czapkują, podchlebiają, odwiedzają, zabawiają, donoszą, wykonują rozkazy, pozwalają się wyśmiewać nieraz i zburzyć; z czego się składa inwentarz powinności wielmożnych, jaśnie wielmożnych

i oświeconych względem wielmożniejszych, jaśniejszych i oświeceńszych. Ze starodawne pochodzenie i pokrewieństwa ze znakomitymi rodami są niewybredną, rzeczywistą wartością, że stanowią rasę i dają się postrzegać w rysach i budowie lica, uczy nas tego nie tylko mądrość wielkoświatowa w puszczykach na wiatr frazesach, ale i pan Jarosz Bejła w *Mieszaniach obyczajowych*, drukowanych niedawno. Nim jednak zadanie to dostatecznie będzie rozstrzygniętym, nim jaki głęboki Lawater ukraiński te odgrzewane feudalnych wieków pomysły w całość zwiąże i uzupełni w ścisłą umiejętność, obstajemy jeszcze ciągle przy historii, że nieraz Tatar służalczy lub hajduk ciemny zaszczepiał i ulepszał rasę dawną i oświeconą.

Oto jest czystość pochodzeń! Ale że każdy ciura może już sam być słodkim owocem gruszki szczepionej na dziczcze, tej pociechy nie chcę odbierać poplecznikom rodowości. Pod wielkim wychowaniem należy rozumieć zgrabne ułożenie ciała, posłuszeństwo w dźwiganiu więzów etykiety, powabność w chodzie i w tańcu, która się na wielkim świecie gracją nazywa; przede wszystkim zaś płynne paplanie po francusku. Dodajmy jeszcze muzykę i śpiew u kobiet, emablowanie i karcjarstwo, czysto wielkoświatowe umiejętności u mężczyzn, a u obojga zalotność. Takie wychowanie jest już biletem wnijsia w świat wielki, chociażby pod względem urodzenia zachodziły jakie wątpliwości nie dosyć jeszcze wyjaśnione. Jednakowoż tacy nie mogą sobie tyle i tak śmiało pozwalać jak drudzy, i z pomyślnościami swoimi taić się powinni; bo co innego jest wchodzić w świat wielki, a co innego do niego należeć, co innego czepiać się go, a co innego być weń wkorzenionym jak dąb stuletni; a przy tym krew czysta, sam na sam słodka i potulna, hurdzi się nieraz i burzy w cudzej obecności, przez poufałość krwi mieszanej, chociażby zgrabnej i gadającej po francusku. Jakkolwiek obie te zalety posiadane razem lub pojedynczo uścielają drogę na świat wielki, to przecież rogatki jego otwierają się spieszniej jeszcze przed pieniędzmi. Dlaczegoż by dusie nie miały być i do tych drzwi sposobnym kluczem, kiedy za nie wszystko mieć można, czego tylko świat wielki wymaga, wszystko, co go stanowi? Co więcej, sam nawet świat wielki ciągle jest w handlu, ciągle na targowicy, na sprzedaż ze wszystkimi towarami swoimi. Kupczenie ludźmi ustało już po wybrzeżach Afryki, a na wielkim świecie trwa jeszcze. Do czego zmuszało barbarzyństwo, to wychowanie wielkie pełni dobrowolnie i nie masz już barbarzyństwa. – Przedawali wprzód jedni drugich, a teraz się sami sprzedają. – Pieniądze są na wielkim świecie jak najuprzejmiej widziane, przyjmowane jak najgrzeczniej: odbierają pierwsze głębokie ukłony, pierwsze uśmiechy, pierwsze uściski, pierwsze przyjacielskie i ustawiczne usługi. Wielkie urodzenie, chociaż nadskakuje pieniądзом i z tkliwymi dla nich jest oświadczeniami, czuje jednak swą wyższość i boleje nad tym, że musi nieraz jerozolimską nawet starożytność przy sobie pomieścić i uraczyć. Pociesza się przecież w takich wypadkach filozoficzną ideą ogólnego braterstwa ludzkości, a dając do poznania, iż się na rzeczy rozumie, nazywa te pieniężne zjawiska pokątnie, z przekąsem żalu i politowania, z wzruszeniem ramion i z wzniesieniem ócz, *les parvenus*.

Pozory świata wielkiego bardzo są powabne, wymaga on koniecznie światła i jasności. Przestrzenią jego są jasno oświecone salony, istoty jego błyszczą albo rodem, czyli jasnością krwi, albo zwierchnią politurą, czyli jasnością skóry, albo bogactwem, czyli jasnością kruszcu, albo wszystkimi tymi jasnościami naraz, co stanowi doskonałą trójcę wielkiego świata. Z tego wychodząc stanowiska, będziesz już rozumiał, co jest wielkoświatowa jednostka lub dwójca.

Podobno usilność ta w oświeceniu się różnymi światłami: jarzącym, krwistym, skórnym i metalicznym, ma za posadę ów starożytny pomysł, który zapalał kagańce w grobowcach, ażeby zwrócić uwagę myślących, że tu jest stolica ciemnoty, którą oświetlać potrzeba, zanim ją pochodnia wiadomości, oświeci i inne jasności niepotrzebnymi uczyni. Między wszystkimi jasnościami wielkoświatowymi najgłówniejszą jest jasność krwi. Są też rozmaite jej stopnie i odcienia: urodzenie dobre, wielkie, piękne, mierne, mieszane itp. Ażeby jasność krwi sprawiedliwie ocenić, nie dosyć jest znać nazwisko, niezbędną jest jeszcze wiadomość: kto rodzi,

bo trzeba wiedzieć raz na zawsze, choć położnictwo o tym nie wspomniało, że księżniczka rodzi lepiej i piękniej jak którakolwiek szlachcianka. Jasność krwi jest zupełnie do jasności oliwy podobna. Jak w sklepie znajdziesz oliwę pierwszej dobroci, proweką i włoską obok oleju, który jest znowu rafinowany lub nierafinowany, tak też masz krew pierwszą, drugą i poślednią, wyrafinowaną i nie wyrafinowaną. Krew ma także własność wina, im starsza, tym lepsza. Jak na butelkach piszą np. z roku 1740, 1792, 1816 itp., tak o krwi mówią z XV-go, XVI-go, XVII-go wieku, a im świeższa, tym tańsza. Że krew stara i czysta, czyli numer pierwszy, świeci najjaśniej, każdy to przyzna; ale bardzo biegłego znawcy potrzeba, aby ocenić, jak z pomieszania różnych numerów lub z różności wieku i gatunku różne wynikają światłości. Służy ku temu bardzo ważna wielkoświatowa umiejętność, nazwana heraldyką.– Jak w starym zakonie wołała krew Abła do Boga, tak teraz woła ze wszystkich kątów krew wielkiego świata do wydawców herbarzy. Posyła im swoje pamiątki i rodowody, a często ruloniki z dodatkiem: zrób mnie Pan o sto lat starszą, te związki możesz wypuścić, bo to były wybryki lekkomyślnej młodości, dodaj kilku hetmanów, kilka województw, kasztelanij i kilka zwycięstw przesławnych. Przez to nikt nie zubożeje; żaden Połaniec nawet nie zginie, choć rzeź była wielka. Często krew poślednia poniża i zaciemnia przez pomieszanie krew pierwszą; często, przeciwnie, krew pierwsza umacnia i dodaje blasku krwi pośledniejszej, zwłaszcza jeżeli jasność kruszcu przyjdzie jej na pomoc, co się nazywa krwią rafinowana jeszcze inny sposób rafinowania, przez wydrapanie się lub wczółganie na szczeble, z których innym szkodzić i pomagać można, i to się zowie krwią wyrafinowaną.

Oto masz skreślone naprędce wymagania społeczne, aby być wpisanym do bractwa, które się wielkim światem nazwało. Kto nie posiada tych kwalifikacyj, należy do świata małego.

Znajdują się także amfibie, oddychające w jednym i drugim żywiole. Żyją oni prawie periodycznie, to w jasnościach, to na ustroni, lecz tylko życie w jasnościach jest właściwym ich życiem, bo na ustroni zasklepiają się najczęściej w własnych domach, stanowiąc sami dla siebie świat wielki i zaumierając niejako przez lato jak bobaki przez zimę.

Są jeszcze i tacy, których świat wielki odszczepieńcami nazywa; bo chociaż rosną na nim, nie należą jednak, tylko do siebie, nie stosują się do jego wymagań, nie pełnią jego obowiązków, nie odbywają jego pańszczyzny, nie przyjmują dobrowolnej niewoli, i przekładają ludźmi być tylko, niż ludźmi towarzystwa wprowadzić nie tajnego, ale próżniaczego i śmieszkiego. Gdyby też jeszcze na głupstwie był koniec, naśmielibyśmy się zapewne, ale by mówić tak długo, nie warto.

W obszernym słowa znaczeniu, pańszczyzną zowie się wszystko, co poddani winni są swoim panom; w powszechnym jednak używaniu rozumiemy pod pańszczyzną tylko robociznę. Ma świat wielki swoje bożyszczka, swoich panów, którym służy niewolniczo. Odbywają pańszczyznę jedni drugim, a wszyscy razem modzie i etykicie. Liczny jest szereg powinności i daremszczyzn poddańczych: podatki, daniny, osypy, rogoszczyzny, dziesięciny, oczkowe, roboty piesze i ciągłe, warty, stójki, zaprzęgi, zażynki, obżynki, zaorki, obórki, zasiewki, obsiewki itd. Wszystkie te robocizny i opłaty uiszczą także świat wielki, tylko pod innymi nazwiskami: wizyty i rewizyty, odwiedziny przedstawialne i pożegnawcze, wstępne i odjezdne, recepcyje, herbatki, częstowania, bale, stroje wielkie i połowiczne, ranne i wieczorne, okrągłe i ogoniaste, loterie, teatru, składki, kety, czyli zebraniny itd. Są nawet znaczki pańszczyzniane zowiące się biletami, zaginane na rogu dla rozróżnienia pańszczyzny pieszej i ciągłej. Że to wszystko nie jest życiem przyrodzonym, swobodnym, tylko pańszczyzną, dowodzą srogie przywidzenia, które ją postanowiły i w jednostajne karby ujęły. Obszernych potrzeba wiadomości, aby ją umieć w swoim czasie i w przyzwoity sposób odbywać. Ubrać się modnie nietrudno, ale aby się ubrać stosownie do pory roku, do pory dnia, do miejsca i do nazwiska robocizny, na to potrzeba nauki; twarz wprowadzić ma każdy, ale nie każdy wie, jak ją przybierać, kiedy ją uczynić wesołą, kiedy smutną, kiedy nabożną, roztrofną, stateczną itd. Wszędzie odwiedzają się znajomi, ale nie wszędzie wiedzą, którego dnia i o której godzinie odwie-

dzać, jak długo bawić, czy mieć czarne rękawiczki – czy białe, czy stać – czy siedzieć, czy iść pieszo – czy jechać koniecznie, czy uklonić się – czy nie uklonić; nie wszędzie umieją..., lecz któż by to wszystko wyliczył? I jakże to nie pańszczyzna, kiedy na to są stałe ustawy? Nie spisane wprawdzie dotychczas, ale przechowujące się w podaniach jak niegdyś talmud żydowski i sunna muzułmańska. Słychać, iż nad ich zbiorem i spisaniem pracują obecnie Kołnierzykowy Łaskawca wspólnie z Grande Damą, jak nad talmudem i sunną rabinowie i piękna Fatima. Skoro to wielkie dzieło ukończonym zostanie, uwierzytelnią go i zabezpieczą od podrobień podpisy wyborowego wydziału wielkiego świata, jednego mężczyzny i dwunastu dam, którzy wszyscy wycisną swoje pieczęcie i tak podadzą do druku. Będą tam opisane dokładnie nie tylko wszystkie powinności, ale nawet kary za ich zaniedbywanie lub pełnienie niedbałe. Chcesz może mieć próbkę tego stockinwentarskiego kodeksu? Dostałem ją z rękopisu, posłuchaj!

Paragraf podobno dziesiąty stanowi: przybywający do miasta mężczyzna lub dama mają unikać zgromadzeń, póki nie poddają wizyt szczegółowych całemu wielkiemu światowi. Są one oznajmieniem przybycia i gotowości w pełnieniu obowiązków, więc nazywają się zapisnymi.

§ 11 powiada: Gdyby kto nie odbywszy wizyt zapisnych wchodził w zgromadzenia, ufając w dawne znajomości, np. przeszłoroczne, wtedy znajomi nawet powinni udawać, że go nie poznają. Co się nazywa karą zapomnienia.

§ 12: Kara zapomnienia może być złagodzoną lub obostrzoną według okoliczności, przy czym uważać potrzeba na znaczenie, wiek, nieświadomość lub zuchwalstwo.

§ 13: Wielkie jasności krwi lub wiek podeszły, a jasność kruszcowa, uwalniają się od wizyt zapisnych, a natomiast świat wielki sam im oddaje pierwsze wizyty, wzywając do wspólnego życia, co się nazywa wciągaczką. Nawet nie należy od nich wymagać rewizyty osobistej, dosyć, jeżeli roześlą bilety.

§ 14: Przypominających się znajomości i razem usprawiedliwiających, że wizyty zapisnej nie oddali, można powitać uprzejmie, dodając jednak zawsze: bylibyśmy nigdy nie poznali.

§ 15: Uczęszczanie w towarzystwa bez oddania wizyt zapisnych jest występkiem zniewagi społecznej. Kto by się go dopuścił, o tego pytać należy każdego z osobna i po kilkakroć: kto to jest taki? Dla pokazania wszystkim, że się go nie zna. Pytania te nie należy czynić zbyt cicho, owszem, dobrze jest, kiedy je sam winowajca gdzie z boku posłyszysz. Co się nazywa karą wyjawienia. W razie większej jeszcze zatwardziałości przestępcy można o nim rozmawiać głośno, jak gdyby o nieprzytomnym, co go zniewoli do przedstawienia się: wszak to ja jestem. Na co wszyscy uśmiechać się powinni, bo to jest karą zawstydzenia.

§ 16: Jeżeli upokorzeni takimi karami poczują się wreszcie do wizyt zapisnych, to nie należy im czynić rewizyt dnia trzeciego, jak to postanowiliśmy w § 5, ale dopiero po upływie dwóch tygodni. Co się nazywa karą opóźnienia.

§ 17: Nie zważających na te kary, upartych i lekceważących prawa nasze, które są naszą mądrością, wykluczamy z naszego towarzystwa. Jeżeli jest mężczyzną, panny z nim tańczyć nie będą, wymawiając się zawsze, że już zamówione; jeżeli kobietą, niech inne kobiety nie witają się z nią, niech się wpatrują ciekawie, niech unikają rozmowy, niech jej odpowiadają jakby przez sito. A mężczyzna czy kobieta, nasi wszędzie obmawiać i wyśmiewać ich mają, pomijając w zaprosinach do domów swoich. Co się nazywa karą potępienia – itd., itd.

Tak właśnie odsądza się chłopca, nie odbywającego pańszczyzny, od chaty i roli. Dziwić się potrzeba, jak o wszystkim pamiętano w tym dziele, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów. Znajdziesz tam rozstrzygniętą każdą wątpliwość, radę w każdym położeniu. Dowiesz się nawet, jak wchodzić, kto ma przedstawiać, jak się kłaniać, jak siedzieć, jak trzymać kapelusza, jak się żegnać, jak odbywać pańszczyznę razem z innymi, a jak sam na sam, np. z młodą, mężatką, kiedy we fraku, a kiedy w surducie, kiedy mówić cicho, a kiedy głośniej, nawet co mówić, kiedy i jak się uśmiechać, jak długo bawić, czy być wesołym – czy smutnym, czego

nie można odmówić, co potrzeba posiadać koniecznie itp. przykazania, spisane na sześćdziesięciu wielkich arkuszach z 15-to arkuszowym komentarzem.

Będą one niezaprzeczoną dobrodziejstwem, szczególnie dla początkujących, którzy zanim się o wszystkim z tradycji dowiedzą, bardzo źle odbywają pańszczyznę i niedbale. Co trzeba dziś, robią jutro, co trzeba rano, robią wieczorem, co trzeba ciągle, robią pieszko, co trzeba przez kwadrans, robią godzinę, i tym podobnych mnóstwo nieugadnień, nad którymi utyskują niezmiernie znawcy prawdziwi.

Do pańszczyzny wielkiego świata należą oprócz robocizny także różne podatki, daniny i opłaty stałe i niestałe. Można by je w ogólności nazwać czopowym, w takim znaczeniu, jak podatki starozakonnych żydowskimi zwiemy. Czy uwierzyłbyś, że to czopowe przenosi nie-raz w kilkanaścioro wszystkie rodzaje opłat rządowych? Przechodząc w szczegóły, najgłówniejszym jest ubiorowy podatek i dzieli się znowu na pogłównne i spódniczne, to jest: od ubrania wierzchu i spodu, czyli głowy i tego, co jest pod głową. Weźmy na przykład samo pogłównne. Pani Czypkowa muruje domy, jeden po drugim, trzyma konie i powozy, pluszcze się w wodach karlsbadzkich, bo tutejsze już jej za zimne. Pan Czypek jeździ wierzchem, przeciąga się w koczku, chodzi w gomulastyce, mrużąc oczy i rozmachując rękami głaszcze pod brody swoje igielki, które broń Boże nazwać szwaczkami, i próżnuje a la Grande [!] monde, który na niego robi i podatki mu płaci. Pańszczyzna wielkiego świata postawiła go na nogi, jak szlachtę chłopska pańszczyzna, przeto się puszy, unika niższych towarzystw, a czepia wielkoświatowców, zwłaszcza że pomimo tych zbliżeń z nimi Czypek i Przyczypka są jeszcze w eufonicznym pokrewieństwie. Ubierać głowę jest oczywiście wznioślejszym powołaniem jak ubierać nogę, przeto pan Czypek nie chce przestawać z szewcami. Szewc to rzemieślnik. Nasz pan Czypek, jak każdy Czypek, patrzy się z góry na buty, a zatem i na pana Skórkę. Różnica wyższości jest nawet pomiędzy częściami ciała naszego; głowa jest najznakomitszą, a ręce są szlachetniejsze od nóg. Za tym idzie i zacność ubiorów; czypek jest jasnie oświecony, surdut jasnie wielmożny, a but tylko wielmożny.

Jak między czypką i trzewikiem, tak samo dzieje się i pomiędzy ludźmi, uznanie własnej wyższości poczyna się gdzieś wysoko i schodzi stopniowo do samego spodu, a obcas ma się jeszcze za lepszego od podeszwy. Niedawno widziałem szyld z napisem: Obywatelski obuwiomysłnik, z drugiej strony było po niemiecku: Bürgerlicher Man[n]sfussbekleider. I jakże, to nie umnik? Nie twórca? Zabawnie objawia się uczucie artystowstwa w obcowaniu Czypka ze Skórką, a Skórki z Powrózkiem; lecz to opowiem ci inną razą. Pani Czypkowa, z domu Igiełka, była zrazu szczupła i cicha, powoli zaczęła jej przybywać, porosła więc w pierze i utyla nawet, nim jeszcze poszła za męża, który wszystko przyjął na siebie, i nie pamięta jej tego. Przykładne małżeństwo! Jestże kąć tak odległy, ażeby o niej nie słyszano przynajmniej? Ustroń tak dzika, aby nie wiedziano, że jej się haracz należy? Można by powiedzieć z Niemcewiczem:

Któraż kraina tak jest oddalona...

We wszystkich zleceniach do stolicy znajdziesz na samym wierzchu notatki: być u Czypkowej. Przed sklep jej zajeżdżają wypakowane powozy prosto z rogatek, jak niegdyś nasze prababki z tłumokiem przed kościół zajeżdżały. Są wprawdzie jeszcze i teraz pobożne i świętobliwe panie, które przyjechawszy do miasta najprzód idą do kościoła, a stamtąd dopiero do Czypkowej; lecz najprawowiernejsze nawet uznają, że po Bogu pierwsza jest Czypkowa. Zwolenniczki sztuki czypkarskiej zowią się elegantkami, a im która z większym oddaje się jej zamiłowaniem, im zapaleńszą jest jej wielbicieleką, tym wykwinniejsza ma estetyczne pojęcie, siaduje dłużej przy zwierciadle, większy opłaca podatek i większą jest elegantką.

Według wielkości elegancji zatem postanowione są podatki jak według rozległości ziemi i wielkości dóbr. Znałem hrabiego, który, wybrawszy się właśnie pierwszego lutego do miasta

dla zapłacenia gruntowego i urbarialnego, jak zaczął wprzód opłacać pogłówne i spódniczne, tak i pieniędzy nie stało, a żołnierz zawadzał potem przez dni czternaście. Wieśniak to był, bo mieszkał na wsi, ale nie parafianin zaiste, kiedy przy sposobności tak wytwornym wywiódł się gustem i rozwinął talent prawdziwie wielkoświatowy. Że przy tym kłaniał się pięknie i umiał dobrze po francusku, za to ja ręczę. Przemagało w nim estetyczne uczucie jak w poczciwym Nazonie, kiedy zamiast prawnych dokumentów pisał *Heroidy*. Owidiusz był urodzonym poetą, a nasz hrabia urodzonym elegantem. Takie namiętności obrania świat wielki: C'est plus fort que moi.

Jest też pomiędzy elegantkami pewien rodzaj emulacji; współubiegają się one jak najzawziętsi szermierze, ażeby w okazałości strojów, w ich piękności, gustowności i drogocie palmę zwycięstwa otrzymać. A ponieważ bodźcem do tego szlachetnego zapaśnictwa jest pani Czypkowa, ponieważ pracuje nad tym, ażeby rozszerzać, podniecać i wzmacniać ubóstwanie swojej pięknej sztuki, słusznie zatem należy się jej nagroda za tyle trudów i poświęceń. Jak właściciele listów zastawnych codziennie biegną na giełdę dowiadywać się o kurs papierów i o okoliczności na to wpływające, tak też i elegantki codziennie odwiedzają Czypkowa, dowiadują się, czy jakich zmian nie ma? Czy nie nadeszło co nowego? Dwa razy do roku ruch jest największy, nie ustające oględy (konkurencje) i dopytywania: w zapusty i w kontrakty. Z zapału tego umie Czypkowa zręcznie korzystać, dostaje z dolnej półki malowane, kartonowe pudełko, w którym znajduje się stroik świeżo przez jej igielki uszyty. „Oto jest – powiada uroczycie – najnowsza przesyłka z Paryża, od najpierwszej artystki. Jeszcze sama nie wiem, co się tam znajduje”. Otwierają, rozwijają z bawełny i papierków cieniutkich jak pajęczyna; iskrzą się oczy Czypka niby od nadzwyczajnej ciekawości. „Ha! Śliczny toczek balowy z długim kutasem, cudo piękności, w najnowszym guście, chwyta za oczy. Niech mówią, co chcą, taki co w Paryżu, to nie u nas. Jaka robota! Jaka gibkość! Jak ulany”. – „Żałuję – powiada dalej z westchnieniem modniarka – żem go przy pani dożyła; pani się go naprzesz, wiem pewnie, a ja zbyć jeszcze nie mogę; jest to wzór, muszę wprzód kazać inne podobne porobić, to będzie bardzo pokupne, bo się każdemu podoba”. – „W samej rzeczy – odpowiada obzierająca go Facjenda – że stąd nie ustąpię, póki go zaraz nie zawiniesz i nie odeślesz do mojego własnego domu. Zapłacę, wiele zażądasz, ale chcę, aby wzoru tego nie naśladować i aby nikt inny nie miał takiego ubioru”. „Wiedziałam, że pani tak powiesz – odezwała się Czypkowa – pani jedna i znasz się prawdziwie na sztuce, i lubisz posiadać rzadkości, pani poznasz zaraz, cokolwiek pochodzi z Paryża, i pani jednej tylko jako miłośniczce i protektorce nie mogę odmówić, chociaż Bóg widzi, że z własną szkodą”.

W kilka dni potem zgryzła się bardzo Facjenda, bo taki sam kutas miała i nasza hrabina, jak to widzieliśmy na pierwszej wizycie. Dostrzegły jednak znawczynie, na uśmierzanie smutku właścicielki modelu, że w kopii fałd i szew jakiś były chybione, domyślano się więc, że jakaś pokątna modniarka naśladowała z widzenia dosyć niezgrabnie itd. Hrabina, przeciwnie, utrzymywała zawzięcie, że jej kutas jest właśnie oryginalnie paryski; kutas zaś Facjendy tylko naśladownictwem. Ważne to było zadanie, nazwane kutasowym, wiele osób nie mogło spać z ciekawości, dowiadywano się bez ustanku u Czypkowej, która odpowiadała z dyplomatyczną przebiegłością, że jeden tylko miała taki toczek z Paryża, ale nie może powiedzieć, komu go sprzedała. Dotychczas ciekawość jeszcze niektórym dopieka, żal mi, że jej nie zaspokoje; ale zostanie to podobno wieczną tajemnicą.

Widziałem La Grande Damę targującą kapelusik odwizdzinny, także model, dopiero co nadesłany z Wiednia od pierwszej artystki. „To niemiłosiernie drogo, moja pani Czypkowa, zwłaszcza dla mnie, co tyle pani kupców sprowadzam, i nigdy się wtedy nie targujemy”. „Wiem ja – mówiła Czypkowa – że gust pani jest wyborny, że wszyscy rwą się o to, co pani zachwalisz, dlatego też co pani wybierzesz, to musi być drogie, bo pewnie ładne; ale nie będziemy się targowali o bagatelkę. Nic wprawdzie spuścić nie mogę, bom nie cenila, lecz niech ten kapelusz służy pani w zakład naszej przyjaźni. Zamawiam sobie tylko i na przyszłość pani

protekcję”. – „Bardzo dziękuję pani Czypkowej – mówiła Grande Dame – ale jeszcze jeden mam do niej interes. Pamiętasz ten stroik z girlandą, który kupiłam przeszłorocznej zimy?” – „Pamiętam, stoi jeszcze wpisany...” „Tak jest – przerwała Grande Dama – będzie się coś za niego należeć, bo pani byłaś tak grzeczna i cierpliwa. Otóż kazałam go dziewczynie mojej odnowić i przyślę tutaj na sprzedaż. Powiesz, że on jest z Wiednia lub z Paryża według mody ostatniej i zażadasz nawet więcej, jak się ode mnie należy. Ja sama przyprowadzę ci kupca i każe kupić”. W kilka dni potem widziano na balu Obrazek kiwający główką jak na sprężynie, w stroiku z girlandą.

Niedawno jakiś grubas w czamarze i szerokich szarawarach zajrzawszy w konotatkę jejmością dowiadywał się faktora o sklep Czypkowej. „Może wielmożny pan chce gdzie indziej – mówił z uśmiechem Żydek usługowy – ja wielmożnemu panu do stacji przyprowadzę z towarem od pani Czypkowej”. „Głupis – ozwały się pękate policzki, które bez żadnej przyczyny Rakiem nazwiemy. Kiedy już Rak nasz przylazł na miejsce, obejrzał się na wszystkie strony, pokiwał głową i splunął. „A dostanie w tym sklepie wybornego perkalu?” – rzekł poprawiając wąsa. Natychmiast panna Igielka podała pani swojej sztuczkę pięknie owiniętą. Wziął Rak do ręki, pojrzał małymi oczyma i zapytał: „Czy nie masz Wpani lepszego?” „A widziałeś Wpan lepszy?” – odpowiedział Czypek rozcietrzewiony. „A ot jest lepszy” – rzekł spokojnie, dobywając z szarawarów koszuli, i wsunął czapkę na głowę i odszedł. „Złe zrobiłaś, ciotuniu – ozwała się Igielka – że obraziłaś się głupstwem tego parafianina. Trzeba go było skubnąć porządnie i niechby sobie gadał jak umie”. „Owa! – rzekła ciotunia – co mi za impozyt. Ja z magnatami żyję w przyjaźni, ja jestem poufale z Grande Damą. – Nie dbam o kilka groszy gburowskich. Niech tylko mam dwie Facjendy i cztery Twarze Pąsowe, to o resztę publiczności nie stoję. Grande Dama musi mnie wszystkim zalecać, bo gdybyśmy się pogniewały, to i ja bym coś powiedziała. W sklepie, w sklepie, pfu! Proszę kogo! Jak by tam, gdzie sprzedają bobkowe liście lub lalki. Tym parafianom zawsze się zdaje, żeśmy ich słudzy, nie umieją oceniać sztuki, nie pojmują, że to się robi więcej dla honoru jak dla pieniędzy. U nich każdy rzemieślnik! Niech się wprzód uczą mówić po ludzku. – Lepiej, że już tu nie będzie bywał; mogłyby go zastać moje znajome z wielkiego świata i pewnie by nosem kręciły! Teklusi! Każ no zakadzić, bo tu czuć po nim słoninę”. Wszystkie Igielki radowały się z dowcipu Czypeczka.

Na wielkim świecie wszystko jest, co na małym, tylko inaczej: układ wymuszony, mowa cudzoziemska, pańszczyzna najczęściej w nocy, podatki nawet dobrowolne. O! Dziwo! Wszyscy utyskują na drogość, a płacą jak gdyby mieli egzekucję.

– Pozwolisz, że ci przerwę Karolu, ale podobno przesadzasz już i dziwaczysz. Jesteś śleddziennik, wszystko ci zawadza. Wszakże ubrać trzeba się koniecznie i bez jedzenia obejść się nie można, wypada także rozerwać się i zabawić, a oczywiście najprzyjemniej jest pomiędzy znajomymi i przyjaciółmi.

– Prawda – rzekł Karol – jeść trzeba, trzeba się ubierać i bawić. Jest to zawsze podatek uiszczany potrzebie, ale konieczny; bo potrzeba srogim jest egzekutorem. Ta tedy jest różnica pomiędzy ludźmi a ludźmi świata wielkiego, że pierwsi płacą potrzebie i wygodzie, drudzy zbytłkowi, pierwsi przymuszeni, drudzy dobrowolnie. Jedzono podobno i wtedy, kiedy w całym mieście jedna tylko była cukiernia, a teraz znajdziesz ich kilka na każdej ulicy. Wychodziły dawniej sumy niezmierne na wina węgierskie i było to wadą wieków pijackich; czemuż wiekowi naszemu nie wytknąć jako wadę składanie podatków cukrowych? Pan Konfiturka nakupił wiosek, a pan Karmelek to fanfaronik, przegrywa w karty grube pieniądze. I jakaż jest potrzeba zarzucać się łakomie łakociami? Wydawać na to, co się nawet nie obróci w krew i w pożytek, tylko..., a często w chorobę? Utyskuje świat wielki, że się mieszczanie galopem panoszą, któż na nich robi pańszczyznę? Kto im opłaca podatki?

Schodzić się z przyjaciółmi, powiadasz; albo żeś nie widział, jaka jest ich zażyłość i przyjaźń? W oczy pełni oświadczeń, uścisków i młodziuchnych uśmiechów, a poza oczy i angiel-

ska sadza tak nie zaczerni i szczotka od butów tak nie zasmaruje jak ich języki. Jest ten ulubieńcom towarzystwa, który jednych przed drugimi zręcznie obmawia i więcej jeszcze daje się domyślać jak powie. Jakże tam chcesz szczerości, gdzie wymyślne panują przepisy, gdzie trzeba przyrodzoną swobodę ujarzmić, przyrodzone uczucia przytłumić, gdzie jest pańszczyzna? – Nie dla zabawy się oni odwiedzają i zjeżdżają, ale dla mylnie wykładanej konwencji z powinności przez parafiaństwo. Nieraz utyskują sami i szczerze, że trzeba odbyć jakowąś mniemaną powinność, trudzi ich to i żenuje, a robią, choć biczem nikt nie pogania. „Wszystko jak wszystko – mówiła świeżo przybyła mężatka – ale te obiady proszone odstraszą mnie. Jakie to musi być kłopotliwe! Tam nie można siedzieć spokojnie i przypatrywać się jak na balu, tam trzeba mówić, a przynajmniej odpowiadać, i to po francusku, wszyscy patrzą i słuchają. Mój Boże, jak to żenuje! Człowiek języka w gębie zapomina!” „I mnie się tak wydawało z początku – odpowiedziała Śliwka prześcigła w kapelusiku pasterskim – spociłam się jak w parowej kąpieli, kiedym jechała raz pierwszy. Ale nie taki carny jest diabeł, jak go malują. Owsem, wszystko bardzo przyzwoicie i gzecnie. – Mówiono do mnie, a ja odpowiedziała: oui; mówiono jesse, a ja odpowiedziała: non; bo tak wypadło i na tym koniec rozmowy, a obiad był smacny i bardzo gzecni kawalerowie”. „Aj! Jakież to życie jest przykre i zgryźliwe, kosztowne i głupie – mówił rozgniewany pan Panfil swojej żoneczce. – Ale za cóż by nas miano, gdybyśmy w świat nie wchodzili? Musimy, bo mamy córki. Panienci chcą tańczyć, dla dzieci trzeba się poświęcać”. Jakaż to jest zabawa, gdzie nie można dogodzić potrzebie i wygodzie, gdzie krok każdy jest w karbach prawideł, gdzie trzeba tańczyć, jak zagra piszczałka; gdzie się śmiać trzeba, choć smutek uciska, a często nawet stać, choć bołą nogi? Ufność byłaby wzgardzona, zwierzenie wyszydzonym; co komu do tego? Wybąkuje się słów kilka w przedmiotach obojętnych, powie kłamstw kilka, kilka pochlebstw nieszczerych i dalej w drogę, powtarzać gdzie indziej toż samo. Oto jest ich przyjaźń. Dlaczegoż żyć gwałtem z ludźmi, którzy się poddali w towarzyską niewolę? Którzy nie przystają do nas ani zachowaniem się, ani sposobem myślenia? Którzy albo są gorsi od nas, albo się mają za lepszych i sądzą zaszczycać nas swoim obcowaniem! Zbliży się zanadto, toś parafianin, chcesz się podszycić; bądź w oddaleniu, toś parafianin, boisz się ludzi. Wstydzić by się potrzeba, znajdować się w takim zbiorowisku, ale nie brać to za chlubę. Jest to parafiańszczyzna, nic więcej. Dawniej, kiedy tylko Twarz Błada była salonową, upuszczano sobie krew konewkami i brano bez ustanku zimne lewatywy; i dzisiaj znam jeszcze panie, które się głodzą, chleba do ust nie wezmą i piją ocet, aby wyszczupleć. Panna Piwonia pomimo tego staje się codziennie czerwieńszą i puculowatszą.

Ubrać się trzeba zapewne; lecz na co w tym tyle wykwintu i wymysłu? Czyliż potrzeba przebierać się kilka razy na dzień lub co pańszczyzna inną mieć suknię? Czy uwierzyłbyś, że czasem ubiór jednonocny przenosi w kilkoro całoroczny dochód? „Co by o tobie powiedziano – mówiła do kochanego małżonka twarz zapłakana – gdybym dwa razy w jednej pokazała się sukni, albo się tak nie ubierała jak inne? Alboż to my gorsi jesteśmy? Nazwano by cię kutwą i pogardzano powszechnie. Nikt by do ciebie słowa nie przemówił”. „Ależ – odpowiedział mąż pokorny – to jest zbytek, musiałbym się zapożyczyć albo naruszyć pieniędzy, które mam oddać wierzycielom w kontrakty i zawikłać na nowo nasze interesa”. „Szacunek ludzi – odpowiedziała żona niecierpliwie – jest skarbem najkosztowniejszym. Nie zechcesz przecie dzieciom własnym losu zagradać. Wszystko się jakoś ułoży: albo sukcesja, albo bogaty zięć, albo pomyślność w grze; jedna godzina szczęśliwa i inna postać jest rzeczy”.

Codziennie podkopuje pańszczyzna świata wielkiego zamożność domów, zadłuża wioski i prosto z rozświetlonych salonów, od bażantów i sztrasburskich pasztetów prowadzi szerokim gościńcem do kartofel i żuru. Obejrzyj się tylko, a znajdziesz przykład niejeden. Zrujnowane w ten sposób rodziny przez próżność i próżniactwo zaprzędają swoją niezawisłość, nieraz i uczciwość, idą w służebnictwo wielkiego świata, od którego nigdy oderwać się nie mogą, i

wolą żyć z jego jałmużny jak na małym świecie zarabiać, do czego może nie zawsze są zdolni. Drą zatem oczy i żyją kosztem publicznym.

Dla nich odbywa świat wielki nowe pańszczyzny: gra w teatrze, składa fanty, czyli daniny, wprowadza loterie, czyni kety itd., a zapomagany w ten sposób, jeżeli jest płci niewieściej, odsluguje swoim protektorom, wychwalając jednych, a obmawiając drugich, odgrzebuje wiadomości spod ziemi jak trufle, roznosząc plotki, psując lub kojarząc małżeństwa itd. Jeżeli zaś jest płci męskiej, to oprócz tego opłaca podatek zielony, próbując szczęścia przy zielonym stoliku. Powiesz może, iż zarzutowi temu nie podlegają rodziny tyle zamożne, że im wielka pańszczyzna i jej zbytki nie czynią żadnej różnicy, że na ich pomyślność nie mają wpływu podatki wielkiego świata: pogłównne, spódniczne, cukrowe, zielone itd. Ale mój drogi, chociażbym nawet zamilczał o złym przykładzie, bo rozumny naśladować go nie będzie, a głupcowi kto winien, że głupi i małpując dmie się nad możność jak żaba wołu udająca? – to jednak nie powiesz, żeby nie miało być z krzywdą ubogiego kraju wysyłanie sum znacznych do Paryża i Lipska na zagraniczne błyskotki i szmatki; nie powiesz, ażeby podsycana przez to próżność miała być niewinna, aby wynikające stąd różnego rodzaju zepsucia, zapaśnictwo w powozach i strojach, brana stąd miara wzajemnego poważania, przekładanie siebie nad innych, zaprzątnienie myśli takim pstrym wiatrem, czczość serca, zaniedbywanie domowych obowiązków, upatrywanie szczęścia w głupstwie, zalotność itd. miały być moralnymi zaletami i towarzyską wyższością. – Czyli więc paplanina francuska ma być owym wysokim ukształceniem, kiedy dusza jest tylko kramikiem modniarskim, a serce wąskim korytarzem, w którym wiszące szeregiem portrety, w pewnym oddaleniu jeden za drugim, są w rozpamiętywaniu damy światowej stacjami minionych rozkoszy, istną kalwarią?

Pojrzyj tylko na skutki tego powierzchownego wychowania i płytkiego życia! Jakież wrażliwość na tej roli cnoty osobiste lub społeczne? Litość staje się zmyśleniem, nabożność hipokryzją, przyjaźń obłudą, miłość lubieżnością, sprzyjanie interesem, wspaniałomyślność egoizmem. Chwast tylko łopuszasty bujno porasta. Pasożytna obmowa obwija języki jak chmiel na tykach, żółta zawiść rozkwita w tajnościach jak słonecznik nocy. Wytworniejszość stroju lub lepszość różu rodzą niechęć i nieprzyjaźnie. Nienawiść jak pies się łąsi, jawnie całuje i liże, a pokątnie puszcza jak wąż żądła zatrute; chytryść odsluguje duszy przy gotowaniu, strojąc ją w różne ozdobne pozory, jak zręczna sługa, która błędy ciała swej pani pokrywa, na twarz bladą kładzie rumieniec, do krótkich włosów buńczuk przyczepia, zmarszczki wyrównywa maścią, pierś zastępuje suknią watowaną, a jeszcze coś bardzo potrzebnego wypchaną spódnicą. Kto by się odważył ze swoją twarzą nie przebraną, ze swoimi krótkimi włosami, ze swoją małą piersią, a co najgorsza, ze swoją duszą niezbarwioną, z prostymi myślami i nie zepsutym zdrowym rozsądkiem wmieszać do pańszczyzny świata wielkiego, nazwano by go parafianinem, wyśmiano jako prostaka. Widziałeś może nieraz łyż ich? Słyszałeś może ich westchnienia i deklamacje nad cierpiącą ludzkością? Wieszże, jaką jej pomoc przynoszą? Oto ta miłosierna pokrywa służy im za pochop do nowych tłok i prazników, których dochód ledwo setną częścią jest tego, co marnują na zbytki w jednorocznych nocnych pańszczyznach; tak właśnie jakby rzucali psom głodnym kości i pomyje z obiadu, na którym się sami objedli i pozapijali. Wszystko udanie! Tak się poddali w jarzma, że nic już nie czynią z własnego chwilowego popędu, tylko to, co świat robi, o czym powiedzieli sobie od dawna, że trzeba. Trzeba się trzymać prosto, więc prosto; trzeba być białą, więc bielidła; trzeba być czułą, więc też i czułości. Widziałem jedną z tych klucznic miłosierdzia, odganiającą od progu swego obszarpanego żebraka. My na was tyle dajemy; skąd się jeszcze to żebractwo bierze? Zapewne jakiś włóczęga ladaco! Potem kupiła kostium kosztowne, strwończyła część życia na próby i spoczęła się bardzo grając na ubogich. Ach! Co za serce! Połowa tylko tych wydatków na zbytkowne gałgany lipskie, zbywane potem za czwartą część ich ceny, byłaby donośniejszą nad wszystkie środki głośne i publiczne, ale niedogodną próżności, bo cichą, bo w szczerości ducha czynioną. Przy tym owe jawne popisy z uczynnością i dobrodziejstwami nastęrczają

znowu dobrą sposobność, aby się schodzić, bawić, umizgać, zmawiać i obmawiać. Tak do pańszczyzny zwanej kety, jakoś samo z siebie koń się przyczepia, więc oczywiście robią się konkety. Przypadek umie to tak rozumnie i dogodnie sprowadzić i urządzić, że zawsze przy Twarzy Pąsowej obaczysz Plewę albo Kolanko, a przy Twarzy Bladej Plewę albo Miłosza. I któż by się nie chciał poświęcić pod przewodnictwem tak łaskawego przypadku? Mniejsza jeszcze byłoby to wszystko, często pomimo wiedzy i pojęcia czyniącego, uczynek sam przez się jest dobry; gdyby tylko... Lecz nie mówmy już o tym..., albo ci powiem do ucha.

Wtem rozprawę Karola, której przysłuchiwałem się z wielką ciekawością, przerwał Adolf wchodzący z szelestem, ukędzierzawiony jak baran i woniejący jak kadzielnica.

– Jak się masz? Jak się masz? – powiedział spieszenie. – Pozwól mi wypocząć u ciebie, chodzę dziś z wizytami. Bodaj to nasze czasy rycerskie! Trzy dni już mamy obiad po obiedzie. Ledwie żem się dziś wybrał, ażeby poodbywać wszystkie zaległości; uganiam z ulicy na ulicę, zmęczyłem się.

– Pańszczyzna piesza – powiedział mi Karol do ucha.

A Adolf ciągnął dalej:

– Mam nawet takie wizyty, które wczoraj odbyć wypadało, będę musiał wymawiać się i przepraszać. Czy podobieństwo! Wczoraj byliśmy na obiedzie u Miłosza, wszyscy tacy pijani. – Wiwaty, krzyki i hulatyka trwały aż do wieczora. Przyznać trzeba, że Miłosz jedynym jest gospodarzem, każdemu placu dotrzyma! Prawdziwa krew nasza! Umie żyć i używać, umie sobie robić przyjaciół, widać, że bywał na świecie! W piętnastu wydudliliśmy czterdzieści butelek szampana. Plewa powiada, że był dwa lata w Paryżu, a takiej wesołości nie pamięta.

– Aha! – przerwał mu Karol – nowy podatek, o którym zapomniałem powiedzieć. Nazwijmy go także czopowym, ażeby nazwisk nie mnożyć.

– Oj! Czopowy – rzekł Adolf – pewnie czopowy! Bośmy leżeli wszyscy jak czopy. Niejeden już chrapał lub szukał schodów pochwiejnie; a walny gospodarz jeszcze zachęcał, jeszcze wychylał. Takich mi wielu dawajcie! Zaczyna pierwszy, kończy ostatni. Nie zrobi wstydu swym przodkom! Chwacka krew!

Śpiewa

Pańska mina, w lot czupryna,
Kufel wina i dziewczyna,
Siostry rodnie żyją zgodnie,
Bo to modnie i wygodnie,
Dwa bratanki, dwa bratanki,
Do kochanki i do szklanki.

A! Dobrze, żem sobie przypomniał; dopiero co widziałem cudną robotę. Byłem u pani Kulik...

– Cóż to za pani? – zapytałem Karola.

– A wszakżem ci ją pokazywał niedawno, dodając, że zagorzała od angielszczyzny. Sama wprawdzie nie umie, lecz każe dzieci na gwałt uczyć po angielsku i przepowiada, że za lat kilka na całym świecie ustanie moda francuskiego języka. To tylko niedobrze, że jakiś Anglik przejezdny nie mógł się nawet z guwernerem zrozumieć, kiwał głową, że nie wie, co to za język.

– Tak, tak – rzekł Adolf – bo to guwerner do innej jest angielszczyzny czy szwajcarszczyzny, cha, cha, cha. Otóż u niej widziałem dywanik na kanwie, wielkiej piękności. Przeznaczyła go na pokrycie ołtarza i mówi, że co roku robi podobne oferty.

– A wszakże to znowu jakaś dziesięcina – rzekłem Karolowi.

– Tak jest, lecz nie należy tutaj, tylko do pobożności świata wielkiego. Lepiej byłoby nie wdawać się w szwajcarszczyznę... Może to także jaki podatek?!

– Onegdaj – mówił Adolf – nie spałem noc całą. Jak na podchmielonego, bo byliśmy u Antena na obiedzie, wyszedłem jeszcze ręką obronną, bo tylko pareset ryńskich przegrałem. Ale byli tam tacy, że chociaż trzeźwi, przegrywali kilkaroczny swój dochód. Grali, podobno, w pieniądze żydowskie i ludzkie. Towarzystwo było dobrane, błyszczały nawet wstążeczki legii honorowej. Duchy przedsiębiorcze nie mogą gnuśnieć, im ciągłej walki potrzeba. Ogromne kupy pieniędzy leżały na stole...

– Oj! Będą za to – rzekł Karol – pióra z Paryża, sobole z Petersburga, karety z Wiednia, meble z Drezna, cebulki hijacyntowe z Kopenhagi, firanki podobno z Indiów Wschodnich, może nawet i pałacyki dla panny Rzepki, co to, wiecie, przyjechała niedawno i bardzo się droży.

– Bo on ją popsuł – przerwał Adolf – kto widział! Tyle rzeczy zagranicznych za jedną mazowiecką rzepę.

– Otóż – dodał Karol – jeszcze jeden podatek, o którym zapomniałem ci wspomnieć. Nazwijmy go także spódnicznym, ażeby nazwisk nie mnożyć.

Kiedy tak rozmawialiśmy we trzech, turkot gwałtowny dał się słyszeć z ulicy; przystąpiliśmy do okna i obaczyli szereg pięknych powozów błyszczących, z długimi fartuchami przy koźle, z koronami i herbami, z tyłu lokaje w pończochach, suto wygalowani, a ze środka mięły klejnoty, obnażone piersi i tym podobne drogie świecidełka, prawdziwe i fałszywe; dołatywała nawet wonność wielkoświatowego powietrza, bo powietrze na wielkim świecie jest inne i ma swój właściwy zapach.

– Oho! – rzekł Adolf – otóż i po moich wizytach. Potrzeba biegać do domu, przebierać się i kazać konie zakładać. Zapomniałem, że dziś niedziela, wielka recepcja!

– Pańszczyzna ciągle – powiedział mi Karol do ucha.

Wtem otworzyły się drzwi naszej izdebki i weszło dwóch mężczyzn, wprowadzając dwie damy czarno ubrane. Znajome-li, nieznajome-li? Już nie pamiętam. Zdziwiło mnie, że Karol odbiera odwiedziny pań. Jedna z nich potrząsała torbeczką otwartą, układając skromnie twarzyczkę i wznosząc oczęta błagalnie. Zrobiło to wrażenie na Adolfie, dobył pugilaresa i wsunął banknot do torby. Karol zaś przybliżył się uprzejmie i rzekł:

– Przebaczycie panie, że im odmówię. Ale może być większe poświęcenie, jak odmówić takim pięknościom, których najmniejsze skinienie każdy wypełnia z rozkoszą. Dawać, dawałibyśmy jak najchętniej, bo to jest tak łatwo i miło; ale żeby odmówić potrzeba wielkiej mocy nad sobą, prawdziwej tęgości charakteru, rzetelnego zrzeczenia i utrapienia, co mi się przyda, bom grzeszny i chciałbym oczyszczony zjeść jajko wielkanocne.

W troskliwości o duszę poszedłem także za przykładem Karola, chociaż nie wiedziałem, co to i dlaczego? Ale on mi kiedyś wytłumaczy.

MIŁOSTKI WIELKIEGO ŚWIATA

WIZYT KILKA Część pierwsza

*A ich sumieniem nie jest
nie popełnić,
Ale utaić.*

Szekspir, *Otello*, a[kt] III, s[cena] 5.

Aby powziąć wszechstronne wyobrażenie o miłostkach świata wielkiego, nie dosyć jest znajdować się w salonie, potrzeba zwiedzać ogrody w mieście i po przedmieściach, być w sypialni, w gabinecie tajemnym, w powozie, w łoży i za kulisami, w łazienkach, w laskach sąsiednich i w niektórych domkach pokątnych. Kiedy młodzi ludzie kochają się, nic łatwiejszego jak zgadnąć ich tajemnicę, pomimo całej troskliwości w utajeniu. Miłość prawdziwą można poznać po właściwej jej pewnej niezgrabności. Jak usiłuje ukryć się, jak udaje obojętność, przesadza i samym zbytecznym unikaniem obraca wszystkich oczy na siebie. W twarzach kochanków dostrzeżesz zawsze jakąś niepewność, jakąś niespokojność i roztargnienie. Z daleka pozierają na siebie za często, za bojaźliwie, a ukradkiem, aby się, broń Boże, nie domyślił kto tego, o czym wiedzą już wszyscy. Kiedy się schodzą, chcieliby, aby sądzono, że to od niechcenia, przypadkiem się dzieje, więc są lękliwi i niezgrabni jak wilk przy owczarni; przystępują, kołują, obzierają się, a tak Wymuszenie, że widocznie jakaś siła wewnętrzna ściąga je ku sobie. Brakuje im śmiałości i swobody, cechujących umysł obojętny i nie zaprątniony. Miłość zawsze jest taka i wszędzie sobie podobna, nawet srogi kodeks świata wielkiego nie mógł jej odmienić, nie mógł ustroić inaczej jej lica. Tylko że na wielkim świecie rzadko zdarza się miłość prawdziwa; zastępują ją udane nadskakiwania i umizgi czynione z powinności za pańszczyznę. Oględy i zaloty odbywają się według przykazań, aby tylko bawić się, aby czas spędzać przyjemnie, aby mieć zatrudnienie. Małżeństwa nawet kojarzy przyzwoitość, stosunkowość, prawidłowość, pańszczyzna. Nazywają ją *marriage de conven[an]ce*.

Emablowanie, czyli zalotność, jest osobną świata wielkiego nauką, jest obowiązkiem chcących w towarzystwie uchodzić za przyjemnych. Stary czy młody powinien emablować; to jest zachwycać się nad wdziękami pań, chwalić, podchlebiać, wpatrywać się, usługiwać, wzdychać, powtarzać frazesy z romansów, ścisnąć rączki, dawać pamiąteczki, uśmiechać się i wdzięczyć, słowem udawać miłość we wszystkim, w czym udać ją można. A świat wielki

obiecwał temu udawaniu nagrodę prawdziwej miłości, co służy ku wspólnej wygodzie, bo się doświadcza rozkoszy bez cierpień i zawrotu głowy. Któż by znowu chciał czekać na miłość prawdziwą, czy przyjdzie albo nie przyjdzie? Jak długo trwać będzie i nudzić? Jak długo chimerować i wspaniałomyślnie idealizować? Aż wreszcie ośmieszy niezgrabnością swoją kochanków albo się wyda niepotrzebnie i skompromituje. Czyż nie rozsądniej czynić to z przeczynnym i rozważnym namysłem, co by się dziać miało ze ślepą i zapamiętałą miłością? Świat wielki zarywa cokolwiek z epikureizmu, lubi użycie i pośpiech. Zanimby miłość prawdziwa przetarła wszystkie grudy obawy, nieporozumień, wymyślań, uczuć itd., świat wielki odbędzie już z dziesięciorgo swoich miłości lekko i zwinnie jak łódka po wodzie. Miłość zatem wyradza się na wielkim świecie w miłostki jak zboże w rok mokry w stokłosę. Miłostki zaś są parowym powozem w podróżach serca i z tego względu jeszcze pożądane i dogodne, że strzegą i ochraniają od prawdziwej miłości, od jej cierpień, narażeń, nudów, zaślepień i strasznych nieraz następstw. Mają się one ku miłości jak szczepienie, które odbiera ospie zjadliwość, chroni od oszpeceń i śmierci. Szczepią więc ospę ciała, a w świecie duchowym miłostkują serce. Bywało, jak miłość uczepliła się młodej mężatki, nie było na nią rady, istne czary! W dom wchodziły kłótnie i nieład, na męża ani popatrzeć. Dzieci traciły matkę, a małżonek żonę.

Teraz miłostki napadają jedne po drugich, a w domu pomyślność i zgoda; rozkoszy po uszy, a zgryzot ani na lekarstwo. Co Amor pogański rozchełznawszy namiętności dokazywał gwałtownie, po omacku, to przy zasadach chrześcijańskich w najoświecniejszym wielkim świecie dzieje się z otwartymi szeroko oczyma, ze świadomością i z dobrej chęci. Aby więc wszystkim ułatwić tak dobroczynne w skutkach swoich miłostki, uznał świat wielki za potrzebne obcowanie na pozór poufale i przyjacielskie. Niepoświęconym zdawałoby się, że w salonie wszyscy są w porozumieniach, że mają się ku sobie jak gdyby w czasie tajemnic Falusa lub Adamitów wieczery. Ściskają się za ręce, uśmiechają się wzajemnie, szepczą do uszu, obnażają sobie piersi, tulą się na ciasnych siedzeniach, odosobniają ku swobodniejszej rozmowie, zawracają oczy ponętnie, oddychają lubieżnie i prawie skleją z sobą w kręgach zawrotnych, walcem nazwanych. Zbliżenie to i ośmielenie tak jest ogólne, że miłostki wylęgają się pod nimi bezpiecznie, jak myszy w swych dziurach i rzadko która wpada w łapkę. Młoda pani przyjmuje odwiedziny sam na sam w swojej sypialni, melancholizuje w ogrodzie sam na sam przy świetle księżycy, zwiedza z uprzejmym młodzieńcem okolice miasta i zielone gaiki sam na sam; często mąż przyzwoity zastępuje woźnicę albo lokaja, kiedy żona siedzi w powozie z dobrym przyjacielem, który ją przypadkowo zdybuje, wszędzie gdziekolwiek pojedzie lub pójdzie. Cóż w tym dziwnego? Są to zwyczaje przyjęte, a nie nasza w tym głowa odmieniać je. Prostactwo tylko gorszy się i złego domyśla; świat wielki wie, że z tym jest dogodnie, że tak być powinno. Męża wzbraniającego żonie tych ucieszeń niewinnych okrzykują zazdrośnikiem, tyranem. Nie rozpaczają jednak, że światowość wygra z nim sprawę; niech tylko miodowe miesiączki przemina, niech pożyją z sobą lat kilka, niech się przesyca, a ludziom napatrzą; zniknie ta szorstkość pierwszego pobrania się, nie będą gorsi od drugich.

I jakże nie przyznać miłostkom wyższości, kiedy ich nie widać, chociaż ze swej jamy na wierzch wylizają, a biedną miłość dostrzegano nawet w troskliwym ukryciu? Miłość czyni nas niewolnikami swoimi, odbiera przytomność, ceni się bardzo, wlecze się długo i koniec końcom dwie tylko poznają się osoby; miłostki przeciwnie zostawiają nas przy rozsądku i wolności, nie wymagają trudnych poświęceń i mnożą szybko liczne poznania, poznania dokładne, jak to powiadają z duszą i ciałem. Zawile toczyły się spory, czy można kochać w życiu razy kilka? O! Biedne czasy pasterskiej prostoty! Dziś żadna pani o to nie spyta, chyba żartem; żadna już nie ma tej wątpliwości. Na co tego? Nie miałyby co robić, taj myśleć! Miłostkami można kochać nie tylko często, ale nawet kilku naraz, można kochać, kiedy się zechce, kogo się zechce i jak długo się zechce. Jak ciało nie obejdzie się bez sukni, tak dusza modnej pani

bez miłostek, bo powiedziano by, że nie jest ładną, że nie umie podobać się. Im tedy która więcej ma albo miała miłostek, tym większą zyskuje na wielkim świecie reputację.

Miłostki są troiste, względnie na wewnętrzne pobudki i istotę ich pochodzenia. Rodzi je albo próżność, albo chuci zwierzęce, albo sama tylko chciwość, nagi interes. Często osoba młoda nienaganych rzeczywiście obyczajów ma jednakowoż wszystkie przeciwko sobie pozory. Chodzi jej o to, aby jak najliczniejszych zgromadzić wokoło siebie wielbicieli, którzy by wzdychając i nadskakując składali jej przymiotom hołdy publiczne. Im doświadczeńsi, trudniejsi lub znakomitsi znajdują się w tej liczbie, tym głośniejszym staje się zwycięstwo i sławniejszym piękny zwycięzca. Istotnie, nadzwyczajnej potrzeba przebiegłości, ażeby wielu zwabić i ani zrazić, ani poróżnić, ani zbyt cnie ośmielić. Nieraz wypada użyć sposobów, jakich płochość używa: poufałych rozmów, domowych zwierzeń, dwuznacznych spojrzeń, uściśnień ręki itd., a pomimo tego umieć uchować się przed natarczywością, nie narażać na dopuszczenia, nie odstraszać surowym obejściem, owszem utrzymywać każdego na promycku nadziei jak powolnego konika na cugli, popuszczając i skrcając w miarę potrzeby. Niebezpieczna jest to igraszka, bo najczęściej kończy się na tym, że pomiędzy wieloma, którzy nareście z kwitkiem odeszli, znajdzie się ktoś dosyć zręczny, aby żart w prawdę zamienić. Zaczyna on z wolna przewodzić i zamiast być ujeżdżanym, już sam ujeżdża. W takich wypadkach łatwe i niespodziane jest przejście z niewinnej niby zabawki do zupełnego zepsucia i najbrudniejszego nawet upadku. Bo cóż pozostaje jeszcze do stracenia? Czy dobra sława? Na j wyższe dobro kobiety! Wszakże go już bez tego straciła niesprawiedliwie dla samych pozorów. Nic już gorszego stać się nie może, o co by dawniej nie obwiniała obmowa, wnosząc z samej tylko powierzchowności.

Zmienia się zatem postać rzeczy i cały niemal charakter osoby. Z roztrzepanej i próżnej, ale cnotliwej, staje się uważna i wystrzegająca, ale występna. Ta, która wprzód wyzywała swawolnie, śmiała się i zaczepiała, siedzi już teraz ze spuszczonej oczkami, z minką surową i na j obojętniejszym obraża się żartem. Uszczypliwość niegrzecznego sumienia uśmierzają częste spowiedzi i posty. Przybiera postać niewiniątka i świętoszki, ale nietrudno jest domyśleć się, co się tam święci. Jak wprzód dla pozorów niewinnie osławiana została, tak znowu teraz dla pozorów zyskuje niesłusznie pochwały. Stawiają ją na przykład skromności i obyczajności. Utraciła cnotę, a reputację zyskała. Całą jej zasługą jest skrytość i zręczne udawanie, bo pozory stanowią wartość świata wielkiego. Miłostki z próżności przerodziły się w chuć pożądlivą, bo to jest codzienna droga ich postępu, ich kariera i awans, obieg zwyczajny w życiu dam wielkiego świata. Zdarza się wprawdzie czasami i tam, że podsycana okolicznościami rozpusta, rozpasana na wszystkie bezwstydy, nie dba więcej na cudze zdania i mowy, nie zadaje sobie nawet tej troski, aby się utaić, nie przybiera pozorów osłaniających jej brzydkość, owszem występuje jawnie i bezczelnie, a jest pomimo tego mile widziana i przyjmowana uprzejmie.

W takich wypadkach ma główną rolę nieraz publiczność, często guwerner, czasami i hajduk. Lecz mieszać to do miłostek świata wielkiego byłoby krzywdę mu czynić. Życie takie ma swoje umieszczenie odrębne, a chociażby go wiodły i osoby świata wielkiego, jest ono zawsze ustępem prostego zakamarkowego życia. Nie należy zatem do niniejszego opowiadania tylko jak przedmiot sąsiedni i pokrewny. Świat wielki nie zarzeka się przyjemności; robi on to wszystko co i mały, tylko inaczej. Nie tylko dziwactwa, ale błędy nawet i występki pojawiają się na nim w przebraniu powabnym i zgrabnym. Najgłówniejszą jego sztuką i zasadą jest biegle udawanie pozorów. Przyjął on stałe przepisy i prawa, ażeby na zawsze wyłączyć rozmaitość swobody i otwartość naturalności. Całą istotą jego jest niewolnicze naśladownictwo, żywiołem parafiańszczyzna. Mniejsza, że ciało pełne wyrzutów i trądów, byle go tylko pokrywał ubiór nowy i błyszczący. To samo dzieje się z duszą, niech sobie myśli wewnątrz jakkolwiek, byle się tylko umiała z wierzchu osłonić i pokazać jak trzeba. Niech będą krosty na ręku, ale zawsze pod białymi rękawiczkami. Zasada ta daje się szczególnie przystosować

do miłostek świata wielkiego. Odbywają się one pod zasłoną przyjętych zwyczajów, nie zwracając na siebie tylko nie oswojoną z tym uwagę gminną; a przywiedzione do pewnego kresu nie kończą się albo nie wiedzieć, jak kończą, zostawiając szerokie pole domysłom, które, jak się świat wielki wyraża, tworzy z ujmą jego sławy złość ludzka i niewiadomość. Miłostki przez próżność zawracają głowy nie tylko kobietom. Do szczególniejszych zalet modnisia należy, z kim i jak wiele ich odbył. Jest to prawie stopa szacunkowa ufryzowanej głowy. Przeto podróżujący paniczek stara się na j usilnie j, ażeby przywieźć na powrót włosy, zasuszone listki, słodkie bileciki, woreczki z westchnieniami, pamiątki łzami skropione i długie powieści o szczęściu do najpierwszych dam w Europie. Wszystkie były bardzo piękne, bardzo bogate, kochały się bardzo i chciały iść za mąż koniecznie, ale potrzeba było wynieść się z kraju, miłość ojczyzny przemogła. „Co za głupstwo”, odpowiada w dobrej wierze przysłuchujący się tym dziwom prostoduszny domator, „kto widział własne szczęście tak poniewierać? Raz tylko w życiu ono spotyka!”

Kobiety mają na to węż lepszy; przysłuchują się z upodobaniem, jak gdyby romans czytały, lecz rzadko która uwierzy, a niedoświadczone tylko niewiniątko nie ujmie nic z tej wielkiej świetności, wielkiej piękności i wielkich bogactw i nic nie doda do tych lat młodocianych. Kiedy jedni gdzieś nad brzegami Sekwany, Tamizy i Tybru kwitnące zrywają wawrzyny, których ledwie maleńkie ułamki do uszu się naszych dostają, to drudzy rozwijają przed oczyma naszymi niepospolity talent w miłostkach, a pozierając litości wie na te dalekie włości, obierają sobie miasta rodzinne na pole popisów i zwycięstw.

Końnerzykowy Łaskawca męczy się i ubiega, ażeby go widziano przy boku wszystkich ładnych mężatek i pańien. Karmi on je duchowo i cieleśnie miodowymi słówkami i cukierkami, podaje im rady poufałe i rzeźwiące chłodniki, ściska za rączki, obwija w płaszcze i chustki, aby się nie przeziębiły, przestrzega, aby spocone na dwór nie wychodziły itd., a to tym śmielej, że one całkiem powodują mu się w ubezpieczeniu wewnętrznym, a Niezabudka nawet za złe tego nie bierze. Miłostki takie są zupełnie niewinne, czysta teoria. Jest w nich dla płci pięknej cokolwiek nudów, ale najmniejszego nie masz niebezpieczeństwa. – Sam zaś Końnerzykowy pewny o sobie, z samiczkami bardzo jest ostrożny, a odmierzwszy na łokcie rozciągłość swoich miłostek, kiedy już pewnej dosięgają miary, powraca znowu jakby w polonezie, chroniąc się w ten sposób od kłopotu, którego lękał się jakiś pisarz koronny: „diab[e]ł nie śpi, a nuż się która rozkocha”.

Warto przypatrywać się tym przebiegłym gonitwom i zręcznym obrotom, tej miłostkowej taktyce Łaskawcy. Jak ćwiczony wyżeł, zaprawiający podrostka do pierwszego pola: upatrzeć, podstąpić, nagonić, ale nie spłoszyć. Cały w tym talent – niezbyt gorąco. Jest to prawdziwa szkoła dla podrastających pokoleń, zapatrują się na nią młodzieńcy, praktykują w niej wszystkie pańienki wielkiego świata. Tę usilność wzajemnego przypodobania się nazywa nasz świat wielki dwojako, albo modnie „faire la cour”, albo patriotycznie „robić kury”. Nawykł on tak nałogowo do tej roboty, iż ona stała się prawie na j główniejszą jego treścią. Na kurach więc można by wzorem perfumiarzy paryskich przykleić karteczkę z napisem: *Extrait double de grand monde*. Życie salonowca jest nieustającym robieniem kury. Robią je ze zwyczaju i z powinności, nawet mężczyźni mężczyznom i kobiety kobietom; ale żywiołem miłostek te są tylko, które odbywają sobie nawzajem odmienne rodzaje.

– Jakże bym rada – mówiła Twarz Pąsowa do przyjaciółki – ażeby mąż mój miał jakie zatrudnienie i zajęcie! *Qu’il fasse la cour à quelqu’un*, ażeby się w kim rozkochał.

– Przyślij go do mnie – odpowiedziała przyjaciółka.

Widziałem Mierzynkę przejeżdżającą się z piórkiem zielonym, i to ze starego już strusia. Dziwowali się ludzie, dlaczego struś zawsze jest przy niej: na kanapie, w oknie, w powozie i w łoży. Niech wyjedzie za miasto i ten szybkobiegacz już goni. Dawał nawet obiadki, na których znajdowało się samo różnobarwne ptactwo i ona. „Cóż w tym dziwnego? – powiada świat wielki, umiała mu się podobać, zawróciła głowę strusowi; *il lui fait la cour*”; zawiść się

krzywi, zazdroszczą jej tego szczęścia. Zazdroszczą zaiste światowe pantarki, bo struś, jak wiadomo, jest ptakiem najpierwszym i chociaż podczas nagłego odwrotu utkwii głowę gdzie w krzaki, to zawsze ma ogon frontowy, o czym naucza od dawna naturalna historia Biufona. Miłostki z upstrzonym tak wspaniale zwracają wszystkich oczy na siebie, jedną zaszczyt i wzięcie. Nie są także i bez materialnych korzyści, bo przy strusiu jest zwykle orszak swawolnych dziubaczy: nadęte indyki, czupurne koguciki, czubate dutki, lubieżne wróbliki itd., itd. Miłostki wielkiego świata są jako stempel menniczny, który oznacza wartość monety i w obieg ją puszcza z panującego wizerunkiem.

Często z wpływów, z poważania i z tonów osoby można by odgadnąć, jaki odciska się wizerunek na stronie odwrotnej. Zadzieranie nosa jest także dobrym termometrem; im wyżej sięga, tym są ognistsze wielkie miłostki; im niżej spada, tym bardziej stygną. Aż nareszcie przeszedłszy po rękach lichwiarskich, z dukata staje się kulfon. Miłostki z petite damy robią grande dame; słusznie więc utrzymuje, że nie z czytania książek nabyła wziętość i przewagi. Świat wielki widzi wszystko przez swoje okulary i według nich ocenia ludzi i uczynki. Cokolwiek wielkim jasnościom podoba się, bierze za jasne, chociażby było rzeczywiście ciemne jak noc. Wysłuzone pod znakami miłostek, wielkiej potrzebują przebiegłości, aby się utrzymać przy uzyskanym raz stopniu. Lub zaprawiają młodszych do boju, lub występują przy sposobności i same w szranki, jak inwalidzi w nagłej potrzebie. Wiek nie przeszkadza gorliwości i poświęceniu. A dalej, czyż nie masz wieków stosownych, którym zachciewa się z pamięci, jak niegdyś zachciewało się z ciekawości lub temperamentu? Młodzi sobie, a starszkwowie sobie.

Obejmował Piszczalka wyschłą, strupieszalą ręką pulchność miękką jak pierzyna i coś jej piszczał do ucha w miejscu nie dosyć skrytym, kiedy go dojrzano. – Odtąd Pierzyna bardziej się nadeła, miarkując, że jeszcze służy ku wygodzie, lecz na kanapę już się nie ciśnie, bo paszkwilanci to wyśmiewają. – Dzięki im za skuteczne lekarstwo.

I dlaczegóż Piszczalka wydyma Pierzynę w taką pychę? Bo jest instrumentem, a na wielkim świecie tak tańczą, jak instrumenta zagrają. Niedawno wszedł do Pierzyny poważny mężczyzna krepko zbudowany, wzrostu średniego, twarzy okrągłej, włosów siwych. Rozmowa wszczęła się cicho.

- Widziałże już – zapytała głośniejszą Pierzyna?
- Juściż, że widział – odpowiedział Siwosz – i bardzo się podobała.
- Dobrze, dobrze, dzisiaj o piątej.

Na tym skończyła się tajemnicza wizyta. O czwartej jeszcze zajechała kareta, z której wysiadły dwie panie: Grande Dama i młoda, wysmukła brunetka, z oczyma czarnymi jak węgiel, ognistymi jak iskra, z twarzą pociągłą, posępną i smagławą jak orzyna. Na schodach jeszcze rozkazywała Grande Dama służącemu, aby nikogo nie wpuszczał, udając, że nie ma jej w domu. Orzyna słowa nie mówiąc usiadła przy oknie, oparłszy głowę na dłoni. Wewnętrzny niepokój malował się na jej twarzy, każdy szelest mieszał ją i trwożył, czasami wydobywało się głębokie westchnienie smutku i bojaźni.

Dumania te przerwał głos poważny i swego pewny:

– Jakieżś dziecko! Wierz mi, bom kilkanaście razy była w podobnym położeniu; i cóż mnie straszego spotkało? Oto stanęłam na czele społeczeństwa i wszyscy ubiegają się o moją przyjaźń i protekcję. Jak mi to jest miło, że mogę teraz innym poradzić, dopomóc, ułatwić. Życie na wielkim świecie trudnym jest zadaniem. Są tam spadziste skały, na które, aby się wynieść, niemało potrzeba zręczności, trudów i poświęceń. Niektórzy kuszą się o to nadaremnie przez swój wiek cały, innym podaje szczęśliwa chwila sposobność, byle z niej tylko umieli korzystać. Na bok dziecięce strachy i skrupuły; to być nie może inaczej. Trudny zapewne jest dla nowicjuszów początek, zwłaszcza jeżeli są sami sobie zostawieni, ale ty masz we mnie przyjaciółkę i przewodniczkę, która cię wspierać będzie swoim doświadczeniem, nauczy chwytac zdarzającą się sposobność i poradzi, jak z niej korzystać. Pytaj się, kogo

chcesz, czym ja tej drogi nie przeszła? I to własnymi siłami, bez niczyjej pomocy i porady. Ty jesteś szczęśliwsza! Ani się spodziewasz, jak spływać będzie na ciebie wszystko, cokolwiek młoda osoba życzyć sobie może, co byt jej uprzyjemnia. Wzięcie, pochwały, świetne małżeństwo itd. Zazdrość pań wielkich będzie najlepszym dowodem twojej pomyślności. Ja bywam pomiędzy nimi, to się napatrzę, jak się tam każda nasuwa, umila, nastrecza, a przecież daremnie. Sama rozmowa już jest zaszczytem. Gdybyś nie była tak młodą, to mogłabyś uważać i na wsi, które dziewczęta stroją się najpiękniej i idą za mąż najpierwej. – Wszystko to jedno.

Pomimo najpochlebniejszych nadziei i najświetniejszych obietnic nie wypogodziły się lica Orzyny. Nie sprzeciwiała się i nie zezwalała, nie nęciła jej przyszłość i nie chciała użyć oporu, nie przemyśliwała nad sposobem unikania; jak bierna ofiara gotowa poświęcić się, chociaż w tym wola jej nie ma udziału, chociaż oburza się jakieś niezrozumiałe wewnętrzne uczucie.

Wtem wszedł nieznajomy nam mężczyzna, wzrostu słusznego, twarzy pociągłej i ciemnej, w rękę miał różdżkę jeździecką i liche dosyć kaszkiecik.

Roziskrzyły się oczy Grande Damie z wielkiej radości, zerwała się nagle z kanapy, a oddając kilka ukłonów przebąkiwała o zaszczytach i szczęściu. Nieznajomy zdawał się pomieszany z początku, uklonił się niezgrabnie i stanął z boku jak wryty. Ochłonawszy jednak po chwili przystąpił bliżej, obracając się wprost ku Orzynie, wziął ją za rękę i powiedział:

– Kocham cię, piękna pani! – i zamilkł.

Orzyna także milczała.

– Nie wątpię – ciągnął dalej – że dosyć masz wyrozumiałości, aby osądzić, że małżeństwo... – i zamilkł;

Orzyna tylko westchnęła.

– Ale – rzekł znowu – cokolwiek czyni prawdziwa przychylność i miłość, wszystko uczynię, rozrządzaj mną!

Orzyna drżała jak listek, lica jej płonęły, ręka spoczywała nieczule w rękę nieznajomego, w spuszczonej oczkach łzy się kręciły, rozděła usta jakby do mowy i tylko długie, przerywane wywlekało się z piersi westchnienie.

„Prostaczka! – pomyślała Grande Dama odchodząc – wyślemy ją na wieś”. Więcej nie można było ani dojrzeć, ani podsłuchać. Złośliwi będą zapewne domyślać się złośliwie. Grande Dama oczekiwała w przedpokoju, aby się z nieznajomym pożegnać, który wyszedł niebawem.

Jeden ze znajomych moich był świadkiem szczególniejszego ustępu z miłostek świata wielkiego. Zaniósł go lichy z wizytą na oddalone przedmieście do młodej, wysokiej blondynki, którą dla różnych podobieństw nazwiemy Miastem Portowym. Zaledwie Mój Znajomy wziął ją za rękę i całując w czoło posadził przy sobie, weszła służąca oznajmiając, że jakaś pani czarno ubrana, z długim woalem, przylądowała do portu. Mój Znajomy schronił się do pobocznej alkowy. Weszła kobieta wzrostu średniego, postaci smukłej, z twarzą bladą i smutną, lecz z jasnymi, pełnymi wyrazu oczyma. Chód jej był poważny i pewny, spojrzenie dumne i śmiałe; powierzchownie nie zdradzała uczuć gwałtownych, owszem tylko zimną obojętność i wielkość. Zmieszał się Port z początku, obaczywszy znajomą mu z widzenia hrabinę Jawor; lecz w chwili nabrał otuchy, a przybierając minę zuchwałą zapytał:

– Kto pani jesteś? Czego chcesz ode mnie? Zapewne pomyłka!

JAWOR

Kto jestem, mniejsza o to. Sprowadziła mnie ważna okoliczność i wielkiej wymagająca tajemnicy. Panna przyjmujesz u siebie Sztucera?

MIASTO PORTOWE

Cóż w tym dziwnego? Znamy się i bywa u mnie.

JAWOR

Bywa! Bywa! Nic więcej! Otóż ja sobie tego nie życzę. Przez wpływy moje mogłabym położyć tamę temu zgorszeniu, szkodzić Wpannie. Wolę jednak załatwić rzeczy w cichości, jeżeli mi Wpanna przyrzeczesz, że go więcej przyjmować nie będziesz, że go odprawisz z obojętnością i zawstyżeniem.

MIASTO PORTOWE

Proszę kogo! I czegoż miałby się wstydzić? Bywa, bywa, nic więcej! Czy bywa u mnie, czy u pani, wszystko to jedno. Ja pani jej znajomości nie zazdroszczę i nie odmawiam, nie psujże mi pani i moich. I nic więcej! Jesteśmy paniami w pomieszkaniach naszych, robimy, co się nam podoba; nie ciekawam, jak pani bawisz się u siebie. – Zgorszenie? Nie wiem, gdzie większe? Co za domyślność! Pani sobie, a ja sobie!

JAWOR

Przestań Wpanna! bo obrażasz mnie, a nie wiesz, kto I jestem. Ani ci przez głowę nie przejdzie, jakie zagnają mnie stosunki... O! Nie jalousie du metier, zaręczam Wpannie. Nie jesteś mi równą. Sztucer mnie kocha, ma mnie zaślubić, nabyłam do niego praw świętych. Wpanna naruszasz te związki, ostudzasz tę miłość, psujesz go. Mogłabym poskarżyć się, z miasta Wpannę oddalić, wstydz się takiego życia rozwiązłego!

MIASTO PORTOWE

O! Wiem ja dobrze, z kim mówię, nie zwiedzisz mnie pani. Podobało mi się kazanie, ale z pogroźek żartuję. Ja jestem wolna osoba, żyję, jak mi się podoba, i mogę pójść za mąż, jak zechcę; ale pani mówić mi o małżeństwie! Chyba że hrabinom dwóch mężów mieć wolno. Któraż z nas gorsza i bardziej wstydzić się powinna? O! Wielkie panie, jakie bogobojne! Jakie moralne! Na dorędziu tyle nauk zbawiennych! Tyle słów pięknych! Na nas pozieracie z obrzydzeniem, jesteście nieprześlągane, z miasta nas wygnać, aby i tych jeszcze ściągnąć do siebie, których my znamy. Czemuż nie pogardzacie się pomiędzy sobą i nie wyganiacie z miasta? Najlichsza z ulicznic mniejszym jest zgorszeniem. My nie mamy wiosek ani poddanych, to trochę wdzięków to całe bogactwo. O! Myśmy warte litości, ale wyście i tego niewarte. Oddaj mi swój majątek, męża swojego i przyjdź wtedy do mnie po przykład i po naukę. Obaczyłybyśmy, kto jest rozwiązły! Mój Boże! Ja mam się wstydzić, kiedy mnie ciśnie potrzeba? A pani! Pani mnie oskarżać, poniżać, wyganiać, bo pani jesteś rozpustnica.

JAWOR

Uspokój się! Nie gniewaj! Ja ci pensję wyznaczę, ja ci dam utrzymanie. Ty nie pojmujesz tych związków, a ja nie poniżę się do tego stopnia, aby dla usprawiedliwienia mojego najskrytsze wydawać zamiary. Myśl sobie, jak zechcesz, świat i tak mnie potępia, ale niebawem świat będzie miał dowód. Dlatego przezwyciężyłam się i przychodzę do ciebie, abym mogła prędzej i łatwiej wywieść nieskazitelność mojego postępowania, moją niewinność. Ty jedna tylko...

Wtem przed oknami Portowego Miasta kocz się zatrzymał, z którego szybko Sztucer wyskoczył. Pomieszaly się panie: co tutaj robić? Jeszcze Port nie mógł zdobyć się na radę, kiedy hrabina wpadłszy do pobocznej alkowy z szybkością błyskawicy rozbiła nos Mojemu Znajomemu, który zazierał spokojnie przez dziurkę, nie spodziewając się zmiany tak nagłej.

JAWOR

Wielki Boże! Pan tutaj! Podśluchiwałaś?

MÓJ ZNAJOMY

Pani hrabina nadeszłaś tak niespodziewanie, gdzież było się ukryć?

JAWOR

Nie mamy sobie w istocie nic do wyrzucenia; spodziewam się jednak, że człowiek honoru nie zechce robić użytku z tajemnicy, którą mu przypadek powierzył. Zdradzać ją, rozgłaszać ją byłoby bezczelnością, podłością, nikczemnością.

Spokojniej

Na cóż unoszę się? Wszakby nikt temu nie wierzył. Dużo wypadków zmyśla złośliwość, ale dużo dzieje się takich, w które nie śmie dowierzać złośliwość sama.

MÓJ ZNAJOMY

Przebacz pani! Wiem, że nie wypada czynić mi przestrogi; ale któż widział tak się zapomnieć? Do tego stopnia poniżyć?

JAWOR

Dzieckiem wydano mnie za mąż za człowieka, którego nie kochałam, z którym nie byłam szczęśliwą. Długi czas widmo powinności przemagało ciemnie w mej piersi. Wyrzekłszy się na zawsze rozkoszy i szczęścia cierpiałam gwałtownie, udając oziębłość i obojętność, szukając w modlitwach pociechy i ulgi! Ale namiętności im bardziej gnębione, tym silniej powstały, tym popędliwiej wyrywały się na wolność. Skrzywdzona młodość już na schyłku zaczęła się praw swoich domagać. Uległam pod przemocą w nadziei nowych, niedoświadczonych uciech, a już z nowymi boleściami w sercu. Nie mój to występki; to wina rodziców moich. Nie dozwolono mi wybierać, nie dozwolono radzić się wewnętrznej skłonności.

Ociera oczy chustką batystową, na której rogach wyszyte imię wielkimi literami

Ale zamiary moje są czyste. Uległam w walce przeciwko naturze, lecz pojednawszy się z nią powstanę z całą godnością i uczciwością, ażeby zająć miejsce właściwe mi. Małżeństwo moje było gwałtem zadany niedoświadczeni pierwszej młodości, nie dogadzało ani potrzebom uczuć, ani światowym próżnościom. Trzeba go zerwać; pojedę do Wiednia, będę się wszystkimi sposobami starała o rozwód. Rzeczy za daleko już zaszły! Tylko nowy związek uprawiony ślubem może mnie zbawić, powrócić nieskażone imię i powszechne poważanie. Ale mężczyźni są lekkomyślni, zdolni ugasić ogień najczystsze w źródle plugawym. I jakże się nie lękać, powierzając w ich ręce swoją sławę i szczęście Pokazuje na drzwi Te nikczemnice przytępiają najprawdziwsze uczucia. W jednej chwili mógłby mnie spotkać i zgubić na zawsze zawód obiecanego szczęścia, którego dobijam się z taką usilnością, którego z całym wylaniem pragnie dusza niespokojna. Cała przyszłość moja zawisała od mojej baczności, od ukartowania. Przyszłość! która mi jedna została, aby wynagrodzić życie stracone dotychczas. Osądź pan sam, czy nie mam powodu drzeć o siebie i czuwać nad nim. A kiedy już na tyle przygotowałam się burzy, naraziła na tyle szyderstw i obmów, dlaczegoż nie ważyć jednego jeszcze poświęcenia? Przyszłam więc tutaj!

Tak mówiąc zasłoniła twarz swoją chustką batystową, niby tuląc się w żalu lub kryjąc ze wstydu; rzeczywicie zaś, aby nadśłuchiwać spokojnie rozmowy w drugim pokoju, której bardzo była ciekawa.

MIASTO PORTOWE

Zanadto uprzejmie i pochlebnie! Ale pan te uczucia masz w swojej pamięci, jak w worku pieniądze, i wydajesz je bez żalu i bez rachuby. Znam się na tej fałszywej monecie i wolę inną, bo ta tylko wielkim paniom głowy jeszcze zawraca.

SZTUCER

Przecież nie będziesz zazdrosna! Świat jest zepsuty, każdego trzeba ująć i przekupić albo pieniędzmi, albo pochlebstwami i oświadczeniami, jak się gdzie uda; trochę tu, trochę tam.

MIASTO PORTOWE

O! Ujmuj pan, ujmuj! Dopóki pana w siatkę nie ujmą. A jak się pan ożenisz, to żona będzie krótko trzymała, już pan tu więcej nie przyjdiesz.

SZTUCER

Tak ci się zdaje, bo nie wiesz, że na wielkim świecie nie ma miłości, tylko miłostki; to jest nie kocham się tam, gdzie bym musiał, tylko tam, gdzie się chcę kochać. A wybieram zawsze mężatki, nie masz więc najmniejszego niebezpieczeństwa. Której się tylko oświadczę, już się domyśla, czego chcę od niej, bo o małżeństwie mowa być nie może. Oszczędzam sobie przykrości długiego objaśniania i tłumaczenia. Gdyby nam przyszło czuć to wszystko, co mówimy, już byśmy dawno pomarli z czułości. To tylko w stanie natury, w stanie prostactwa czują, a wyrazić nie mogą, lecz my się śmiejemy z takich męczenników. U nich nie można kochać się w mężatce, tylko w pannie, czynią sobie skrupuły, aby małżeństwa nie popsuć, aby nie zdradzić przyjaźni, a nie wiedzą, że nie romans, tylko niezgrabne prowadzenie romansu psuje małżeństwa i zdradza przyjaźń; nie umieją kochać z przyjemnością, lekko i ulotnie, aby się bawić, tylko koniecznie ciężko z cierpieniami i stale, aby się żenić. Są to prawdziwi parafianie. Na śmierć by się znudzić potrzeba! Najprzyjemniejsze kobiety stałyby się nieznośnymi z tą surową cnotą parafiańską, już byśmy dnię całe u was trawili.

JAWOR

wpadając z furią

Vous êtes un ingrat! Un infâme! Un monstre! Ayez honte de vos sentimen[t]s, de votre dépravation, de votre bassesse! Je vous déteste, je vous méprise, je vous maudis!

SZTUCER

Madame la comtesse! Quelle surprise! Calmez-vous, par-donnez! Ayez plutôt honte de vous trouver ici. J'ai bien entendu parler dans ce cabinet; un rendez-vous peut-être? Je n'empêche pas.

MIASTO PORTOWE

Ne vous oubliez pas monsieur, je vous prie. Si vous le croyez honteux de se trouver chez moi, et bien, je vous, défends ma maison à jamais.

JAWOR

Mon Dieu! EUe parle français, elle nous comprend! Quelle langue parlerons-nous maintenant? Quelle [!] malheur! Quelle prostitution! Quelle honte! Quel affront! Elle parle français, quelle profanation! Fuyons, fuyons!

Wybiegła, a za nią Sztucer pomieszany i zdziwiony. Śledzono jej kroki dnia tego; w południe była w kościele bardzo wzruszona, modliła się gorąco ze łzami w oczach; wieczorem wyszła przebrana do niepoznania i zginęła w zakrętach ulicy. Nazajutrz spała długo i obudziła się spokojniejszą jak zwykle. Odtąd nie wspomniała więcej o rozwodzie, trawiła po kilka godzin nad modlitwą w domu i w kościele, zachwalała pobożność i cnotę, unikała hucznych zgromadzeń, okazywała czasami wstręt do francuszczyzny, przekładając nade wszystko język angielski; wychodziła wieczorami przebrana; z początku częściej, potem rzadziej. Niech pobudzają złośliwi do krzywdzących podejrzeń, niech potwarz zmyśla obmowy; tyle tylko pew-

na, że miłoścki przerażone tym zdarzeniem pozałaziły gdzieś do jam swoich jak myszy, kiedy je nagły łoskot popłoszy. A co tam robią? Czym żyją? Ja nie wiem.

Niedługo potem zdybał się Mój Znajomy na schodach z Anfenem.

– Gdzie idziesz?

– Do Twarzy Bładej.

– Pójdziemy razem.

W przedpokoju zapytali lokaja, czy jest kto u pani?

– Tylko pan Miłosz.

– Donieś więc i o naszym przybyciu.

Wkrótce powrócił służący:

– Pani przeprasza, bo słaba.

– Coś tu się święci! – rzekł Mój Znajomy na schodach.

– Głupstwo sługi – odpowiedział Anfe. – Ale kiedyśmy gotowi i mam tu mój powóz, więc jedźmy dalej.

Przejeżdżając koło ogrodu dojrzeli pomiędzy gęste gałęzie drzew, w oknie letniego domu, pannę Kamforę z Kogucikiem, który ją objął jednym skrzydełkiem dosyć pieszczotliwie.

– To coś za poufale – powiedział Mój Znajomy – jakby brat z siostrą.

– Nie ma nic dziwnego – rzekł Anfe – znajomość dawna, poufałość niewinna, w przytomności starszych.

– Zapewne się pobiorą? – rzekł Mój Znajomy.

– O bardzo wątpię – powiedział Anfe – mogą się kochać, zabawiać jak młodzi ludzie, lecz do pobrania jeszcze daleko; partia nie byłaby stosowną. – Dobrze przynajmniej, że są w domu, a zatem będziemy przyjęci.

Zajeżdżamy przed ganek, wyszedł służący:

– Nie ma państwa w domu, pojechali na sztuki konne.

MÓJ ZNAJOMY

A! To fatalny dzień na wizyty.

ANFE

Więc jedźmy na sztuki konne.

Przyjeżdżamy; są nasi państwo. A gdzie jest panna Kamfora? Biedaczka! Zgryziona, ojciec jej słaby śmiertelnie, nie odstępuje go. Co dalej? Właśnie też z miłośckami dojdiesz do końca! Dopiero co były na wierzchu i już są znowu w swej jamie; zanosilo się na wiele, a kończy na niczym. Złośliwi opowiadali, iż jedną razą szukał dom cały panny Kamfory; przepadła na pół godziny. Szukają i szukają... Lecz na cóż plotki powtarzać, Anfe i Mój Znajomy nie widzieli tego, nie ma dwóch świadków.

Pytało raz Kolanko Kamfory:

– Czy będziesz pani na tej zabawie?

– Ja na tej zabawie! – odpowiedziała z wzdrygnięciem – cóż pan sądzisz o mnie?

A niezłośliwi nawet domyślali się, że ojciec musi być słaby. – Był czas, w którym panna Kamfora przepadła znowu na kilka miesięcy z wielkiego świata, jak kamfora bez pieprzu. Panna służąca mówiła o tym z natchnieniem poetycznym:

– Posiej krótkie zniknięcie, wyrosnie długie; z pół godziny trzy miesiące.

Lecz na cóż wynosić plotki z garderoby? Nie ma dwóch świadków. Przed kilku dniami powracali uczniowie z wieczornej wyprawy: Retoryka i Logika. Zegar uderzył dziesiątą, noc

była pochmurna i ciemna. O kilka kroków przed nimi przechadzała się z wolna osoba, słyszna, w długiej pelerynie, z grubą zasłoną na twarzy.

LOGIKA

Patrz! Wielka pani o tej godzinie, bez służącego!

RETORYKA

Któż to jest taki?

LOGIKA

Nie wiem.

RETORYKA

Wszakżeś powiedział, że wielka pani?

LOGIKA

Tak jest, wzrostu wielkiego, wysoka.

RETORYKA

Śpieszmy! Pomóżmy jej znaleźć, bo czegoś szuka.

LOGIKA

Nic ci się z tego nie upiecze. Nie szuka ona, ale oczekuje na pewno. To jakaś zmowa. W dzień jeździ w powozie i kroku bez służącego nie robi, a w nocy samiotka jak palec. Gdyby nie ciekawość, jak się to skończy, tobym jej diabelnie pomieszał szyki zaprosinami moimi.

RETORYKA

Ty musisz wiedzieć, kto to jest taki?

LOGIKA

Sądząc z kibici założyłbym się, że Twarz któraś: Błada albo Pąsowa.

RETORYKA

Zaraz ja ją wyprzedzę i obaczę.

Powracając

Nie, to jest Twarz Czarna.

LOGIKA

Zapewne, bo w nocy wszystkie koty są czarne. Trzeba by jej zajrzeć w oczy gdzieś koło latarni.

RETORYKA

A tam, tam widzisz? Idzie ktoś naprzeciwko, prawdziwy kolos! Aha! Czy wszystkie koty czarne są w nocy? Patrz, jak się świeci z daleka jak kolano.

LOGIKA

To jest niezaprzeczenie Twarz Jasna.

RETORYKA

Ukryjmy się w tych siunkach i uważajmy, bo bardzo jestem ciekawy. Oto witają się, a widzę bez ceremonii! Noc głucha, znajomość dobra.

LOGIKA

Ostrożnie! Wleźmy za bramę, wchodzą w te siunki, cicho!

TWARZ CZARNA

Ach! Jakże byłam niespokojną, ażebyś inną drogą nie poszedł. Widzisz, mój drogi! Dziś znowu przeszkoda.

TWARZ JASNA

Długoż trwać będą te męki? Zawszem doradzał czas inny i miejsce.

TWARZ CZARNA

Ostrożność! Przede wszystkim ostrożność! A twój służący? A domowi? My kobiety mamy więcej w takich wypadkach cierpliwości i rozwagi. Zapaleńcze! Ty byś mnie zgubił. Wiesz, że na karb grzeczności poszło już zanadto. Teraz potrzeba unikać się w towarzystwach, być z daleka i obojętnie.

TWARZ JASNA

Ułóżmy przynajmniej schadzki tajemne, pozwól...

Dalej mówili tak cicho, że Logika i Retoryka były niepotrzebne, więc gotowały się odejść.

TWARZ CZARNA

Ach!

TWARZ JASNA

Ach!

LOGIKA

Adieu! Adieu! Cha! cha! cha!

RETORYKA

Brawo! Brawo! Cha! cha! cha!

jak wiatry wylecieli za drzwi.

TWARZ CZARNA

Mon Dieu! Quelle infamie! Quelle trahison!

TWARZ JASNA

biegnąc ku drzwiom

Trahison d'état. Jakieś przechodnie lamparty! Nie mogli nas widzieć w głębi tych sieni.

TWARZ CZARNA

Mówiłam ci, że niebezpiecznie. Zawsze potrzeba mieć logikę mon cher! Lecz retoryce twojej trudno się oprzeć.

TWARZ JASNA

wesoło

Obejdziemy się bez logiki i retoryki.

Przed miesiącem widziałem przechodzącą się w rynku małą blondynkę z główką okrągłą, z nosikiem zadartym, z iskrawym rumieńcem i z lubieżnymi oczkami. Lica jej jaśniały radością, bo miała przy boku czterech młodzieńców uważnych na każde skinienie, rzucających słówka pochlebne i uśmiechy zalotne, nadskakujących i usługujących. Dumnie przechodziła się w ich gronie, bo świat cały był świadkiem hołdów, jakie odbierała.

– Przystąpmy – powiedział Karol – i przystąpiliśmy.

Każdemu z nas dostała się jakaś nagroda za jego zabiegi. Jednemu słówko do ucha, drugiemu ściśnienie ręki, trzeciemu skinienie oczek pełne znaczenia. Rozrzutność ta nie miała końca. Każdy był hojnie obdzielony nadzieją, każdy miał się za wybranego, sądził mieć pewność i tonął w marzeniach słodkiej przyszłości. Ta uprzedzająca uprzejmość spoufaliła nas i ośmieliła, ubiegaliśmy się chciwie, ażeby bliżej przystąpić, ażeby dotknąć się rączek i cichsze słówko podrzucić. W takim nastrojeniu zaszedliśmy za przewodniczką naszą do sklepu.

– Ach! Jaka to śliczna kolia – zawołała Rozrzutność. – Żałuję, że nie mam przy sobie pieniędzy; mnie by w niej było do twarzy.

KUPIEC

Odeślę ją, jeżeli pani rozkażesz?

MIŁOSZ

Ja panią najchętniej zastąpię pod warunkiem, aby mnie wolno było odnieść ją.

ROZRZUTNOŚĆ

Comme vous êtes aimable, monsieur! Przyrzekam, iż pan mnie sam w nią ubierzesz i pierwszy osądzisz, jak wyglądam.

SZCZYPKA

A mnie może pani pozwolisz przynajmniej rozebrać z niej i ostatnimi podziwiać swoje wdzięki.

ROZRZUTNOŚĆ

Zgoda! Nie będę już potrzebować panny służącej, mając takich przyjemnych zastępców. Panowie będziecie mnie ubierać i rozbierać.

KOLANKO

Gdybyśmy tylko mogli się pogodzić! Prawdziwie trudny jest wybór, co przyjemniejsze?

ROZRZUTNOŚĆ

Oboje przykre, bo jestem wymyślna, a dogadzanie takie bardziej by mnie jeszcze popsuło. Chociaż przeciw tylu panom nie mam obrony, musiałabym być uleglejszą. – Ach! Quelle superbe papetterie! [!]

MIŁOSZ

Je m'en charge aussi.

ROZRZUTNOŚĆ

O, nie śmiem pana zbyt obciążać.

MIŁOSZ

Pani mi tylko największą wyświadczysz przyjemność.

PLEWA

Pozwól, że dosyć z ciebie. Tą razą ja już zastąpię, choć nie wiem jeszcze, jaka czeka mnie nagroda.

ROZRZUTNOŚĆ

Najpierwszy liścik na tej ćwiarteczce z różyczką będzie do pana. W tej oto złoconej kopercie: Un billet doux.

PLEWA

Wolałbym ustnie z panią rozmawiać i jej widokiem cieszyć się.

ROZRZUTNOŚĆ

Bez oporu! Kto wie, czy w tym bilecie nie wyznaczę rendez-vous?

KOLANKO

A niechże pani jeszcze wybiera, ażebym i ja miał co odnieść.

ROZRZUTNOŚĆ

O! Panowie wynieśliście cały magazyn, a tu wybierać nietrudno, tyle jest rzeczy prześlicznych. Możeż być co ładniejszego nad te turkusowe kulczyki, w guście najnowszym jak chińska wieżyczka?

KOLANKO

Dobrze! Dobrze! Ja panią zastąpię.

ROZRZUTNOŚĆ

Nie, nie, bardzo proszę. – Czyż wszystko kupować, co się podoba?

KOLANKO

Już kupione.

ROZRZUTNOŚĆ

Dźwięk ich przypominać mi będzie pańską przyjemną wymowę.

KOLANKO

O! Gdyby zarazem mógł chęci moje tłumaczyć, za mną bez ustanku wstawiać się i prosić.

ROZRZUTNOŚĆ

Pan nie potrzebujesz pośredników, bo ja panu samemu nic nie odmawiam.

KOLANKO

Chciej pani słowa dotrzymać i nie zapomnieć tego oświadczenia.

ROZRZUTNOŚĆ

Zapiszę sobie dla większej pewności. Gdybym grymasowała, odwołaj się pan do pisma. A przy tym tylu masz świadków, przegrałabym w każdym sądzie.

To mówiąc dobyła z torby chustkę i pugilares, a klucz wypadł na ziemię, podniósł go Karol i nie spieszył się z oddawaniem.

SZCZYPKA

To może od serca pani, które dlatego tak jest nieczułe, że zamknięte?

KAROL

W takim razie byłoby niebezpiecznie dłużej go zatrzymywać.

ROZRZUTNOŚĆ

O! Nie od serca; bobym natychmiast zażądała zwrotu, aby nie popaść w niewolę. Jest to klucz od mojego gabinetu do drzwi pobocznych. Wejść wygodnie drzwiami głównymi, a panowie odnosząc mi łaskawie te bagatelki będziecie mieli wstęp wolny każdego czasu, choćby mnie w domu nie było.

KAROL

Zasługujcież się! Ja będę waszym oddźwiernym.

ROZRZUTNOŚĆ

Byle tylko niezbyt surowym.

KOLANKO

I nie zazdrosnym.

ROZRZUTNOŚĆ

Co za przepyszna frontoniera! Brylanty pierwszej wody! Jaka jej cena?

KUPIEC

To nie na sprzedaż Pan Bywało kazał ją przerobić ze starożytnego żoninego diademu.

ROZRZUTNOŚĆ

Pan Bywało? Wszakże to dla mnie. Jaki uprzejmy! Pamiętał o moich imieninach! C'est extrêmemment obligeant! Ja sama o tym zapomniałam. Pan wiesz, ile on upominków sprowadzał mi zawsze przez pana z Paryża i z Drezn. Nie opuścił żadnej sposobności, bardzo jestem mu wdzięczną. Ile się należy za to przerobienie?

KUPIEC

W każdym razie musiałbym się wprzód dowiedzieć...

ROZRZUTNOŚĆ

grożąc paluszką słodziutko

Ej! ej! Wypadniesz pan z łaski.

KUPIEC

Jeżeli pani bierzesz na swoją odpowiedzialność.

ROZRZUTNOŚĆ

Spuść się pan na mnie i bądź spokojny. Nie mam teraz przy sobie pieniędzy...

SZCZYPKA

Ja panią wyręcę i odniosę tę frontonierę, aby żadnemu z nas krzywdy nie było.

ROZRZUTNOŚĆ

Nie mów pan krzywdy, aby się pan Karol nie żalił.

KAROL

chowając klucz do kieszeni

Wszakże ja, pani, mam także coś odnieść.

ROZRZUTNOŚĆ

z uśmiechem

Spodziewam się. –

Nazajutrz napisał list pan Bywało prosząc o odesłanie czołka. Odpisała Rozrzutność na papierku woniejącym, z różyczką: „że zasługuje na taką bagatelkę za tyle poświęceń, których dała dowody i jeszcze dać jest gotowa”. U spodu stało drobniutkimi literami: „aujourd’hui à huit heures”. Związki pana Bywały z Rozrzutnością były już wtedy nadwątlone cokolwiek, równie jak jego majątek. Nie było już tak, jak bywało. O ósmej dnia tego widziano go w teatrze, a za naczółkiem posłał powtórnie upominając się naprzykrzenie, bo nastawała żona, Bóg wie co nie wygadując, przez zazdrość zapewne. Mąż tedy Rozrzutności, nie tyle zazdrośny, poszukał sam Bywałe, aby go na nowo pojednać i ułagodzić.

Przed tygodniem odwiedzał Rozrzutność pękaty Światłogłaz. Po dawnej przyjaźni i jako świeżego krewnego (bliższego może, jakby się komu zdawało) przyjęła go w swojej sypialni w wielkim negliżu. Mąż odszedł, bo nie był jeszcze ubrany. Mnóstwo prześlicznych pamiątek leżało na gotowalni, po stołach i na kominku. Każda z nich miała swoje nazwisko, najwięcej było Bywałów. Znajdowało się i noszenie Miłosz, i papetterie [!] paryska Plewa, i kolczyki Kolanko, jak chińska wieżyczka, i brylantowe czołko, i klucz od drzwi pobocznych, i dużo jeszcze innych nazwisk krajowych i zagranicznych.

– Tylko od ciebie, drogi kuzynku, żadnej nie mam jeszcze bagatelki.

– Przyślę ci, mein Liebchen, szal turecki, aby i Światłogłaz był dniem i nocą w twoim bu-duarze.

– Pozwolę mu – odpowiedziała Rozrzutność.

– Patrzaj! – mówiła później mężowi – paradny dyftek! Wart z dwieście dukatów; grosza za niego nie dałeś. I ty śmiesz mówić, że wzięłaś żonę bez posagu? Idźże dziś grać, może co wygrasz. Wstydź się! Już się wałęsasz nieczynnie dni kilka. Mężczyzna bez gry obejść się nie może. A ja pojedę do lasku na podwieczorek, bo zmówiliśmy się z kuzynkiem.

– Chodź! Chodź! – mówił mi Karol – a spiesz się.

– Gdzież znowu?

– Nie pytaj gdzie; z wizytą.

– Z wizytą? To może potrzeba frak wziąć, ażeby kto nie zachorował?

– Co, frak? Jeżeli chcesz być wyśmiany. Widać, że nie czytałeś jeszcze kodeksu. Co innego wieczorem, a co innego w południe, zapytaj się Łaskawcy.

Szczególniejsza to była wizyta: w teatrze bez muzyki, bez świateł. Liczne zgromadzenie znajdowało się rozrzucone pomiędzy kulisami, tak że jedni drugich widzieć nie mogli.

Po scenie chodziła w długim aksamitnym burnusie Twarz Pąsowa:

Łzy płomieniste płyną każdej nocy,
Gdybyż nie kochać było w naszej mocy!
Dziki to zwyczaj, który pierś lękliwą

Wzywa do zeznań, na przyszłość wątpliwą
Każe przyrzekać, na co siły nie mam,
I zaprzysięgać, czego nie dotrzymam.

SZCZYPKA

wchodząc

Pan Alfons czeka, czy odwiedzić może?

TWARZ PAŚOWA

Znowu pan Alfons! Znowu! Wielki Boże!
Dobrze, niech przyjdzie, lecz mnie nie obaczy.
Odtąd już sobie poczynam inaczej;
Miejsce to Julia zastąpi godziwiej;
Lecz czyliż z sobą byliby szczęśliwi?

Chwytając za rękę Szczypka

Prawda, wybornie nam idzie? Jakże mnie znachodzisz? Czy dobrze wyglądam?

SZCZYPKA

klaniając się

Wyśmienicie.

GŁOS CIENKI

za kulisami

Co za kokieta!

GŁOS GRUBY

za kulisami

Młoda, a pani stara.

GŁOS CIENKI

Bez gniewu; to jest jej rola, gra dobrze.

GŁOS GRUBY

Choć w życiu nie miała wprawy.

GŁOS CIENKI

Świat cały jest tylko komedią.

GŁOS GRUBY

wydęto i przytłumienie

Hoho – hoho!

GŁOS TWARDY

Dalej na miejsca. Czegóż jeszcze czeka Szczypka? Nie zapominaj, żeś lokaj, bo gotów jesteś i jutro stać niepotrzebnie. Ty powinieneś odejść, jak tylko pani powiada: „dobrze, niech przyjdzie”. A jemu chciałoby się ścisnąć za rękę.

Szczypka ucieka, wchodzi Miłosz

TWARZ PAŚOWA

nadstawiając rękę ze słodkim uśmiechem

Ten bukiet kwiatów uzbieranych skrycie.

MIŁOSZ

całując w rękę

Gdy go mam z ręki droższej mi nad życie!

TWARZ BLADA

z bukietem w ręku

Nie bałamućcież, bo i jutro będziecie bałamucili. Pani powinnaś już odejść, to moja zaczyna się rola.

TWARZ PAŚOWA

Umiem ją na pamięć i odegrałabym dobrze.

TWARZ BLADA

Wątpię! Do niej potrzeba mniej przymusu, mniej udania, a więcej prawdziwego uczucia.

TWARZ PAŚOWA

Alboż ja przymuszam się? Może się męczę?

Obciera twarz chustką

Nie wiem, która z nas udaje?

TWARZ BLADA

Udajemy tu wszyscy, są jednak różnice i łatwo się na nich poznać.

TWARZ PAŚOWA

O! Nie poznawaj się pani, aby się i na pani nie poznano.

TWARZ BLADA

Na cóż narażać się na śmiech i politowanie? Odejdź raz pani, bo jesteś tu niepotrzebną, tylko zawadzasz. Nietrudno dorozumieć się, dlaczego te fochy!

TWARZ PAŚOWA

Otóż zostanę, umyślnie zostanę, aby się przypatrywać tej grze wybornej, temu prawdziwemu uczuciu.

TWARZ BLADA

Otóż umyślnie grać będę z całym zapałem i przejęciem.

Podaje bukiet Miłoszowi

Ten bukiet kwiatów uzbieranych skrycie.

MIŁOSZ

całując Twarz Błądą

Gdy go mam z ręki droższej mi nad życie.

TWARZ PAŚOWA

ze łzami

Ona mnie afrontowała, ona jest prostytutką, grubianką. Wszyscy byli świadkami, ja grać nie będę z Twarzą Bładą.

Odchodzi

TWARZ BŁADA

Tak się zapomnieć! Tak się poniżyć! Ja grać nie będę z Twarzą Paśową. Jest to osoba bez wychowania, ja nią pogardzam.

Odchodzi

KOŁNIERZYKOWY

I o cóż im chodzi? Co za dzieciństwo!

GRANDE DAMA

Nie będzie zgody pomiędzy nimi, są to przyrodzone przeciwności.

KAROL

Nie ze wszystkim, nie we wszystkim.

SZCZYPKA

Niechże mi kto wytłumaczy, dlaczego o mnie się nie pokłócili? Serce kobiety jest trudną zagadką.

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

Ależ bo nie kłóciły się o nikogo. Nie gadajcie tylko! Musiały mieć jakąś dawną rankiune i słówko po słówku przyszło do przymówek. Dajmy sobie słowo, że nie będziemy rozgłaszać tego zdarzenia; to nieładnie.

GIL

C'est juste, cachons le secret!

– Teraz chodź ze mną – rzekłem Karolowi – oddam ci wet za wet, zaprowadzę na nową scenę miłosną, na miejsce umówionej schadzki.

– To chyba sam umówiłeś się – rzekł Karol – bo jak-żebyś wiedział o tym, co zwykle najskrytszą jest tajemnicą?

– Przypadek, mój przyjacielu! Przypadek płata modnym paniom ogromne figle w miłoskach, wydaje nieraz największe skrytości; jest on jak zastawiona łapka na myszy, która w nią wlezie, tłucze się nieboraczka i doczeka dnia białego, aż ją wszyscy obaczą. Mówiłeś mi kiedyś, jak się nazywa ta młoda pani, którąśmy wczoraj widzieli z Wyłogiem, przechadzających się przy świetle księżycy w noc późną; wieszże, gdzie ich oboje można przydybać w tej chwili? W kaplicy średniej na prawo, w ławce pobocznej, oko w oko i dłoń w dłoń.

– Coś za dokładnie, jak gdyby duchem proroczym – powiedział Karol.

– Bynajmniej! Powtarzam tylko ich pożegnanie wczorajsze. Lecz chodź obaczyć, przypatrzmy się jeszcze jednej miłostce.

– Ależ to – rzekł Karol – nie należy już do miłostek.

– Do czegoż więc? – zapytałem zdziwiony.

KAROL

Do pobożności świata wielkiego.

POBOŻNOŚĆ WIELKIEGO ŚWIATA

WIZYTA ÓSMA

Część pierwsza

Wyraz pobożność zawiera po części w samym składzie tłumaczenie swej myśli, oznacza on postępowanie po woli bożej, a zatem Bogu się podobające. Ponieważ zaś prosty jest wniosek, iż czyje uczynki Bogu są przyjemne, ten ulubieńcem jest bożym, kuszono się zatem od wieków u wszystkich narodów o pobożność. – Aby jej nabyć, ileż nie zaprowadzano przepisów, prawideł, obchodów, obrządków, słowem zakonów, które mają być jej teorią. Ależ czyż można nauczyć cnoty zasadzającej się na czystym uczuciu i wewnętrznym przyjęciu? A nauczona czyż jeszcze cnotą będzie? Już sama wiara w Boga, która jest jedyną posadą wszelkiej pobożności, jakąż może mieć moc i wartość, jeżeli pochodzi z nauki? Jeżeli nie płynie z głębi własnego uczucia i przekonania, tylko stała się naśladownictwem obcych uczuć i przekonań? Jak w naśladownictwie w ogóle upatrzyliśmy wszystkie cechy niezgrabności, niestosowności i śmieszności, składających parafiańszczyznę, jak wyokazaliśmy parafiańską grzeczność, przyjaźń, uczciwość itd., tak też bywa i parafiańska wiara, i pobożność; a gdzież znowu łatwiej znaleźć je niż na wielkim świecie, którego głównym żywiołem jest małpiarstwo, który jak nawykł nosić perły woskowe i z brylantami czeskie mieszać kamienie¹, tak też cnotę wszystkich używa w udawaniu! A byle tylko była cierpliwość i nie odstraszały nudy, najłatwiej jest udawać pobożność, bo znachodzimy gotowe opisy jej powierzchowności, wyliczone wszystkie znamiona prawdziwe i za prawdziwe przyjęte, po których ją poznają. Ale im łatwiejszą udana pobożność, tym trudniejszą jest rzeczywista; im pospolitszą nabyta w spadku albo kupiona za pieniądze, tym rzadszą wysnuta z własnej piersi, jak wewnętrzne istoty naszej bogactwo. Można być przykrym i grubianinem w domu, a uprzejmym i grzecznym w salonie; ale pobożnym nie może być w kościele, kto nim w domu nie jest. Zmieniamy postępowanie według różnicy osób i stosunków z nimi; inaczej znachodzimy się na pokojach królewskich, a inaczej wśród poufałych przyjaciół; pochodzi to z uznania, co ludziom winni jesteśmy, jest więc poludzkiem; ale pobożność wynikająca z uznania powinności naszych ku Bogu, który jest zawsze ten sam i wszędzie przytomny, nie powinna by zmianom ulegać, ani przerywać się i ustawać, ani zależeć od miejsca i czasu. Albo zawsze i wszędzie trzeba być pobożnym, albo nie jest się nim zupełnie. Dlatego wyszukiwanie miejsca i czasu, w których by pokazywać się pobożnymi, jest albo obłudą chwalby szukającą, albo grubą pogańską niewiadomością, materialnym pojmowaniem Boga.

Również śmiesznymi są oznaki pobożności, jeżeli je tylko w pewnych chwilach zachowujemy; tak np. jeżeli zdejmowanie kapelusza w kościele ma swoją rozsądną przyczynę, tobyśmy całe życie z odkrytymi głowami chodzić powinni, bo tenże sam Bóg jest i za kościołem, a nie zechcemy podobno oddawać większej części biskupowi jak Bogu. – Prawdziwa poboż-

ność jest własnością duszy, jak zmysły ciała własnością. Pojęcia o Bogu czyste lub mniej czyste, natchnione lub narzucone, wzmagają ją lub głuszają, zapalają lub gaszą – Widzący nie może nie widzieć i pobożny nie może być niepobożnym. Przerwana zatem pobożność, nie ciągła, jest zawsze tylko udaną, bo nie wypływa z uznania wiecznej przytomności bożej i czci jemu należnej, ale zawisa od naszej woli i ochoty. Nie jest więc własnością duszy, tylko przydatkiem, jak okulary nie są wzrokiem; wdziewamy je lub odrzucamy według upodobania lub potrzeby. Przypatrujemy się z miłością wdziękom i cudom przyrodzenia, serce nasze namaca w nich stwórcę, który je ożywia, przejmie się jego wielkością i chwałą; a sama z siebie rozwinięta w duszy pobożność, nie trzeba jej będzie wszczepiać cudzą nauką ani do niej z trudnością nawykać, ani pobudzać jej miechem organów, śpiewem chóralnym i wystawnością zmysłową, jakby ostrymi bodźcami bydle leniwe. Źle jest z oczyma, których potrzeba uczyć patrzenia! Obieranie miejsc, oznaczenie godzin i form dla pobożności jest zupełnym zapoznaniem jej istoty, nadto sprzeciwia się zasadom Chrystusa i jego apostołów, uczących, aby pobożności nie wystawiać jak towar na widok publiczny, aby modlić się bez przestanku i ducha nie gasić. Łzy są bezsprzecznie szczerym objawieniem boleści, a przecież najcięższy smutek wylany we łzach ulżywa sercu, traci swą siłę i wreszcie przestaje być smutkiem; podobniez ubywa mocy każdemu uczuciu, skoro się wynurza z głębi wewnętrzności swojej i wysila w znaki powierzchowne ze skupionego życia duchowego.

Prawdziwa pobożność jest uczuciem najmniej cielesnym, ukrywa się ona chętnie przed ludzkim okiem w cieniu rozmyślań i rozpamiętywań. Tylko gruba zmysłowość w wiekach małości duszy ubrała ją w ciało, przepisała jej powierzchowność jak mundur po formie. I cóż powiemy o tych, którzy postyszawszy, że łzy są oznaką boleści, mają je zawsze na zawołaniu, ażeby smutek innym pokazać? Oto są oni mniej jeszcze obłudni i szkodliwi od pokazujących się pobożnymi. Czyliż pobożność sama przez się skłoniłaby kogo do klęczeń, krzyżowań, postów i tym podobnych powierzchowności, gdyby nie wiedział z obcych przykładów i nauk, że tak oznacza się pobożność? Miałażby zatem ze wszystkich uczuć serca i ze wszystkich władz duszy jedna tylko pobożność rozwijać się w znakach narzuconych, nie zaś koniecznych, z istoty jej wypływających? Płacz szczerzy czy udany może zawsze cel jeden osiągnąć i ludzką litość obudzić; ale na cóż miałażby pobożność widomą postać przybierać? Pośredniczka pomiędzy nami a Bogiem czyliż sądzi, że go pozorami oszuka lub w głębi serca dostrzeżoną nie będzie? „Wie ojciec wasz, czego potrzebujecie, pierwszej niżbyście go prosili”. Dla tych tylko potrzebują myśli i uczucia słów albo znaków, którzy inaczej postrzec ich nie mogą; widoma zatem pobożność jest pobożnością dla ludzi, nie Boga, jest wystawą na widok publiczny owocu, który w utajeniu tylko ma całą moc i wartość. Co gorsza, umysły oddane pieczołowaniu świata tego, powierzchowne i zgłębiać nie-nawykłe, biorą najczęściej pozory za samą istotę, suknię za człowieka; a uznawszy raz potrzebę pobożności, radzi, że im z łatwością przychodzi, nie nateżają myśli, nie zaprzęta duszy, nie zabiera czasu od uciech i próżnowania, nie sprzeciwia się ich próżnościom, namiętnościom i wadom; zatem widoma pobożność nie tylko nie jest dobrym przykładem dla drugich, ale nawet istotnym zepsuciem i zgorzeniem, bo ułatwia uspienie działalności wewnętrznej i wbrew słowom apostoła zadusza słowo, ducha gasi.

Miłość wyradza się na wielkim świecie w udanie, które nazwaliśmy miłostkami, a pobożność w udanie, które, zgromione z największym oburzeniem przez Chrystusa, za czasów jego nazywało się faryzeuszostwem, a teraz najwłaściwiej podobno nazwać by go jezuityzmem. Jest on w istocie swojej dwojaki: albo ma w dobrej wierze wszystkie przyjęte oznaki pobożności za samą pobożność i wykonywa je często dniami i nocą z poświęceniem innych zatrudnień i przyjemności; albo używa ich chytrze z przesadzoną nawet gorliwością dla zwrócenia ludzkich oczu na siebie, dla zjednania sobie u ludzi znaczenia i chwały. „A wszystkie sprawy swe czynią, aby byli widziani od ludzi”. „Mający poniekąd pozór pobożności, lecz się mocy jej zapierający”. Pobożność wymaga zastanowień, rozmyślań, poświęceń, surowej baczności

na każdy postępek, ciągłego czuwania nad sobą, szczerości, jednostajności w uczynkach jawnych i skrytych, miłości bliźniego i zrzeczenia się próżności światowych. Dlatego z płaczem powiedział Paweł apostoł: „iż są nieprzyjaciółmi krzyża Chrystusowego, którzy ziemskie rzeczy miłują”.

Przeciwnie, jezuityzm bardzo jest dogodny i łatwy. Wzbrania on rozumowi wolności w dochodzeniu i roztrząsaniu, chce ślepej wiary i ufności w swoje powagi, a cudze za nic uważa, bo cudze; lubi wykwinność, wystawność i pozłotki, tak się łąsi i układa przed Bogiem, tak mu kadzi i podchlebia, jakby chciał uwieść dziewczynę; a nie wymaga tylko w pewnych dniach albo godzinach pewnych zachowań i znaków, które zastępują pobożność jak gościa wizytowe bilety. Byle odbyć tę świętą pańszczyznę, może pobożny zapomnieć o Bogu, i tak też robi najczęściej. Po czymże się poznaje prawdziwa pobożność? A dlaczego miałaby się poznawać? Wszakże ci nie jest dla ludzi, a Bóg ją obaczy bez znaków, pozna duchowo. Uczyc pobożności jest jedno, co zwodzić i oszukiwać, a mieć nauczoną, to samo co jej nie mieć, co być oszukanym. Wiara jest wynikiłością zastanowień i przekonania, a pobożności nasieniem. Żywa i rozsądna wiara rodzi żywą i rozsądną pobożność, a martwa martwą i ślepą.

Krzew jej rozrasta się w duszy sam przez się z siły wewnętrznej, z gorącości własnego ognia, przynosi zatem owoce według istoty swojej, nie zaś według cudzych poleceń. I kiedyż to zostawiona sama sobie, nie zepsuta nauką pobożności, wydała klęczenia, posty, pokłony? Jakże mogła dusza uczuć potrzebę tych obojętnych dla niej zachowań cielesnych? Były to czyjeś przywidzenia, równie jak święte kąpiele, krwawe ofiary i biczowania pokutne; dlaczegoż je wszystkim narzucać i piętnować nimi pobożność? Były one kiedyś szczegółową, osobistą pobożnością, lecz nie są nią więcej dla tych, którzy ich potrzeby nie czują, ich znaczenia nie wiedzą i pełnią tylko dla zwyczaju, bo powiadają: tak każe religia. I któż to jest ta religia? Pan nauczyciel. – A słowa moje nie sąż słowami nauczyciela? Ale przewidywał apostoł: „czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpła, ale według swojej pożądlivosti nagromadzą sobie uczycielów, mając świerzbiące uszy”.

Czujemy często istotną potrzebę, popęd wewnętrzny myśleć i czuć do Boga i o Bogu; ale nie powiada nam to naleganie: weź książkę i módl się; bo cudze myśli i uczucia nie mogą być naszą pobożnością. – Nie można także miotanemu wrażeniami sercu powiedzieć: „Zaczekaj! W niedzielę na mszy podziękujesz za wszystkie dobrodziejstwa i przyjemności, użalisz się za wszystkie strapienia doznane w ciągu tygodnia”. Uczucie tymczasem ostygnie, zapał przeminie, trzeba go będzie w niedzielę na pamięć podżegać i wymuszać, przedstawiać mu, iż to nieładnie zasypiać, a co było w dzień powszechni prawdziwą pobożnością, staje się w niedzielę prawdziwą pańszczyzną i obłudą.

Czymże są święta dla pobożności naszej? Serce spokojne, które uczuciami przepełnione nie jest, którego żywe zdarzenia do objawień nie prą, czyliż się będzie dla nazwiska dnia modlić prawdziwiej? Nie jestże modlitwa jego tylko zimnym nałogiem i niewolą? Otóż są skutki nauczonej pobożności. Przywiązujemy ją do miejsca, odkładamy do dni i godzin, a uczucie tymczasem nie czeka, myśli przechodzą, ani się dadzą odłożyć i wznowić, ani wznowione sztucznie są owymi pierwszymi, prawdziwymi. Uczucie wzbiera i przejmuje nas gdziekolwiek i kiedykolwiek, oddajmyż się mu zupełnie, czynmy to tylko, czego po nas wymaga i wtedy kiedy wymaga, a będziemy pobożni i zewnątrz, to jest w uczynkach. – Tak np. pobożnością jest to *Pismo*.

Ścigany przez Saula psalmista, prześladowany przez Absalona i Sebę, otoczony przez Filistynów, Syryjczyków i tysiącznych innych nieprzyjaciół, klnie im i złorzeczy, raduje się z klęsk ich, poniżenia i zatury, spowiada się Dawid, drugi król izraelski, któremu przypisuje się autorstwo Psalmów, w młodości był ulubieńcem króla Saula, popadłszy w niełaskę musiał uchodzić z kraju. Po śmierci Saula został królem judzkim Hebronu, pobił wówczas Filistynów i innych szczerze przed Bogiem ze swego zawzięcia i swoich pożądlivosti, pewien, że go zastanie gotowego do zemsty:

Panie, ścigaj wrogi moje,
I zaczepiaj zaczepiaczy;
Weźmij tarcze, weźmij zbroje,
Wstań na pomoc mej rozpaczy,
Ugodź ostrzem twojej piki,
Niech rozproszy napastniki,
Potem powiedz mojej duszy,
Jam ci twierdzą, któż cię wzruszy.

Nabożny umysł jego zwracał się w każdej okoliczności życia do Boga; w każdym zdarzeniu, w radości i w smutku, uczucia jego cisnęły się gwałtem w słowa, były ustawiczną modlitwą:

Boże, ilekroć do ciebie mi przyszło
W potrzebie mojej serce me otwierać,
Zawszem to poznał, zawsze na to wyszło,
Żeś ty mym Bogiem i lubisz mnie wspierać.

A my czyliż już żadnych własnych potrzeb nie mamy? Czyliż już Bóg nie dopuszcza na nas utrapień, ani wyświadcza nam dobrodziejstw? – że potrzebujemy dopiero dowiadywać się z ksiązek pisanych gdzieś w Paryżu albo w Berlinie, jak modlić się, o co prosić, a za co dziękować. Czyliż nas także prześladowuje Samej, zdradza Doeg i ciemieżą Idumejczykowie? Czyliż nie mamy wrogów i gnębicieli, od których chcielibyśmy, aby Bóg nas uwolnił? I dlaczegoż modlitwa nasza nie jest wolnym zwierzeniem naszych potrzeb i życzeń, tylko przyznawaniem się do obcego krasomówstwa, jak gdyby Bóg dał się oszukać i wziął dutków za pawie, kiedy je w pawim pirzu obaczy. Nie układali *Psalmów* Dawidowi Ammonici, rodziła je dusza jego z własnych wnętrzości; czemuż nam piszą modlitwy nasi nieprzyjaciele? Gdyby kto utrzymywał, że modlić się bez cudzej pomocy nie umie, niech się nie modli, a Bóg będzie miłościw głupocie jego. „Albowiem tego, o co byśmy prosić mieli, jakoby potrzeba, nie wiemy; ale samże Duch prosi za nami wzdychaniami niewymownymi. A ten, który wypatruje serca, wie, czego Duch pożąda”.

Istotnie lepiej jest nie modlić się zupełnie, niżeli modlić nieszczerze, to jest bez wewnętrznego duszy popędu, bez własnej modlitwy. Lepiej nie być pobożnym, niżeli przywłaściwszy sobie pobożność przybraną zagrozić na zawsze przystęp prawdziwej pobożności. Niepobożny może się pod wpływem ważnych zdarzeń nawrócić, wielkie pomyślności lub klęski mogą unieść myśl jego ku Bogu, o którym dawniej nie myślał, mogą go przeniknąć odpowiednim uczuciem, jakie zostanie na przyszłość stróżem i kierownikiem jego uczynków, a zatem wzniecić prawdziwą pobożność; ale posiadających nauczoną największe okoliczności nie czynią mędrszymi ani lepszymi, owszem, zatwardzają ich tylko w obłudzie; więc odprawiają większy szereg modlitw na swoich książeczkach, poszczą surowiej i dłużej, rozbijają pierś potężniej, klęczą na gołym kamieniu. Zaślepieni! Sądząc się w posiadaniu pobożności odpychają ją; im dłużej wytrwają w udawaniu, tym mają się za pobożniej szych, wyklinają nie znających tych przepisów, idących za własnym głosem wewnętrznym, a przecież „ci zakonu nie mający, sami sobie są zakonem, którzy okazują dzieła zakonu napisane na sercach swoich”.

Jak prawdziwej pobożności nie trzeba znaków, tak pietycyzm, przeciwnie, zasadza się tylko na znakach. Żegna się codziennie, odmawia poranne i wieczorne pacierze, odwiedza kościoły, odczytuje modlitwy, układa się i unia, a jak się raz oderwie od tej pobożności, jak się jej zbędzie, zaczyna obmawiać, szuka tajemnych schadzek i intryg, śledzi i donosi, narusza

spokojność bliźniego, psuje małżeństwa, zazdrości powodzenia, przemyśliwa nad zemstą, zastawia sidła, szkodzi pokątnie, pokrzywdzą sługi, kłóci sąsiady, wykreca naukę według swoich widoków i korzyści, jest bez pobłażania i miłosierdzia dla zasad przeciwnych, przeciwko występującym ze słowem i dowodami walczy mieczem, trucizną i przemocą, buduje stopy ogniste, korzysta z łatwowierności słabego umysłu i z niedołężności lat podeszłych, ujmuje podchlebstwami i dogadzaniem słabościom, obiecuje, straszy i potępia. Nie dziwujmy się zatem, jeżeli toż samo gorące westchnienie, które dobyło się z piersi modnej pani na sumie, usłyszymy znowu wieczorem nad głową rozpustnika. W obydwóch nie miało serce udziału. Nauczyła ich wprawa, a zwyczaj powtarza.

Powiedcież mi, i któraż z tych wielkoświatowych elegantek mających związki tajemne i miłości pokątne, obmawiających codziennie, wyśmiewających szczerłość i prostactwo, podkopujących cudze życzenia i zamiary, dumnych ze swoich tytułów i bogactw, pogardzających pospółstwem, zazdroszczących sobie wzajemnie wdzięków, stroików, powozów, kochanków i grzechów; któraż z nich, powiadam, nie bywa w kościele, nie pości w piątki, nie odmawia modlitw setkami, nie wznosi oczą do nieba, nie wzdycha, nie klęka, nie tłucze się w piersi, nie żegna się i nie spowiada, nie ozdabia ołtarzy własnoręczną robotą i nie ubiera czeladzi bożej w liberię przenoszoną na sobie? Któraż z nich nie jest nabożna? Otóż pobożność świata wielkiego. Gdyby im powiedziano, że dla pobożności potrzeba sposób życia odmienić, namiętności swoje powściągać, światowe ozdóbki porzucić, przyjaźnią światową pogardzić, ludziom się nie podobać, czubów i stroików zaniechać, wszystkich za równych uważać i jako braci miłować, urazy odpuszczać i nosa nie zadzierać, to prędko wyrzekłyby się takiej pobożności; ale klęczeć i pościć, i modlić się, to łatwo. Co szkodzi być pobożnym, kiedy to za wielką liczy się zasługę, a nie sprzeciwia się chuciom, stosuje się do gustów jak grzeczny zalotnik.

Istotnie, panie wielkie uważają pobożność za swego kochanka, którego pieścą i całują, ażeby tylko był ich narzędziem i niewolnikiem. Pietyści nie chcą w przedmiotach wiary używać najgłówniejszego daru bożego, to jest własnego rozumu, spuszczają się oni ślepo na zwyczaj, jaki zastali, i nauczycielów, sądząc, iż tym sposobem za dusze swoje odpowiedzialnymi nie będą; jak gdyby to już nie było kary godnym przestępstwem przytłumiać światło, jakie Bóg w piersiach naszych zapalił nie przez pomyłkę podobno. W ich przekonaniu, od kiedy mamy naukę Chrystusa, rozum rodzajowi ludzkiemu całkiem jest niepotrzebny, owszem szkodliwy, bo uzuchwała do kacerstw i na zboczenia prowadzi; wydziwić się zatem Bogu nie mogą, że go nie odjął. Domyślają się jednak, iż to uczynił, aby ich doświadczał, czy go używać nie będą, jak pierwsi rodzice z drzewa wiadomości złego i dobrego. – Więc dla zbawienia duszy chronią się tego szczególnie. Błogosławieni ubodzy w duchu! Jasio i Maciek.

Kiedy pobożność wielkiego świata nie chce być inszą, tylko nabytą, tylko posłuszną, a chlubi się z przykazań Chrystusowych i jego apostołów, obaczmyż, czy je zna i wykonuje? Czy nie wyklada ich według swojej woli i potrzeby? Czy nie odrzuca trudniejszych, zachowując tylko łatwiejsze? Zaiste zasady chrześcijańskie są nieraz za surowe, po części nawet niestosowne i przesadzone na wiek nasz; lecz kto się do nich przyznaje i dlatego nie chce dochodzić własnym rozumem, niechże je pełni zupełnie, nie w tym tylko co dogodne, ale we wszystkim. „Jeżeli chcesz być pobożnym – powiada Chrystus – sprzedaj, co masz, i daj ubogim”; „nie troszcz się o jutrze, albowiem jutrzejszy dzień o swoje potrzeby troskać się będzie”.

Wykonując to przykazanie nie mieli pierwsi chrześcijanie żadnych wyłącznych własności, ale było u nich wszystko wspólne, a nawet Piotr apostoł ukarał śmiercią Ananiasza i Safirę, że z pieniędzy wziętych za przedaną swą osiadłość, kiedy je według zwyczaju składali na własność ogółu, część jakąś utaili dla siebie. Było to główną zasadą chrześcijaństwa, nie mieć własności.

I gdzie są dziś chrześcijanie pobożni? Nazwisko tylko zostało w sukcesji po ojcach, jak martwy tytuł bez znaczenia i urzędu. Noszą go ludzie bogaci i chciwi, żyjący w zbytkach i przepychu. Jest to dziwactwem próżności przyznawać się do nie swojego, chociażby było i gorsze. Ubogi udaje bogatego, a bogacz kuli się i skąpi. Szlachcic polski chciałby za hrabiego uchodzić, a ten, który trząśł narodami i królom rozkazywał, nazwał się sługą sług. Pogani nazwali się chrześcijanami.

Polecił Jezus uczniom swoim: „Nie miejcie złota ani srebra, ani pieniędzy w trzosach waszych”; a ci, co trzosa ładują, zowią się dziś uczniami jego. Jeżeli tacy są nauczyciele, cóż będzie z samą nauką? Co gorsza, bez majątku teraz ledwie troszeczkę pobożnym być można; aby być bardzo pobożnym, trzeba być bardzo bogatym.

Pierwsi chrześcijanie mieli się wszyscy za synów bożych, nazwali się wszyscy pomiędzy sobą świętymi; apostołowie przyznawali im ten zaszczyt bez żadnych dalszych dowodów i opłat; teraz za nazwisko świętego drogo potrzeba zapłacić.

I jakże tu świętym zostać bez majątku? Postanowiono ceny na odpusty grzechów, na kości i ciała świętych, według zdania wielu do zbawienia bardzo pomocne. Ale nie ma zarobku w tym handlu, bo ożywionym nie jest. Kupują wprawdzie ludzie duszne zbawienie, ale od ludzi i diabeł go już nie kupuje, od kiedy został oszukany przez Twardowskiego. Pomagają zatem do zbawienia pieniądze, a to według słów Chrystusowych: „łatwiej jest wielbłądowi i przez dziurę igielną przejść, niż bogatemu wniknąć do Królestwa Niebieskiego”.

Pojrzyjmy wokoło nas, najnabożniejsi na wielkim świecie nie są najbogatsi? Stary Brewiarz jest najpobożniejszy, bo nosi kilka duchownych orderów. Ecce typus christiani militis! Jeszcze tej potrzeba było pobożnym wystawności, a nie można już wątpić w ich pobożność. – Żona jego ma także wstęgę niebieską, na dowód, że pomyliło się Pismo mówiąc o porubstwie.

Kiedy był w Rzymie, uzyskał ciało jakiegoś świętego, aby go zawiózł do ojczyzny swojej, zostającej naówczas pod klątwą stolicy apostolskiej, za to, że powstała przeciw uciemieniu greckiego papieża.

Jechał więc w sześciokonnej karecie z nieboszczykiem starszym od siebie, lecz zasuszoną porządnie; a żyjąc z nim w takiej poufałości, ocierając się o niego tak blisko, naciągnął sam w siebie mocy i świętości, jak żelazo przy magnesie leżące. Przy tym podobały mu się uroczyste przyjęcia. Po miastach i miasteczkach wychodzono z procesjami i śpiewem, dzwoniło we wszystkie dzwony. Zaczął więc świętemu zazdrościć. Dowiadywał się pilnie, co robić, ażeby świętym zostać? Objaśniał go Płaszczek Czarny, iż trzeba modlić się długo, pościć surowo, spowiadać się co dzień, słuchać mszy co dzień, budować kościoły i opatrywać klasztory. Zajął tę receptę w słodkiej nadziei; a czarne płaszcze zaczęli go adorować i prawowiernych do tego nakłaniać. Służyli mu jak do mszy, wsadzali go do powozu, całowali go w ręce, przyklękali przed jego oblicznością i klęli się, że już zwietrzyli w nim świętość.

Stary Brewiarz dobrze był stary i miał podagrę, bo nie zawsze było się Brewiarzem. Lękał się narażać nadwątlone zdrowie na zimno i zmiany powietrza; bo pomimo całej żarliwości wiary i pewnej nadziei nie spieszył się do przybytków anielskich, wołał być świętym pomiędzy grzesznymi. Nie lubił także pospólstwa natrętnego i niegrzecznego, jednym słowem, chciał mieć wygodę; więc nie mogąc Boga odwiedzać w kościele, uzyskał pozwolenie zaprosić go do siebie. A i to wiedzieć potrzeba, że, jak Benvenuto Czelini zamknięty w więzieniu wymalował węglem na ścianie Matkę Najświętszą, ażeby miał się modlić do czego, tak i nasz Brewiarz nie mógł się modlić, tylko w miejscu na to poświęconym; całkiem według słów swojego zbawiciela: „Gdy się modlisz, wnidź do komory swojej, a zawarłszy drzwi módl się w skrytości”. Wymurowano stół i osłonięto bogatymi kobiercami, obito ściany pąsowym adamaszkiem, pozawieszano obrazy, powleczono posadzkę dywanami, śpiewano wabiącymi głosami i pokropiono to wszystko wodą zaprawną słowami, ażeby znęcić Boga jak ptaki na lep; bo wyraźnie powiedziało *Pismo*, że „Najwyższy nie mieszka w kościołach ręką uczynionych”.

Do tej kaplicy schodzili się codziennie pobożni świata wielkiego, radzi, że przecież pobożność szlachecka odłączyła się raz od gminnej. Uszczęśliwiony Brewiarz przyjmował wszystkie oznaki głębokiej czci przynależnej ulubieńcowi Boga, którego podejmował u siebie. Kłęcząc na aksamitnej poduszce złotem bramowanej, zatopiony w modlitwie, nieruchomy, wyjąwszy kiedy podnosił rękę, aby nią błogosławić lub do pocałowania ją podawać. Zaiste! Był to papież świecki.

Dziwnymi zaspokajają się sposobami próżność ludzka. Jedni chlubią się psiarnią niezawodną, drudzy stadniną, trzeci wyśmienitym kucharzem, a inni jeszcze nabożeństwem. Jak zapraszają na polowania, na gonitwy lub obiady, tak Brewiarz zapraszał na msze i godzinki, częstował pobożnością i lubił, aby ją zachwalano jak stare wina. Kaplica jego stała się salonem odwiedzin pobożnych, pobożność salonową. O naznaczonej godzinie zjeżdżały się panie stare i młode, z pięknie oprawionymi książeczkami w rękę, w stroikach rannych pełnych wdzięku, elegancji i zalotnictwa, z utrefionymi głowami woniejącymi od różnych olejków i namaszczeń, z perłami i złotymi łańcuszkami na szyi, w świecących kolczykach, czółkach i bransoletkach, wszystko według przykazań apostoelskich: „albowiem niewiasta, jeśli się nie nakrywa, niech się też strzyże. Lecz jeśli sromota niewieście strzyc się albo golić, niechże nakrywa głowę swoją”. „Chcę tego, aby się ubierały ze wstydem i miernością, nie z trefionymi włosami albo złotem, albo perłami, albo w kosztownych szatach”. „Których ochędostwo niech będzie nie ono zwierzchowne w trefieniu włosów albo w noszeniach złotych albo w ubieraniu w szaty. Ale skryty on serdeczny człowiek w nieskażeniu spokojnego i skromnego ducha, który jest przed oblicznością bożą kosztowny”.

Ze wszystkiego tego nie widziałem tylko onego skrytego, serdecznego człowieka; zbliżał się on czasami do pobożnych twarzyczek, wybierając co gładzsze, i ścisnął je boczkiem serdecznie za rączki w uniesieniu religijnym. Odprowadzał je czasami do domu, nie ostygając w świętym zapale i odwołując się zawsze do miłości Boga, do miłości bliźniego, do miłości chrześcijańskiej, jaką starał się rozpalać serca błędnych owieczek. I tak je umiał napełniać miłością, że skrytego człowieka potrzeba było skryć jeszcze więcej, wysyłając gdzie indziej prawić ogniste kazania.

Ochłodziło miasto cokolwiek, nie widząc więcej tego młodzieńczego zapалу, tych ócz płomieniejących, tych rozognionych pełnych policzków i tej prawdziwie patriarchalnej, barczystej budowy. Przybyło pokutnic płaczących w skrytości, odbywających pielgrzymki do obrazów cudownych, do miejsc wsławionych. Niejedna z nich nie oparła się aż gdzieś znowu o skrytego człowieka, jak Ulisses Itaki szukający.

Słodką jest pokuta przypominająca słodkie przestępstwo, lecz zapomnienie jest trudne! Kaplica Brewiarza weszła w modę. W ogólności dobrze się w niej bawiono. Znachodzili tam swoi swoich, zawierając układy na dzień cały. Niejeden ze wzdychających rano dowiadywał się, gdzie będzie mógł wzdychać wieczorem, kiedy będzie koniec jego wzdychaniom, jaka czeka je nagroda. Niejedna zaprawiwszy się na pacierzach ruszać językiem, całe życie odwyknąć nie mogła; a wsunawszy do długiej torby sporą książeczkę odwiedzała znajome jedną po drugiej, odprawiając wszędzie litanie miejskich nowinek. Im więcej się nagadała, tym więcej miała co mówić, obierając się w każdym miejscu nowych plotek i wiadomostek, jak lawina im dłużej leci, tym większą się staje. Biedny dom, w którym rozlała się wieczorem wezbrana już powódź tych litanii! Jakże nie biedny Bóg, który musiał słuchać nudnie j szych przez cały ranek?! O! Jezusie! Jezusie! Synu Boży, jeszcze cię srodze biczują.

Na próżno warował sobie święty Paweł: „świeckie i babskie baśnie odrzucaj”. Hoho! Nie zbędziesz się ich, chociażby od tego zawisł zakon i prorocy.

Nim ksiądz wyszedł ze mszą, przygotowywali zgromadzeni swe dusze. Po zwyczajnych uprzejmych ukłonach i pocałowaniach świętych, jak mówi *Pismo*, schodzili się wokoło i budowali rozmową wyliczającą wszystkich kacerzy i heretyków w mieście. Grande Dama i Twarz Pąsowa przyjmujące żywo inne materie, w teologicznych okazywały się dosyć obojęt-

ne. Najskorsze do wszystkich odmian, do wszystkich nowości w modzie i obyczajach, utrzymywały oziebłe, iż tego trzymać się trzeba, w czym nas wychowano, i zachowywać, jak zachowywali ojcowie. Najżarliwiej ujmowały się Litania, Szkaplerz i Różaniec; sądziły, potępiały i nakazywały modlitwy i posty za dusze potępionych. Niskiego wzrostu tłuste Miłosierdzie wzdychało na boku ze łzami w oczach. Była to jedna wizyta, na której można się było czegoś nauczyć: „ciekawej teologii”, gdyby nie twierdzenie starego Pawła, że „sromota jest niewieście w kościele mówić”, i nakaz, ażeby babie baśnie odrzucać. – Co za niegrzeczny apostoł! Nie podobny do niego on skryty człowiek serdeczny, bo to i naucza, i podobać się umie.

Tak głębokie debaty zaczynały się zwykle od rozmów i postrzeżeń ulotnych.

– Jak gustownie ubrana jest ta kaplica, aż modlić się miło – mówiła Grande Dama.

– A jaki przykładowy, jaki bogobojny jest Brewiarz – odpowiedział Szkaplerz z kosmykiem włosów na czole.

– Wiecie – odezwał się Różaniec – że Anielkę wydają za Ernesta? Nie jesteście to zgubić dziewczynę? Panna przystojna i posażna, warta lepszego losu. Kocha go, mówią, cóż to za przyczyna? Czyste dzieciństwo! Kocha, bo młoda, bo bez doświadczenia. Ale rodzice czuwać powinni. Czyż człowiek, który w kościele nie bywa, który się żegnać nie umie, może pomyślność zapewnić?

PSAŁTERZ

Znam dobrze rodziców Anielki i nie dopuszczę, aby przyzwolili. – Grzech to jest wielki zgubić duszę niewinnej dziewczyny. Może ją Pan Bóg drogami takimi powołuje do służby swojej. Lepiej, że się utrafi docześnie, niż gdyby wiecznie potępioną została. Słyszałam, że Ernest wszystko, co święte, ma za nic. Sama nie znam go jeszcze, nie prezentował mi się. Zwykle tak bywa, kto starszych poważać nie umie, ten nie poważa i Boga.

TWARZ PAŚOWA

Powiadają, iż ma związki tajemne z jakąś aktorką.

LITANIA

Wiemy o nim i więcej. Przeszłego roku, lecz jakoś się to zatarło, uwiódł ubogą dziewczynę, z którą się żenić obiecał. Nieboraczka! Otruła się z rozpacz. Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami! A jaki popędliwy, jakby go szatan opętał. Miota się jak potępieniec i gotów zabić za głupstwo. Arko przymierza, módl się za nami! Serce ma srogie i okrutne; wyrzucił wdowę z kilkorgiem dzieci śród zimy. Wszystkie święte panny i wdowy, módlcie się za nami! Ludziom swym na mszę chodzić zabrania, i wiem z pewnością, że w wiliję Bożego Narodzenia jadł obiad, w wielki piątek kazał upiec kurę, a na Wielkanoc nawet o jaj e święcone nie pytał. Orędowniczko niebieska, zmiłuj się nad nami!

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

Mój Boże! Jaka to teraz młodzież niemoralna. Jeszcze że uwiódł dziewczynę i nie umiał tego załagodzić; źle to jest zapewne, lecz słabość ludzka błędom podlega. Każdemu się zdarzy, chociaż bez skutków tak strasznych. Że wygnał wdowę, bo może go rozjątrzyła. Człowiek jest ze krwi, nie uwierzycie panie, jak ci prostacy umieją dokuczyć. Czynszu nie płaci, pańszczyzny nie robi i jeszcze się zuchwali, rozgniewałby nawet świętego. Trudno jest się powściągnąć. Ale to się niczym nie da usprawiedliwić, że prawidła wiary świętej znieważa, postów nie zachowuje, do kościoła nie chodzi. Zgrzeszyć każdy z nas może, lecz trzeba przynajmniej okazać chęć poprawy.

PSAŁTERZ

Dziś jeszcze będę u rodziców Anielki, powiem im wszystko, przestrzegę ich; nie możemy dopuścić.

KAROL

Nie chcecie panie działać na oślep. Znam dobrze Ernesta. Nie dowiadywałem się wprawdzie, co jada w piątek lub na Wielkanoc, nie wiem, czy na języku ma Boga, ale to wiem, że go ma w sercu. Jest pełen rozsądku i najzacniejszych uczuć, a dobrą głową i sercem można żonę szczęśliwszą uczynić niż klęceniem i postem. Jego sposób myślenia jest szlachetny, zasady prawe i cnotliwe, gardzi pozorami, we wszystkim szczeroci żąda i szczerocią odpłaca. Może nie pości, lecz nas pokarm nie zaleca Bogu. Ale to wiem z pewnością, że się nie dopuści brudu ani podłości. Nie podchlebia i nie obmawia, nie łąsi się ludziom i nie pogardza nimi. Nie czerni sławy bliźniego dla szeptów pokątnych, nie ciekawy, co kto jada, bo „nie to, co wchodzi w usta, pokala człowieka, ale co wychodzi z ust”. Nie uważa cnoty za konia, z którym potrzeba się popisywać, ani za stroik, który na wizyty się bierze, a w domu chowa do pudełka. Nie szuka chluby z najpiękniejszych uczynków, ma je za powinność. – Niedawno dał przytułek człowiekowi z liczną rodziną, którą Brewiarz zagrabił i odegnał, przytrzymawszy wysłużone zasługi.

PŁASZCZ CZARNY

Złe zrobił, na przekór świętości! Bo musiał to być jakiś grzesznik zakamieniały; a święty Jan zakazuje, ażeby bezbożnego nie przyjmować do domu ani go pozdrawiać. Módlmy się za nimi obydwoma; bo jeżeli pan Bóg nie zlituje się, będą zgubieni.

KAROL

Trzebaż świętego Jana i o to się pytać, kiedy być miłosiernym?

PŁASZCZ CZARNY

Miłosierdziem można zgrzeszyć, jak i bluźnierstwem.

MIŁOSIERNIE

Ja sama zbieram składki, wspieram ubogich, żywię i nauczam sierotki, a przecież truchleję o to, aby miłosierdzia na złe nie użyć. Modłę się, aby mnie pan Bóg natchnął i oświecał. Zmierzniałam już od ciągłych postów i utrapień, i jestem jeszcze w obawie, czy nie wsparłam kiedy grzesznika.

PŁASZCZ CZARNY

Pobożna duszo! Wszystko ci ojciec niebieski policzy.

Zapewne dla słów Chrystusa: „A gdy pościcie, nie bądźcie jako obłudnicy smętnymi, albowiem oni twarze swoje niszczą, aby się ludziom okazali poszczącymi. Ale ty, kiedy pościsz, namaż głowę swoją i umyj oblicze swoje, abyś się nie okazał ludziom, że pościsz”.

MIŁOSIERNIE

Tego roku pójdę piechotą na odpust do Milatyna na tę intencję.

ON SKRYTY

Przyrzekam pani towarzyszyć, jeżeli mnie powinności stanu nie przeszkodzą; dostąpimy razem odpustu.

PSAŁTERZ

To i mnie z sobą weźmiecie- Ja nie opuszczę mego pocieszyciela.

KAROL

Czyż w Milatynie pan Bóg mocniejszy?

GIL

Obraz cudowny, pan nie wiesz?

KAROL

Jak to cudowny?

GIL

Uzdrowia kaleki i chore, pociesza strapionych, grzechy odpuszcza.

KAROL

I panie w to wierzycie?

KILKA GŁOSÓW

Cóż to! Czy trzymasz pan nas za niepobożne, czy za luterki?

KAROL

Dlatego? To co innego.

PLASZCZ CZARNY

Młodzieńcze, jesteś na drodze potępienia. Ale nie rozpaczajmy w miłosierdzie Boże! Będziemy się modlić za tobą. Znam dużo przykładów łaski i zmiłowania. Widziałem tych, którzy bluźnili za życia, a na łożu śmierci krwawymi łzami płakali. Oby im Pan Bóg nie chciał pamiętać! Albo sam Brewiarz, czyliż był taki za młodu? Naśmiewał się z świętych obrządków, wiecznych tajemnic chciał dochodzić znikomym rozumem; a teraz jaki przykładny, szukał odpustów w Rzymie, pokutował, nawrócił się.

KAROL

O! On się tylko zestarzał.

Wtem zabrzmiał dzwonek i ustały rozmowy, panie zajmowały krzesła, ceremoniując się o pierwszeństwo według godności i słów Chrystusowych: „Miłuję też pierwsze siedzenia na wieczorach i pierwsze miejsca w bożnicach”.

Dotychczas Brewiarz klęczał na aksamitnej poduszce z zamrużonymi oczyma. Czy był zatopiony w modlitwie, czy drzymał? Jednemu Bogu tylko wiadomo.

Ocknął się na odgłos dzwonu, wziął krzyż z kości słoniowej do ręki i przyciskał go do ust i serca.

Poklękali podobnie wszyscy przytomni obracając się ze złożonymi rękami do różnych obrazów i posągów według rozkazu apostołów: „Aby się nie kłaniali czartom i bałwanom złotym i srebrnym, i miedzianym, i kamiennym, i drzewianym, którzy ani widzieć mogą, ani słyszeć, ani chodzić”. „Albowiem powiadając się mądrymi, głupimi się stali. I odmienili chwałę nieśmiertelnego Boga w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego”.

Tym sposobem odbywało się nabożeństwo, to klęcząc, to wstając, to bijąc w piersi, to przykładając czoło do ziemi; a czytając zawsze niez mordowanie w książeczkach.

Do jednej z twarzy nabożnych przystąpił z lekka młody, dziubaty mężczyzna, szepcząc jej w ucho:

– Czy jeszcze nie namodliłaś się pani?

Obróciła do niego miluchne oczka i rzekła z słodziutkim uśmiechem:

– Prawda, że nas trzymają za długo, nudzą i męczą okropnie, ale cóż robić, trzeba wytrzymać. Odsuń się pan, aby nie powiedziano, że modlisz się do mnie.

– Nie skłamano by podobno – odpowiedział dziubaty odchodząc.

– Patrz! Patrz! – powiedział Psalterz, trącając łokciem Grande Dame – jak Twarz Pobożna wdzięczy się i przymila po świecku. Za mało jej dnia całego, jeszczeż ujmować z tych kilku chwil poświęconych Bogu? Jak się rusza i niecierpliwi, już jej za długo.

Nie wiem, jak Psalterz zatopiony cały w *Psalmach Dawidowych* mógł tak dokładnie uważać, co się działo na boku. Że Litania, odmawiając na pamięć pacierze, zerkala na wszystkie strony ciekawymi oczyma, temu się wcale nie dziwię, bo nie byłaby Litanią, gdyby nie wspominała ó wszystkim.

Po mszy podniósł się Brewiarz z czerwonej poduszki, a podziękowawszy za odwiedziny przytomnym, zapraszał ich na wieczór do siebie, jako łaskawych i przyjaciół, całkiem według Jezusowych poleceń: „Gdy sprawujesz obiad albo wieczerzę, nie wzywajże przyjaciół twoich, ani braci twej, ani krewnych, ani sąsiadów bogatych. Ale gdy sprawujesz ucztę, wzowżę [!] ubogich, ułomnych, chorych i ślepych”.

– Pani zapewne nie będziesz – powiedział Szkaplerzowi Łaskawca – bo pani w tym roku nie bywasz.

– I owszem – odpowiedział Szkaplerz – bywam gdziekolwiek bawią się niewinnie i bogobojnie.

– Dlaczegożeś pani wczoraj nie była?

– A bo sobota.

– Ależ zapusty?

– Nic to nie pomoże – ciągnął dalej Szkaplerz. – Córka moja płakała, chcąc się znajdować na tej zabawie. Ale Płaszcz Czarny nam nie pozwolił. Pisałam także list z zapytaniem i prośbą do fioletów, odpowiedź przyszła odmowna. – Musiałyśmy się umartwić, byle tylko zachować przepisy religii.

– Ale – powiedział Karol – czyliż już kichnąć nie można bez obciążenia sumienia, tylko za czyjąś tam radą lub pozwoleniem? Czyliżby miało obrażać...

– Nie kończ pan – przerwał mu Szkaplerz – ja nie słucham i nie chcę słuchać nikogo, prócz poświęconych w tym celu nauczycieli, którzy już Ducha Bożego przyjęli i czuwają nad naszym zbawieniem.

„Albowiem będzie czas, gdy zdrowej nauki nie ścierpią”.

– Słusznie! – odezwał się młody blondyn. – Jesteśmy złożeni z ciała i z duszy, a zatem tylko w rzeczach świeckich możemy używać własnego rozumu, w rzeczach zaś duchowych należy zasięgać rady Kościoła. – Najlepiej jest o tym nie myśleć, od rozmów takich uciekać i prosić zawsze Boga, aby nas nie wiódł na pokuszenie. Tyle jest różnych nauk i pięknych umiejętności, które możemy rozbierać, dochodzić i ulepszać naszym rozumem, bo na to jest dany; na cóż wtrącać go jeszcze do tego, co do niego nie należy? Jużciż, znikomy nie pojmuję prawd wiecznych! Objawienie jest wyższe nad rozum i rozum miałby go sądzić?

– A! To objawienie nie jest dla ludzi rozumnych – rzekł Karol – bo jakże to, czego nie możemy pojąć i zrozumieć, miałyby nas przekonywać przeciwko temu, co pojmujemy i rozumiemy?

– Chodźmy stąd, chodźmy – ozwały się damy – aby nie było zgorszenia.

Karol wychodził ostatni szepcząc pod nosem słowa Ewangelii: „Zaprawdę powiadam wam, iż celnicy i wszetecznicę uprzedzą was do Królestwa Bożego”.

TOM II

Wyjście tomu tego opóźniły znaczne przeszkody zewnętrzne, po części bolesne, po części śmieszne, po części nie przewidziane, po części takie, które mogłem przewidywać, ale nie mogłem usunąć. Trzeba je było podchodzić i wybiegami pomijać. Tymczasem niecierpliwili się życzliwi, cieszyli niechętni, a jedni i drudzy dopytywali ciekawie. Wielu sądziło, że nie dotrzymam danej obietnicy, że się uląkł, skruszył lub poprawił. Nic z tego. Oto jest tom drugi i nadto drugie wydanie, choć mało kto widział pierwsze. Habent et[!] sua fata libelli. Czytajcie go, jak czytaliście pierwszy, z pożytkiem lub ze zgorszeniem, uwielbiajcie lub potępiajcie, nazwijcie ewangelią lub paszkwilem, dla mnie wszystko to jedno. Bo rzecz każda nie tym jest, czym ją nazywają, ale tym, jakie znamiona nosi na sobie. Nie podżega mnie ani zachęca pochwały, nie odstrasza nagany i pogróżki. Bo inni mogą zapoznawać dążności i zamiary moje, mogą się w swoich nadziejach przeliczyć; mogą przesadzać w zadowoleniu lub gniewie. Ale ja wiem, co czynię, a czynię bez zarozumiałości i gniewu, po długim namyśle, z zupełnego przekonania, że to jest potrzebne, a nawet konieczne, do podźwignienia społeczeństwa brnącego w kałuży zepsucia i podłości; do przysposobienia przyszłej, wyglądanej pomyślności narodu naszego. Daj Boże! aby najprędzej. Uważam też, że nie może być bez wartości książka, która wywołała tyle zdań jak najsprzeczniejszych; w jednej części społeczeństwa poburzyła dawną obojętność moralną, w drugiej do czytania podżegła, a tak powszechne i silne obudziła zajęcie, że dotąd jej strawić i zapomnieć nie mogą.

Cóż by to było, gdyby literatura, mająca być przedstawicielką oświaty i prawdy, przyjmowała rolę grzecznisia, pobbłaszając i podchlebiając, czapkując jak sługa uniżony, lokając po przedpokojach, jak magnaci porozbiorowi, zasługując na względy lub sprzedając się za chleb i żebrząc miłosierdzia i łaski? Wszakże to jedyny jeszcze przybytek, gdzie by bezpiecznie i odważnie sprawiedliwość głos wznosić powinna wbrew królom, urzędom i wszystkim dostojestwom i wielmożnościom rzeczywistym i przywłaszczonym, świeckim i duchownym. Dziś, kiedy każde stronnictwo i niemal każdy występek mają swoich rzeczników i obrońców, kiedy dworscy podchlebcy kupieni pochwałami, względnością, łaską i różnego rodzaju ujęciem wycierają czoła, nicują charaktery i nadużywają mowy i pisma, ażeby w widokach panów i wspieraczy swoich okpiwać publiczność; po tym jeszcze poznasz nieprzedajnego autora, że się naraża, że się nie płaszczy i ani stuli ust przez obawę, ani przez pochlebstwa upodli. Lizunów więc literackich, których dusze nie warte więcej jak obiadek lub herbatka, wyrzucmy za drzwi świątyni, niech nie kalają jej progów. Precz stąd, uprzejmi pisarkowie, do uczonych saloników, na pokoje służalców, na eleganckie tłoki; tam to wasz żywioł. Tam wydacie się lepiej z waszym wieczorkowym rozumem, z przymileniem gładyszów, z delikatnością piśmiennych nerwów, z uczonym wahaniem, z klasycznym umizgiem, z pobbłaszaniem, z potakiwaniem i z tak ogromnymi uszami, że w nie zmieściłby się wygodnie cały słownik gru-

biaństw, a lada słówko wolniejsze was razi, krzywicie się na nieprzyzwoitość i prostactwo wyrażen, znieść nie możecie, że nazywam rzeczy właściwym nazwiskiem.

Chcielibyście język zrobić tak bezbarwnym, mdłym, obłudnym, płaskim, służebnym, wymuskany i grzeczniowski, jak sami jesteście i wasze salony! Dźwięk słów zatwardzonych sprawia wam kurcze i mdłości. Otóż nie poprawiłem się z błędu tego w tym tomie i ostrzegam duszki spazmatyczne. Czyż przekładacie występki, brudy i głupstwa nad ich nazwiska? Ci, którzy je popełniają, nie tak was rażą jak ci, którzy je karzą? Broić można przyzwoicie i układnie, podlić się można z grzecznością; ale wyliczać i opowiadać to dopiero nieprzyzwoitość i grubiaństwo! Otóż postawię przed dusze wasze zwierciadła, obaczcie się w nich i niech was inni obaczą! A jeśli nie ma już serc poczciwych, którym ten widok sprawi wstręt i obrzydzenie, jeśli szerzącej się zgnilizny nie wstrzyma już żadne wypikanie: to potomni przynajmniej wierny mieć będą obraz. Poznają to robactwo, które wylęgłe w ścierwie politycznym bytu naszego toczy byt nasz społeczny; dochodzić będą na trupie przyczyn śmierci i warunków życia. Zaiste nie pora to śpiewać o gwiazdeczkach i przyklaskiwać, że nieźli są ludzie. Ślepi! Nie widzicie dalej jak uśmiech, którym was zwodzą, i chleb, który wam pchają do torby. Córki jerozolimskie, płaczcie!

Zarzucano mi także niereligijność dlatego, że powstawałem na obrządki przeciwne poleceniom Chrystusa, zwyczajom pierwszych chrześcijan i wykładom ojców Kościoła; a rażące rozum, ułatwiające pozorowość, wszczepiające obłudę, gaszące ducha i tłumiące pobożność. Tym ludziom chodzi szczególnie o to, aby nie zdierać z ich twarzy maski świętości, jaką się zwykła zakrywać chytra nikczemność i bezbożność. Albo też religijność a zabobonność i pogaństwo mają za jedno. Nie pojmują religii czystej jak pokrzepiające źródło w pustyni, im trzeba koniecznie kału, jaki tam różne burze naniósł, ciemnota wieków, potrzeby czasowe i ludzka chciwość. Oczyszczającego to święte źródło ze śmieci i namulów nazywają niereligijnym, bo tylko śmiecia te i namuły są dusz ich ozdobą, całą ich pobożnością. Nie wierzącego w mnogość bogów, w świętość papieża, w skuteczność postów i odpustów, w potrzebność mnichów, w użyteczność malowanych i rzezanych bałwanów zowią bezbożnym? Jako? Więc równają boga swojego z tymi fatalaszkami. Więc bóg ich, a mnich albo ryba to wszystko jedno? Czemuż się dziwią poganom, których bogiem kot był i cebula? Wszakże różnica niewielka! Imże to zarzucać niereligijność? Im, którzy się ująć nie mogą za Bogiem bez ubliżenia mu ciasnymi pojęciami, bez znieważania go bluźnierstwem swych twierdzeń? Ich bóg to niewolnik chciwości ich i wymysłów. Musi to lubić, czym go częstują, to robić, co mu każą. Wszakże sami za niego mówią z ambon i spowiednic. Świętoszków tych dwa są rodzaje. Jedni oszukani, mający w dobrej wierze wszystkie swoje bałwochwalskie zwyczaje i pobożne pozory za koniecznie do zbawienia potrzebne, za przynoszące zasługę i pożytek. Powstają zatem szczerze przeciw zdrowemu rozumowi, jakoby go bezbożni Niemcy wymyślili. Przekładają nierozsądek Kościoła nad każdy rozum (*Dwa wieczory starościny Olbromskiej*). Zdaje się im, że głupstwem własnym i posłuszeństwem w głupstwa cudze dobrze służą Bogu. Drugi rodzaj jest oszukujących, którym znowu Bóg służy za narzędzie do oślepienia i uciemniania ludów, a osiągnięcia własnych zysków. Udają oni, że wierzą i zachowują niby ściśle wymyślone przez siebie i łatwe do zachowania przepisy, aby głupcy zwiedzeń! tym udawaniem rzeczywiście wierzyli. W duchu zaś szydzą z wiary i wierzących i nie masz zbrodni, której by się nie dopuścili skrycie dla większej chwały bożej. Ad majorem Dei gloriam. Uważają oni religię za maszynę duchową, wymyśloną przez sprytnych poprzedników, złożoną z dwóch sprężyn głównych: nadziei i bo jaźni, za których pomocą można wielką część ludzi utrzymać w ciemności i służebnictwie jak wołu w jarzmie.

Na łatwowiernych zastawiając sidło
Myśleli w ducha obłudzie:
Włóżmy im w gęby Boga jak wędzidło

Na głupie ludzie.
A jak przewodnik w bój idących słoni,
Młotkiem kieruje i w skronie wymierza;
Tak im na karki z klątwami w dłoni
Wsadźmy papieża!

Chcecież wiedzieć bez ogródki, jaki zrobiła oświata postęp w pobożności? Dawniej więcej było oszukanych, teraz więcej oszukujących. Oto wynikłość wieków kilkunastu. Jezuityzm wydał ten owoc, że zręczne oszukiwanie zbiera w zasługach, odznaczeniach i chwale plony należne rozumowi i cnocie. Już by dziś każdy wiedzieć powinien, że Jezuityzm i chrześcijaństwo są dwie odmienne religie. Tym leciuchnym szcztukiem zbywam książeczkę wyszła w Przemysłu: *Słów kilka o wizycie ósmej Parafiańszczyzny*. Więcej o niej powiedziano gdzie indziej. Z dziwniejszymi jeszcze roszczeniami wystąpił Michał Grabowski w «Tygodniku Petersburskim» (1847, nr 59, str. 378). Nie o religijność mu chodzi, tylko o pozory katolickiego pisarza. Niech Szanowny krytyk raczy się zastanowić (jeżeli myślenie nie zabronione katolickim krytykom), że niedorzecznością jest żądać zachowania jakichkolwiek pozorów od pisarza, którego zadaniem jest walczyć przeciwko pozorowości, walczyć za prawdę i jej jawnością.

Różnić rozsądek i prawdę od katolicyzmu jest to uznawać katolicyzm za głupstwo i kłamstwo. Czymże by w takim razie był zarzut mojego krytyka? Jeśli więc twierdzenia moje w *Parafiańszczyźnie* są rozsądne i prawdziwe, to nic im więcej nie trzeba, jeśli, przeciwnie, nierozsądne i błędne, to pozory katolickiego pisarza nie lepszymi by je zrobiły, ale szkodliwymi. Bo niebezpieczniejszym jest łotr przybierający minkę i układność świętoszka, noszący płaszcz czarny, krzyże, różańce i szkaplerze, od łotra noszącego pałkę i rozbijającego po drogach. Pierwszy okrada i zabija, w pieszczotach utuliwszy wprzód i uspiwszy. Zachowanie wielu bandytów włoskich i hiszpańskich stawia uderzające przykłady, jak ci ludzie umieli pogodzić z rzemiosłem swoim pozory katolicyzmu. Oto przed każdą wyprawą zbójceją słuchają mszy przykładnie, spowiadają się, poszczą, czynią Pannie Loretańskiej hojne obiady, wdziwiają włosiennicę, a przyłożywszy podróżnemu pistolet do piersi proszą go w imię Chrystusa i Matki Najświętszej, aby im jako dobrym katolikom, oddał swój worek. Czyliż krytyk ukraiński wymagałby tego od pisarzy polskich? Nie mam ja uporu i zarozumiałości wielu katolickich skribentów, którzy żądają, aby im wierzyć na ślepo, wierzyć z zaparciem i upośledzeniem własnego rozumu, którzy uważają się za nieomylnych, a wykłady swoje i poprzedników swoich za objawienia boże, za konieczne do zbawienia potrzebne. Wiem, że w zdaniach moich mogłem pobłądzić, oddawałem je i oddaję pod rozsądek czytelników otwarcie i nieupstrzenie; nie chciałem zatem oślepiać i oszukiwać przybraniem pozorów czy katolickich, czy jakichkolwiek innych, chociażby zalecającymi być mogły. Nie chciałem być nawet po katolicku obłudnym. Odstraszały mnie nadto dzieła zachwalanych przez Michała Grabowskiego pisarzy, np. Chołoniewskiego i nudziarstwa samego Michała Grabowskiego nazwane: *Stannicą Hulajpolską i Tajkurami*. Może tym dziełom i nie brak katolickich pozorów, jeżeli pod tym rozumieć należy śliski pokost, jakim brzydka dewotka pociąga płeć żółtą, zalepia marszczki i piegi. Może im nie brak katolickich pozorów, ale Chołoniewskiemu brak zdrowego rozumu, przeciw któremu sam najwyraźniej protestuje, jako przeciw najoczywistszej niepotrzebności; powieściom zaś Michała Grabowskiego brak dążności i myśli. Są to bardzo rozwlekłe opowiadania bardzo zwyczajnych wypadków, pisane jakby na rozkaz z pamięci, nie z ducha. Kiedy sam autor dla tych przedmiotów nie miał nic więcej prócz mechanicznej wprawy, kiedy mu nie rozegrzały piersi, nie obudziły w nim miłości; jakżeż żądać, aby zajęły publiczność? Aby wywarły jakikolwiek wpływ moralny? Nie ściągnęły one ani nienawiści, ani miłości, są najobojetniejszym w literaturze zjawiskiem. Wszystkie stronnictwa oglądają je spokojnie, bo na wszystkich jednakowy wywierają skutek: ziewania. Jeżeli to

sztuki zadaniem, to Michał Grabowski jest godnym jej kapłanem, pojął powołanie powieściopisarstwa i może śmiało, z zachowaniem wszystkich katolickich pozorów, uczyć starowierców, pragnących takiej nauki.

Wola boża objawia się najwymowniej w ludzkim rozumie, kto przez przesadzoną ufność i pokorę wypiera się tego wewnętrznego światła, jest bezbożnikiem, chociażby co dzień do kościoła chodził i krzyczał, że w Boga wierzy. Bogiem jego jest jego przesądne głupstwo, jak u ks. Chołoniewskiego, np. historia narodów, a naszego w szczególności, naucza jasno, że Bóg tym pomaga, którzy sobie pomagać umieją. Oświata jest Opatrznością narodów; żądać więc od pisarzy pozorów katolickich jest to odejmować opatrzność, jest to być heretykiem. Niech spojrzy Pan Grabowski na świeże wypadki w Szwajcarii, czy pomogły święcone miecze i amulety jezuickie przeciw luterskim kulom.

I Luter, i katolik mogą mieć w sobie więcej lub mniej rozwiniętego Boga; a przy zachowaniu wszystkich pozorów mogą być źli lub dobrzy, rozumni lub niedorzeczni.

Nie podobał się jeszcze tom pierwszy Aleksandrowi Józefowi Lissowskiemu w „Przyjacielu Ludu» (1843, nr 8) i jakiemuś nieznanemu spod Dukli w gazecie parafiańskiej (1843, nr 149). Obaj ci pisarze (bo przecież pisali) spokrewnieni duchem, wyglądającym w tych ich artykułach jak oślepiąco oko zdumionego bydłęcia, nie wdawali się wcale w wytknięcie i rozbiór wad, lecz pomieszawszy groch z kapustą, naplotłszy ni to, ni owo o dziennikarstwie i prenumeracie, o kartoflach (tak, tak) i bawelnie (tak niezawodnie), kiedy przyszło nareszcie do *Parafiańszczyzny*, jak gdyby w kurczach pytyjskich prorokowali i prorokowali. Jeden przepowiedział, że dłużej nad lat parę czytać jej nie będą, drugi, że niebawem papier rozleci się w pyłki. Prawowierni poprzestają na objawieniu, ale rozsądni żądają usprawiedliwienia tych wniosków. Tego jednak w żaden sposób dowiedzieć się od nich nie można, co się tak bardzo nie podobało? Złe i złe. Tacy pisarze są najlepszym lekarstwem na niedowiarstwo. Jakżeż to czytając ich nie wierzyć, że tam kiedyś w ziemi judzkiej przemawiała głosem ludzkim oślica, kiedy dotychczas przemawia na ziemi naszej?

Duklanin sadił się nawet na koncepciki i dowcip z nie mniejszym rozlewem potu, jak atramentu; wyglądając wśród tych nadaremnych wyteżeń jak owa dusza, która rada by do raj, ale ją grzechy nie puszczają. Cóż kiedy to wszystko (to jest i dowcip i argumenta) trąciły przegniwającą mózgownicą, jak gdyby mózdzek cielecy odsmażony w niechlujnym tygielku, na starym, zepsutym tłuszczu. Prawda i to, że nie należało i nie należy spodziewać się lepszych zapachów w gazecie parafiańskiej, bo w wielkim budynku literatury narodowej jest rzeczywiście tylko kloaką. Choćbyś tam cisnął i brylant, w obrzydliwościach ugrzęźnie i któż się go szukać odważy? Otóż, według słów Duklanina, prawdziwa zasługa nabyta rzetelnie w różnych kolejach czasu i losu. Nie są więcej tajne pobudki tej gazety, jej przeznaczenie i dążności. Znają ją dobrze z jej przedajności służebnictwa, nierozsądku, podchlebstw rzucanych pod nogi wrogom naszym i ciemnościom, z usilności demoralizowania i tępienia wszelkich uczuć szlachetniejszych; znają aż nadto dobrze, aby wypadało lękać się szkodliwych jej wpływów. Tylko stronnicy mogą myśleć lub wmawiać w siebie, że myślą inaczej i znajdować pozory na jej uniewinnienie; bo pracują z nią wspólnie nad zepsuciem i upodleniem wyobrażeń narodu, nad przytępieniem jego uczuć, nad uspieniem jego bacności. Jest to narzędzie łotrów poruszane jak koło zacierne przez osły.

Widząc tę nędznicę, tarzającą się w kałuży najobrzydliwszych plugastw, jak wyciąga ku publiczności swojej ramiona, aby ją zarazić, zeszepecić i zohydzić, uczucie pogardy obudziło się w sercu moim, wołałem więc z Raupachem: „Du bist ein Nichts; wenn ich dich zertrete, so bist du ein Etwas”. Uniesienia tego żałuję, bo nie godzi się pogardzać najsmrodliwszą nawet glistą. Widzieliśmy tę cudzołożnicę, odzywającą się z objęcia wrogów naszych za służebnością i przedajnictwem; powstającą przeciw wszystkiemu, co mogło od zepsucia ochronić, od poniżenia zachować i uczucie godności narodowej obudzić; wykrzywającą i ośmieszającą mowę polską; znieważając w ten sposób i targając tę ostatnią rozszarpanego narodu nie roz-

szarpaną pozostałość; szpecącą potwornie jasne jej lica przez Lela Polela, Swistum Poswisty, jądra, tworzywa, zwracadła, widumy, nux orzechy i tym podobne dziwolągi; zaciemniającą boską twarz jej tumanem obskurantyzmu i krzywością rysów policyjnych. Nie dziw więc, że odezwała się przeciw Parafiańszczyźnie i pewno jeszcze odezwie, aby oszukiwać, jak długo można, i kogo można. Krzyki te i oburzenia większy sprawiają mi zaszczyt jak pochwały po pismach innych i wezwania do jakichkolwiek Akademii.

Jest to wieniec laurowy, jaki mi wiją na głowę nieprzyjaciele własnymi rękami, całkiem w przeciwnych zamiarach. Jakżeż nie miałbym mieć słuszności, nie mówił prawdy, kiedy przeciw mnie powstają wyznawcy kłamstwa, najęci obrońcy służebnictwa, chwalczy poniżenia, pisma przedajne, wychodzące spod pazurów cenzorskich i poskrobane według ich zwierzęcego upodobania? Musi tam być coś pożytecznego dla ludzi, coś boskiego w tym dziele moim, kiedy przeciw niemu wrzeszczy spółnictwo szatana. Powtarzam więc, czyni mi to zaszczyt i jedna zasługa. Jednakowoż, aby i z tej strony jeszcze dopełnić powinności pisarza i uchować od zastawianych sideł dobrze myślących i życzliwych ojczyźnie, a nieświadomych tych sprzężyn tajemnych i tej zaprzędanej, zasadniczej przewrotności: umyśliłem wyciągnąć na jaw z nietoperzowego ukrycia to gniazdo zepsucia i zarazy. A wiedząc, że *Parafiańszczyzna* jest książką dla najróżniejszych przyczyn powszechnie poszukiwaną i czytana, poświęcę przedmiotowi temu w trzecim tomie cały obszerny rozdział pod napisem: „Parafiańszczyzna literacka”. Tymczasem może ta najemnicza szajka gniewać się i miotać, i krzyczeć, i ganić, jak się jej podoba; że cieszyć się nie będzie, każdy to pojmie. Patrzmyż cierpliwie, jak się w niej żółć burzy i jakie z plugawego łona wymiotą paskudztwa. Znajdę w tym może pochop i treść do dalszych prac moich.

Czyniono mi jeszcze wiele innych zarzutów, które oblatując koło społeczne dostawały się do mnie w ustnych podaniach. Są zapewne za obrębem książkowym tego rodzaju sądy i zdania pokątne; jeżeli jednak literatura ma w życie przechodzić i z życiem się wiązać, trzeba i na nie uważać. Zabierałem się więc do tłumaczeń i objaśnień, aby się z publicznością obliczyć rzetelnie. Tą rażą jednak widząc zajętego czym innym, wyręczył mnie mój przyjaciel Karol w rozdziale: „Co mówią o *Parafiańszczyźnie*”. – A chociaż nie zgadzam się z nim na wszystko i nadto może mnie chwalił, jednakowoż wdzięcznym mu jestem za to ulżenie.

Dowiadano się także często, kogo rozumiałem pod tyłoma użytymi nazwiskami? Kto jest Grande Dama? Kto Plewa Paryska itd.? To oburzało mnie więcej jak wszystkie klątwy i nagany, bo dowodziło, że dowiadawaczom nie tyle chodzi o rozumowania i zasady, jak o zaspokojenie złośliwej ciekawości i domyślności. Wypraszam się raz na zawsze od takich wymagań i udzielam na nie objaśnień nie pokątnych: ale publicznych dla wszystkich. Grande Dama jest każda, która przez środki nikczemne i brudne, przez bezwstydną gotowość do wszelkiego użytku, zjednawszy sobie względy i łaskę możniejszych, nabyła pewnej społecznej wziętości a ufna w znaczenie i możność swych popleczników zaczyna nosa zadzierać, stanowić prawa zachowania, wynosić prelekcję swoją i gniewem potępiać, przewodzić i dyktatorować Wpycha się wszędzie, staje się zarozumiałą i wyniosłą, ważne jak próg kościelny, który przestąpić trzeba, aby się dostać do Boga, który jednak dlatego właśnie jest najbrudniejszym a tylko dziady i baby modlą się na nim. Każda stolica, a nawet każda miłościna, miewa swoje Grande Damy, głośniejsze albo mniej głośnie, ale na miejscu znane powszechnie.

Franciszek Karpiński tak opisuje Grande Damy warszawskie z czasów Stanisława Augusta: „Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę i osłabiło śluby małżeńskie, a piękniejsze kobiety w mieście dawały sobie tony większe, aniżeli należało, bo każda z nich wspomniawszy, że była czasem królową, chciała potem zawsze wielowładnie rozkazywać, co tylko przez noc panowała”. Przechował się z owych czasów list młodzieży narodowej do dobrych Polek, lichej pod względem kompozycji, ale ciekawej dla swej treści, bo wymienia niektóre z tych Grande Dam i ich zasługi. Oto jest ustęp z niego ważniejszy:

Jedna honory balu robiła
U wodza morderstw i jęku,
Druga za zimnym trzpiotem gonila
Przez wzgląd na mlodość bez wdzięku,
Trzecia z tą zwykłą bab krupnych miną
Arystyda imię plami,
Wie, że ją zyski męża ominą,
Więc tymi przyzna chustkami,
Czwarta, co nucąc Mojżesza pienia
Konsula łoże już dzieli,
A jeśli braknie jej doświadczenia
Konfidenska ją ośmieli.
Pewna staruszka swe upodlenie
Niesie wśród zdrajców do Grodna,
Przenosząc zyski nad cześć i sumienie,
Godnej swej matki córka wyrodna.
Dwie są tu jeszcze ciekawe damki,
Zdrajców stronniczki zabite;
Obydwie dworskiej bliziotko klamki,
Brudzą swym życiem Rzeczpospolitę,
Jedna z nałogu pyszni się pana,
Ze jej szczebiotań rad słucha,
Druga za modną kochankę znana
I na wdzięk meblów niegłucha,
Przedały serce leciuchne króla,
Z pomocą aktorki sławnej,
Którą w Tulczynie czeka cna rola
Zdrajców mistrzyni zabawnej.

„Oddajemy je wiecznej wzdardzie, zostawiamy smutnemu przeznaczeniu, mówiąc raz na zawsze, a z nami wszyscy Polacy:

Odrodne, podle matrony! Idźcie frymarczyć uczciwość,
Idźcie, bez wstydu zasłony, wzdardę odbierać za tkliwość.
Ci, którym samą podłością chciałybyście być miłymi,
Gardząc zbyt waszą łatwością, wzdychają za cnotliwymi.
I tak zaledwo cierpiane kilka was jest w tym mieście,
Które, w bezczelność przybrane, depczecie cnoty niewieście.
Będziecie palcem wytknięte i hańbą polskiej krainy,
A plemię od was poczęte będą kajdan godne syny”.

Na tym się kończy list ten ciekawy, a przepowiednia w ostatnim wierszu zawarta sprawdziła się. Może odstrasającym będzie przykładem świadomość, że obowiązkiem jest pisarzy zważać na postęпки obywateli i obywaterek w narodzie, wyjawiać je i oceniać; że podłość i hańba mają także swoją nieśmiertelność. A przynajmniej jeżeli cicha cnota domowa, połączona często z tyłu zrzeczeniami, jeżeli prawość życia obywatelskiego nie zawsze odnosi zasłużony poklask i zbiera plony cnotcie należne, niechże występki i bezwstyd, ukrywane zwykle troskliwie, odniosą czasem zasłużoną hańbę i zbierają plony sromoty. Inaczej pi-

śmiennictwo nie miałyby socjalnej wartości i nie dziw, że nie obchodziłyby publiczności, tylko uczonych w tym albo w owym zawodzie.

Kto jest Plewa Paryska? Czytelnicy moi. Jest to zwyczajna plewa chlewna, bez względu na to, czy z ciemnymi, czy z jasnymi wąsami, albo i wcale bez wąsów. Plewa, która dlatego, że ją wiatr pusty zamiótł do Paryża, puszy się wielce i zapomina swego folwarcznego pochodzenia, wściubia się wszędzie, wszystkim się natracą, kocha się w różnych stworzeniach, a najwięcej w sobie samej, wszystko swoją zagraniczną zarozumiałością przyprósza, mając się za lepszą od krajowej pszenicy, która dla ciężkości swojej nie była w Paryżu. Takie i tym podobne są wykłady nazwisk przeze mnie użytych. Innych nie mam.

Byli jednak dość nikczemni rozgłaszacze, jakobym sam listę objaśniającą osoby zrobił i zbywał. Jest to prawdziwą pociechą i otuchą dla mnie, że przeciwnicy moi nie mogli znaleźć bronii szlachetniejszej i do tak lichych wzięli się środków. Więc przypominam im słowa Alfreda Michielsa: „*Au lieu de nous réfuter, si nous avions tort, ou de se corriger, si nous avions raison, plusieurs de nos confrères ont cherché à nous nuire matériellement, il n’y a sorte d’intrigues et de mauvais tours qu’ils ne se soient crus permis pour tirer vengeance de nos observations. Comme si nous étions coupable[s] de leurs erreurs! Comme si nous avions pu empêcher qu’une réforme ne devint nécessaire! Comme si elle ne devait pas tôt ou tard s’accomplir et être demandée par quelqu’un! Au surplus ces efforts malveillants qui attristaient l’homme, réjouissaient l’auteur. Ils nous persuadaient de plus en plus que nous avions raison, puisque nos ennemis ne trouvaient pas d’arguments contre nous. Auraient-ils sans cela fait usage de tels moyens?*”

Kiedy głębcy uczeni przerzucają spylone księgi po bibliotekach, plądrują w rękopismach, czytują kroniki, zaglądają w nieprzejrzone stopy różnych archiwów, aby przysposobić publiczności dzieło mozolne, wykończony, oblane potem pracującego jak święconą wodą i lat tyle dościgające: to jeszcze znachodzą się krytycy, upatrujący w nim mylności i nieprawdziwość, lamentujący, że zamiast dziejów baśnie zdybują. Ze mną stało się przeciwnie. Nie miałem tej uczonej mokoły, a gniewają się znawcy, że napisałem historię. Nie jestże to podpisywać na samych sobie wyrok potępienia? Wszystkie pogrożki, obmowy i potwarze często powtarzane są wierzytelnymi świadkami tego podpisu. Litowałem się i lituję nad tyloma moralnymi biedakami w moim narodzie. Przebaczam im za przeszłość i na przyszłość przebaczam, powtarzając z nieśmiertelnym Kurie’em: „*Sur les injures je me tais: ils en savent plus que moi; je n’aurais pas beau jeu*”

Zaślepieni! Czyż nie pojmujecie, że chcę wam oczy otworzyć? Ze pracuję nad waszym oświeceniem, nad waszym dobrem? Że zasługuję na waszą wdzięczność? Chciałbym, ażeby dzieci wasze nauczyły się z młodu cenić i wypełniać cnotę pomimo trudów i przykrości; aby nie ubiegały się za błyskotkami i głupią zawsze salonowością. Aby synów waszych zdobiła odwaga, roztropność, niezawisłość i umiarkowanie, a córki wasze błyszcząły jak świeże kwiaty skromnością i wstydem. Ażeby żony wasze były dla wszystkich ludów wzorem małżonek i matek, aby się nigdy nie znalazły w przykrym położeniu ocierania w jednymże społeczeństwie o znane wszystkim wszetecznicę, które by tam równe odbierały względy i hołdy jak one. Ażeby cnota domowa i czystość niewieścia znachodziły w uznaniu wszystkich cześć i odznaczenie. Aby przewrotność i podłość były wygnane ze zborów waszych w domy szpiegostwa, służalstwa i rozpusty, lub lepiej w domy poprawy. Aby nie zachodziła wątpliwość, czy w potomstwie waszym nie pielęgnujecie i nie pieścicie podrzutków? Czy do serca waszego nie przyciskacie piskląt wrogów waszych? Abyście wy sami byli poważani od swoich i od obcych, dalekich i bliskich, znajomych i nieznanomych, przyjaciół i nieprzyjaciół.

Poważani dla waszych nauk, wiadomości i prac, dla waszego zachowania się i postępowania, dla użytku, jaki przynosicie narodowi, dla nieugiętości waszych charakterów, dla zacności waszych uczuć, dla niezachwianości waszych zasad, dlatego że nie dozwalacie poniewierać w sobie godności człowieka. Ale nie dla względów i łask czyich bądź kolwiek, jakie wy-

sługujecie poniżeniem, nie dla pobłażania, potakiwań i obojętności na sprawę narodową, nie dla grzeczności i uśmiechów, i pochlebstw, i zausznictw, i lizanin; nie dla zapieczonych kędziorów lub zgrabnego lalkowania w kadrylu; nie dla tytułów i dygnitarstw, i majątków: bo poważanie takie jest poważaniem łotrów i głupców. Szydzą z was narody sąsiednie. Obcy zwodzą was i w duchu pogardzają wami, używając za narzędzie widoków swoich. Czy wspomniał kto o was gdziekolwiek bez śmiechu i naigrawania? Nawet oderwani bracia wasi, dzieci jednej matki, czynią wam ostre wyrzuty; bo kiedy u nich dźwiga się przemysł, objawia dążność lepszości w słowach i uczynkach, znikają służalcze wyobrażenia; kiedy u nich postępuje oświata, to u was tylko zepsucie, nikczemność, próżność, naśladownictwo i śmieszna wystawność.

Każdy krok wasz jest niedorzecznością. Zawiażujecie towarzystwa, małpujecie akcjonarstwo, zbieracie składki, na co? Ażeby naród wybawić? Gdzie tam! Ażeby nędzy ulżyć, wesprzeć prześladowane przez przemoc rodziny? Gdzie tam! Ażeby komunikacje i udzielalność ułatwić, sprowadzać modele użytecznych narzędzi, dźwigać przemysł narodowy? Gdzie tam! Aby rozszerzać oświatę, drukować rękopisma, zakupywać książki, uchować od zagłady pomniki przeszłości? Gdzie tam! Aby wspierać artystów, nagradzać pracujących umysłowo, odznaczać uczonych, przyczyniać się do sławy narodowej? Gdzie tam! Ażeby jawną wżgardę okazać zaprzędanym, służącym widokom i potrzebom ujarzmieli, przeciw widokom i potrzebom ojczyzny i ludzkości? Gdzie tam! Aby mnie może niegodnego uczyć za to, że pomimo przeszkód i narażeń dążę ku oświecaniu narodu, pracuję nad rozbudzeniem dumy jego moralnej i jako snycerz pański kloce jego obrabiam? I to nie! Cóż więc? Nie zgadniesz, póki śmieszności nie powiesz! Oto, aby uroczyście okazać swoje poddaństwo i przy tej sposobności uraczyć własne głupstwo pokarmem i napitkiem. Na to dość brzuchów. Tyle i Hottentoci umieją. A jeśli kto upomni, to nieprzyjaciel. Na niego, na niego cała nienawiść wasza! Zaślepieni! Czyliżby znowu potrzebował Bóg krwi niewinnej dla odkupienia grzechów narodu? Dalej więc wszystkie pociski?

A żadna krzywda ludzka nie wyiębi
Skry spadłej z niebios, co wre w jego głębi.

Piszęc nie z woli własnej, ale z nalegania Ducha Bożego.

SZCZEROŚĆ WIELKIEGO ŚWIATA

Dlaczego ludzie się rozumieją, nie wiedząc znaczenia słów, których używają? Weźmy np. napis tego artykułu, który z czytelników go nie zrozumiał? A zapytajmy ich, co to jest ta rozumiana przez was szczerłość, to każdy odpowie inaczej. Czytelniczki najprzód, chociaż nie wszystkie, ale po większej części, powiedzą: „szczerłość jest to, aby być szczerym”. Uczeń będą utrzymywały, iż „szczerłość jest to mówić prawdę”, zakochane zawołają: „szczerłość jest to miłość”; a jakkolwiek dziwnym jest to tłumaczenie ostatnie, jest ono jednak prawdy najbliższym. Trudno zapewne żądać od kobiet ścisłego określenia znaczeń słów używanych, ale warto przecież zastanowić się, jakim sposobem bez tego rozumieją się kobiety? Zapytajmy teraz tych panów bardzo zarozumiałych i wszystko umiejących, którzy słuchali psychologii i skończyli filozofią: co jest szczerłość? To dopiero usłyszysz niezliczoną ilość definicji głębokich, których większej połowy pewno nie zrozumiesz, a objaśnienia będą jeszcze ciemniejsze i zawikłańsze. Najrozumialsi powiedzą: „jest to władza duszy, przymiot moralny; jest to zgodność mowy z myślami. A zatem szczerym jest ten, który ma to na języku, co w myśli”. Według tego określenia znamieniem szczerłości byłaby mowa, szczerłość byłaby tym samym co prawda, co wiedza; a przecież może być prawda nieszczerą.

Jeżeli ci kto powie: „Ludwik VII kazał spalić w Vitri parę tysięcy mieszkańców”, powie, zapewne, prawdę, jak ją wie i myśli, ale czyż można dlatego nazwać go szczerym? Wiadomość wypadków dziejowych, zjawisk przyrodzonych, zasad filozoficznych i w ogólności wszystkich prawd naukowych, jeżeli je kto powtarza, jak wie i myśli, czyż jest szczerością? W takim razie szczerłość byłaby tylko powtórzoną słowami pamięcią i potrzeba by nazwać szczerym matematyka za to, że nie przeczy, że dwa razy dwa są cztery, i szczerym botanika za to, że słonecznik ma kwiat żółty, a róża jest woniejącą. Jeżeli zaś szczerłość zawisła na zgodności mowy z myślami, a wyłączmy wiadomości nabyte z nauk ścisłych i doświadczenia, jednym słowem wiedzę, cóż dla szczerłości jeszcze zostanie? – Szczerością jest mówić to, co się myśli, a przecież mówiący, że ogień pali, słońce świeci, a deszcz moczy, nie jest jeszcze dlatego szczerym, owszem, może być nawet obłudnym i jest nim nieraz istotnie. Powiedzcież mi, panowie, co trzeba myśleć i mówić, aby być szczerym, kiedy nie wszystko stanowi szczerłość, co się wie i myśli, a mówi, jak myśli?

Wróćmyż teraz do zadania uczynionego z samego początku: jakim sposobem rozumiemy, nie wiedząc znaczenia słów używanych? Odpowiedź na to bliska: przez szczerłość. Jak to? To jest, mówiąc inaczej, czujemy znaczenie słów, choć nie umiemy sobie z uczuć naszych zdać sprawy. Zakochany pojmuje i rozumie miłość dokładnie, opisze wszystkie jej znaki, jej cierpienia i rozkosze, chociaż nie będzie umiał wyłożyć, co to jest miłość. Widzimy więc, że i uczuciem można rozumieć, nie tylko wiedzą i rozumem. Lud prosty, posiadający mowę ze

zwyczaju, rozumie się tylko uczuciem. Jak wszystkie wiadomości ludzkie dzielą się na teoretyczne i praktyczne, tak też i rozumienie podzielić wypada na rozumowe i uczuciowe: bo czymże jest rozum, jeżeli nie teorią, czymże uczucie, jeżeli nie praktyką duszy? Organem teorii, czyli myśli, ich postacią i ciałem są słowa, a znakiem i postacią uczuć jest szczerłość. Szczerłość jest powierzchownością duszy, w tym tedy tylko, co się czuje, szczerym być można, a co się wie bez uczucia, z zimnej nauki, nie należy już do szczerłości. Nie są też słowa do objawienia szczerłości potrzebne, okazanie uczuć serca, czy to radości, czy smutku w znakach im odpowiednich jest także szczerłością. Jest zatem szczerą twarz, która wzruszeń wewnętrznych utaić i zamaskować nie może, i szczerym człowiek, który je w jakikolwiek bądź sposób oddaje takimi, jak są.

Ma szczerłość dwojakie środki, aby się stała widomą, najprzód cała powierzchowność i lica, ich ruchy i zmiany, potem, kiedy czucie przejdzie już w myśli, ma wtedy mowę. Lecz jakimże będzie mowa narzędziem szczerłości, kiedy już jest nabytkiem nauki? Dla tego, który najpierwszy razem z wzruszeniami serca brzmienia poczuwał i rwał niejako z duszy słowa, aby uczucia nazywać, dla tego była mowa zaiste samą szczerłością. Lecz możeż nią być dla tych, którzy już do gotowych słów zimno przychodzą? Czyż będzie ten jeszcze szczerym, który dowiedziawszy się, że smutek zasępia lica, a radość oczy roziskrza, używa tego lub owego według potrzeby i chęci okazania się?

Przeto, ponieważ szczerłość jest powierzchownością uczuć, nie możemy być szczerymi tylko wtedy, kiedy znaczenie słów używanych czujemy, nie dosyć jest je rozumieć. Znaczenia zaś słów uczuć nie możemy, tylko w jednym języku rodzinnym lub w tym, który nam język rodzinny zastępował i który dlatego nazywamy własnym językiem, nigdy zaś w cudzym. Język nasz podawał gotowe brzmienia w miarę tego, jak kłuły się i wzmagaly w sercach uczucia, brzmienia te zrastały niejako w jedną nierozdzieloną całość razem z uczuciem, osłaniały go jak gdyby miękki kłębek niewidomego jedwabnika, a ile razy potem ozwało się to uczucie, tyle razy mimowolnie składały się usta ku wymówieniu tego samego słowa. Język nasz rośnie nam w sercu i z sercem, wyobrażeniami swoimi, sposobem, w jaki je oddaje, i wszystkimi właściwościami wpływa od lat najmłodszych nieprzerwanie na nasze pojęcia i uczucia i wyrabia duszy naszej właściwość i postać, jak kropla wody ciągle w jedno miejsce spadająca kamień wydrąży. Każdy język ma wyłączone swoje własne obrazy, pochodzące od sposobu i stanowiska zapatrywania się na przedmioty tych, którzy go tworzyli. Najjaśniej daje się to spostrzegać w przysłowiać. Właściwości języków (idiotyzmy), różniąc się nawet przy od dawaniu tychże samych myśli, budzą w duszach różne odmienne wyobrażenia, które im potem zostają na zawsze jako treść i podścielisko, stanowiące ich osobowość (indywidualność), ich swojość. Wyobrażeniom tym musi się poddać każda dusza do gotowego przystępująca języka, gdyż w razie przeciwnym ile osób, tyle byłoby mów oddzielnych. Te ogólne, w języku złożone wyobrażenia nadają duszy naszej pierwsze rysy rodowe, stanowią jej charakter, jej szczerłość.

Po tych znamionach rozróżniając dusze pomiędzy sobą, jak po licu rozróżniamy ludzi, przyszlibyśmy do wniosku, że tyle jest duchów na ziemi, ile jest mów różnych. Mowa każda jest twarzą swojego ducha jak szczerłość twarzą serca. Duch może przybierać różne oblicza, ale swoje własne ma tylko jedno; wszystkie inne są udaniem, są nieszczerłością, jak gdyby aktora naśladowującego rozmaite zwierzęta i różne miny. Nauka obcych języków jest tylko taką komedią ducha. Duch, posiadający już twarz swoją, uczy się inne jeszcze twarze dobrze przybierać i małpować, a im to zręczniejszy robi, tym lepszym jest aktorem. Talent przyswajania sobie mów obcych jest zdatnością czysto komediancką; używanie zaś mowy obcej jest grą, jest obłudą, tak właśnie, jak używanie obcych ruchów i gestów. Mówiący obcą mową nie jest szczerzy i być nim nie może, to jest, nie czuje słów, które wymawia, tylko się ich nauczył i wie na pamięć. Nie idzie jednak zatem, aby nie można uczuć swoich obcą mową oddawać;

owszem, ale oddając nawet jak najprawdziwsze uczucia, oddając je z całą rzetelnością, jeszcze jesteśmy nieszczerzy, nieszczerzy w oddaniu.

I tak np. będzie ten szczerym, kto myśli: „jest”, a mówi „robić”. Weźmyż ten bardzo długi szereg wyrażen, w których Francuz używa „faire” a Polak mówi „jest”. We wszystkich tych Polak po francusku mówiący jest nieszczerzy, bo co innego czuje i musi sobie wystawiać, a co innego mówi. Każdy język nadaje myślom pewną postać, uczuciom pewną jednakowość. Jeżeli tedy Polak mówi: „il fait mauvais temps, il fait mauvais marcher, il n'a point fait de printemps” itp., mówi według nauki, ale nie według uczucia, jest nieszczerzy, bo Polak nie może czuć ani wyobrazić sobie w tym razie jakowąś robotę, tylko czuje i wyobraża sobie stan obecny. Przeciwnie zaś Francuz, którego duszę natura języka rozwinęła inaczej, posiadając słabe początki polskiej mowy, powie ci pewno: „robi wiele wiatru na dworze” i powie według uczucia swego, a zatem szczerze. Skoro zaś tę szczerłość dalsza nauka przytępi, może wtedy powiedzieć: „jest wielki wiatr na dworze” i będzie to według nauki, z przymusu, nie ze szczerłości; bo Francuz wszystkie zmiany powietrza nie może sobie wystawiać inaczej tylko przez faire. Używający tedy mowy obcej musi mówić albo źle, to jest według uczuć i wyobrażeń, jakie ma z mowy własnej, albo nieszczerze, to jest przeciw tym uczuciom, według prawideł i konieczności mowy, której używa. Prawdziwość tych twierdzeń postrzegamy najjawniej w przysłowiach, gdzie całe obrazy w pomyśleniu i oddaniu krzyczącym podlegają różnicom. Cóż byśmy powiedzieli o malarzu, który by myślał o Cyganie i dziecku, a odmalował ptaka i gniazdo? A przecież tak dzieje się nieraz w użyciu mowy obcej. „Każdy Cygan dziecko swoje chwali”, oddajemy po francusku przez: „chaque oiseau trouve son nid beau”.

Używanie mowy obcej jest zawsze zabawką, zamaskowaniem wyobrażeń i uczuć własnej duszy, jest to reduta duchowa. Jak aktor, kiedy przybiera na siebie ubiór i postać jakiego rzymskiego Cezara, przyczepia brodę, marszczy czoło, unosi się, jest srogі, okrutny itp., może jak najlepiej udawać, ale zawsze jest tylko aktorem. Kiedy powiada: „Na tysiąc strzałów te piersi narażę”, wie dobrze, że nie ma dla nich najmniejszego niebezpieczeństwa; mówiący: „ces dames sont fort bien mises”, wie także bardzo dobrze, że te panie nie są położone, ale mówi dla zwyczaju, przeciwko swemu pojęciu. Chcąc tedy mówić obcym językiem potrzeba albo być nieszczerym, zrzekając się pojęć i uczuć rodzimych, albo być śmiesznym, jak niejedna rozmowa polskich Francuzów. „Qui est là?” – pytała pani na pół powszednia, na pół niedzielna, z kanapy słysząc szmer jakiś u klamki; „je” – odpowiedział młodzieniec wytykając głowę zza drzwi. „A ce Monsieur! Je prie fort; comment se porte votre santé?”.

Twierdzić, że Polak może być szczerym po francusku, jest to samo, co utrzymywać, że Turek może być muzułmanom [!] po chrześcijańsku. Może być Turek chrześcijaninem, ale musi wprzód przestać być Turkiem, wiarę swoją zaprzec i odmienić. Pięknie nazwali starożytni Grecy posiadającego dwa języki – posiadającym dwie dusze. Ale dwóch szczerości mieć nie można, jak i dwóch wiar, bo jedna drugą wyłącza. Jakkolwiek sam dźwięk materialny nie jest dla czującego serca obojętnym, a słowa z obcej mowy nabyte nie wzrastały wraz z nami jak przyjaciele rówieśni; nie wiąże się do nich urok najpierwszych naszych wzruszeń, uczuć i myśli, nie otaczają ich niezatarte pamiątki, jak gdyby tej okolicy, gdzieśmy przeskakali wiek nasz dziecinny: to jednak przypuszczałbym szczerłość i w obcej mowie w tym jednym razie, kiedy chodzi o przemianę słów samych i użycie zamiast naszych obcych; nigdy zaś wtenczas, kiedy tę samą myśl wypada oddawać słowami innych znaczeń. Słowa miłość, przyjaźń wymówione z szczerością, to jest z uczuciem, i w tej chwili, kiedy się je poczuwa, przejmują duszę Polaka taką lubością, że jej nie wzbudzi żadne słowo obce, toż samo znaczyć mające, chociażby mu towarzyszyło nawet najrzeczywistsze uczucie: gdyż uroczystości tej chwili przedrzeźnia dziwactwo lub głupstwo nazywania uczuć najswobodniejszych brzmieniem gwałtownym, narzuconym; tak właśnie, jak gdybyś rzeczywistego Juliusza Cezara ubrał w togę papierową i w wieniec z liści płóciennych. Będzie on przez to Cezarem, ale zawstydzi go i pomiesza ta zwierzchnia niestosowność: podobnie dzieje się i z uczuciem polskim w obcym ubraniu.

Ale pomińmy mało przez kogo rozróżniany większy lub mniejszy stopień uczuć, jakie sprawuje ich nazywanie, pomińmy wpływ magnetyczny, jaki wywiera wynurzenie ich silne, rodzime, i przypuśćmy, że mógłby Polak powiedzieć z szczerością: „je vous aime, je suis votre ami” (chodziłoby tu o same słowa, do których przywiązanie nie jest także, jak widzieliśmy, chimerycznym), wszak i po polsku mówimy: „kocham cię”, „jestem twoim przyjacielem”; ale powiedzieć: „je vous porte de l’amitié” nigdy z szczerością nie może, gdyż takie oddanie sprzeciwia się wyobrażeniom ducha polskiego, który nie wystawia sobie przyjaźni w sercu jako chleb w torbie żebraczej albo gościniec w podróżnym puzderku.

Nie sądzcie, abym wystąpił przeciwko nauce obcych języków; owszem, wiem dobrze, że ten pośrednik przedstawia i spokrewnia duchy, zbliża, poznaje i zaprzyjaźnia narody. Jest on w świecie duchowym listem zalecającym, który nam jedna wstęp i znajomość. Za jego pomocą tylko duch polski mógł obaczyć i poznać ducha francuskiego, niemieckiego itd. i odwiedzać się potem często, wzajemnie, chociaż bez zachowania salonowych przepisów. Bo duchy, jak się zgromadzą, nie robią z sobą żadnych ceremonii, są jak najszczerze, bo nic utaić nie mogą. Jednak pomimo zupełnego ocenienia użyteczności obcych języków nie odwołuję także, co powiedziałem, że gibkość duszy w oddawaniu się w różnych słowach i formach jest jej talentem aktorskim. Ależ bo talent taki nie jest naganą, owszem arystostwem.

Dobrze jest umieć użyć obcego języka w razie koniecznej potrzeby, np. z cudzoziemcami, tak właśnie jak dobre są świece po zachodzie słońca; lecz cóż powiedziano by o takim, który by wśród dnia białego palił pochodnie albo z posiadającym dar mowy na migi głuchoniemych rozmawiał? Nie zawadzi używać obcej mowy w społeczeństwach, w których o szczerłość nie chodzi, tylko o chwilowe spędzenie czasu, o parogodzinną ułudną igraszkę jakby w teatrze. Tam można świecącymi frazesikami, powyrywanyymi z różnych guwernantek i książek upstrzyć rozmowę jak skrzydła motyle i zamaskować nimi ocieężałość ducha, który nic z siebie nie snuje, tylko przeżuwa leniwie w ufryzowanej głowie jak utuczone zwierzę w karmniku ocienionym drzewami. Ubóstwo świecić pragnące osłania się zwykle szychem i brązem. Lecz możeż być co ohydniejszego jak używanie mowy obcej w stosunkach poufalitych, wymagających zupełnej swobody i szczerłości, kiedy nie dla żartów i zabawki się mówi, np. w oświadczeniach kochanków, w zwierzeniach przyjaciół, w serdecznych rozmowach rodziców i krewnych. Nie zasługuj też to na wzgardę rozumu i uczciwości? Jakichże cnót spodziewać się po ludziach, których jeszcze przy sercach rodzicielskich poła obłuda i nauczyła w najskrytszym zakątku domowym uganiać za błyskotkami pięknego udawania. Każde „dzień dobry” było tam sztuką, każda pieszczota kaligraficzną ozdóbką. Uczucia prawdziwe stępiały, nastąpiła obojętność na wszystko najświętsze i najrzewniejsze, jakimi są węzły przyjacielskie i rodzinne. Łudzić się dobrowolnie pomiędzy swoimi i przyjmować udawanie za prawdę, czyż to uczciwie?

Kiedy aktor na scenie przebiera się i odmienia, to zamiarem jest jego oszukać i omamić, ale zszedłszy raz z oczu publiczności, którą zabawiał, czyliż zatrzyma płaszcz purpurowy i dębową koronę? aby przyszedłszy do domu powiedział żonie i dzieciom z twarzą groźną: „jestem Cezarem, drżą przede mną krocie”. Otóż tak śmiesznie wygląda każdy używający mowy przybranej w kole rodzinnym. Na cóż mu wtedy tego obcego nabytku? Czyż nim rodzinne uczucia powabniej ubierze i ozdobi? Miałzeby duch jego być tak niezgrabny i szorstki, aby dopiero przebrany i zamaskowany i wydawał się jako tako? Właśnie też szczerłość trzymać się będzie mody, wyszukiwać słówka dźwięczniejsze i układniejsze zwroty, aby się wydała piękniejszą. Już samo upięknienie prawdy jest nieprawdą.

Dobra to chwila przed przyjaciółmi przybierać się i udawać innych, chociażby i lepszych, jak być możemy? Tylko zmyślona miłość takiej się roli podejmie; prawdziwa zwykle jest milcząca, bo nawet w własnej mowie trudno jej się wyrazić, tak wąski jest język na obszerność uczuć, jakie wtedy pierś przepełniają; dlatego mową miłości są oczy, nie słowa. Nawet najsprawniejsi w myśleniu i malowaniu swych uczuć literaci i poeci ledwo część jedną bogactw miłości zdolni są oddać barwami słów.

Kochanko moja! Na co nam rozmowa,
Czemu chcąc z tobą uczucia dzielić,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać,
Za co ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną.

Ilekróć słyszę polskich kochanków wynurzających zapały miłosne w słowach francuskich, zdaje mi się widzieć dwóch żaków uczących się kochać i wbijających sobie lekcje do głowy. Amor kręci się przy nich jak powiernica klasyczna; trudno głępszych osób i zabawniejszej komedii. Prostack myślałby, że drwią sobie z miłości, wprowadzając ją na scenę jak różka cymbałka lub jakiego bądź błazna w dziwnym przebraniu. Radzi niezmiernie, że w tak ważnym położeniu nie trzeba im czuć ani myśleć, bo autor sztuki Meidyngier lub Mosin już za nich pomyślał: recytują wszystkie boleści i rozkosze, i oświadczenia, i poświęcenia, i gotowości, i uprzejmości z taką szybkością, że rozumny człowiek nie miałby dość czasu pomyśleć i zastanowić się, czy też na wiatr nie powie, kiedy oni już powiedzieli. Bieglejszy deklamator zachowuje w mowie przecinki i znaki pisarskie, bo co umie, to nie ucieknie, a pośpiech mógłby go zmęczyć i piersi osuszyć. Zresztą oszczędność w takim przypadku także nie zawadzi, bo najpilniejszemu uczniowi nawet, gdyby był bardzo rozrzutny, w ciągu godziny zapasu zabraknie. Nowicjuszom zdarza się najczęściej ta nieprzyjemność i siedzą potem jak zegrane dudy, męcząc się i kłopotąc bardzo, aby coś wymyśleć i uczuć. Umiejący sobie radzić w kłopotcie, powtarzają na nowo od A rolę już odegraną, zaczynając zwykle od: „serce moje”, a kończąc na: „ręczę pani” – lub: „przysięgam”, a im więcej odmówią tych samych oświadczeń, pochlebstw, uniesień i przysięg, tym mają się za bardziej zakochanych, jak pobożnisie mający się za pobożniej szych, im więcej sklepią pacierzy. Zdałby się im różaniec miłosny. Wypychają próżne serca pamięcia jak kłakami; jeżeli się nic nie czuje, przecież coś się słyszało i czytało, i uczyło. Polerują francuszczyznę i sformułowaną grzecznością czczość swoją i gburowatość; jak gdyby złócili próżną główkę drewnianego aniołka. Oszukuje więc i zabawiają się nawzajem, a co najzabawniejsza, że sami wierzą w własną nieszczerłość, jak stary łgarz we własne kłamstwa.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że myśleć w jednym tylko można języku, dlatego najłatwiej uczą się mowy obcej ci którzy wiele pamiętają, a mało lub nic nie myślą. Najoświecieńsze narody europejskie: Francuzi, Anglicy i Niemcy nie mają daru do nabycia mów obcych. Toż samo stosuje się do osób pojedynczych. Najłatwiej uczą się języków dzieci myśleć nie umiejące. Obdarzeni duszą czynną i obfitą, twórczą wyobraźnią i żywością w pomysłach nie nabędą nigdy łatwości w używaniu mowy nie swojej, chociażby mieli pamięć jak najszcześniejszą i obładowali ją jak mrowisko słowami: bo dla rojących się ciągle nowych myśli nie wystarczają stare wysłużone zwroty i wyrażenia, potrzeba im stwarzać nowe formy i składy. Toż samo daje się czuć nieraz w jednej i tejże samej mowie. Dlaczego języki, np. nasz francuski, niemiecki itd. z wieków XV, XVI już są ledwie zrozumiałe dla dzisiejszych Polaków, Francuzów i Niemców? – Bo rozprzestrzeniwszy umysłowe obszary wyobrażeń terażniejsi pisarze w mowie swych przodków już być szczerymi nie mogli. Najpiękniejsza myśl nowa traci cały swój powab w ubraniu wczorajszym, przykrojonym na nią i zlatanym z innego ducha; kiedy, przeciwnie, myśl nędzna i wypłowiata w nowych szatach ludzi świeżością pozorną. Dlatego nie poznasz rozumu tylko we własnej mowie, największy głupiec polski jest po francusku jeszcze dobrze albo przynajmniej niczego: bo nowość w oddawaniu zdaje się jego zasługą, a jest tylko językową stałą własnością. Przeto dziwili się niektórzy z naszych podróźników we Francji, że tam i głupie dzieci mówią po francusku. Słowa mające gwałtem oddawać ideę, która je nie ożywia, wyglądają jak kwiaty powiędłe lub stroje sponiewierane i

zmięte na balu dawniejszym. Nie dziw, że zarzucają Mickiewiczowi usterki przeciwko duchowi i układności mowy francuskiej, w której wykład przychodzi mu z trudnością, chociaż ją zna wybornie i jej literaturę dawniejszą i tegoczesną. Im bogatszym jest duch, tym mniej mu wystarcza język nawet jego własny. Najbieglejsi pisarze nie mogą często być dość szczerymi w mowie, w której ćwiczili się od dzieciństwa, cała ich usilność rozpryska o skalistą trudność w dobraniu stosownych barw na myśli, w przelaniu wiernym duszy w słowa.

Szyller narzekał, że trudno mu z całą jasnością i zupełnością wynurzyć się w języku niemieckim, i uznawał takiego już za bardzo biegłego pisarza, który tyle powiedział, że czytelnik mógł się dorozumieć reszty, co myślał, i obraz w oddaniu niezupełny sobą uzupełnić. „Ich wäre ein Dichter geworden, wenn nicht die Sprache so unüberwindlich wäre”, powiedział Goethe, rozumiejąc tym stosunek mowy do ducha. A niejedyn z najpłytszych salonowców narzuca ci w przeciągu godziny niezliczone mnóstwo słów obcych z taką łatwością i prędkością, jak gdyby rznął sieczkę lub jakby źrebię brykało; toteż wszystkie rozmowy salonowe, ze wszystkimi swoimi grzecznościami, pięknościami, zastanowieniami, rozumami i dowcipami, zebrawszy je razem z lat trzech i sześciu miesięcy, nie warte są torby sieczki, nie mają i za grosz szczeroci. Lekarstwo, które służy i pomaga, zażyte w pewnym czasie i w pewnej ilości, może ogromnie zaszkodzić, jeżeli chory w najlepszej chęci wypije od razu, co miało wystarczyć na miesiąc. Najpiękniejszy dar boży, najużyteczniejsze przymioty stają się przez nadużycie szkodliwymi. Używanie powszechne i ciągle mowy obcej jest nadużyciem pamięci, przyzwyczajają i ułatwiają mówienie z nauki bez myślenia i czucia, pozbawia słowa zapału i życia, nadawając je rozumieniem, oswaja z udawaniem, czyni nas obojętnymi i nieszczerymi, przemienia duszę w szkatułę Abrahama Sterna, która składa rzucone w nią liczby według potrzeby i żądania, choć nie ma głowy ani serca. Choroba ta ściągają jak pijawka ojczystym nawet słowom całą tęgość i wartość, jaką miały dla nas pierwotnie, wprowadza w używanie mnóstwo obłudnych grzeczności, jakie wpływają potem na charakter.

Posiada nasz język dosyć nieszczeroci zabytków wieków służalczych, np. „padam do nóg”, „sługa najniższy” itp., trzebaż go jeszcze oszpecać nieszczerociami innych obłudniejszych języków, aby w ten sposób znikczemnić ducha i ludzi? Zatem też poszło, że lada fanfaronik przysiadłszy się do pierwszej lepszej piękności prawi jej zaraz z rejestru o uczuciach i miłości, jak gdyby był doprawdy zakochany po uszy, nie zarumieniwszy się nawet, że kłamie. Pierwsi kochankowie mówili prawdę zapewne, bo tylko tyle wiedzieli, co czuli, wiedza ich dowiadywała się dopiero od czucia, lecz jakże ten nie ma kłamać, którego czucie dowiadyuje się już od wiedzy o miłości, jakby o jakiej niespodziewanej nowinie. Wczorajszy znajomy nazywa cię przyjacielem, a przyjaciela tego, jak się gładziutko wyściskało i wycalowało, tak się też wyśmiewa i obmawia bez zająknienia. „Jak ty dziś ślicznie wyglądasz, jak ci w tym stroju do twarzy”, mówiła jedna z przyjaciółek, a oddaliwszy się o parę kroków wytykała palcem te ty śliczne: „czyż można było co dziwniejszego wciągnąć na siebie! Nie jest ona wprawdzie piękną i żaden strój cudu nie robi, lecz taki oszpeciłby i najpiękniejszą”. Mój Boże! Dopiero cudu będzie z tej przyjaciółki, jak kości stwardnieją, kiedy już tak biegły polityk w latach szesnastu.

W ten sposób namnożyło się mnóstwo rzeczy, które zwyczaj elegancki inaczej nazywa, jak się nazywają. I tak gacha jejmości nazywa świat wielki przyjacielem męża. Są znowu prawdy, które delikatne uszy obrażają, pfe! o tym mówić w dobrej kompanii; „zrobimy to – mówiła Rozrzutność – jak się kompania rozejdzie”. Głupiec nazywa się bonhomme (poczciwiec) itp. Gdyby chcieć zebrać wszystkie te słowa, jak ich używają i rozumieją, pokazałoby się, że w każdym języku jest inny jeszcze język: szczeroci świata wielkiego. Szczeroci stała się bóstwem mitologicznym, którego istota zginęła, a nazwisko tylko zostało. Udanie odgrywa rolę najgłówniejszą pod nazwiskiem *savoir-faire*. Powiedział Tallejrand, iż Bóg nam mowy udzielił na ukrycie myśli; jakoż istotnie, gdybyśmy wszyscy szczerymi być chcieli, albowy się świat całkiem poprawił i zmienił, albo rozprzągnął i zapadł. Jest to już tylko powołaniem pisa-

rzy (coraz smutniejszym), ażeby byli szczerymi. Coraz więcej doskonali się udanie i trudno będzie nareszcie dowodów, aby je zawstydzić. W życiu społecznym zostawmy ludziom obłudę, która ich łączy i bawi, ale w życiu domowym, w kole przyjacielskim i rodzinnym powinna być jeszcze szczerześć mieć jakąś wartość, tym większą rozkosz sprawując, im rzadszym jest gościem i osobliwszym zjawiskiem...

Naukę Tallejranda pojął wybornie świat wielki, ma on się za nieustające ciało dyplomatyczne, stosunek osób jego ku sobie jest ciągłą gabinetową konferencją. Aby dociec, jaki nowy stroik przywiozła elegantka z Paryża, aby zbadać, kto się w kim kocha, ażeby młodych ludzi według własnych widoków zbliżać ku sobie lub zbliżonych odstręczać, aby jednym szkodzić, a drugim pomagać, aby zeznania przedwcześnie wyłudzić, słabe strony odkryć, śmieszności ukryte na wierzch wywołać, a wszystko nie wstępny bojem, tylko wśród wzajemnych grzeczności i oświadczeń; na to potrzeba wielkiej przebiegłości, mnóstwo tajemnych sprężyn w ruch wprawić, wysyłać wszędzie zręcznych posłów, który to urząd najczęściej dostaje się starym dewotkom z minką nabożną i obojętną, z oczkiem spuszczone, ale ciekawym i uważającym, z uszkiem przez ściany słyszącym, a z usteczkami dwujęzycznymi. Taki poseł pomówi przy stajni z furmanem, w przedpokoju z lokajem, w garderobie z panną służącą, a z państwem w salonie. Dopiero z zebranych tych wszystkich relacyj klei całość i buduje wnioski bardzo podobne do quodlibetu. Strony interesowano utrzymują takich ministrów kosztem codziennych obiadów i herbat. Do spraw tak ważnych potrzebuje świat wielki ćwiczyć się ciągle w chytrłości i udawaniu. Przybrał on mowę obcą za na j główniejszy żywioł swojego istnienia, aby nie mógł być szczerym, nawet zapomniawszy się, niechcący.

Gdziekolwiek usłyszysz Polaków mówiących z sobą po francusku, czy to w salonie, czy w teatrze, czy na przechadzkach, możesz być pewien, że do wielkiego świata należą lub chcieliby do niego należeć. Nieszczerość jest głównym warunkiem, aby świat wielki przyznał się do nas i mile nas przyjął. Pytania jego są śledztwem, uprzejmości chytrością, pochwały drwinami, przyrzeczenia kłamstwem, troskliwość interesem, miłość i przyjaźń czczyimi słowami, tym częściej powtarzanymi, im mniej zobowiązują, oświadczenia i pocałunki ceremoniami, a każdy krok i życie całe oszukaństwem, nazwanym umiejętnością życia.

– Bardzo mnie cieszy, że pana poznaję – mówił Kołnierzykowy Łaskawca do młodego mężczyzny, cokolwiek rubachy – z ojcem pańskim żyliśmy w ścisłej przyjaźni: pamiętam jak dzisiaj, jaką mi zrobił dogodność z ogromnego wybawiając kłopotu; chciałbym przynajmniej synowi odwdziaczyć. Bądź pan ze mną szczerze, rozkazuj śmiało, czego zażadasz, gdyż nie możesz mieć lepszego przyjaciela ode mnie.

– Wdzięčen mu jestem – odpowiedział rubaszny pan Niestąd – za pamięć o ojcu moim i za tę dla mnie gotowość. To mnie ośmiela nadużyć zaraz pańskiej zyczliwości i prosić, abys zechciał w świat mnie wprowadzić i po domach przedstawić.

– Jak najchętniej – odpowiedział Kołnierzyk – przyjedź pan do mnie jutro o szóstej.

Pan Niestąd stawił się święcie na oznaczoną godzinę w czarnym fraku i w białych rękawiczkach, oddał nawet głowę swoją w ręce wymyślnego fryzjera, ale nie zastał Łaskawcy. Pewno zapomniał albo mu coś ważnego przeszkodziło, myślał pocziwina; przyszedł więc raz, drugi i trzeci, i tak razy kilkanaście, zawsze na próżno. Jedną rażą zdybał się na schodach z Karolem.

– Nie trudź się daremnie, Karolu, bo nie masz w domu Łaskawcy.

– Jak to? – rzekł Karol – wszak o tej porze miewa zwykle partie u siebie?

– Albo ja wiem, co mu się stało – odpowiedział Niestąd – od niejakiego czasu zastać go nie można, przychodzę w różnych godzinach, wcześniej i później, nie ma i nie ma. Czyżby się rozkochał i chodzi jak jaki młokos wzdychać pod okna? Nie zalegał on pola i dawniej, ale miał czas na wszystko.

– Ha! – rzekł Karol – pójdę przynajmniej, aby mój bilet zostawić – i poszedł; lecz jakże się zdziwił, kiedy mu powiedział służący, że pan jest u siebie i wszystkich przyjmuje.

– Co to znaczy, drogi mój Kołnierzyku, zdybałem dopiero Niestada, a stąd szedł i powiedziano mu w przedpokoju, że nie masz cię w domu?

– Ach, jakiż to naprzykrzony człowiek! – odpowiedział Kołnierzyk – dla niego zawsze mnie nie ma. Raz tylko mnie widział, a już wyjechał z prośbami i zbyć go się nie mogę. Chce, abym go w świat wielki wprowadził, a po francusku nie umie. Nazwisko także nieszczególnie, nie hrabia i nie bankier; mamże się wstydzić za niego? Niechże mi da czysty pokój nareście, niech sobie szuka jakiego przyjaciela, czyż tylko ja jeden bywam? Cóż by to powiedziano, że takich wprowadzam?! Ja, który zawsze byłem ostrożny i wymyślny w wyborze. Na mnie już spuścić się można, kogo wprowadzę, mów z nim zaraz po francusku i pewnie gładko odpowie. Nie jestem ja nieuczynny, owszem, w czym tylko mogę dopomóc, jak najchętniej! Niechby zażądał innej usługi; ale żeby się naraz pozbawić całej wziętości i zdyskredytować... ho! nie głupim! To szkodziłoby nawet tym, których później mogę przedstawiać, zaraz powiedziano by o nich może, tacy jak tamten? Ja nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy i jakie może obiecywać sobie korzyści lub przyjemności?

Zapewne jest w błędzie, spodziewa się Bóg wie czego, a na śmiech by się tylko wystawił. To natręt nieznośny, od dwóch tygodni bywa tu codziennie najmniej dwa razy! żeby się też nie domyślić, że jestem w domu, lecz politykuję. Jak ci ludzie nic świata nie znają, a chcą w świat wchodzić!

– Możeś mu przyrzekł – rzekł Karol – że go będziesz przedstawiał?

– A juźciś – odpowiedział Łaskawca – cóż miałem robić? Nie mogłem w żywe oczy odmówić. Ale trzeba prawdziwie być parafianinem, aby brać wszystko tak, jak się powie, aby się nie poznawać na tych względach i grzecznościach, jakie sobie wyświadczamy wzajemnie, chcąc uchodzić za ugrzecznonych i nie obrazić nikogo. Przyrzekłeś! Czyż dlatego ma stać z egzekucją, abym się w własnym domu zamykał?

Wtem wszedł służący i podał panu swojemu bilecik pięknie zwinięty. Odczytał go po cichu Łaskawca i rzekł wzruszając ramionami:

A to ciekawe rzeczy, patrzajcie!

Wziął Panfil list do ręki, a dogadzając życzeniu zgromadzonych gości czytał głośno:

„Jaśnie Wielmożny Kołnierzyku!

Ścisła przyjaźń, jaka Go z ojcem moim łączyła, i łaskawe oświadczenie, ażebym się w każdym razie udawał do niego z całą otwartością, ośmielają mnie prosić Go o wygodzenie mi paręset reńskich na dni kilka, zanim pieniądze moje nadejdą. Służyłem Panu kilkanaście razy, chcąc prosić osobiście, lecz nie mogąc Go zastać przymuszony jestem udać się listownie. Najniższy sługa

Seweryn Niestad”.

– Osądźcie teraz sami – rzekł Kołnierzyk – co to za człowiek! Ścisła przyjaźń, która mnie z ojcem jego łączyła! Gdzie on to znalazł? Z tym starym głupcem, z którego wszyscy się śmieli. Prawda, że bywaliśmy u niego, zwyczajnie, jak to się bywa. Czyż już stąd obowiązki? Toć by żyć z nikim nie można!

– Ależ – przerwał pan Grudka – wyświadczył ci on niepospolitą przysługę, pamiętasz! Złe byłoby z nami bez jego pomocy; bo to i wykręcał, i nie żałował pieniędzy.

– I cóż stąd? – odparł Łaskawca – czyliż mu wdzięcznym nie byłem? Czyż nie chodziłem z nim po wałach i nie ścisłem się publicznie, czego by nikt inny nie zrobił, bo był to, jak wiecie, ordynaryjny prostak. Ho! Miałem ja także za swoje; nie myślcie, aby mi to przyszło bez poświęcenia.

– Dlaczegoż – pochwycił Kolanko – pisze synalek, iż pozwoliłeś mu w każdym razie udawać się do siebie?

– Wystawcież sobie – odrzekł Kołnierzyk – raz go szczególnie widziałem. Otóż są parafianie, świat cały widzą do góry nogami. Powiedz zwyczajnie przez grzeczność: bądź ze mną

szczerze, masz we mnie przyjaciela, to on ci lada dzień powie: pożycz mi pieniędzy. Najmniejsza uprzejmość, którą świat zachowuje przez znajomość ludzi i dobre wychowanie, tak ich spoufali, jakby już zjedli z nami kilka beczek soli i znali się najmniej od lat dwiestu. Dlatego ja mówię, zawsze z ludźmi takimi trzeba z daleka. Lecz powiedzże to któremu z nich, to cię wyzwie. Im się zdaje, że są au niveau de nous autres. Nauka życia nie tak to łatwa! Nie cała w tym grzeczność i wychowanie, aby się umieć pięknie uklonić i uprzejmie odpowiedzieć; trzeba jeszcze każdego w pewnym oddaleniu utrzymać bez ubliżenia, broń, Boże, jak ów prezes, który podawał gościom swoim z daleka rękę przy powitaniu, a wyciągał ją mocno i trzymał twardo, aby się szlachta nie bardzo zabierała do pyska. Patrzcie no, patrzcie! Ten nowy przyjaciel wprawia mię w kłopot prawdziwie. Postępowanie jego nawet obraża; mógłby kto sądzić, że go sam kaptiwował i zbytecznie ośmielił. Jużciż nikt mi nie zarzuci, ażebym świata nie znał i nie umiał się znaleźć. Szczęście, niezawodnie szczęście, że nie kazałem przyjmować. Jak go teraz poznaję, gotów był ustnie prosić o pożyczkę, nic sobie z tego nie robiąc, jak gdyby to się należało; dopieroż byłby mnie zmieszał i zażenował. Ja się gotuję z przyczynami, aby się od przedstawień zręcznie wywinąć, a on wcale z innej beczki zaczyna. Wolałbym go już przedstawiać; gdyby się śmiano, to z niego, nie ze mnie. Wiem, że nie chłop i nie złodziej, prosi, więc przedstawiam, a zresztą – co mi do tego? Oho! Paniczu, nie będziesz ty więcej u mnie.

Nazajutrz zdybał się Niestąd z Łaskawcą na samym zakręcie ulicy, ten stąd, a ten nie stąd, natarli żwawo i nie postrzegli się dopiero stojąc jak zdumione osły, głowa w głowę przed sobą. Trudno już było rejterować, więc się zaczęli uśmiechać, cieszyć i witać uprzejmie. Łaskawcą ścisnął nawet więcej jak zwyczajnie, zyskując tymi ceremoniami czas namysłu, od czego zacząć i jak się wykręcać. W pierwszych tedy dwóch minutach nie widać było tylko same ukłony, nie słyhać tylko poodrywane słowa bez sensu: „mój drogi”, „mój luby”, „bardzo mi przyjemnie”, „tak dawno... a czemuż?...”, „Mości dobrodzieju!...” itp.

Kiedy się ustatkowało wreszcie to pomieszenie i jak męty potoku na spód serca osiadło, a Łaskawcą coś o pogodzie zaczynał, wybawił go Niestąd z kłopotliwego położenia i rzekł:

– Pan nie byłeś łaskaw odpisać na liścik wczorajszy, może nie jesteś teraz przy pieniądzach? Bardzo proszę, tylko otwarcie!

– I owszem, i owszem – odpowiedział żwawo Łaskawcą, któremu dał pan Bóg mowę na ukrycie myśli – to бага

telka, miło mi będzie, o jak najchętniej! Na każde zawołanie, chociażby i więcej; lecz teraz muszę się spieszyć, mam posłuchanie, przyjdź do mnie jutro o szóstej.

– Ależ bo w przeszłą rażą... – zaczynał Niestąd.

– No! no! – przerwał mu Łaskawcą – zawsze już tak nie będzie. Wiesz moje zatrudnienia, pilne zajęcia, przypadek...

To mówiąc uściskali się obaj przyjaciele, Niestąd dziękował, rozwodził się z obowiązaniami, coraz ściślej węzły zawiązywał; ale Łaskawcą tą rażą jakoś niepokoił się i odciągał, znać pilno mu było na audyencję.

Nazajutrz znowu go Niestąd w domu nie zastał o oznaczonej godzinie. „Hoho! pomyślał sobie, jeszcze przypadek: wprzód o szóstej, teraz oszustę j, na wielkim świecie same oszusty”; i już odtąd nie był u serdecznego przyjaciela i nie pragnął wchodzić w świat wielki.

Łaskawca zaś wspominał długo swoje przebiegłe manewry, dodając zwykle: „Nie chodziło mi o paręset reńskich, które by oddał niezawodnie, bo jest zamożny i uczciwy; ale gdybym mu raz pożyczył, już bym go z karku się nie zbył. Już by był moim przyjacielem naprawdę: odwiedzałby mnie codziennie i czepiał się bez względu na to, gdzie jestem i z kim jestem. Ani sposobu odepchać się. Ci parafianie bardzo są wdzięczni, lada przysługa ich ujmie, sądzą się obowiązani do ciągłej wzajemności, czy kto żąda, czy nie żąda. Zrobić któremu grzeczność niebezpiecznie, bo całe życie potem nie zapomni. Jak który kocha, to rady dać sobie nie może, a nadskakuje, a obsługuje, a przy tym wszystkim za pan brat ścisną. Ja mu dopiero

obiecałem półgębkiem, a on już na zadatek napłócił mi co nie miara o serdecznościach. Uchowaj mnie panie Boże takiej parafiańskiej miłości. Rób im dobrze, to biorą cię zaraz za przyjaciela; a przecież to nie jest jedno wyświadczyć łaskę, protegować, a być przyjacielem”.

Tak rozprawiając zbierał karty i bardzo się skrzywił ujrawszy, że nie miał żadnego atuta, a najmocniejsza w kolorach była dziesiątka. Mając grać z kółkiem widział i kartę swojego kolegi mało co lepszą. Szlem niezawodny – pomyślał i westchnął tajemnie.

Wtem weszła kobieta z twarzą wybladłą i czerwonymi od płaczu oczyma, a obracając się prosto do niego rzekła z założonymi rękami:

– Panie, chciej nieszczęśliwą ratować i wesprzeć.

Zmieszał się bardzo Łaskawca, a pomimo całej dyplomacji nie mógł ukryć swojego pomieszania, płatał więc jak pijany językiem, wytrzeszczywszy w nią oczy wielkie i osłupiałe:

– Ja sam teraz... Bóg świadek... ja nie mam... co to za czasy... ja nie wiem na co? Bagatelką czy dopomogę?...

– Nie pieniężnego wsparcia żądam – rzekła niewiasta z godnością – przyszląm przemówić do uczuć Polaka i obywatela.

– Pardonnez, madame, cette méprise! – zawołał Łaskawca zrywając się ze stołka – ai-je le plaisir de parler madame... – i zaczął się jąkać.

– Ja jestem matką – zawołała nieznajoma.

Nie umie po francusku, pomyślał Łaskawca siadając znowu na stołek i słuchając jej dalej cierpliwie.

– Syna mego uwięziono o polityczne obwiniając przestępstwa. Pan masz znajomości, masz wpływy; masz przyjaźń i łatwy przystęp. Ja nie żądam, aby go uwolniono, ale niech się z nim obchodzą po ludzku, niech mu światła dziennego nie bronią, niech mu świecę palić pozwolą, niech mu nie bronią książek do czytania, niech go umieszczą w suchej izdebce, nie zamykają w lochu wilgotnym. O mój Boże, mój Boże! On jest słabowity. Wszak jeszcze go nie osądzono, jeszcze może okazać się niewinnym. Pan jesteś Polakiem, pan masz serce, pan nie odmówisz żałości matczynej, pan boleść moją pojmujesz, wstaw się pan za mną.

ŁASKAWCA

Najchętniej! Jak najchętniej! Co tylko jest w moje mocy. Pójdę, gdzie tylko pani rozkażesz, będę przedstawiał jak najgorliwiej. Miło mi, kiedy mogę ziomkom dopomagać nieść ulgę nieszczęściu. Jestem nawet gotów natychmiast...

GRUDKA

A jakżeż będzie z tą partią? Karty rozdane, teraz już nie zastaniesz nikogo. Zresztą cóż w tym pilnego? Do jutra gorzej nie będzie, możesz pójść jutro.

MATKA

O, panie! Czyż to łatwo serce matczyne uciszyć do jutra? Mnie każda chwila niepewności męczy i zabija. Chciałabym mój wyrok usłyszeć natychmiast. Z wdzięcznością dłoń tę całować będę, która poda mi zaraz nadzieję albo truciznę.

ŁASKAWCA

biorąc łaskę i kapelus

Uspokój się pani i chciej tu na mnie zaczekać. Mam to za święty sobie obowiązek, a obowiązki przede wszystkim. Chociażbym nie miał chwili wytchnienia, najprzód obowiązki.

GRUDKA

Jakżeż będzie z rozdаныmi kartami?

PEČHERZ

Czy ma tak zostać?

ŁASKAWCA

O nie! Kiedy nam już przerywa tak ważna okoliczność, będziemy, skoro powrócę, na nowo rozbierać i na nowo rozdawać, wszak dopiero cośmy siedli.

„To prawdziwa opatrność nade mną, to babsko płaczące, pomyślał schodząc ze schodów, nie tylko brać nie chce, ale jeszcze daje. Uwolniła mnie od szlema, darowała najmniej z pięćdziesiąt punktów, bo z kołkiem płaci się podwójnie. No! Proszę kogo, jak moja opatrność jest sentymentalną. Otóż to skutki z czytania romansów. Nie uczyłyby się gospodarzyć, ale im w głowie jakieś żalości i poezje, serce matczyne! Dobrze to w mieście, w salonie, lecz nie dla wieśniaczki, co po francusku nie umie. Pan pojmujesz boleść, pan jesteś Polak! Same ideały. – Niechby był młody głupiec nie wdawał się do nie swojej rzeczy. Niechby był w domu siedział i hreczki pilnował; ale to w głowie reformy, rewolucje, nas wszystkich wyciąć; a jak bieda, to do nas, wstawiajcie się! Ratujcie! Magnatów nie potrzeba, a kto pomoże, jeśli nie magnaci? Właśnie też głupi jestem kompromitować się i prosić za podejrzanymi. Mój cały kredyt na tym tylko stoi, że nigdy nie zrobię kroku niepolitycznego; to jest posadą mojej wziętości. Byłbym jej wyperswadował ten pośpiech i odłożył całą deputację do jutra, zwłaszcza że Grudka mówił tak rozsądnie; ale te karty szelmowskie! Cóż robić? Uwolniła mnie od szlema, potrzeba dla niej godzinkę po mieście pochodzić. Poświęcenie za przysługę”.

Jak ułożył, tak wykonał, a powróciwszy rzekł: „Na honor, powiodło mi się nad spodziewanie moje. Wszystkich zastałem, tacy zawsze łaskawi, wszędzie przyjęli. Wystawiałem i objaśniałem, wstawiałem się, obiecano mi łagodność”.

MATKA

Czy odmienili mu już pomieszkanie?

ŁASKAWCA

Powiedzieli, że czemu się tylko nie sprzeciwiają przepisy...

MATKA

Czy nie zabronią posyłać mu jedzenie i bieliznę?

ŁASKAWCA

Powiedzieli, iż wszystko, co tylko w ich mocy...

MATKA

Czy pozwolą mi widzieć go? Biegnę natychmiast.

ŁASKAWCA

Powiedzieli... Bądź pani spokojna, wszystko się jakoś ułatwi, tylko rozsądku, tylko cierpliwości, i nie zaraz tak wszystko od razu. Mówią nawet po mieście o ogólnej, bezwarunkowej amnestii. Mogę ja także wiedzieć o tym cośkolwiek i wierz mi pani! nie płonne to wieści, bo nasz monarcha jest litościwy.

MATKA

odchodząc

O! Niech panu Bóg błogosławi.

PECHERZ

Ależ wysiedzieliśmy się długo, czekając na ciebie. Gdzieżeś, u kata, schował się? Nudziła nas ta kobiecina, ale musiała być kiedyś przystojna, nie ma co mówić. Gada niczego, ma dar, ma; lecz jakże to wydałoby się inaczej, gdyby mówiła po francusku.

GRUDKA

Oj! Ma, ma i wydałaby się inaczej, gdybym nią nie była.

ŁASKAWCA

udając zadziwienie

Alboż ona po francusku nie umie? I któż jej o mnie powiedział? Kto ją tu przysłał?

PECHERZ

Brałem ją na egzamin i brzdąkała coś bardzo niedobrze, zwyczajnie jak szlachcianeczka; dlatego nie prosiliśmy jej siedzieć.

ŁASKAWCA

z uśmiechem

Istotnie, od kiedy mam te meble, nie siedział podobno nikt na nich po francusku nie umiejący. Wszak wiecie, kto u mnie bywa.

GRUDKA

Ej! Wiedzą one najlepiej, kto na nich siedział. Gęba mówi, a siedzi... rozumiecie! Dajcie więc pokój biografii meblów, które innego języka słuchają, a bierzmy się prędzej do kart, aby czas stracony nagrodzić.

ŁASKAWCA

Oj, co stracony, to prawda. Dowiedziałem się najdokładniej, jej syn to rewolucjonista, powiesz go. Ja żyję ze wszystkimi, mnie wszystko powiedzą.

Ulubione twierdzenie świata wielkiego, że życie jest tylko komedią, daje się do niego w całej zastosować rozciągłości. Istotnie, na wielkim świecie wszystkie uczucia i cnoty, i poświęcenia, i obowiązki, i radość, i żal, i uśmiech, i łzy są tylko pustym udaniem. „O! Dla pana wszystko uczynię”, „bardzo się cieszę, że w dobrym widzę go zdrowiu”, „uszcześliwiony jestem przytomnością pani”, „podzielam boleść jego”, „jakżem szczęśliwy!”, „bardzo mi przykro!” – oto są ogólniki, których świat wielki używa przy każdej sposobności, przybierając do woli twarz smutną lub wesołą, bez najmniejszego uczucia. Obłuda ta tak została przyjętą i upowszechnioną, iż nie zadaje sobie nawet pracy, aby się ukryć i za szczerłość uchodzić. Czynią sobie oświadczenia obłudne, ściskają się obłudnie, wiedzą, że obłudnie, i biorą to przecież za oznaki grzeczności, przychylności i sprzyjania.

Widziałem Grande Dame, obchodzącą koło salonowe poważnie i uroczyście, z wachlarzem z przodu i z wachlarzem z tyłu. Jak damy siedziały przy sobie, tak szła koleją od jednej do drugiej.

Tu roziskrzyły się jej lica, widoczna ożywiła je wesołość: „ach, jakem szczęśliwa, że pani tak dobrze córkę swoją wydajesz, szczerze jej tego winszuję!” Tuż zaraz obok ukrył się uśmiech, twarz sposepniała, wzrok się pochmurzył: „ach, czuję mocno jej stratę, wierzaj mi pani, że to nieszczęście nie daje mi spoczynku”.

I tak w przeciągu kwadransa była najmniej dwadzieścia razy rozjaśnioną i zasepioną, wesołą i smutną, szczęśliwą i nieszczęśliwą. Gdyby pierś jej stała się przezroczystą, straszny odkryłaby widok na to źródło rozwiązłych rozkoszy i farbowanych uczuć; przez żaden kanał,

w który wylewają pomyje garbarze i farbiarze, kuśnierze i rzeźnicy, nie przebiegnie w tak krótkim czasie tyle różnokolorowych brudów. Tak gwałtownych przemian nie zobaczysz tylko pomiędzy wariatami i na wielkim świecie. U pierwszych jest to prawdziwe, naturalne, a drugim tak się podobało, że udają.

Stosunki rodziców, związki małżonków, kochanków, przyjaciół, są tam tylko czystą komedią. Służą za przedmiot do pięknych uniesień i wykrzykników wymownych, ale nie pobudzają do czynów, są obowiązkami nie obowiązującymi do niczego. „Nie bronimy kochać naszej jedynaczce – mówią troskliwi o jej dobro rodzice – wszak sam wiek już jest po temu”; byle tylko kochała według widoków ich starej chciwości i dumy. Niechże się rozkocha według skłonności młodego serca, według potrzeby i wyobrażeń duszy nie zepsutej, to dom ukochanych rodziców staje się dla niej straszniejszym od piekła. „Kochamy nad życie nasze dzieciątko i wolimy płakać pięknie na jego pogrzebie niżeli dopuścić, aby krew starożytna łączyła się z ubogim człowiekiem nieznanego imienia”. Zgodność uczuć i myśli to romanse. Najściślejsze węzły serca potargać i niewinną młodość pomiać tyrańskimi nogami to obowiązki troskliwego rozsądku. Boleści miłosne, ścieśnienia serca, ogień wnętrzości i życie trawiący to nieprawda. Niech sobie panna wzdycha i cierpi, i płacze, przejdzie to; on n'en meurt pas! Z tym wszystkim musi się wystroić i na bal pojechać, musi się pięknie kłaniać i uśmiechać, i być grzeczną, i rozmawiać, i tańczyć, i śpiewać, a po kilku razach tak się obezna z polityką światową, tak się przyzwyczai do skrytości i obludy, że jej to nie wyda się opatrzenie i trudnym nie będzie.

„Kochaj sobie i cet homme obscure [!] – powie jej, dobra matka w cichości – wiem ja dobrze, że serce nie przebiera i narzucać mu nie można, ale bądźże z tym wszystkim rozsądna, wiedz, że miłość nie jest drogą do małżeństwa, umiej ukrywać się przed ludźmi, bo nie uwierzysz, jak są złośliwi i zazdrośni. Pamiętaj, że samego szczęścia nie dosyć, bo młodzi zakochani z lada czego są szczęśliwi; jeszcze ci świetną partię zrobić potrzeba. Staraj się tamtego zwabić, ująć i przywiązać. Jak będziesz mieć rozum, to to, że kochasz jednego prawdziwie, nie przeszkodzi ci przed drugim miłości udawać. Udając jesteście nawet swobodniejsze i przyjemniejsze. To tylko parafianki jak raz kochają, już udawać nie mogą, a smutne bez swoich adonisów ciągle o nich myślą, a niespokojne kwaszą się w najprzyjemniejszej kompanii. Dlatego też wyśmiewamy je. Rozsądna panna wie, czego po niej serce wymaga, a czego jej położenie na świecie, umie ona czuć dla uczucia, a myśleć i żądać dla widoków i liczby, umie osobę swoją podzielić i rozdać. A jak raz pójdzie za mąż przyzwoicie, mój Boże, już jest bezpieczną; tysiąc się znajdzie wtedy sposobności. Łączymy się z tymi, którzy nam zapewniają wziętość, znaczenie, majątek, a dla tych, których kochamy, tylko trzeba być ostrożną i nie narażać swojej reputacji. Możecie się widywać u mnie na przykład, to już żadnego nie wzbudzi podejrzenia. Któraż by matka źle dziecku swojemu życzyła? Wierz mi, ja bym ci chciała nieba przychylić, ja ci dopomogę i do świetnego małżeństwa, i do użycia świata. Wiem dobrze, że on nudziarz i przykry, i kutwa, do tego nażył się i zużywał. Czyżbym chciała obładować sumienie moje twoimi złorzeczeniami i płaczem, gdybym nie wiedziała dobrze, jakie są na to sposoby?”

Cóż więc dziwnego, że z takiej szkoły wyszedłszy, takim napatrzywszy się przykładom, panna świata wielkiego, ażeby zdradzić, nie potrzebuje odbywać trudnej walki namiętności z obowiązkami, nie pasuje się z sobą, nie czyni wcale poświęcenia; ulega od razu przy pierwszej sposobności, bo za mąż poszła dlatego, bo ma to właśnie za obowiązek. Pierwsze złamanie wstydu, krok pierwszy u nie zepsutych często niepodobny, zwykle najtrudniejszy, jest dla niej prędko i łatwy. Wszakże już ślub sam i przysięga była zwiedzeniem i oszukaństwem. Nie trzeba jej namów i dowodów, i uwodzeń, ona wie wszystko i jeszcze innych nauczy. Wycalowaławszy zatem i wyściskawszy jasnego męża jak najserdeczniej, ma nazajutrz po ślubie schadzkę z tym mężem ciemnym, najprzód u matki, potem w łazienkach, potem po kilku latach niedogodności małżeńskich wygodnie w domu u siebie; aż tu nareszcie, ni stąd ni zowąd,

jest już jak maku ciemnych tych ludzi, snujących się cicho jak cienie elizejskie, o ciemnej nadchodzących godzinie, wylazających z ciemnych kątów i za lada przeszkodą w ciemny kąt się chowających; przeto też niewidomych najczęściej. Po dwudziestu latach niedostrzeżonego pożycia z małżonki roztropnej staje się matką comme il faut, wychowującą dorastające dzieci według zasad i wymagań świata wielkiego.

Mężowie ciemni zmierzchli zupełnie jeden po drugim, odstraszeni jak gdyby głową meduzy, groźbami czasu mściwego; ale mąż jasny ma tę zasługę, że niczym nie dał się odstraszyć i został już sam przy wszystkich prawach swoich. Wielka to korzyść dla niego. Posłuchajmy poufalej rozmowy tych siwych małżonków.

GŁOWA MEDUZY

Taż to jest wielka tajemnica, która ci przez dni kilka spać nie dawała? Prawdziwie umieram ze śmiechu i żałuję zabiegów twoich w zbadywaniu. Dlaczego humor odmienił? Dlaczego ponury i smutny? Czy się nie zgrał? Dlaczego unika wesołych towarzystw? Dlaczego jak pustelnik szuka samotności? Gdzie spędza całe wieczory? Otóż to! Zgadywałam od dawna, cha, cha, cha, wielkie nieszczęście! Kocha się w famdeszambrze.

MAŻ JASNY

Ty bo zawsze się śmiejesz i wszystko masz za nic. Nie śmiechu tu potrzeba, ma chore, lecz zastanowienia i rady. Złe w samych początkach należy przytłumić, bo jak się wzmoże, to i dom zgorze. Przyznam, iż nie bardzo rad by pokrewnić się z mieszczką.

GŁOWA MEDUZY

A! Przecież mieszcza, więc nie jest jeszcze z najniższej ekstrakcji. Mieszcunki bywają dobrze wychowane. Bardzo bym chciała obaczyć ją, czy nasz ma gust dobry? Jak tu nie śmiać się, kiedy ty każde dzieciństwo bierzesz zaraz tak poważnie i tak okropnie wystawiasz. Straszysz synową, a chłopiec ma dopiero ośmnaście lat. Ze się kocha, to naturalnie; cóż by robił? Jak pozna miłość zawczasu, to łatwiej mu ją będzie później udawać, gdy zechce się żenić. Ze mieszcza, to chwała Bogu! Tym się ochroni od potrzeby znajomości brudnych, gdzie by mógł zdrowie utracić. Chłopiec w tym wieku najlepiej, jeżeli się kocha w mieszcze albo w mężatce, bo gdyby uwiódł pannę szlachecką, to więcej byłoby o to krzyku, jak warto. Mieszcunki teraz dmą jak magnatki; założyłabym się, że umie nieźle po francusku. Ma tedy z nią i przyjemność w rozmowie; hohe! mój chłopiec nie kochałby się inaczej.

MAŻ JASNY

Ależ bo ten szalapat o tym nie myśli. Przekupiłem służącą i wiem, że codziennie przysięgają sobie wieczną stałość, uzbrajają się w cierpliwość przeciwko wszystkim przeszkodom i nie tylko, że po francusku nie mówią, ale nadto zwykle po niemiecku szwargoczą. Miłość jak się wkorzeni, może solenne głupstwo wypłatać i wielkiej nabawić nas zgryzoty.

GŁOWA MEDUZY

To filut! Ma on ode mnie dobre sentymta. Przecież, chcąc pannę zjednać dla siebie, nie powie jej: ja się z tobą żenić nie będę. A te przysięgi w latach ośmnastu, a nawet w wieku późniejszym, to komplementa, to wiatr. Jak on zawczasu świat poznał, c'est admirable! Zresztą gdyby był jeszcze doprawdy dziecinny i lekkomyślny, czyż nie ma na to sposobów? Czyż nie możemy zaradzić.

JASNY MAŻ

Właśnie też nad tym myślałem. Chciałbym go w podróż wyprawić, niech się trochę rozgarnie, niech zapomni.

GŁOWA MEDUZY

To najgorzej! Przeszkody miłość wzmagają, nie tłumią. Będą do siebie pisywać i powróci rozkochańszy, jak pojechał. Przecież nie można go wiecznie trzymać za granicą.

JASNY MAŻ

Cóż więc mam robić? Kiedy wiesz lepiej...

GŁOWA MEDUZY

Pozwolić, niech bywa, jak bywał, i kocha, jak kochał. Powiedzieć, że nie gniewamy się i nie przeszkadzamy; a potem mieszczkę zapłacić, kupić jej miłość dla niego. Niech się młodzi sobą nasycą, to się i kochać przestaną. Częścią twoje pieniądze, częścią jego przysięgi i wszystko się uda, a przy tym w świat go wprowadzić, namawiać piękne mężatki, aby go ujmowały i bałamuciły; z trudnością im to nie przyjdzie, bo chłopiec jest ładny. Zajęcie po zajęciu, miłość po miłości, to jest najlepsza recepta.

JASNY MAŻ

Prawda, pieniędzmi wiele można dopiąć, a mam mu dawać na podróż czy na to, wszystko mi jedno. Ale ci ludzie z klas niższych mają czasami fałszywą ambicję, bo u nas to się nie zdarza. Ot, ta na przykład, wiesz, najęła się rocznie, ale wiedziała, komu; ma i honor, i pieniądze. Niech świat krzyczy jak chce, ja zawsze mówię: zazdroścza jej, dobrze zrobiła.

GŁOWA MEDUZY

Ej! Ambicja to tylko dla ludzkiego oka; używamy jej dla ozdoby jak lornetki. Lecz kiedy kto u siebie w domu do obiadu siada lub ze swoimi jest ludźmi, czyż będzie patrzył przez lornetkę? Sam na sam nie ma skrupułów i nie potrzeba ambicji. Kto ma pieniądze, ma, i nie pytają, skąd je wziął i za co? A potem chociażby i wiedziano, nie ujmuje to szacunku u ludzi świat znających, parafianie tylko się krzywią. O! Niemki rozumieją to dobrze; jak jej parę razy kiwnę głową na balu publicznym, jak powiem, jaka ładniutka, a pod brodą pogłaszczę, to wyperswaduję, co zechcę. A syn nasz będzie miał dogodność i my będziemy o niego spokojni.

W kilka lat po tej pamiętnej rozmowie wielkoświatowych rodziców ożenił się za ich namową synalek z wdówką w peruczce i niepospolitymi dochodami, za które napełnił zaraz i dom swój, i domy sąsiednie różnego rodzaju mieszczkami i famdeszambami, przez szczególną losów dziwaczność jasna żona jego była czarną jak noc, żony zaś ciemne białe jak mleko i świecące jak gwiazdy. Nałożnic nie miał, bo był religijny, spowiadał się co pół roku i pościł co piątki. Dzieci wychowywał znowu w bogobojności na comme il faut obywateli i comme il faut matki.

A tak wielkoświatowość dostawała się w tym domu w spadku z pokolenia na pokolenie, po mieczu i po kądzieli, jakby błogosławieństwo boskie lub jaki klejnot rodzinny nieocenionej wartości. Dotychczas jeszcze cała rodzina jest wielkoświatową. Mężowie idą z pogrzebu przyjaciół na wieczorynki i bale okazywać powabność czułości swojej i wdzięki żaloby; matki porzucają dzieci i krewnych na łożu boleści, aby się przebierać za gryzетки i zalotnice ku zabawie swoich protektorów i łaskawców, i grałyby dobrze, gdyby nie udawały, że udają; bo świat wielki wtedy jest najszczerzy, kiedy oddaje nieszczerość, zalotnictwo, głupotę, kiedy gra komedią. Na co sztuk szukać po książkach i męczyć się nad nauką? Sztuki i grube sztuki pan Bóg postwarzał, a wychowanie zrobiło je bardzo śmiesznymi sztukami. Dość się pokazać, każdy się ubawi.

Onego czasu zajechała pocztą do Wiednia pewna grubawa, wzrostu niskiego, także Grande Dama, jeszcze nie stara, chociaż pan Tygodnik utrzymywał przeciwnie, przez zawziętość zapewne. Celem jej podróży były sprawunki: kanapy, stołki, czepki, sukienki, firanki itd.; chciała przy tym jednak i fanfaronować, udawać znawczynię, zwiedzać zakłady, gabinety, galerie, fabryki, bo słyszała, że to się robi w podróżach. Nie wiedziała tylko, jak sobie radzić i ułatwić. Wtem nawinął się przypadkowo współziomek wzrostu słusznego, twarzy bladej i kiermaszowatej. Mniejsza o to, że łysy, bo zamieszkały parę lat w Wiedniu, wiedział, gdzie się obrócić i jak w różnych potrzebach poczynać. Prędko przyszło do znajomości, a w dniach kilku zawiązała się nawet ścisła przyjaźń. On także był nieodstępnym towarzyszem jeszcze nie starej. On także prowadził na teatr i odprowadzał z teatru, układał i ułatwiał naukowe wycieczki, a na przechadzkach dźwigał przez kilka godzin rękę jeszcze nie starą, ale już ciężką. – Jednym słowem zyskał zupełne zaufanie i przychylność. Wysyłano go wszędzie w mieście i po przedmieściach, aby się dowiedział, wypytał, obaczył, zamówił, postarał, stargował, wyprawiał: był to rodzaj dziennego sługi płatnego przyjaźnią, bo jeszcze nie stara powtarzała mu często, przepraszam, że pana trudzę, że się nim wszędzie posługuję, ale uważam go za prawdziwego przyjaciela.

Kiedy przyszło do odjazdu, zaklinał prawdziwy przyjaciel jeszcze nie starą: „zostań dłużej, chociażby dzień jeden”. „Dla ciebie tylko to zrobię” – mówiła jeszcze nie stara.

A dzień ten poświęcony nieśmiertelnej przyjaźni, przedłużony wielką częścią nocy, przeminął jednak jak wszystko na tej kiepskiej ziemi. Po licznych oświadczeniach i uściśnieniach, i zakłęciach, i odprowadzaniach, i nadziejach prędkiego obaczenia się, nastąpiło wreszcie przykre pożegnanie.

Dotychczas wszystko szło dobrze. Ale w rok później gonił on także pocztą do ojczyznej stolicy jeszcze nie starej, tonąc w słodkich marzeniach, że przecież będzie mógł raz używać spokojnie owoców przyjaźni podlewanej potem czoła. Ledwie wysiadł z powozu, przebrał się prędko i był już z wizytą w przedpokoju jeszcze nie starej. Pani przeprasza, bo się ubiera. On także przyszedł nazajutrz, pani przeprasza, bo wyjeżdża. Po południu przyszedł on także: pani przeprasza, bo drzymie. Nie odstraszyło to najstalszego z przyjaciół, chodził czas długi codziennie rano i po południu, a jeszcze nie stara przepraszała zawsze. Nareszcie lokaj mruczał pod nosem: pani nie przyjmuje; nie chodząc nawet dowiadywać się. Wszystko to było za mało dla najwierniejszej pod słońcem łysiny; ale kiedy jej na bal nie zaproszono, dopiero oceniła przyjaźń wielkoświatową, iż nie warta butów w Wiedniu podartych.

Nadto żaliła się jeszcze nie stara: „Co za nieznośny natręt, w Wiedniu co innego – tam mnie nikt nie znał. Lecz czyż znajomość zagraniczna może ośmielać do zbliżeń w kraju, gdzie wszystkie stosunki są znane, gdzie ubliżalibyśmy stanowisku naszemu i tonowi przestając lada z kim. Piękna mi znajomość, której trzeba by żenować się na ulicy lub w licznym zebraniu. Jakiś spanoszały wiernik, co ojców naszych okradał; do tego ułożenie śmieszne, wychowanie nic potem. Póki był potrzebny, a brał to za zaszczyt, że nie broniłam mu usługiwać sobie, to wisiał, jak wiszą wąsy pod nosem, które jednak każdego czasu można wygolić. Ja mam córkę, więc trzeba być bardzo ostrożną w wyborze młodych ludzi, których wpuszczam w dom mój. Już i tak rozgłosili złośliwi, że ją wydaję za jakiegoś tam kroackiego czy czeskiego Garbonosa”.

Przyjaźni takiej doświadczają najczęściej urzędnicy i urzędniczki im więksi, tym większej. Świat wielki ma ich zawsze za coś gorszego od siebie i mocno na tym cierpi, że się z nimi miesza i przestaje, ale jak długo są na tym stopniu, że mogą mu szkodzić albo pomagać, tak długo im nadszkuje, łasi się, podchlebia, dogadza, wypełnia wszystkie życzenia, pozwala sobie uchybiać, gotów poświęcić się i w ogień skakać; prawdziwa, wielka przyjaźń! Skoro zaś zmienią położenie swoje, zapominają o nich natychmiast, unikają ich, nie zapraszają, nie znają nawet. Córki ubóstwianych niby niegdyś władców umierały w niedostatku wśród najliczniejszych przyjaciół. I nie w tym wina, że niedostatek cierpiały, bo bywają stosunki, w któ-

rych najlepszy urzędnik nie zasługuje tylko na złoźreczenia i wzgardę narodu, np. w krajach zagrabionych i uciemieżonych. Ale dlaczegoż ci, których narodowość przeciwko dzieciom oburza, tak nie po narodowemu lizali stopy rodzicom.

Najbiedniejszymi istotami wielkiego świata są odwodowi konkurenci. W każdym domu, gdzie panny są na wydaniu, znajdziesz ich także w zapasie, najmniej jednego.

Utrzymywani zawsze w pewnej odległości i w pewnym zbliżeniu, póki się coś lepszego nie trafi. Najobojętniejszy znak, spojrzenie, uśmiech lub słówko dwuznaczne ściąga ich według potrzeby lub odrzuca jak piłkę. Wzbudzaną sztucznie w ich piersiach nadzieją lub wątpliwością, ośmielaniem lub odstraszeniem może ich biegły gracz, jak kostki na szachownicy, naprzód posuwać i cofać. A oni nie postrzegają się nawet, że są tylko klockami w grze.

Do tych nieszczęśliwych ofiar miłości strzela bez ustanku szczerść świata wielkiego jak do celu. Jak muchy padają porażeni na prawo i na lewo, a strzelcy żartują z nich jeszcze: co za zarozumiałość! Śmiał mieć nadzieję! Rzadko utrzyma się który, i to albo przez brak innych miłośników, albo że klocek dowcipny, dając się niby dowolnie posuwać godzi tajemnie w punkcik najslabszy, to jest w pannę, i tak go sprytnie płatnie w upatrzonej porze, że po staremu nie ma już innej rady, trzeba iść za mąż. Niech i on będzie tymczasem, mówią rodzice i krewni, póki się coś lepszego nie nawinie. Więc panna oczka zawraca i wzdycha, ojciec się kłania i ściska, matka się uśmiecha, grzecznie przyjmuje i chwali, a nieboraczek odchodzi od siebie z wielkiego szczęścia, pełen jak najniewątpliwszych nadziei. Dopiero sam poznał, co wart, wzbija się w dumę i od czasu do czasu pozwala sobie małego kaprysyku, małej nieuwagi lub niedbałości. Sądzi się mocnym jak dąb, któremu żadna przeciwność nie szkodzi, żadna go burza nie wzruszy, wszakże się przez dwa lata z całą usilnością wkorzeniał w panny serduszko i w łaskę rodziców.

Tymczasem od dni kilku zjawił się jakiś trzpiotek zza kordonu, lorynotował na balu, tańczył dwa razy, potem przysiadł się i długo rozmawiał, potem powiedział mnóstwo grzeczności, potem odwiedził; hoho! już i nieboraczka nie chcą przyjmować, ojciec ochłódl i unika go, matka obmawia i wyśmiewa, panna odsuwa się i ani popatrzeć. Niewinna dziewczynka zakochała się jak kociątko pierwszy raz w życiu, i to w tym trzpiotku zza kordonu. Na co nieboraczek lat kilka pracował, to trzpiotek w dwóch dniach powalił. Nieboraczek zesmutniał i nie chce tańczyć, wzdycha, narzeka i ciągle patrzy się w pannę jak w tęczę, która mu w oczy się śmieje. Nie dowierza sam sobie, oczekuje końca, może trzpiotek porzuci, a on powróci. Więc przypatruje się cierpliwie wszystkiemu ze smutnego kącika w salonie. Chciałby zbliżyć się do panny, zrzec się wszystkiego wspaniałomyślnie lub gorzkie czynić wyrzuty; chciałby po raz ostatni odmalować ognistość swojej miłości, wielkość cierpień i poświęcenia, lecz los zawistny nie dozwala mu popisać się pięknie nawet w tych smutnych wyprawach; tysiączne napotyka trudności, już się podsunął był blisko, wtem... zbliżył się ojciec i przeszkodził. Trzpiotek wziął pannę do tańca, to matka ją zawołała do siebie, to najnudniejsza z ciotek uczepiwszy się naszego nieboraczka dowiaduje się jak na j troskliwie j o przyczynę jego smutku i prawi mu przez kilka godzin opisowo, malowniczo, kostycznie nawet, z czego on jednak nic a nic nie słyszy. Śród tych kłopotów i męczarni udało mu się nareszcie przypaść znienacka do swojej dwuletniej kochanki.

– Co to się stało? – rzekł jej cichutko – czemu ta zmiana?

– Jaka zmiana? – zapytała głośnie panna zdziwiona.

NIEBORACZEK

Ależ ta obojętność, taka oziębłość, po tylu dowodach...

PANNA

Co za dowody? Co za wymagania i uwagi dziecinne? Czegóż pan możesz żądać więcej jak grzeczności, która się każdemu należy, a na której pan nie umiałeś poznawać się podobno?

NIEBORACZEK

O! Poznawałem się, ceniłem wysoko, miałem nadzieję...

PANNA

To bardzo źle: nie wiem, co panu do niej prawo nadało?

NIEBORACZEK

A też dwuletnia pomiędzy nami zażyłość, te częste zapraszania w dom wasz, te przyjmowania i dogadzania ustawiczne, to zostawianie nas sam na sam?

PANNA

Rodzice moi nie wyganiają nikogo z domu swojego, a że na mnie spuścić się mogą spokojnie, tego przynajmniej nie będziesz pan przeczył. Zasłużyłam może na tyle ufności i na taką opinię.

NIEBORACZEK

A też uściśnienia rąk? Te wzajemne uczucia i przysięgi? Te oświadczenia i rajem przenikające pocałunki, czyż wywietrzały już z twojej pamięci?

PANNA

Bardzo źle, jeżeliś się pan na tych dowodach przyjaźni i zaufania poznać nie umiał, wykładając je sobie ze szkodą moją, z ujmą czci mojej. Teraz poznaję, że pan nie miałeś dla mnie nawet szacunku, nie zasługiwałeś nawet na przychyłość.

NIEBORACZEK

Mój Boże! Ja cię kochałem i kocham z całym poświęceniem.

PANNA

Bardzo proszę poprzestać takich komedyj; patrzą na nas – odejdę. Ja pana nie kochałam i nie kocham, skąd taka śmiałość?

NIEBORACZEK

A też listy pełne ognistych wyrazów, uniesień, przyrzeczeń i zaklęć.

PANNA

Pisał je metr mój, abym się ćwiczyła we francuskim języku.

NIEBORACZEK

O! Jeśli już przyszłość nie dla mnie, nie odbierajże mi przynajmniej przeszłości. Nie zohydź mi szczęścia już minionego, nie zabraniaj cieszyć się wspomnieniami. A też, a też, w czasie długich wieczorów samotnych... a to okienko, pamiętasz?

PANNA

Mój panie! Zapominasz się, pozwalasz sobie zanadto! Czy chcesz, abym nim wzgardziła jak podłym potwarcą?

NIEBORACZEK

Zostaw mi przynajmniej życzliwość twoją, twoją przychyłość.

PANNA

Jeżeli postąpisz jak człowiek honoru.

NIEBORACZEK

Odjadę na wieś cierpieć w skrytości.

PANNA

A listy moje odeślesz?

NIEBORACZEK

Temu, do kogo należą.

PANNA
popędliwie

Jak to?

NIEBORACZEK
spokojnie

Nauczycielowi francuskiego języka.

PANNA

I o okienku, i o wieczorach samotnych ani piśniesz?

NIEBORACZEK

Chyba przez sen.

PANNA

Oto masz rękę moją, uściśnijmy się jeszcze po raz ostatni, na dowody że me rozstajemy się z gniewem i zemstą w sercu. Jak pójdę za męża, będziemy się mogli widywać, teraz wypada stronić. Przyjmuję to zaręczenie ze strony twojej za przysięgę.

NIEBORACZEK

Więc tyle zaręczeń i przysiąg wyraźnych i rzeczywistych, a ta pozorna, ta której domyślać się trzeba, też by dopiero była ważną i zobowiązującą.

PANNA

Jak to? Czy znowu czułości i lamenta?

NIEBORACZEK

Zaklinam cię! Nie zestawu j mnie w wątpliwości. Zniosę wszystko, wszystko przemilczę, lecz niech wiem, czy to tylko rodzice... czy serce twoje? Czy miłość?...

PANNA

Której nigdy nie było. Temu, jak widzę, końca nie będzie! Za długo już rozmawiamy, bywaj pan zdrow i miej rozum.

Odchodzi

NIEBORACZEK

Lepiej byłoby nie mieć i stracić zarazem pamięć i wiarę we wszystko co piękne, wzniosłe, cnotliwe i niewinne.

W pół roku później Nieboraczek, nie wyplakawszy się jeszcze, odebrał całkiem niespodziewanie list następujący:

„Mój drogi przyjacielu!

Dopiero oddalenie przekonało mnie, jak dalece obecność twoja potrzebną jest do spokojności mojej, do mego szczęścia. Nie uwierzysz, jak wiele cierpiałam po ostatniej rozmowie naszej, do której zagnlili mnie rodzice. Nie dopięli jednak zamiarów swoich. Nie mogłam w żaden sposób przywiązać się do Trzpiotka, codziennie stawał mi się nieznośniejszym. Kiedy był przy mnie, dusza moja przebywała gdzie indziej. Nudził mnie ogromnie, powiedziałam mu wprost nareście, że go nie cierpię, że go nienawidzę. (Przecież mnie tego nie powiedziała – pomyślał Nieboraczek czytając.) Po tym kazaniu odjechał, chwała Bogu, na zawsze. Wiem, że po zrażeniu, jakiego doznałeś z namowy rodziców moich, nie mam już prawa odwoływać się do dawnych uczuć naszych, lecz chciałabym obaczyć ciebie przynajmniej raz jeszcze, zanim spełnię niezachwiane moje przedsięwzięcie. Bilet ten piszę w największej skrytości, aby odzyskać przynajmniej poważanie twoje, bo ta strata boli mnie najmocniej.

Twoja nie twoja”.

– Czy też przyjdzie – mówiła matka – może już gdzie indziej kocha, bo mężczyźni pocieszają się prędko.

– Przyjdzie, przyjdzie – odpowiedział ojciec – wiedziałem ja, jak list układać, a przy tym wiecie, jaki on głupi.

– I jaki zakochany – dodała panna.

– Zakochany? – mówiła matka wzdychając – jak każdy mężczyzna; alboż ten zza kordonu nie był zakochany?

– Już to – rzekła córka – prawdę mówiąc, nigdy go znosić nie mogła, miałam jakieś przecucie, że to się źle skończy, nie byłabym z nim szczęśliwą.

– Może – zapytał ojciec z prędkością – dałaś mu poznać twą niechęć, byłas dla niego obojętną, nieczułą, niegrzeczną, może go zraziła? To by się dało naprawić.

– Gdzież tam – odpowiedziała córka, i zamilkła.

– Wiem ja najlepiej – dodała matka – to biedne dziecię dogadzało mu aż nadto, bo przywiązała się szczerze; ale cóż teraz ma mówić...

– O! Nie, nie – przerwała córka...

Wtem wszedł Nieboraczek. Ojciec i matka udawali zdziwienie, a panna radość. Wiele miał Nieboraczek kłopotu i trudu, nim jej odradził, aby nie wstępowała do klasztoru. Chciała tego koniecznie.

Niezadługo na czyimś weselu słyszałem od Karola te słowa: „Skąd mają być dobre żony, cnotliwe matki, kiedy rodzice sami uczą ich używać uczuć jak lekarstw, według okoliczności, zmyślać i zwodzić, a małżonkowie tacy są głupcy, tacy niedołądzy. Amate vos, sed non propagate”.

Niedawno przyjmowała Mierzynka najlepszą przyjaciółkę i inną jeszcze panią, prawie obcą, bo od dni kilku dopiero znajomą. Po obiedzie wyszły w ogród używać przechadzki i świeżego powietrza, a nakłaniawszy się, naściskawszy i nacałowawszy do woli, oświadczywszy sobie mnóstwo uprzejmości i serdeczności, usiadły w cieniu, aby wypocząć i ochłodzić po tym rozdęciu i rozżarzeniu ogniów wieloletniej przyjaźni. Było też parno i na dworze, a dyganie i obejmowanie, oświadczenie i kochanie, jednym słowem miłość wielkoświatowa, mniej męczy, sporzej idzie i nie tyle dopieka w dzień chłodny. Przyjaciółka przejęta i rozkończana tyłoma czułościami nabrała chęci pustych, odeszła więc pod zmyślnym pozorem zgubionego obręcza, zostawiając towarzyszkę na ławce, do której się stroną tylną zbliżyła cichutko pod zasłoną krzewów i gęstych gałęzi. Przygotowując swawolną niespodziankę wstrzymywała oddech i wyciągała rączkę spod krzaków. Nie wiem, co się tam roilo w tej głowie

swobodnej, przykrytej puklami i liściem, czy chciała którą z siedzących za piękne uszko pociągnąć, czy... tymczasem rozmowa towarzyszek zaczęła ją wprzód targać za uszy i szczytać gorzej jak ręką.

MIERZYNKI

To wariatka! Opuściła najlepszą sposobność, jaka już więcej nie wróci. Poszła za męża za obrzydliwego i chorego starca w nadziei, że prędko się minie. Poświęciła mu swoją nie, powiem, młodość, chociaż istotnie młodszą była od niego, lecz wolność, powaby i niewinność.

OBCA

śmiejąc się poufale

Ona z nim była wolniejszą. A co do tych powabów i zamarynowanej niewinności, mówmy szczerze jak przyjaciółki, wiele to warte u nas wszystkich.

MIERZYNKI

Mało czy wiele, jednakowoż poświęciła mu wszystko, co było na niej i co jeszcze mogła poświęcić. Poszła oczywiście dla majątku i nie gani jej tego, zrobiła rozsądnie. Lecz że nie umiała z położenia swego korzystać, że – tak dobrze zaczęte – dalszym postępowaniem swoim popsuła, niech mi daruje, to było niedorzecznie. Doświadcza też smutnych skutków, ale za późno; umarł i nic nie zapisał.

OBCA

Tego prawdziwie nie pojmuję, aby kobieta nie mogła starego osła podejść i oszukać. Osła, co się w niej kocha, gdyż nie dla czego innego się żenił. Ja na jej miejscu byłabym już w posiadaniu całego majątku niezawodnie. Czyż to tak trudno? Albo tak wiele na to potrzeba? Ujęłabym w sidła dziadula i robiła co chciała. Dogadzałabym jego kaprysom, jego dziwnym wymaganiom i uprzedzeniom. Bo to ujmuje najwięcej, jeżeli umiemy być głupimi dla głupców i zdajemy się uważać ich życzenia i nudziarstwa za bardzo rozumne i zabawne. Teraz śmiałabym się z tej komedii i liczyła sukcesyjkę. – Bo koniec końcem niech prawią, co chcą, egzaltowani głodni i egzaltowani po smacznym obiedzie, pieniądze są jednak najgłówniejszym warunkiem do szczęścia. Zastępują przyjaciół, kochanków, uczucia, zapewniają spokojność, przyjemność i wesołość; są nawet szczęściem samym. Toż by się o to zdanie gniewali chudeusze konkurujący o posag.

MIERZYNKI

Ależ bo ona wiedziała to wszystko. W tym celu wyraźnie szła za męża, a jednakowoż potem, jak gdyby umyślnie, własnymi rękami obalała własne zamiary. Tyrtała się dzień cały po mieście, kiedy stary chyrał i jęczał. Niech zdechłak nudzi graty swoje, mówiła, ale nie osobę życia pragnącą. Latała po wizytach i balach, a powróciwszy szła obnażona przed łóżko słabego opowiadać mu swoje uciechy i odniesione zwycięstwa. Oczywiście, iż to nie mogło ujmować, musiało, owszem, zaślepionemu nawet oczy powoli otwierać. Do tego w domu nie ustąpiła w najmniejszej rzeczy, robiła wszystko na opak, ganiła we wszystkim gust jego, wyszydzała jego życzenia; cokolwiek on zrobił lub zamyślał dopiero – to źle; bo chociaż to moja przyjaciółka od lat dziecinnych, niech pomiędzy nami zostanie, wielka złośnica. Nareszcie na domiar głupstw porzuciła go na kilka miesięcy przed śmiercią, wtenczas kiedy osoba rozważna, chociażby dawniej rozłączona, starałaby się wszelkimi sposobami przeprosić i pojednać.

OBCA

Oczywiście! Przemawiając do sumienia, wzruszając nieba i piekła, nasyłając płaszcze czarne i rude, i białe. Wszystko to z troskliwości o zbawienie męża po śmierci, bo za życia był już potępiony.

PRZYJACIÓŁKA

wychodząc z krzaków

Przestańcież już! Przestańcie! Bo nie mogą mi być obojętne dowody tak niezawodnej przyjaźni przed małą chwilą okazywanej i oświadczonej, a od lat kilkunastu trwającej. Straciłam dziś najpiękniejsze iluzje życia mojego, chciałabym przynajmniej bransoletki nie tracić; każ ją poszukać w ogrodzie i odeszłej do mnie, a ja tymczasem odjadę z tą panią, której zaleciłaś mnie tak korzystnie. Nie wątpię, że do męża mojego prawdziwie byłam przywiązana i nie szłam za niego dla majątku. Brzydzą się interesownością i kramarstwem własnego ciała i uczuć, dlatego też mocniej mnie boli niesprawiedliwość jego i wasza. Cóż by mi można zarzucić z ciągu naszego pożycia? Zawieść, to was oburza, że postępowanie moje innym jest od waszego. Nie żałuję niczego, i jaką byłam, taką zostanę. Dozierałam cierpliwie najnudniejszego i na j nieznośniejszego złośnika i wymyślnika, sprowadzałam najlepszych lekarzy, którzy już sami wytrzymać z nim nie mogli. Wiem tylko sama, com wycierpiała, i nie masz plany na mojej wierności małżeńskiej. Obliczcież się teraz z sobą i z tym, co świat o was mówi.

MIERZYNKA

Ależ, moja droga! Ty się unosisz, ty jesteś porywczą. Ja nie zarzucam ci, owszem, masz słusność. Ty jesteś aniołem dobroci i wytrwałości; inna by tego nie zniosła. Ale nie rozumiałaś rozmowy naszej, opacznie ją sobie wykładasz, gdzieżby twoja przyjaciółka! Czyż myślisz, żeśmy cię w krzakach nie postrzegły?...

Tymczasem powóz oddalał się z odjeżdżającymi turkocząc po twardym bruku, jak gdyby słowami Arystotelesa zawsze toż samo:

Przyjaciele moi! Już nie ma przyjaciół.
Przyjaciele moi! Już nie ma przyjaciół.

SŁUŻEBNICTWO ŚWIATA WIELKIEGO CZYLI ARYSTOKRACJA PARAFIAŃSKA

Ambicja przy próżniactwie, płaszczczenie się przy dumie, chęć wzbogacenia się bez pracy, wstręt do prawdy, pochlebstwo, zdrada, przewrotność, zaniedbanie wszystkich zobowiązań, lekceważenie powinności obywatela, obawa przed cnotą tworzą, jak mnie mam, we wszystkich czasach i miejscach charakter większości dworaków.

Charles des [!] Secondat
baron de la Brède [!]
et de Montesquieu.

Kto by po paplaninie francuskiej, po wychowaniu powierzchownym, po próżności, po dumie, po głupocie, próżniactwie, obłudzie i tym podobnych własnościach już opisanych, nie poznał jeszcze świata wielkiego, ten pozna go dopiero po służebnictwie, tym najgłówniejszym znamieniu, które nosi na sobie jak piętno konie stadzienne. Są ludzie, których przemoc niewolnikami zrobiła, są, których potrzeba służyć przymusza; wielkoświatowce, przeciwnie, są dobrowolnymi niewolnikami, służebnikami z upodobania. Jak niektórzy unoszą się nad pięknym umnictwem, lgną namiętnie do poezji, miłują się w wzorowych utworach malarzy, gędźbiarzy, snycerzy i budowniczych, zwiedzają galerie i koncerty; pragną wszystkiego, co tylko ducha wznosi, uzacnia i oswobadza, tak arystokraci parafiańscy są znowu najgorętszymi służebnictwa miłośnikami, kochają się w nim jakby w najpowabniejszej kobiecie; ono zastępuje im wszystkie nauki i kunszt. Niech im los da majątek, niech ich obdarzy fizycznie wszystkim, co czyni niepodległym i niezawisłym; to oni zrzeka się przyrodzonych korzyści, wdzieją liberię, pójdą za służbą; pójdą ustawiać się w szeregi, wstrzymywać oddech, zważać

na każde skinienie, pochlebiać, lizać, płaszczyć się, nadskakiwać i lokać. Pragną wszystkiego, co tylko ducha ujarzmi, poniża i upadła, mając to jeszcze za wielki zaszczyt, wydzierając sobie sposobności służenia intrygami i zabiegami całego życia. Współubiegają się w usługach, zazdroszczą sobie wzajemnie łask pańskich i własnego poniżenia. Ilość i wielkość upodzeń jest jedyną miarą tej arystokracji. Jak Hebrajczycy upadłszy na duchu i wierze nie przestawali na jednym bogu, ale odleli sobie cielca złotego, którego nazwali po hebrajsku panem swoim i modlili się doń, kłaniali mu się i tańczyli przed nim, tak dzisiejsi poganie świata wielkiego potrzebują prócz boga jeszcze cielca złotego, którego nazwali po francusku (Monseigneur) „panem swoim”, któremu kłaniają się, modlą i tańczą przed nim.

W złotych wiekach świętej prostoty i pojedynczości, w wiekach nie skażonych jeszcze społeczeńskim bałwochwalstwem, odznaczały i wsławiwały ludzi przymioty ciała lub duszy. Piękność, wzrost, siła, mądrość i prawość, odparcie napaści, pokonanie nieprzyjaciół, dobroczynne wynalazki, nadanie praw, zabezpieczenie od zwierząt drapieżnych, uczynienie życia wygodniejszym itp. jednały pierwsze podziwienie lub wdzięczność, były pierwszym dostojenstwem, pierwszą dumą rodziny, pierwszą arystokracją.

W parafiańszczyźnie, przeciwnie, całe odznaczenie jest na tym, im kto wierniejszym jest niewolnikiem, im więcej ma służb, im podległej służy, im doskonalej, posłuszniej zaprze się własnych myśli i uczuć, i przekonań, i chęci dla pana swojego, im niżej czołem mu bije, im większą łaskę u niego posiada. Mniejsza o to, że arystokracja służalców bardzo jest śmieszna; ale nic bardziej nad nią nie oburza poczciwego serca, bo nic nie masz więcej niemoralnego, więcej znieważającego cnotę, więcej znikczemniającego ducha, więcej hańbiącego ludzkość. Jest ona piętnem najostatniejszego zepsucia, szczyceniem i popisywaniem się nikczemnością i łajdactwami, wynoszeniem i puszeniem się z łotrostw, często z prostych kradzieży, z szachrajstw pieniackich, z posług szpiegowskich. Już arystokracja żydowska ma szlachetniejsze pobudki i na większą zasługuje względność; pochodzi albowiem z wierności i przywiązania do wiary i zwyczajów przodków, z cierpliwości w znoszeniu prześladowań i wzgardy. Arystokracja zaś parafiańska zasadza się tylko na zaprzędaniu i zepsuciu, na obojętności w poniżeniach i podłościach, na wyperswadowaniu sobie i innym najohydniejszych postępów, na wycieraniu czoła o woskowane progi i posadzki swoich pogańskich bogów i półbożków, na używaniu upodzeń i hańbiących uczynków słowami pięknymi, łagodzącymi, uniewinniającymi, np. grzeczność, etykieta, bajrath; z czego powstaje nowy język, język służalczy, lingua vernacula.

Wszystkie zjawiska fizyczne znajdują odpowiednią sobie stronę w świecie moralnym. Jak stopniowo przy okolicznościach nieprzyjaznych lub sprzyjających zwodzą się lub udoskonalają rasy zwierząt, tak i duch ludzki w wyobrażeniach swoich albo się zwodzi w nikczemność, albo uzacnia. A jak przy wychowaniu fizycznym można znajomością rzeczy z umysłu i z przewidzeniem skutków użyć pewnych środków do osiągnięcia zamierzonych celów, tak też przez wpływy moralne można zasadniczo i umiejętnie duszę ludzką skoślawić i skarlić lub wynieść w olbrzyma. Puszczając w obieg wyobrażenia służalcze, usprawiedliwiać je różnymi pozorami, stępić uczucie na ich ohydność do tego stopnia, aby pobłażało innym i sobie, aby je mniej szpetnymi widziało albo stroiło w obsłonki upiększające: jest to zaszczerpieć najzjadliwsze kalectwo duchowe, wprowadzać moralny jad syfilityczny.

W ten sposób stara arystokracja, zasadzająca niegdyś swoją chlubę i dumę na prawości charakteru, na nieskazitelności postępów, na miłości ojczyzny i czynionych dla niej poświęceniach, zwiodła się powoli w chciwość, osobistość, przedajność, jednym słowem, w nicość. Z tak pokalanych ziarn jakież być mogły owoce? Najpomysłniejsze okoliczności przyspieszają tylko rozwijanie, lecz nie pomijają porządkowych stopni doskonalenia. Z wełny grubej nie zrobisz od razu elektoratnej.

A też arystokracja parafiańska z jakichże składa się zarodków? Oto z niedawnych ekonomów, którzy tuczyli się zdzierstwem i łzami nie swoich poddanych, a czapkując swym panom

aż do ziemi, kradli ich całymi garściami, korzystając z ich oddalenia i zaburzeń krajowych; oto z pieniaków, którym zmiana prawodawstwa i form sądowniczych podała najlepszą sposobność czynienia napaści, oszukiwania nieświadomych i panoszenia się łupiestwem ich praw; oto z sędziów i urzędników, którzy przedawali i sprzedają w ferlagach swoich, biorami zwanych, sprawiedliwość jak tabakę; oto ze szpiegów i wykrztów, którzy służąc wrogom liwerunkami i denuncjacjami przyszli do majątku i tytułów; oto nareszcie z tych, którzy dla własnego dobra poświęcili dobro ojczyzny, którzy się jej wyrzekli, aby się nie narazić, którzy zapomnieli przodków, wyparli się ich. praw, wzgardzili ich zwyczajami, wyszydźili ich prostotę, i nie w wierności jak Żydzi, lecz w odszczepieństwie, szukają zaszczytów i dumy. Chcący obaczyć jak w czarodziejskim zwierciadle ducha tej arystokracji, niech posłucha następującego przepisu. Weź, ile chcesz, kradzieży, cygaństwa, przedajności, samolubstwa, obłudy, zdrady, bezczelności i pochlebstw, dodaj do tego ajwajmiru, a zmieszawszy otrzymasz wszystkie znamiona i własności, dojdiesz na drodze chemicznej do ciała, zowiącego się arystokratycznym.

Od kilku wieków przez kilkanaście pokoleń płynie w nim krew słuźalcza. Jakżeby ci wczorajscy podstarościovie, hajducy i arendarze pozbyli się tak prędko swoich nałogów przyszli do poczucia poniewieranej w nich zawsze godności człowieka? Oni nie czują tylko godność służy i służby. Nawykli stać w przedpokojach, znosić obelgi, poniewierać chłopem, którego uciemieźali, i płaszczyć się panu, którego kradli, czynią to wszystko i teraz, z tą tylko różnicą, że według zmiany położenia odmienili panów, którym się liżą. Gdzie indziej służbę przyjęli, a chłop stał się już ich własnością. Gardzą mieszczanami i rzemieślnikami, mają się za lepszych, wstydzą się z nimi obcować, łączyć, zaprzyjaźniać, unikają zbliżeń. Dla pierza, którym porośli, nienawidzą gniazda, z którego wyszli. Nazywają złodziejami służy swoje, ekonomów i zastępców, są podejrzliwi, bo pamiętają dobrze, jak na tychże posadach kradli lub sami, lub ich ojcowie. Wynieśli się i z bogacili służbą, szachrajstwem, podłością, nierządem z wszetecznicami, które były żonami ich panów; a przecież to im nie tylko nie ujęło szacunku, ale nadto zjednało wstęp w towarzystwa wyższe, wprowadziło w świat wielki, nastęczyło liczne znajomości i przyjaźnie, ułatwiło związki i pokrewieństwa. Cóż więc dziwnego, iż, kiedy tak dobrze wyszli na służbie i podłościach, nie przestają służyć i upadlać się? Wychowują i nakłaniają do tego dzieci swoje, w tym szukają zysków, zaszczytów i odznaczeń, w tym pokładają całą swoją dumę. Arystokracja zatem w parafiańszczyźnie jest tylko słuźebnictwem, jak miłość miłostkami, pobożność pobożnisiostwem, szczerłość szczerostką, grzeczność etykieta, nauka zwierchnią politurą, a wszystko razem udaniem i obłudą. Patrzymy, czy nie największy słuźebnik największym jest arystokratą? Czy nie ten dmie najczęściej, doznaje wszelkich uprzedzeń i oznak głębokiego poważania, czy nie temu najniżej czapkują, który staje codziennie blisko wielkiego ołtarza poganów i szczyści się względami pana swojego.

„Mój pan mnie widział! Mój pan uśmiechał się do mnie! Mój pan rozmawiał ze mną!”
Ach, co za niewypowiedziane szczęście! Dla tego łaskawego spojrzenia, wdzięcznego uśmiechu, słodkiego słówka, któż by się wahał strwonić majątek, przywieść rodzinę do nędzy, oddać swe ciało, wyprzeć się przekonania, poświęcić cześć, dawać zgorszenie, zdradzić sprawę najświętszą? Nigdy w dzień służby bożej nie garnie się świat wielki tak nawałnic, z takim zapaśnictwem i żarliwością do domu modlitwy, jak się garnie w dom bałwochwalstwo w dzień służby cielca złotego. Aby mu wpaść w oko, podobać się postacią lub uczynkiem, pochlebić grzecznośćką, uczcić czołobitnością, aby go zabawić i w dobry humor wprowadzić, sadzą się na stroje, marnują majątki, poświęcają cześć i uczciwość, zrzekają się niezawisłości, znieważają godność człowieka, czynią z siebie arlekinów i dudków, przebierają się dziwnie, grają teatru, nadskakują podsuwają się, nadstawiają żony swoje i córki, i one same się nadstawiają i pragną. Bo stać się celem pożądlivosti jego, oddać się jego żądzom, być pokarmem chłodzącym jego chuć gorącą, naczyniem na jego nieczystości: jest to zarabiać na honor, zyskiwać w społeczeństwie znaczenie i wziętość, jednym słowem, stawać się arysto-

kratą. Cóż w tym dziwnego, że rysy rodzinne krzewią się z pokolenia w pokolenie? Wszakże i matki tych arystokratek zarabiały w ten sposób, będąc jeszcze podstarościami i podstarościankami. Nie masz tak lichych, tak poniżających służb, jakich by nie podjęli się z radością ci arystokraci, jeszcze zazdroszcząc ich sobie. Współubiegają się, uprzedzają, podchodzą; używają próśb, namów, obmów, podchlebstw, podstępów i intryg, aby tylko mieć zaszczyt być podłymi.

Już samo wezwanie do służby, zaprosinami zwane, mają za wielkie odznaczenie i łaskę. Gryzą się zatem, chorują i umierają, jeżeli kogo pominię. Otóż te świstki zaprosinne, nazywane u nich biletami, kupują niektórzy poniżeniem, nadszakiwaniem, lizaniem; inni mniej zręcznie, kupują je za pieniądze u lokaj szczęśliwszych od nich, bo roznoszących te źródła ziemskiego zbawienia. Duch służalczy krzewi się stopniowo od najwyższych do najniższych stopni, skąd powstaje właściwa arystokracja służby. Bo być sługą sług pańskich, drabem jego drabów, jest jeszcze wielką częścią, wielkim zaszczytem. W ten sposób rozrasta się służebnictwo jak polip socjalny. Każdy wiesz się, gdzie może, byle tylko nie być niepodległym, nie być niezawistym, nie być bez służby. Lokajstwo to nie poprzestaje na niewolniczym duchu; chce jeszcze sukien barwionych, bramowanych kołnierzy, żąda liberii, ażeby wszyscy wiedzieli, gdzie kto służy, i u kogo, aby szanowali go dla jego służby. Kiedy chcą wystąpić najświetniej, ubrać się najlepiej, na wszystkie zebrania publiczne, na wszystkie obchody, wdziewiają liberię, wieszają wszystkie znaki swego służebnictwa. Nie dziw, że wystawiają je na widok publiczny, bo mógłby się kto pomylić, wziąć ich za ludzi honoru, za ludzi wolnych. Lecz dlaczegoż przed Boga także je biorą? Wszakże on widzi najlepiej nikczemność ich serc, on zna służebność ich dusz; jemu nie potrzebują powiadać zewnętrznymi znakami: „oto jesteśmy służalce”. Nigdy lokaj najęty, którego nędza skłania do służby, nie jest tak usłużny i czynny jak ci dobrowolni lokaje. Uważają oni pilnie każde skinienie swych panów, wyczytują jak psy z ich ócz ich wolę; nadszakuja i uśmiechają się, płaszczą i łaszą, zawsze z gotowością, zawsze ochoczo; gryząc się wtedy tylko, kiedy ich pominię sposobność służenia albo kto inny wyprzedzi. Uważają, kto częściej służy, kto częściej z panem rozmawia, na kogo pan patrzy łaskawiej. Sługę takiego kochają i wielbią, pochlebiają mu i znowu służą, czy chce, czy nie chce. Niech tylko „mój pan” pogniewa się na sługę swojego, to oni się wszyscy gniewają. Niech go odsunie od łaski swojej, od swojej służby, to oni go wszyscy porzucają, unikają go, zapominają, lękają się jego znajomości i zbliżeń. Bo oni dla pana swojego wyrzekli się swoich rozsądków, swoich serc, swoich doświadczeń, swoich przekonań; a kto tylko, czy zmuszony okolicznościami, czy oświecony przez Boga, przestaje być podłym, zaniedbuje zwykłych pokłonów, ten już utracą prawo do ich poważania, nie może być ich przyjacielem.

Jak się zjedziecie na wasze uczty, na bale i obiady, ozdobieni wszystkimi znakami waszej dumy i próżności, to jest odziani w waszą służalczą liberię, obliczajcie się w duszy: liczba ta może posłużyć do wzbudzenia chrześcijańskiej pokory. Oto ojciec tego był ekonomem niedawno, a Branicka zrobiła go hrabią, mówiąc: „Niech mój ekonom będzie hrabią szwabskim”. Ojciec tego był pieniakiem, dziad tego hajdukiem, tego arendarzem itd. Ledwo dwudziesty taki, którego nazwisko wspomina przeszłość. Ale nie chodzi tu o klientelę i szlachectwa. Każdy może odznaczyć się osobistymi przymiotami, być zacnym obywatelem, zasługującym na publiczne względy, mającym prawo do poważania współ-ziomków, może i do wdzięczności narodu. Tylko nie trzeba się puszyć z majątków i pochodzenia, kiedy majątki kradzione, a pochodzenie nikczemne.

Wytepcie w duszach waszych służebność i lizunstwo, szanujcie prawość i godność człowieka więcej jak owe wszystkie oznaki i stopnie najmytostwa; a wtedy bez względu na ród wasz będziecie mogli być dumni z tego, żeście prawi i niezawisti, że nie upadacie się dobrowolnie. Takiej dumy nikt za złe nie weźmie, bo uzacniając pojedyncze osoby dźwiga naród i zjednywa mu poważanie u cudzoziemców. Za znikczemieniem ducha przyszła nikczemność upodobań, zatrudnień i zabaw.

Przodkowie nasi w dumie swojej pokonywali Tatarów i Turków, zasłaniając Europę od tych gwałtowników. Przodkowie nasi w dumie swojej dawali Brandenburgią w lennictwo, upakowali Rosję, zrzucając ich carów, więzili w zamkach swoich arcyksięcia Maksymiliana. Przodkowie nasi w dumie swojej odrzucali z pogardą tytuły książąt i grafów, poczytując sobie za zelżywość (infamię) obce dostojności, odznaczenia, wstęgi i ordery.

Posadą ich arystokracji było: „Sumus electores regum, detrusores tyra[n]orum”. Na traktatach i umowach z narodami, obok najjaśniejszych imion europejskich podpisywał się szlachcic polski: „omnibus par, nemini inferior”. Przodkowie nasi w dumie swojej poważali uczonych i umysłowych pracowników, odznacжали ich przy każdej sposobności, jako proroków ostrzegających naród o grożących niebezpieczeństwach, karcących wady jego i szkodliwe nałogi, chroniących go od zepsucia i upadku. A ich potomkowie tęsknią do hrabstw i szambelanii, uganiają się za lada wyszywanym. kołnierzem, zasadzają wielkość swoją w libe-rii, szczycą się wstęgami i gwiazdami, a kiedy nie mogą mieć rzeczywistych, rozdawanych przez panujących, to bogdaj raz w rok na jedną godzinę przypinają żółtą blaszkę z konikiem, kupioną za kilkadziesiąt złotych, aby dowieść, że mają zawsze pieniądze na poparcie obcych podbechtań i własnej nedorzecznosci. A niestety! nie mają ich na wspomnienie biednych współziomków, prześladowanych w kraju lub na wygnaniu łaknących. Przecież takie wsparcie powinno by większe sprawować zadowolenie, większy przynosić użytek i chlubę jak jedzenie obiadu u tego lub owego wielkiego słuźalca, rozmawianie z tym albo owym wielkim lokajem, należenie do tego lub owego zbiorowiska, gdzie się J.W. wkupują. Niejeden wstydzilby się bardzo, gdyby nie mógł powiedzieć: „Ja tam należę”; gdyby się nie współubiegał w tym głupstwie, jak koń jego w wynędźniałości, zwanej trenowaniem.

Na tym zasada się arystokracja parafiańska. W każdej niepodległości duchowej widzi groźne straszycło, mogące słuźby pozbawić, odebrać jej dostojęstwa słuźalczce. Pracujących duchem ma za nic. Rada by poniżyć, wykluczyć z grona swojego, wybalotować ze swoich poddańczych zbiorowisk przedstawicielei oświaty narodowej i narodowego honoru: bo arystokracja stanowi ich przeciwieństwo (opozycję). Jest przedstawicielką głupoty i podłości. A powiedział ci w szesnastym wieku jeszcze Fabian Birkowski złote słowa w mowie do Nowodworskiego: „Doznales, iż nie ma żadnego okrutniejszego nieprzyjaciela Rzptej, jak jest głupstwo”. Na cóż zdała się ta zdrowa nauka? Ta szczerza prawda? Oto nasi Francuzi i Anglicy mają się za kochających ojczyznę, mimo tego, że ją ośmieszają zachowaniem swoim, swoim sportmaństwem. Cieszcie się ujarzmiciele! Nie tyle nam szkodzi niewola, nie tyle wam pomaga przemoc, ile ten zaród wewnętrznego zepsucia, ci głupcy pracujący niewiestnie nad wynarodowieniem, przyznający się do cudzych zwyczajów, cudzego rozumu, cudzej prawości, cudzych igraszek, które dla nas powinny być sromotą i hańbą.

Kat po was ojczyźnie,
Lepiej, żebyście byli świata nie widzieli.

Do tego doszło, że wszystko, co przodkowie mieli za hańbę, synowie mają za zaszczyt, że obojętnie bezczeszczą święte popioły:

Z grobów wieją modły – jęki,
Głuche dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroić słychać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze,
Pomne życia, tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały,
Z boku na bok – i marzyły
Hańbę synów w snach mogiły.

Rząd, z dobrymi chęciami nawet, jakżeby mógł przedsięwziąć polepszenia i poprawy, jeżeli obywatele utyskując po kątach w oczy tylko chwałą i wielbią. Posłuchajmy ich odezw i mów publicznych. Przepelnione są dziękczynieniami, wysławiają dobrodziejstwa, świadczą o pomyślności i radości powszechnej. Każdy wie dobrze, że to są kłamstwa bezczelne, a przecież sądzi, że tak mówić wypada. Mocno wkorzeniony duch poddaństwa nie pozwala nawet uzalić się. Jakżeż ma powstać miłość i zaufanie między rządzącym i rządzonymi, jeżeli nie będzie między nimi szczerości, tylko obawa, obłuda, chytryść i różne etykietalne mamidła? Jeden oszukuje drugiego i nazywa to grzecnością.

Niech się gdzie zjawi jaki władca lub naczelnik, albo ich sługa główniejszy, arystokracja parafiańska nie opuści tak dobrej sposobności służenia. Pośpiesza zaraz z czołobitnością, z uległością, z haraczem, i ma sobie tę wolność za wielki przywilej, za zaszczyt. Powraca uszczęśliwiona głośząc, że bardzo uprzejmie, bardzo łaskawie była przyjęta. Nikczemni! Czyż grzecność cudza usprawiedliwia waszą podłość? On greczny, bo w twarz was nie bił, na co zasłużyliście i co bylibyście przyjęli z równą jak grzecność pokorą. On greczny, bo w oczy uśmiecha się, a jeśli ma cokolwiek uczciwości w sercu, to pogardza takim uniżonym plugastwem. Ubiegaliście się, aby wycierać czoła na jego progu, za to też w domach waszych i między szlachtą będziecie je wysoko zadzierać. Służba ta zrobiła was wyniosłymi, że przytłumiła uczucia braterstwa. Umieć być w porę podłym, to wasza wielkość, wasza cześć! Wdzieliście barwy czeladne, aby wam wolno było stanąć przed ciemieczkami i złożyć, jak mówicie, uszanowanie, gdyż w języku służalczym (lingua vernacula) tak nazywacie jedną z waszych podłości. On greczny, ale między wami nie było jednego prawego i uczciwego, który by na przymilenia i oświadczenia odpowiedział: „Nie żądamy umizgów tylko sprawiedliwości. Urzędnicy nicują prawa i nadużywają władzy swojej. Po więzieniach męczą braci naszych, ich cierpienie nie nagrodzą żadne grzecności i przyjęcia. Stękamy pod ciężarem dowolności. Nauczycieli naszych, podnoszących głos w obronie prawdy i obyczajności, prześladują i gnębią. Między współziomków naszych wszczepiają zepsucie, upadlając ich balami, obiadami, grzecnością. W grona nasze wciskają urzędników rządowych, którzy przeto być muszą albo złymi obywatelami, albo złymi urzędnikami, bo służą dwom interesom przeciwnym. Urzędy i stopnie wojskowe obsadzają wyrzutkami obcych ludów, przybyszami nie mającymi żadnej spójni z narodem. Niepodległość w obywatelach, a prawość i sumienność w urzędnikach karzą niełaską. Wytykanie wad rządowych, nadużyć i osobistości urzędników, przedajności sędziów, naprowadzanie narodu do użytecznych zajęć i przedsięwzięć, niepodległe wynurzanie prawych zdań i świętych przekonań nazywają buntem, ścigają gwałtownością rąk zbrojnych, śledzą szpiegami i całym policyjnym łajdactwem. W sprawach i stosunkach naszych narzucają nam mowę nie naszą, niezrozumiałą”.

Gdyby kto tak był powiedział, nazwano by go nieroztropnym grubijaninem. Bo już do tego znikczemnieli stopnia, że ich roztropnością obłuda, grzecnością podłość, rozumem służalstwo. Więc kłaniali się nisko, oświadczali swoje najpoddańsze zadowolenie, chwalili wszystko i przyjęli z uradowaniem zaprosiny na bal. I jakżeż tu ich nazwać, choćby najłagodniejszym nazwiskiem? Jakże taką podłość ukrywać, aby ojczystego gniazda nie plamić? Owszem, niech wiedzą inne narody, i my wiedzmy, że nie warci jesteśmy bytu politycznego, póki cierpimy taką zaraźliwą zgniliznę moralną, że każdy jej oddech, każda uprzejmość, każde ściśnienie dłoni hańbi uczciwego obywatela, że nie masz innego lekarstwa tylko, aby ją wzgarda publiczna zmieniła albo ręce publiczne wymiotły. Rewolucja francuska, ratując zagrożone życie ojczyzny, pozbywała się tego wrzodu w sposób okropny. My mamy w domu zarazę, a za domem przykład, przyjmujmyż z wdzięcznością przestrogi i starajmy się zapobiegać zawczasu.

Nawet cudzoziemcy i sami zaborcy, jakiegokolwiek byliby sposobu myślenia, pogardzają w duchu tym dobrowolnym płaszczaniem się i poniżaniem niewolników, chociażby ono dogadzało ich próżności i ułatwiało dopinanie ich zamiarów.

„Żadnemu dobremu Polakowi nie można by mieć za złe, że gwałtowną nienawiścią darzył swoich sąsiadów, gdyż patrząc na żalobę swojej ojczyzny, nie mógł kochać tych, którzy ją do tego stanu doprowadzili. O ileż więcej zasługuje na szacunek ten, który na czele ze swoimi współobywatelami walczył szlachetnie i padł w boju, niż najemnik, wałęsający się po przedpokojach wrogów i żebrzący łaskawego wsparcia. Niechby tylko zaapelować do poczucia honoru zacnych ludzi nawet we Wiedniu, Berlinie i Petersburgu, a uzyskałoby się przebaczenie za śmiałość mówienia o tych sprawach głośno”.

Obrońcy służebnictwa zbijają się zwykle własną bronią. „Jak to, mówią, czyż nie jest zaszczytnie służyć ojczyźnie, którą oni w języku służalczym (*lingua vernacula*) krajem: nazywają? Czyż nie jest zaszczytnie służyć krajowi swojemu? „Nie inaczej! Dlatego też właśnie jest hańbą służyć przeciw niemu. Rozróżniajcie lepiej stosunki i położenia, nie mieszajcie służby publicznej ze służbą osobom. Wiem, że całe społeczeństwo ludzkie jest sprzęgnięte wzajemnością usług, że jedni będąc drugim potrzebni stają się tym samym od nich zawiśli. I rzemieślnik, i kupiec, i autor, i aktor itd. są dobrowolnymi sługami publiczności. Każdy ma pewne obowiązki, które go nie krzywdzą, jeżeli je pełni bez poniżenia, godziwie i sumiennie; jeżeli obowiązek nabyty nie sprzeciwia się przyrodzonemu obowiązkowi.

Jest tedy różnica pomiędzy służbą a służbą. Jedna może zaszczycać, druga upadla. Pytajcie zawsze, czy nie przyjął kto służby przeciw prawom człowieka i przeznaczeniu ludzkości jako człowiek; przeciwko interesowi ojczyzny jako syn. Może Polak służyć przeciwko Turkom, Niemiec przeciwko Polakom; i wtedy służbę jego oceniać należy ze stanowiska całej ludzkości: Czy służy porządkowi przeciwko nieporządkowi? Czy wolności i oświacie przeciw despotyzmowi i ciemnocie? Lecz podłym byłby Niemiec, który by służył przeciwko Niemcom u tych, którzy kraj jego najechawszy i zagrabiwszy potrzebują sług, aby go jak najdłużej pozabawiać wolności, aby go w ciągłym mieć zajęciu i poddaństwie. Kto się waha pomiędzy łaską i względami osób szczególnych a ogólnymi obowiązkami człowieka i członka narodu, kto dla widoków korzystnych, dla przewidywanego dobra własnego obojętnie dla ogółu i prześlepia dobro powszechne, ten zasługuje na nienawiść i potępienie współziomków, na wzgardę wszystkich ludzi uczciwych.

Możeż być zaszczytniejsza służba jak wojskowa? Powołaniem żołnierza jest poświęcać życie za swobody i za prawa ojczyzny. Zasłaniać ją własnymi piersiami od napaści, grabieży i uciemieżeń. Czuwać nad wykonaniem praw, nad bezpieczeństwem, całością i własnością narodu i pojedynczych osób. Ale jeżeli, przeciwnie, stanie się narzędziem chciwości i uciemieżenia, jeżeli sprzedaje czynność swoje i życie za żołd lub stopień, jeżeli idzie obdzierać narody ze swobód i majątku, jeżeli jak oprawca kuje je w kajdany lub jak dozorca więźniów utrzymuje je w niewoli; cóż pomogą wtedy mniemane znaki honorowe na piersiach? Duszą jest podły. Zawód jego staje się najohydniejszym rzemiosłem, czoło jego napiętnowane jest cechą służebnictwa.

Où les meilleurs soldats et les chefs les plus braves
Mettoient toute leur gloire à devenir esclaves.

Łatwo stąd wnieść, jak wielka różnica zachodzi między wojskiem a wojskiem, jaka służba wojskowa zaszczyca, a jaka hańbi.

Najszczytniejsze stany, najużyteczniejsze zatrudnienia mogą się stać najohydniejszym łotrstwem przez nadużycie i wykrzywienie ku osobistym zyskom. Patrzymy, w co obrócił jezuityzm religią? W co posłannictwo Jezusa, aby oświecając, wyjarzmię narody? „I poznać prawdę, i prawda was wyswobodzi”. – Bóg jest dla nich wędzidłem, które kładą ludowi w

usta, aby go kielzać. Pragną usilnie, aby wszyscy w niego wierzyli, bo wiele mogą skorzystać, sami weń nie wierząc. Okpiwają lud, który podjęli się nauczać. Ktokolwiek powstaje na ich oszustwa, kto wykrywa ich szatańskie postęпки, okrzykują go za heretyka i bezbożnika. Kto ich znać nie chce, mówią, że Boga nie zna, więc, oczywiście, mają się za bogów. Jeżeli są ateusze, to wy nimi najpewniej jesteście. Bogiem waszym zysk, nabożeństwem chciwość. Sprzysięgacie się z wrogami narodów, aby je ujarzmić, oślepić i spodlić. Z układną minką depreczecie i znieważacie przykazania Chrystusa, poniewieracie i wyszydzacie świętość, w którą ludowi wierzyć każecie. Ślubujecie ubóstwo i czystość, a zbieracie majątki i popełnacie wszeteczeństwa; zalecacie miłość bliźniego i grzechów odpuszczenie, a prześladujecie, podchodzicie podstępami. Zaprowadzacie sądy święte, potępiacie, palicie na stosach, męczycie. Wychwalacie z kazalnicy jawność, szczerłość, pobłażanie, a jesteście skryci, obłudni i zawzięci.

I jakże lud widząc postęпки wasze i obyczaje wasze, nie ma zobojętnieć dla waszej nauki? Nie ma utracić wiary we wszystko, co jest święte? Nie ma ostygnąć dla religii, kiedy ją widzi w ręku waszym wykręcaną na wsze strony jak dratwę, którą szewc zarabia? Trzeba być uczonym, mocnym w zasadach i przekonaniach, aby was widząc, nie stracić wiary w Boga, w sprawiedliwość wieczną i w zasługę cnoty. Nie krzyczcie na Woltera i Helwecjusza, na Spinozę, na sceptyków i panteistów, i heglistów, bo wyglądacie jak ów złodziej, który ścigany na ulicy woła, wskazując palcem przed siebie, „Łapcie złodzieja!” Wszyscy tamci lepsi są od was. Bo wyście ujarzмили myśl, przytłumili zapał, spłodzili obojętność, a tamci podżegają ducha, rozbijają jego kajdany, sposobią do przekonań i wiary. Szkoły wasze są narzędziami przewrotności. Możnaż bardziej nauczycielstwo zozydzić, znieważyc i nadużyć, a zarazem skuteczniejszych chwycić się środków, aby lud oszukiwać, a rozszerzać ciemność i zepsucie? Przez lat kilkanaście wprawiacie duszę do prawidłowej niewoli, uczycie, jak w miejscu własnego rozumu stawiać przykazania narzucone przez was. Nauki wasze są gwałtem zadany duchowi, rabunkiem, jego praw. Przez służebnictwo wychowujecie panom waszym nowych służalców, aby się uwieczniła na świecie służebność; aby zepsucie moralne stało się jej moralną podstawą. Bóg wasz jest tylko maską waszych niegodziwości. O was to powiedziało Pismo, że modlicie się do cielca złotego, bo złote cielce wam przepisują, jak Boga chwalić. Możnaż było piekielniejszych do oszukaństwa użyć środków, jak używając wiary, której lud potrzebuje koniecznie, której się pozbyć nie może? Stanęliście, jak rabusie, u wrót człowieczeństwa, aby wchodzącą weń młodzież pokoleniami obdzierać z przyrodzonych skarbów duszy i puszczać dalej zubożałą kalekę. nawykłą do zniewagi i posłuszeństwa. Bo czymże jest innym wiara ślepa, jak nie zniewagą rozumu. Oto są wasze konwikta i kolegia, i pensjonaty męskie i żeńskie. Żołnierze papiescy, włokący za sobą capów, jak za Henryka IV, są strasznym wojskiem, szerzącym w świecie moralnym spustoszenia i łupiestwa, z jakich nie mogą się wykichać wieki całe. Takie pielęgnowanie wydaje na świat obłudę i pozorowość, przybierającą suknię cnoty, a unikającą jej treści. Zatem kolegia jezuickie i arystokracja parafiańska zostają w przyjaznym stosunku, bo jedno drugie zasila.

Arystokracja przyszła do tych przeświadczeń, że trzeba na kilku stołkach siedzieć. Chcieliby i patriotów udawać, i pochlebiać ujarzmiciełom, i gardzić mieszczaństwem, i za liberalnych uchodzić. Gdzie indziej oświata zaciera narodowość, u nich zatarła charakter. Arystokraci parafiańscy są bez charakteru. Jedną tylko mają barwę mieniącą się obłudą. Lamentują nad prześladowaniami tyranów, nad cierpieniami ziomków po więzieniach i wygnaniu, zawracają oczy, wzdychają głęboko, okazują współczucie w dolegliwościach narodu; ale to wszystko trwa tylko do południa. Po południu zmienia się dekoracja. Rano podobali się narodowi smutkiem i narzekaniem, wieczorem trzeba się pokazać i podobać wesołością Molochowi, który pożera dzieci narodu. Rano wywożono do fortec skazanych za miłość ojczyzny, w wieczór patrioci świata wielkiego postrojeni w szaty świąteczne bawili się, śmieli i tańczyli na balu u cielca złotego. Rano żałoba i deklamacje wolności, wieczór wesołość i uczynki służebnictwa. Czyż postępo-

wanie takie nie wyciska piętna ohydy? Czyż nie powinno by demaskować tych oszustów w oczach pocziwej szlachty, którą oszukują, chcąc mieć u niej wzięcie i wpływy.

Arystokracja parafiańska lubi cnoty głośne, a występki ciche, bo w występkach smakuje, a cnoty udaje. Niech kłeska jaka kraj dotknie; niech pożar strawi jakie miasto, niech powódź zniweczy zabiegi rolnictwa: ci wielcy służebnicy gotowi zaraz chodzić po kwestach, dawać bale i grać komedie, ażeby wszyscy wytykali palcami ich dobre serce, ich miłosierdzie. Nastawiają dobroczynność swoją, jak łapkę, na cudze kieszenie i myślą nadto, że wielką czynią ofiarę z siebie, wchodząc z motłochem w chwilową styczość, pokazując się pospółstwu. Miły Boże! Cóż w tym szczególniejszego? Czy grać będzie wszetecznicą, którą na scenie życia nazywają hrabiną, czy wszetecznicą, którą nazywają aktorką: wszystko to jedno. Owszem, ostatnia gra lepiej i rozsądny człowiek woli ją widzieć. A publiczność, która w tym nadzwyczajność upatruje, która dlatego, że gra księżna, gromadniej się zbiera, ma w sercu uczucia służalcze, jest jeszcze niewyrobioną, dziecinną publicznością. Na cóż by mieć wzgląd na nią? Na cóż by ją poważać? Kiedy ona sama siebie nie poważa. Z publicznością dzieje się jak z pojedynczym człowiekiem. Póki nie złoży dowodów prawości, charakteru, rozumu, talentu itd., dopóty ma się go za nic. Ot! Stworzenie boże! Publiczność, która się garnie na teatrum miłośników i oklaskuje nikczemników, którzy balowali, w dzień skazania jej synów; którzy stroje narodowe, uświęcone pamiątką wielkiej przeszłości, wywlekają na widowisko dla szyderstwa cudzoziemców; publiczność taka podobna jest do tego JWpanicza, co to z wąsyczkami chodzi niebożatko po wałach i kobietkom w oczy zaziera i pokazuje piękny surducik, i przejeżdża się na koniczku, i rano idzie do kościoła, a wieczorem do nierządnic. Sam nie wie, dlaczego robi to wszystko. Taką publiczność łatwo jest odrwać, więc odrwiwa ją ciągle arystokracja parafiańska, której wszystkie uczucia są kramarstwem, wszystkie cnoty przedajnictwem.

Arystokratki chcą być miłosierne za cudze składki, chcą być pobożne Królestwo Niebieskie, chcą kochać za majątek, chcą poświęcić się za zapłatę, chcą być wierne za zapłatę. I za zapłatę znowu naruszają swoją miłość i poświęcenie, i uczciwość, i wierność. Nawet patrioci chcą być patriotami za zapłatę. Oddadzą dla miłości ojczyzny srebra i klejnoty; poświęcą jej część swojej gotówki, byle im ojczyzna pokazała województwa, hetmaństwa, starostwa, ministerstwa, senatorstwa i tak dalej. Takimi błażenstwami pociesza się po upadku Polski ariekiński dwór Adama I-go. I czegoż się po takich nikczemnościach spodziewać? Otwórzcie oczy ludzie pocziwi i nie dajcie się wodzić za nosy. Znamionami świata wielkiego jest brak uczuć, zaparcie szczerości, partactwo cnoty. Jak przemawiać do was będzie w imieniu ludzkości, w imieniu ojczyzny, w imieniu sławy, to pewno chce was oszukać. Jak pokazywać wam będzie troskliwość, przyjaźń, miłość, zapal, uniesienie: to pewno chce was oszukać. Arystokratki parafiańskie unoszą się nad lada drobnostką. Zadraśnienie szpilką, zgniecenie robaczka może je nabawić spazmów, tłuczenia serca i mdłości. Nie masz u nich uczuć tylko przedrażnienia i czułości. Co tknij którą, to powiada, że egzaltowana, uważa egzaltację za coś bardzo powabnego i zajmującego w kobiecie, wszystkie swoje urojone cierpienia przypisuje egzaltacji, wszystkie swoje głupstwa zwala na egzaltację. Jak baby podkościelne, zapiwszy się gorzałką, płaczą i lamentują, Bóg wie czego, tak panie świata wielkiego popiwszy się egzaltacją, wzdychają i załamują ręce, i drgają, i wyduszają łzy, i kończy się na łzach i wykrzyknicach nad okropnością wypadków, nad nędzą współbraci. Albo w chorowitym rozczuleniu sprawiają dla bab i dziadów polewkę, za co znowu jedzą wykwinny obiad u fioletów. W tym jednym pozostają przynajmniej wierne same sobie. Za młodu polewkę, na starość polewkę, zawsze polewkę! Niechby dawały dziadom przez rok cały polędwicę, byłoby to mniej egzaltowane, mniej łzawe, mniej wodne, ale pożyteczniejsze. Takie polewkowe miłosierdzie jest oszukaństwem, czułość taka chorobą, egzaltacja taka nałogiem, pijaństwem. Nie masz na tę słabość skuteczniejszego lekarstwa jak miotły, miotelki! Niegrzeczny wprowadzie to środek, ale pomocny. Nie bierzcie tego za żart lub przesadę, ani w rozumieniu przenośnym, bo

utrzymuję w dosłownym znaczeniu, że różga tylko, działając homeopatycznie na te zrozkosznione ciała, może przez drażnienie fizyczne znieść chorowitość moralną i wprowadzić równowagę stanu i działań ciała z uczuciem i duchem.

Jak do dźwignia ciężarów wymyślono na konie szory i półszorki, tak do dźwignia życia jest dla ludzi cnota i półcnotki. Z tą tylko różnicą, że również szorami, jak półszorkami, jednego dopina się zamiaru, półcnotą zaś oszukuje się wprawdzie krótko widzących i zyskuje uwielbienie cnotcie należne, ale dusza nikczemnieje i nie osiąga tej piękności i mocy, jaką jej nadaje cnota prawdziwa. Dopomagać i utrzymywać ubogich jest najpierwszym, najbardziej pojedynczym i najłatwiejszym obowiązkiem bogatych. Bo chociażby ubogi popadł w nędzę nie przez przeciwność losu, lecz przez nierząd i próżniactwo, a bogaty został bogatym nie przez przypadek, lecz przez pracowitość i przemysł, to jeszcze wielka część majątku bogacza uzyskana jest na nierządzie i próżniactwie ubogich i byłaby ich własnością, gdyby byli pracowici i gospodarni. Jeżeli tedy sprawiedliwą jest rzeczą, aby bydłę utrzymać za to, co się nim albo na nim zarabia, o ileż to sprawiedliwszym będzie i bardziej zobowiązującym względem ludzi? A i pracowitość bogatego czymże jest zwykle, jeżeli nie pracowitością jemu podległych uboższych?

Wielkie zakłady przemysłowe utrzymują i wślawiają nędzni wyrobnicy, na rzemieślników pracuje czeladź, na arystokrację biedni poddani. Tym sposobem wznoszą się miasta, gromadzą bogactwa, zakwitają sztuki i kupiectwo. Pominąwszy tedy przepisy religii i jej nadziemskie obietnice, wspieranie ubogich jest tylko wypłatą prostego długu, zaciągniętego u ludzkości. Czegóż tedy chwytą się świat wielki, aby się od tego spłacania uwolnić, a za płacącego uchodzić? Jakąż na miejscu tej cnoty stawia półcnotkę? – Zupę rumforcką. – Zupę wymyśloną nie na to, aby bogaci oszczędzali swoich dostatków i zbytków, lecz żeby i ubodzy mogli wspierać ubogich. Najtańsza to sława, zapewne, zbyć zgłodniałego zupą rumforcką; a nie dawszy mu dostatecznej zapomogi, nie zabezpieczywszy go od nędzy, nie nastreczywszy mu środków dalszego zarobkowania i utrzymania, zyskać przecież imię i rozgłos wielkiego dobroczyńcy. Jest to gdyby chcieć uwiecznić ubóstwo dla łatwych środków dobroczynności. Bo ubogi przestaje na dzień być głodnym, ale nie przestaje być nędzarzem. Jeżeli osoba bogata, której prosty datek na ubogich więcej wynosić powinien, niżeli, zbierać można z granej w tym celu komedii, gra przecież, aby się wykupić od prostego datku, czymże jest wtedy? Zupą rumforcką.

Jeżeli ubiory miłośników teatru w wartości swojej równają się lub mało co nie równają dochodowi z gry ich na ubogich; czymże są wtedy miłosierni lubownicy sztuki dramatycznej? Zupą rumforcką.

Jeśli osoba bogata, której prosty datek na ubogich więcej wynosić powinien, niżeli zebrać można z zebranych po domach, idzie drzyć bezy, aby cudzym kosztem zostać dobroczynną; czymże jest wtedy? Zupą rumforcką. Jeżeli osoba płacząca nad nieszczęściami narodu, wzdychająca nad cierpieniami wygnańców i skazanych, w dzień narodowej klęski, narodowego smutku, a tryumfu ciemieńców, idzie na ich salony uśmiechać się i tańczyć; czymże jest wtedy? Patriotyczną zupą rumforcką.

Czymże są wszystkie owe bale, na których strojność, wystawność i zbytki kilka razy więcej warte, niż zbierze się na ubogich? Zupą rumforcką.

Ubodzy pracują na nas w pocie czoła, o suchym kawałku chleba, warto więc dla ubogich bawić się i tańczyć, i umizgać, i grać komedie, i zjadać bażanty, i spijać szampany.

Niepodobna dotkliwiej wyszydzić ubóstwo! Ten brak uczucia, to zepsucie dumy obchodzącej się z biednymi jak ze zwierzętami, liczy arystokracja parafiańska do swoich zasług i zaszczytów, nazywa szlachetnością uczuć. Nadto zdaje się jej, iż nabywa przez to prawa krzyczenia po wielkich salonach swoich na grubiaństwo motłochu, na niewdzięczność pospółstwa.

O! Motłoch jeszcze aż nadto jest cierpliwy, a sprawiedliwość, jaką Bóg rękami jego wymierza, aż nadto leniwa. Udajecie chrześcijan i pobożnych; powiem wam, na czym zasada

się miłosierdzie według *Ewangelii*, jaki środek Chrystus zalecał dla zaradzenia ubóstwu. „I rzekł mu Jezus: Jeżeli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj, co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie”. Toteż apostołowie i pierwsi chrześcijanie osiadłości i majątności przedawali i udzielali ich wszystkim, jako któremu było potrzeba. Jeżeli człowiek litościwy wymyśla środki jak najtańszego nakarmienia głodnych, a przy szczupłych zasobach poświęca jeszcze na tę tanią karmę część swojego majątku, to zaiste zasługuje się ludzkości, wypełnia prawdziwą cnotę. Ale bogacz chwytą się tych środków, aby sam tylko jak najmniej wydał, aby uskąpił swych bogactw: to jest to tylko chytrym oszustwem. Bogaty mógłby według możliwości swojej corocznie jednego lub kilku ubogich wybawić z ubóstwa, postawić w możliwości pomagania sobie samym i nie potrzebowania na przyszłość jałmużny. Ale to byłoby cichą cnotą, za którą błogosławiłoby tylko kilka sierot w modlitwach pokątnych. Zyskowniej jest zatem dać stu albo dwustu jak najtańszą polewkę, dać stu albo dwustu po grajcarce, bo to i mniejszy wydatek, i mocniej w oczy uderza, i zaraz mówi o tym całe miasto, kraj cały. Nie jestże to czynić z miłosierdzia przedmiot przemysłu i frymarki?

Jeżeli żyjący z pracy rąk swoich artysta albo rzemieślnik, chcąc wesprzeć biedniejszych, idzie pracować i oddaje im swój parodniowy lub parogodzinny zarobek: to zaiste zasługuje się ludzkości, popelnia prawdziwą cnotę. Ale jeżeli żyjący w zbytkach, posiadający włości i domy, rozrzucający na stroje, powozy, klejnoty i inne okazałości, dumę podsycające, trwoniący w karty, w zakłady, na aktorki lub konie; jeżeli taki korzystając z ludzkich słabości idzie na ubogich zarabiać i woli grać komedię, śpiewać koncerta, jak dać część jaką z własnych dostatków: to okpiwa publiczność i ubogich – publiczność, która w niedorzecznej ciekawości płaci za jego wybieg i grę zawsze lichą; ubogich, którzy wierzą w jego dobroczynność.

To, co arystokraci parafiańscy w języku swoim zowią dobroczynnością, połączone jest zawsze z skąpstwem i wyniosłością, z pewnym tłem protekcyjnym i z chęcią widoczności. Bo co oni mają za cnoty, to lubią wynosić na widowie publiczną, jak kupiec, który celniejsze towary za szkłem wystawia dla obudzenia ciekawości i rozkołysania dzwonu chwalców. Służalcy świata wielkiego, jak ochoczo według stopnia służby płaszczą się i podlą, tak chcieliby znowu kimciś się posługiwać, kimciś pogardzać, nad kimciś górować; może nawet dla nasylenia z jednej strony tego arystokratycznego głodu, z drugiej strony pozwalają go sycić na sobie.

Jeżeli dadzą bal dla ubogich, jeśli przez bardzo miłosierne poświęcenie i zaparcie siebie samych zjedną się zabawić wspólnie z mieszczanami i pospółstwem, to starają się od nich różnić strojem, obejściem i mową, odstrychają się od nich w jednymże salonie w osobne zgromadzenia, w oddzielne wybrane koła tańca; krzywią nosem na ich śmielsze zbliżenia, wysmiewają między sobą ich gusta, ich brak salonowości, ich nieuctwo w francuszczyźnie, przybierają pewien spokojny wyraz uznanej swojej wyższości, jakby bawili się od niechcienia, jakby łaskę czynili, że się razem zeszli, jakby łaskę czynili, że są grzeczni. A jeśli który z nich nie ziewa, jeśli nie odejdzie wcześniej, jeśli godzinę dłużej zostanie, to i to także łaska. Co większa, patrzą z ukosa i z politowaniem, nieraz z zazdrością, na wykwinność ich stroi, na ich bogactwa, jakby na przywłaszczone niestosowności. Arystokratom parafiańskim zdaje się, że oni tylko mogą, bez śmieszności i przesady, być bogaci i ubierać się w złoto i diamenty; stroić sługi swoje w hafty.

„Wystaw sobie – mówiła Twarz Błada do przyjaciółki – dotychczas nie wydaje mi komornik szalów spod swojej pieczętki. Pewno komornikowa w nich chodzi. Ja urodzona do tego, ja miałam dyfetykowe pieluszki, ja śpię w dyfetykach, a ona rada, że się dorwała, wygląda gdzieś jak małpa w spódnicy”.

Uderzała światłych cudzoziemców ta śmieszność i upatrywali w niej nawet przyczynę różnorodnych dążeń i trwającej narodowej niemocy. Ten pospolity sposób myślenia, ujawniający się w licznych błyskotliwych zaletach, które sobie szlachta przypisuje, czyniąc z pew-

nych konwersacyjnych zwyczajów i wytwornego tonu obowiązujące przywileje oraz odseparowując się w społeczeństwie i w nierozsądny sposób oddzielając mieszczańskie i chłopskie interesy od swoich – pozbawiają polską narodowość tej intensywnej siły, bez której ona nie może utrzymać się”.

Służebność, przywiązanie do służby i jej odznaczeń, wzmagając się w zapamiętałą namiętność, przygłusza i tłumi wszystkie najświętsze uczucia. Ustępuje miłość ojczyzny, miłość bliźniego, miłość małżeńska. Wszystko to wygląda jak dodatek uboczny, dobry dla przyjemności tak długo, póki nie wchodzi lub w rzeczywiste, lub w urojoną tylko sprzeczność ze służbą.

– Mój drogi hrabio – rzekł Karolowi wysłużony salonowy wyjadacz – uczyni mi ten zaszczyt, przyjdź do mnie jutro na śniadanie; obiecało się kilkadziesiąt osób znakomitych.

– Jak to? – rzekł Karol zdziwiony – wszak panu przed kilkoma dniami syn umarł.

– Ach! Tak jest – odpowiedział Wyjadacz z głębokim westchnieniem – jedyny to był chłopiec, wszyscy go żalowali. Nawet sam Cielec Złoty przysłał oświadczyć mi żal swój. Trzy głowy najpierwsze, duchowna, cywilna i wojskowa były u mnie osobiście z kondolencją. Na pogrzebie, wystaw sobie, była sama Piszczalka i czy uwierzyłbyś! Płakała. – A że wszyscy tak tańczą, jak Piszczalka zagra, wszyscy płakali. Oh! Nieoceniony to był chłopiec! Cielec Złoty raczył wysłać swoje karete z ludźmi wystrojonymi w sute barwy. Nie posiadałem się z radości. Nie spotka zaszczyt taki lada nieboszczyka. Kiedy więc wszystko stało się z wielką chlubą domu mojego, z oczywistymi dowodami łaskawości dla mnie, trzeba więc moich dobrodziejów uraczyć.

– Kochany hrabio! Przyjdź do mnie jutro na śniadanie.

– Ależ ja nie jestem hrabią – rzekł Karol.

– Nie? – zapytał Wyjadacz i chwilę zastanowił się; a potem zebrawszy myśl znów zaczął: Cielec Złoty przysłał z kondolencją najpoufniejszego swego zauszniaka. Najdostojniejsze głowy, duchowna, cywilna i wojskowa były u mnie osobiście. Obowiązkiem jest moim okazać wdzięczność. Kochany hrabio, przyjdź do mnie na śniadanie.

– Ależ powiedziałem – rzekł Karol – że hrabią nie jestem.

– Nie? – zapytał Wyjadacz i znowu się namyślał. – Wybacz, kochany hrabio! Ja już tak jestem przyzwyczajony przez różne moje znajomości i stosunki, że każdego hrabią nazywam.

Na śniadaniu opowiadał Wyjadacz wszystkim i każdemu z osobna, jaki zaszczyt go spotkał. Zaczynając zawsze od „Złoty Cielec przysłał”, po czym następowały „trzy najznakomitsze głowy”.

Widziałem tam także młodego człowieka, którego świat wielki w swojej mowie służalczej nazwał dziwakiem, bo nie zepsute serce jego oburzały jeszcze dobrowolne poniżenia i uległości. A arystokracja parafiańska w znikczemnieniu swoim tak pozbyła się wszelkiej części, wszelkiego pojęcia człowieczeństwa, że nie ma u niej wartości, kto się nie podli, że z litością poziera na zachowujących swoją niezawisłość, jak na ludzi niezdatnych, którym brakuje sposobów lub talentu, aby się czołgać lub wsrubywać w łaskę Pana Mojego. Im się zdaje, że wszystkie władze umysłowe, rozum i dowcip, i przebiegłość, i bystrość, tylko na to przydać się mogą. Kto ich inaczej używa, jakby ich nie miał.

– Panie Karolu – mówiła Zupa Rumforcka – jest tu podobno między nami nasz sławny Dziwak? Chciałabym go zobaczyć.

– Oto – rzekł Karol – w tamtym kąciuku. Ale zasłaniają go owe wspaniałe postawy, wysuwające się naprzód z radosnym spojrzeniem, z nosami zadartymi do góry. A ów stoi za nimi nieruchomy, samotny, z twarzą bladą i pochyloną na piersi. To odróżnienie jest prawdziwie dziwaczne.

Wtem zadzwoniono w przedpokoju trzy razy i wielki powstał zamęt i pomieszanie. Mężczyźni rzucili się hurmem ku schodom na wyścigi, który prędzej wybiegnie. Kobiety zaczęły

poprawiać czubków, układać stroje, zbliżać się nieznacznie ku drzwiom, obierać dogodnie miejsca, jakby strategiczne stanowiska, z których działać mogą jak najkorzystniej ich baterie.

– Pamiętaj – rzekł Fuła, przechodząc koło żony swojej – aby się więcej przymilać, aby go wciągnąć choć w półgodzinną rozmowę. – Was uczyć nie trzeba, wy to dobrze umiecie. A to nam zjedna szacunek i wzięcie. To będzie uważane, może mi nawet pomóc w interesie.

Jeden tylko Dziwak stał nieuważany i nieporuszony na dawnym miejscu i w dawnej postawie. A tu wprowadzono do salonu z wielkim nabożeństwem Cielca Złotego.

– Patrz Pani – rzekł Karol do Zupy Rumforckiej – teraz zobaczysz Dziwaka najlepiej, bo kiedy wszystkie czoła leżą na posadzce, jego jest wzniesione ku niebu, jakby marmurowy posąg bożka w pogańskiej świątyni.

ZUPA RUMFORCKA

Widząc to, zaczynam wierzyć, co o nim mówiono, a co brałam dotychczas za czystą przesadę, na karb jego dziwactwa. Twierdzą, iż nie chciał oddać czci Panu Mojemu, żądając, aby Pan Mój pierwszy był u niego.

KAROL

Tak pani! On utrzymuje, że jest przyjęte i rozsądnie, aby później przybywający zapoznawał się z dawniej zamieszkałymi. A nie widzi przyczyny, dla której by miał zmieniać zachowanie lub okazywać większą cześć człowiekowi obcemu, nieznanemu z przymiotów, niż zacnemu współziomkowi, zasłużonemu w ojczyźnie obywatelowi lub przyjacielowi. Kto czuje godność człowieka, ten poważając ją w drugim, uczcił go najlepiej. Robić cokolwiek więcej byłoby bałwochwalstwem i poniżeniem.

ZUPA RUMFORCKA

Kiedyż to nic więcej tylko etykieta.

KAROL

Jego zdaniem etykieta jest słowem wymyślonym przez służalców dla pokrycia podłości, jakby parszywą szkapę złotogłowiem. Gdyby złodzieje nazywali kradzież pożyczką, stałaby się przez to mniej ohydą?

ZUPA RUMFORCKA

Dobrze, już dobrze! A czyliż doczekał się odwiedzin Pana Mojego?

KAROL

On utrzymuje, że uczciwy człowiek bez tego obejść się może, że to zbyteczne, jak zażywanie tabaki.

ZUPA RUMFORCKA

Pocieszenie być musi słyszeć go, głoszącego dziwactwa takie z całą wiarą i powagą. Chciej mi go pan przedstawić.

Poszedł więc Karol, a wzięwszy Dziwaka pod rękę powiedział: „Przedstawię cię Zupie Rumforckiej, żąda cię poznać”.

DZIWAK

Niestosownie obiera do tego środki; niech przyjdzie i niech się przedstawi.

KAROL

Jakżeż dziwaczysz! Przecież kobiety mają w społeczeństwie pewne przywileje, które nadała i poważać powinna względność dla płci pięknej.

DZIWAK

Prawda, ale zrzeka się tego przywileju ta, która pozwala przedstawiać się ciemieży, czuwającemu nad utrwaleniem niewoli i ciemnoty w narodzie. Ja jestem o tyle wyższy, o ile całym odmienny. Jeśli tedy nie więcej, to tyle przynajmniej, co jemu i mnie należy.

KAROL

Pójdę jej to powtórzyć.

ZUPA RUMFORCKA

Sam pan powracasz? Szkoda! Ułożyłam sobie wbrew mu powiedzić, że nie w tym jest patriotyzm, aby dziwaczyć, że trzeba uczucia narodowe podżegać, przypominać dawną świetność i zasługi przodków, wygnać mowę obcą z naszych społeczeństw, odradzać paniom naszym zbytne nakłady na wystawność strojów, zachęcać do oszczędności dla wzniesienia zamocności rodzin, narodowego bogactwa.

KAROL

Mówiliśmy o tym nieraz i wiem, co by pani odpowiedział. Bo kiedy chwaliłem przed nim zabiegi i przykład niektórych pań zalecających skromne ubrania, rzekł mi: „złem jest marnotrawstwo na stroje, ale nie szkodzi tylko kieszeni. Jedni tracą majątki, drudzy je robią. Zwykła to kolej rzeczy. Bogactwo narodowe nie zawisło od tego, aby w posiadaniu majątku był ten albo ów, ta lub owa kasta. Suknia nie stanowi człowieka tylko jego postępek. Są miejsca, w których nie można znajdować się bez ubliżenia godności własnej i godności narodowej, czy to w ubiorze bogatym, czy w skromnym. Jeżeli dbacie o wasze dochody, o ileż więcej dbać powinniście o waszą prawość i cześć, o dobry przykład dla drugich”.

ZUPA RUMFORCKA

Ależ bo on pod prawością i częścią, Bóg wie, co rozumie, kiedy utrzymuje podobno, że tańczyć jest nieuczciwie.

KAROL

Nie pani! On twierdzi, że dopóki taniec był oddaniem w ruchach zewnętrznych uczuć i myśli wewnętrznych, dopóty był prawdą, mającą pewne znaczenie i to wyniosło go między sztuki piękne. Skoro zaś stał się ślepym naśladownictwem ruchów nieznanego nam znaczenia, jest tylko kłamstwem i głupstwem. Tyle o tańcu w ogólności. Kto zaś tańczy na grobie ojczyzny i jeszcze w domach jej katów, ten dowodzi obojętności dla cnoty i obowiązków najświętszych. A czy to uczciwością nazwać można, chciej pani sama osądzić.

ZUPA RUMFORCKA

Dajmy już temu pokój. Czy słyszałeś pan, że jutro mają wywozić biednych skazanych? Mój Boże! I kiedyż przebłaga się gniew Twój? Kiedyż ustaną prześladowania? Serce pęka na wspomnienie tych mąk, które już przetrwali, i których jeszcze doświadczą. O! Gdyby im można ulżyć w czymkolwiek!

Ociera łzy chustką batystową.

GŁOWA MEDUZY

do Zupy

Proszę cię, powiedz mi, jaką też weźmiesz suknię na bal jutrzejszy? Bo niektóre egzaltanki utrzymują, że wypada ustroić się czarno.

GRANDE DAMA

A to ciekawam dlaczego? Czyliż jest jaka dworska żaloba? I ja bym o niej nie wiedziała!

ZUPA RUMFORCKA

Przygotowałam suknię niebieską. Ubrać się czarno byłoby ubliżyć dobremu Panu Mojemu.

GRANDE DAMA

Zapewne, co za niestosowność! Jaki brak znajomości świata!

NIEDOŚWIADCZONA

Może byłoby lepiej nie być zupełnie na balu?

GRANDE DAMA

Co znowu! Opuścić taką sposobność!

ZUPA RUMFOBCKA

Nie wypada, wszakże bywamy zwykle. To byłoby oczywistą obrazą, ściągnęłoby niełaskę.

KAROL

Więc pani będziesz na balu i będziesz tańczyć?

ZUPA RUMFORCKA

Cóż robić? Wszak tańczę zwykle, niepodobna się wymówić tą razą. Ale wierz mi pan, z skrwawionym sercem.

MSZAŁ

Jednakowoż rano dajmy na mszę za prześladowanych.

ZUPA RUMFORCKA

I za prześladowców. Bo religia nasza nakazuje modlić się za nieprzyjaciół.

FUŁA

na boku

Co za zagorzała patriotka!

WYJADACZ

prowadząc pod rękę młodego mężczyznę, do Głowy Meduzy

Przedstawiam kochanej hrabinie narzeczonego mojej siostrzenicy, hrabiego Ciapugroch.

ŁASKAWCA

cicho do Niezabudki

Skąd znowu Ciapugroch hrabia!

NIEZABUDKA

do Łaskawcy

Ze też oni wydają swoją kuzynkę za jakiegoś sztachetkę! Pannę dobrze wychowaną i wielkiego tonu. Co też to teraz za mieszanina! Dawniej, a nie tak to i dawno...

GŁOWA MEDUZY

do Ciapugrocha

Pamiętaj, że bierzesz za żonę hrabiankę!

CIAPUGROCH

Mam to sobie za wielki zaszczyt.

HRABINA

lorynetując

C'est un bon garçon.

GRANDE DAMA

Dobrze się znalazł.

PANTOFEL GRANDE DAMY

A prawda.

HRABINA

do Miłosza

Dobrze, że pana tu widzę. Trzeba nam się wyklócić. Nie poznajesz już dobrych znajomych. Zdybałeś mnie dziś w mieście i nie ukloniłeś się nawet.

MIŁOSZ

Bo też pani jechałaś w istotnej arce Noego, w gracie tak starożytnym i zaniedbanym, że zrazu nie poznałem panią, a potem wstydzilem się kłaniać.

HRABINA

Domyśliłam się. Jest to arka jednej z moich sąsiadek ze wsi. Wystaw pan sobie, co mnie się dzieć musiało, kiedy zszedłszy ze schodów obaczyłam przed sobą takie straszidło, do którego zapraszała uniżona sąsiadka. Prawdziwie chciałam spazmów dostać i żałuję, że tego nie zrobiła. Jest to istotna niegrzeczność wprowadzać kogo w paszczę wieloryba.

GŁOWA MEDUZY

Było w tym może trochę i polityki, boście odwiedzały Strusia incognito, aby nie dawać złym ludziom powodu do obmów.

HRABINA

Tak jest, już się z tym chwaliłam przed tobą.

DZIWAK

Stara kareta jest bezwstydną, a stary Struś zaszczytem. Jakże tu nie być dziwakiem!

MIŁOSZ

Do tej karety zdałyby się konie także starego testamentu, w jakie wczoraj ubrałem jakiegoś wiejskiego Adonisa. Pojedzie nimi do ślubu. Ze nie pospieszy, to ręczę, byle tylko dowlókl.

Zerwały nogi jeszcze w wojnach tureckich. Mój koniuszy dla żartu powypalał im zęby, a zakochany wieśniak zapłacił jakby za młode i radował się z tego nabytku. Ze też ta szlachta po wsiach nie zna się nawet na bydłętach! Co oni tam robią? Przyprowadził z sobą miejskiego konowała, mego znajomego; tylko mrugnąłem na niego, już dobrze.

DZIWAK

na boku

Uklonić się, to wstyd, a okpić, to zaszczyt. Jakże tu nie być dziwakiem?

PEŁCHERZ

Proszę pana, proszę pana, co konie, to nie bydłeta. Prozę pana, konie to konie.

PODPIECEK

Zapewne; ale przecież mają cztery nogi.

PEŁCHERZ

Proszę pana, nic nie szkodzi, proszę pana. Gdyby konie były bydłeta, proszę pana, to końskie kasyno, proszę pana, byłoby bydłęcym kasynem.

FUŁA

bardzo pomieszany

Co to jest? Muzyka gra poloneza? Kto kazał grać poloneza? To może Pana Mego w zły humor wprowadzić.

WIELE GŁOSÓW

do muzyki

Pst! – pst! – pst! – pst! –

WYJADACZ

zasapany

Mój Boże! Ja nieszczęśliwy! Kto im kazał.

KAROL

I czegoż rozpaczacie? – Cóż w tym nadzwyczajnego, że w Polsce grają poloneza?

FUŁA

Daj już pokój, bo nie rozumiesz! Mój Pan mógłby to wziąć za demonstrację. Pst! pst.

WYJADACZ

Mógłby nas prędzej opuścić. Mój hrabio! Ja nieszczęśliwy! Pst! pst!

Muzyka nagle ustaje

OBCY

Dlaczegoż przerwano muzyce? Nie dają nam słyszeć tak pięknej nuty.

BUCEFAL

Schade! – Schade! –

ŁASKAWCA

Nie moglibyście mi państwo powiedzieć, dlaczego nie widzimy dotychczas Służbisty? Czyżby był słaby? On, który zwykle jest najdokładniejszy i na chwilę nie chybi.

KAROL

Jak dobry skoczek, kiedy pewien siebie, zrobi krok błędny, tak też ów zawiódł się na dokładności swojej i może to życiem przypłaci.

JASNY MAŻ

Jak to?

GRANDE DAMA

Onegdaj kazał mu Pan Mój być o siódmej na partii. Wystawcież sobie państwo! Bo trzeba prawdziwego nieszczęścia, aby on, który w takich razach już o niczym nie myśli i co chwila patrzy na zegarek, i posyła ludzi na miasto dowiadywać się o godzinę; aby on tak się czymś zajął, że nie postrzegł się aż dopiero kwadrans na ósmą. Przyznać się do opieszałości w tak ważnym wypadku byłoby nieroztropnie, więc położył się w łóżko i posłał człowieka z doniesieniem, że nagle zasnął.

PODPIECEK

Rozumiem! Użył zręcznego wybiegu dla naprawienia swojej nieuwagi.

RURA

Jaka na razie przytomność!

GRANDE DAMA

Tymczasem okropna miotała nim niespokojność. W kilka minut dostał dreszczu, potem gorączki. Wezwano lekarzy, puszczano krew, przystawiono synapizma. Maligna trwała noc całą, ciągle w niej gadał o swoim nieszczęściu.

FUŁA

Zazdroszczę mu tej choroby, bo Pan Mój jak się dowie, będzie jeszcze łaskawszym.

GRANDE DAMA

Trzeba też oddać sprawiedliwość, że Pan Mój nie ma nad niego wierniejszego sługi.

GŁOWA MEDUZY

Może go nawet odwiedzi? Jak mi Bóg miły warto chorować.

ŁASKAWCA

Nie ubliżam nikomu, ale my wszyscy gotowiśmy poświęcić życie nasze. Prawda, iż Służbiście zdarzyła się sposobność złożenia dowodów; ale każdy z nas w tym położeniu uczyniłby toż samo.

NIEZABUDKA

Widać w tym wielką delikatność uczuć, wielką tkliwość serca, wielką szlachetność sentymentów, a nawet wyższość umysłu. Wszakże nieśmiertelny Rasyn umarł dlatego, że pominął go wzrok królewski.

KAROL

A któryś z biografów jego powiedział, że przywiązaniem swoim zawstydził psy nawet, że śmiercią swoją wydarł im palnę zwycięstwa i powrócił ludzkości.

NIEZABUDKA

Wdzięczne wyrażenie!

DZIWAK

Mickiewicz nazywa to heroizmem niewoli, w pięknym wierszu, którego państwo najpodobniej nie znacie:

O, biedny chłopie! Heroizm, śmierć taka
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem.
Jak cię nagrodzą? Pan powie z uśmiechem,
Żeś był do zgonu wierny jak sobaka.
O, biedny chłopie! Za cóż mi łza płynie,
I serce bije, myśląc o twym czynie?
Ach, żal mi ciebie, biedny Słowianinie!
Biedny narodzie! Żal mi twojej doli,
Jeden znasz tylko heroizm – niewoli.

GRANDE DAMA

Wiadomo, że wszystko można ośmieszyć i spotwarzyć. Te wiersze, czyje bądź kolwiek, są czystym paszkwilem.

PEŁCZERZ

Proszę pani, proszę pani! Ze też teraz wszyscy autorowie piszą paszkwile.

GRANDE DAMA

Przepraszam, są i przyzwoici pisarze, na przykład...

Myśli

DZIWAK

Jarosz Bejła.

GRANDE DAMA

Albo i... uważajcie! Uważajcie! Pan Mój się rusza.

ŁASKAWCA

Bo też nas uszczęśliwił przytomnością swoją blisko godziny.

JASNY MĄŻ

Zapewne, aby wynagrodzić Wyjadaczowi stratę syna.

FUŁA

Ej! Niewielka szkoda, bo mu się ten chłopiec nie udał. Ojciec taki uprzejmy, taki światowy; a nieboszczyk, niech z Bogiem odpoczywa, jakiś odludek. Czy widzieliście go kiedy albo na partii, albo w kasynie, albo gdzie na wyścigach, albo na jakiej hulance? Jakby nie z naszego towarzystwa. A pytać się było, co robi w domu, powiadano, że czyta. Otóż go macie, czy-

tał i umarł. A gdzie się można więcej i przyjemniej naczytać jak w kasynie, gdzie mamy wszystkie zagraniczne żurnale.

ŁASKAWCA

Mniejsza byłoby o to czytanie, ale widywałem go zawsze z jakąś demokracją, której w życiu moim nie widziałem. – Wstydzić by się powinien człowiek dobrze urodzony.

NIEZABUDKA

Ach! Tak jest, niestety! Tak! Najzgubniejsze dla młodzieży jest złe towarzystwo. Prawdziwa trucizna. Umarł na demokracją.

ŁASKAWCA

Z jakim przestajesz, takim się stajesz. Co on mógł w życiu znaczyć, kiedy go nawet Pan Mój nie widział. Byłby kiedyś zakałą znakomitej rodziny. Nie życzę śmierci nikomu, ale lepiej, że umarł.

KAROL

Wszakże pan na pogrzebie łyż miął w oczach.

ŁASKAWCA

Bo sam Piszczalka płakał, nie uważałeś? Czyniliśmy to zapewne przez wzgląd na godnego ojca.

WYJADACZ

na boku do żony

Kochana hrabino! Czemu nie dano wielkiego pasztetu, który miał tak wspaniale stół ubierać?.

ŻONA

Wystaw sobie mój hrabio! Kucharz go popsuł. Przez dziwną jakąś pomyłkę zamiast cukru wapna nasypał. W usta go wziąć nie można, wszyscy by się potruili. Dla nas jest nie do użytku, myślę go dać dla ludzi.

WYJADACZ

Cóż stąd kochana hrabino! Ludzie zjedzą i nikt o tym wiedzieć nie będzie. Ale dzisiaj podobno damy dobroczynności dają ubogim jakąś polewkę. Poślijże im ten pasztet. Od kiedy żyją, nic podobnego nie widzieli. Trzeba być miłosiernym. A kucharzowi w zasługach potrącić.

ŻONA

do Twarzy Paşowej

Na obiadek, który panie w wspaniałomyślności swojej sprawiacie biedactwu, przyślę dziś ze stołu mojego pasztet ogromny.

TWARZ PAŞOWA

Dziękuję hrabinie w imieniu cierpiącej ludzkości i podam ten czyn dobroczynny do gazet.

PŁASZCZ CZARNY

A ja z powołania mojego zasylać będę modły gorące o zdrowie i powodzenie.

FIOLET

A ja zapraszam na jutro na obiad.

DZIWAK

sam w sobie

Kucharz zapłaci, w gazecie pochwałą, w kościele modlić się będą, u Fioletów dadzą obiad; to nieźle pasztet przedany. Oni są miłosierni, jakże tu nie być dziwakiem?

MIŁOSTKI ŚWIATA WIELKIEGO

Część druga

*De pudendis cogit nos necessitas
loqui, pudor autem cirmmloqui.
(Konieczność zmusza nas mówić
otwarciem o sprawach wstydlivych,
wstydlivosc zaś oględnie omawiać)*
St. Augustinus

Cóż jeszcze powiem o miłostkach? Wiemy już, że na wielkim świecie, w parafiańszczyźnie, zastępują miłość udawaniem, ćwicząc się w tym rzemiośle od wczesnej młodości aż do późnego wieku i doprowadzając go do sławnej biegłości. Nieraz zręczna zalotnica, strawiona rozpustą, przesycona nadużyciami cielesnymi, odkocha i odnęci powabnej dziewczynie albo młodej małżonce kochanka lub męża. Jest to zwycięstwo, jakie z chlubą odnosi zepsucie, bezwstyd i obłuda nad prostotą, skromnością i prawdą. Nieraz przekwitający lubieżnik z sercem zepsutym i pełnym tylko żądź zwierzęcych ujmie młodą dziewczynę wyuczonymi zabiegami, obojętną natarczywością i pochlebstwami więcej niżeli młodzian kwitnący szczerym uwielbieniem i nieśmiałą miłością. Ale uwodzenie, jakkolwiek zdarza się często na wielkim świecie, jest tylko wstępem do miłostek, jest ono niejako chrztem serca na wielkoświatowe serce. Odbywszy go dopiero można bezpiecznie robić miłość (faire l'amour) dla przyjemności i zabawki. Dopiero stajemy się zdolni żyć i oddychać w miłostkach, jak salamander w ogniu, więc rozpoczynamy je śmiało, rozpoczynamy według zdolności po kilka lub kilkanaście naraz, prowadzimy romansową drogę jedwabnych drabinek, odległych gaików, ciemnych korytarzy, wygodnych łazienek i kończymy nareszcie, gdzie chcemy, i kiedy chcemy, bez obawy, aby mieć na sumieniu najmniejszą łezkę lub najłeksze westchnienie. Pora miłości jest krótka jak pora kwitnienia. Nie postrzeżesz się, kiedy opadną róże z lic twoich. Czas bez powrotu mija ustawicznie; a przecież to miło kwitnąć i żal nam za kwitnącymi naszymi godzinami. Cóż począć, kiedy się zaczną okazywać coraz gęściejsze zmarszczki pod oczyma, kiedy lica zbladną i żółkną? Oto trzeba je wygładzić maścią, potrząść bielidłem, natrzeć różem; trzeba upiąć skrycie warkocz kupiony, powsadzać zęby z kości słoniowej, zaprawić Oddech rozciekaniem żywicznym i w ten sposób sztuką i udaniem powtórzyć kwitnienie i udoskonalić: bo czas już nie ma nad nim władzy, bo ono przetrwa aż do śmierci.

Miłostki są takim powtórzeniem kwitnienia serca, kiedy już ono utraci zdolność miłości czy to przez czas, czy przez nadużycie i zepsucie. Świat wielki ułatwia sobie wszystkie trudności, zna on skały, o które rozbić się można w żegludze życia, więc stara się przeciw nim

uzbroić żeglarzy, mających się puścić na to ponętne morze. Nie czeka on, aż pora miłości przejdzie i w burzliwości swojej roztrzaska statek albo potrafi w otchłań melancholii; zapobiega temu zawczasu.

W dziecinnych sercach, jeszcze nie narażonych na niebezpieczeństwa, tłumiąc powoli zarody miłości, uprzęta ją jak gdyby odciął, nim jeszcze nadejdzie jej pora. Natomiast zaś przykładami i nauką daje miłości, zestawując serca na boku i nie grożące żadnym niebezpieczeństwem. Postępuje tedy, jak ów troskliwy ojciec, który w obawie, aby ulubieniec jego nie połamał kiedy nóg przez swawolę lub przypadek, kazał mu je odciąć w dzieciństwie i osadzić na bezpieczne szczudła. Bo szczudło choć złamie, to drugie mieć będzie. Takim zabezpieczeniem od narażeń miłości są znowu miłości. Mógłbym przytoczyć mnóstwo przykładów, lecz to byłoby tylko dogodzeniem pustej ciekawości, a cele moje są inne. Uważmy raczej, skąd pochodzi to zepsucie na wielkim świecie prawie powszechne? Nie inaczej, jak z wychowania. Ze smutkiem przyznać trzeba, że wychowanie wielkiego świata jest ohydne, że jest od samego dzieciństwa umyślnym psuciem i wytepianiem wszystkich zacniejszych uczuć podnoszących godność człowieka, przywiązujących do niezawisłości, naglających do poświęceń, zdobiących dziewicę, matkę i obywatelkę.

Szkodliwszego moralności wychowania nie masz w najdzikszych narodach pod obydwoma zwrotnikami. I czegoż tak szkodliwego i gdzie uczy się młodzież świata wielkiego? Niechby się uczyła gdziekolwiek i czegokolwiek, już samo udzielanie nauk zamiast wychowania, branie jednego i drugiego za jedno jest zgubnym błędem. Bo można mnóstwo umieć, a być jednak nieoświeconym człowiekiem, coś dopiero człowiekiem bez charakteru, bez uczciwości, ze zwierzęcymi nałogami, z barbarzyńskimi skłonnościami, z czołem wytartym, z duchem poddańczym i przedajnym, z psią uległością, z podłością chciwą rozkoszy, bogactw i łaski możniejszych, z próżnością gotową wszystko poświęcić dla siebie.

Nikczemności takie obok najobszerniejszych nauk, obok największego talentu zasługiwałyby jeszcze na wzgardę i zniewagę; coś dopiero na wielkim świecie, gdzie stanowią jedyną rzeczywistą istotność obok nauk powierzchownych, talentów małpowanych, cnót udanych? Bez przesady rzecz można, że światu wielkiemu brakuje wychowania zupełnie. Istotą wychowania są zasady nabyte nie w dobrej wierze, na oślep, lecz wskutek namysłu z przeświadczenia, zasady, które by nie wisały w duszy naszej jak w szafie suknia przeznaczona na dzień świąteczny, ale które by z duszy wyrosły jak z ziemi drzewo i duszą żyły, i były zarodkiem pierwiastkiem wszystkich czynności.

Pierwszym tedy skutkiem wychowania i głównym jego dowodem jest to, że życie staje się rozumnym następstwem zasad, wynikłością przekonań, że nie działamy na oślep, że lada okoliczność, lada odmienne zdarzenie nie powionie na nas tak łatwo jak słomą wiat, że z każdego postępu naszego umiemy sobie zdać sprawę. Koniecznością do tego jest wyjarzmienie ducha, wybicie się na umysłową niepodległość. Świat wielki nie ma najmniejszego pojęcia tych potrzeb. On tyle tylko wie, ile widział i pamięta. Może wiele pamiętać, a zatem mieć mnóstwo wiadomości, ale własny rozsądek jest mu przy tym niepotrzebny, nawet niebezpieczny. Przeto grzeszność i pobłażanie, chociażby odmiennych zdań, są jego głównym znamieniem. On lęka się rozbiorów, on nie rozsądza, tylko pełni niewolniczo przepisy jakowejś tradycyjnej przyzwoitości i dobrego tonu. Nie rozumowość tedy jest jego posadą, tylko podania. W najszczerzej chęci spokojnego ulegania i naśladowania potrzebuje zawsze jakichś wielkich wzorów z najgłówniejszych stolic. Jeśli powiedzieć może, tak robią w Wiedniu, w Londynie, Paryżu, sądzi się być usprawiedliwionym ze wszystkich zarzutów, bez względu na to, że w Wiedniu, w Londynie, w Paryżu i wszędzie indziej kradną, a przecież to nie usprawiedliwia naszych złodziei.

Dla napatrzenia się tym wielkim wzorom, bez których obejść się nie może, dla przejęcia się nimi i sprowadzenia ich powabności w ściany ojczyste, wysyła młodzież swoją do zagranicznych uczelni i na podróże. Zawsze znajdzie się kilka lub kilkanaście niedorzecznych ma-

tek, oddających córki do obcych zakładów. Ze z pensji paryskich panienki wracają wszetecznicami, to dziwić nie powinno, to można było przewidzieć, tego należało się spodziewać. Ale wpływ tych kilku lub kilkunastu nie nadawałby kierunku całemu społeczeństwu, gdyby spotykał opór w wyobrażeniach miejscowych, gdyby na wielkim świecie był swojski rozum. W kraju oświeconym to dowozowe ułożenie byłoby wysmianym, ta zagraniczna przyzwoitość wzgardzona. Bo tylko dobry rozum jest dobrym tonem. „Modne matki – powiada bezimienny w dziele: *Nauka prawa dla płci pięknej*, Wilno 1831 – nadały inną dążność wychowaniu córek. Przymioty ducha ustąpiły wdziękom ciała, kształcono umysł, zapomniano o sercu; francuszczyzna, tańce i piano stanowiły główną część edukacji, a prawideł moralności z romanśów uczono. Panna wyszedłszy od madamy wiedziała o tym, że jest piękną, umiała jak najkorzystniej ułożyć swoją postawę, znała, jak ścisnąć rękę, jak i kiedy rzucić okiem, wzdychać nawet i słabiec z reguł umiała. Więcej sentymentalna niż czuła, zmieniała ustawicznie kochanków, nie przez płochość jaką lub, broń Boże, niestałość; ale że każdego z nich wzięty na kilkudniową próbę, daleko się niższym okazywał od czarownego ideału, który sobie przedwcześnie rozromansowane serce utworzyło”.

Jak wysyłają artystów dla nabycia sztuk pięknych, dla wydoskonalenia się w swoim zawodzie, dla przypatrzenia się nowym wynalazkom i ulepszeniom w celu upowszechnienia ich za powrotem u siebie, tak wysyłają panienki do pensyj, najczęściej paryskich, dla nabycia rozpusty. Ale tej pięknej, uczonej, doskonałej rozpusty, która nie tylko wdziękiem swoim i swoim *savoir faire* zasłania od hańby, ale nadto budzi podziwienie i uwielbianie. Gdyż tylko krajowa niezgrabna rozpusta zawstydzą, upadła i zasługuje na wzgardę, zwyczajnie jak gruba sieraczyna; zagraniczna zaś, jako wyrób cienki, ujmuje, bawi, zdobi i zaszczycą. Dlaczegoż więc nie ubiegać się za nią? Ochmistrzyń paryska wytepia najprzód w dziecięciu wszystkie pojęcia, wszystkie krajowe i domowe uczucia. Co ją ma obchodzić jakaś mała rodzina i daleka ojczyzna jej wychowanki? Oświata wszystko jednoczy i równa, a świat wielki wymaga wychowania, które by wszystko rozprzestrzeniało, uogólniało, odbierając szczegółom znaczenie. Precz z tym dziecinny przywiązaniem do miejsca urodzenia, do domku, do nieznannej wioski, do rodziców, do rodzeństwa, a później do męża, do dzieci, do sąsiadów. Czymże to wszystko obok stolicy świata, obok ogniska cywilizacji i jej koryfeuszów? Obok potrzeb ludzkości, obok wielkich zadań socjalnych? Obok zbawiennej idei emancypacji? Czyż będąc w słońcu, warto myśleć o kaganku? Wyszydźmy tę parafiańską tęsknotę. Panna wysoko wychowana powinna ogarniać ludzkość uczuciem swoim. Niech wie, że przeznaczeniem jej jest uszczęśliwiać i osładzać byt ziemski, że wszyscy ludzie są braćmi jednej rodziny, że serce wykształcone dla wszystkich zarówno bić powinno.

Ciasne uczucia dla rodziny, dla kochanka, dla ojczyzny itp. są dowodem braku wielkiego wychowania. Oświata zmienia świat cały w naszą ojczyznę. Po co te drobne pojęcia o krajach i pokrewieństwach, i narodach, pochodzące z uporu głupców? Tak przez górną mądrość wdzierają pannie rodzinę i ojczyznę, czynią ją duszą i sercem kosmopolitką. Zatem oczywiście i ciało jako wyraz i postać duszy staje się kosmopolitycznym, to jest dla wszystkich, jak karczma zajezdna. A serce jest w tej szynkowni blaszanką, którą Żydówka obdziela gości miejscowych i zaszłych. Do tego prowadzi kosmopolityzm w kobiecie!

Wychowanka świata wielkiego, chociażby nie posunęła kosmopolityzmu do materialnej ostateczności, ma jednak grzeczność za główne bożyszcze, któremu oddaje cześć bałwochwalczą, któremu pali codzienne ofiary. Różność zdań, jawność uczuć, odmienność życia i zachowywania się, wszystko pochłania ten salonowy bałwan. Jemu przynoszą w daninie wielkoświatowe panie i panny wstyd swój i skromność, i prawość tak długo, aż tej monety wreszcie zabraknie, i wtedy są już grzecznymi bez przymusu i bez przykrości. Już ich nie oburza towarzystwo uznanych powszechnie nierządnic, kochają się z nimi i ściskają.

Dla wszystkich mają jednakowy uśmiech, jednakową uprzejmość. Cnota czy występki, talent czy podłość, rozum czy głupstwo, niezawisłość czy uciemnienie są przez nie jednako-

wo widziane i uraczane. Już nie pojmują więcej, co są nieprzyjaciele narodu, jego nieprawi posiadacze i gnębiciele. Jak na ich widok wzdrygać by się powinna uczciwa niewiasta, jak każde ich przymilenie, każda grzeczność plami i wstydzi, jak ich każdego umizgu, każdego słówka unikać trzeba jak dżumy, aby nie skalać ojczywego przywiązania i godności niewieściej! O! One nie wiedzą, ile ma w sobie cnoty, zasługi i wdzięku taka szczerą nienawiść. I love a good hater. Przewana barbarzyńską, niechrześcijańską nienawiść oświecająca jest i pobożniejszą od tej pobożniejszej i wyrozumiałej grzeczności, która zaciera charakter, dla której poniewierają najpierwsze obowiązki, oswajają się z największymi podłościami.

Pobożanie po pobożaniu, wyrozumiałość po wyrozumiałości, i tak nieznacznie zabrnawszy w plugastwa po uszy, tylko się plugastw nie widzi i nie czuje. Pani z wielkoświatowym wychowaniem nie czyni różnicy między uciemionym rodakiem a ciemionym obcym. Co ją tam obchodzą narody i powołania. Byle był przyjemny, byle wielkoświatowym uczuciem odpowiadał jej wielkoświatowemu zepsuciu, byle ją raczył zaszczycić swoją pożądlivością, byle nie czuł jej upodlenia i nie miał tej szlachetności, aby nim pogardzać: to gotowa nawet przekładać obcego i z nieczystości pieszczoł jego, jakby z kloaki, dobywać odznaczenia, zaszczyty i majątek nabyty znowu ze zdzierstwa jej współbraci. Uczucie uczciwości i wstydu otrętwiało w niej i zdechło. I takąż bezczelnicę przyjmują po domach swoich ludzie uczciwi? Okazują jej szczerą czy obłudną względy i poważania? Widzą ją dobrze, kiedy na jej widok powinni by oczy zamykać? To chłuszczecie różgami ulicznicę, a tym stokroć nikczemniejszym i szkodliwszym pozwalacie ocierać się o was, o wasze żony i dzieci? To lękacie się zarazą weneryczną dla ciał, a zaszczytacie weneryę w duszach? Czegóż spodziewać się po waszych wielkoświatowych panienkach, kiedy po naszymu modnie wychowane napatrzą się waszej grzeczności, nasiedzą się w waszych zarażonych salonach? Sami je czynicie tym, czym są później, a co nazwać się wstydem mimo całej otwartości, do której mnie zagnała konieczność.

Wychowanka paryska wróciwszy staje się przedmiotem zapatrywania, jak owa gwiazda wschodnia, za którą szli mędrcom; staje się salonowym bożyszczem, przed którym głupia młodzież pali kadzidła, jak wyuzdanność rewolucji francuskiej przed ową nagą kobietą postawioną na ołtarzu. Wnet rozlegają się echa tysięczne, a, ta wróciła z zagranicy! ta była w salonach paryskich! i tym podobne. Na nią zwracają oczy panny miejscowe, jak na wzór doskonałości godny uwag i zawiści. Od niej przejmują wszystkie śmieszności i głupstwa. Od niej uczą się mrugać powiekami zamiast ukłonu, uczą się tego rozkolebanego chodu, co łechta lubieżnie, tego nęcącego spojrzenia, tego śmiałego i obcesowego obcowania, jakie dawniej zwano bezczelnością, a teraz salonową swobodą; tych pożądlivych przymileń, gestów i wygięć oddających szczególnie w tańcu tak dobrze rozwiązłość, że zda się widzieć ją owiniętą w muślin cieniuchny, stojącą ciągle przed oczyma i rozpalającą myśli. Z powabnością taką popisują się gryzетки francuskie bardzo przebiegłe w wielkiej budzie (la grande chaumière). Salony wielkiego świata naszego są tylko słabym naśladownictwem tych doskonałości, tych pierwotworów. Jest nadzieja, że wielkoświatowe panie nasze wyrównają im kiedyś lub może nawet je przejdą, jeżeli ciągle z równą ochotą i gorliwością postępować będą w zapatrywaniu i nauce. Dotychczas niemało już skorzystały:

Nasze dzieci, panowie i panie,
W wieku piętnastu lat przerastają nasze życzenia.
Nasi synowie to dojrzały mężczyźni,
Nasze córki to kobiety.

Wielkoświatowi rodzice, nie mający albo dość środków do oddania dzieci swoich do owych sławnych akademii, albo chcący wychowywać je przy sobie, sprowadzają nauczycieli lub nauczycielki Francuzki, Szwajcarki, Angielki, a często według zamożności domu i te, i

owe. W ten sposób dostawione w szybkozozach zasady obok przykładów miejscowych stają się węgielnym kamieniem wychowania. I czegoż może nauczyć ten z daleka zapisany mędrzec lub owa guwernantka sprowadzona z szwajcarskiej fabryki? W najlepszym razie trochę języków, trochę muzyki, trochę tańców, trochę mitologii, trochę historii, trochę geografii i na tym kończy się tak zwana edukacja. Obciąża ona pamięć mniej albo więcej, ale nie rozbudza i nie ćwiczy myślenia, owszem, zostawia ją odłogiem w martwej nieczynności. Gdyby człowiek rodził się myślący, toby w ciągu takiej edukacji miał dosyć czasu zapomnieć myśleć.

Stąd pochodzi karłowatość ducha i umysłowa nicość. Najzdadniejszy uczeń, podziw guwernerów, uwielbienie rodziców, krewnych i znajomych, będzie ci mówił kilkoma językami, będzie opowiadał historyczne zdarzenia, będzie objaśniał mitologiczne postacie, nazwie może każdą wysepkę na Indyjskim Oceanie, a nie jest zdolny uczynić jednej porządnej definicji jakiegokolwiek najcodzienniejszego przedmiotu. To nam tłumaczy, dlaczego pomimo tylu zabiegów i tylu nakładów na wychowanie świat wielki składa się po większej części z samych hebesów, z samych mdłych duchów, trzymających się nawyknień jak ślepy płota, których wszystkie wiadomości są tylko powtórzeniem, wszystkie postęпки tylko naśladowaniem. W ten sposób ociosany młokos z rąk nauczycieli, których szarmował nadzwyczajnymi zdolnościami, idzie pełen zarozumiałości szarmować salony i kobiety. Dla nich wie aż nadto, więc mu przybywa co dzień próżności i dumy. Jak w ciągu całej edukacji odwykał myśleć, tak wystąpiwszy w świat, zapomina powoli, czego się chłopcem nauczył, a za przykładem innych uczy się żyć, to jest jeździ po wizytach, gra w karty, robi przyjemne znajomości z aktorkami, zwiedza burdele i gorsze od burdeli buduary pań wielkiego świata. Bywa po balach, nadskakuje, pochlebia, zwodzi, jednym słowem robi miłość, czyli oddaje się miłośnikom i już ma powołanie i zatrudnienie aż do końca dni. – W tym przydają mu się jeszcze zabytki nauk z lat dziecinnych, bo kiedy bogini swojej powie w uniesieniu, „jesteś piękną jak Wenus medycejska, obdzielasz śmiertelników ambrozją”, ten zapal szkolny, ta czułość, oczywiście z pamięci, bardzo są mile przyjęte: jako dowodzące obok wielkiej miłości wielką uczoność. W tym jednym upatruje praktyczną stronę mitologii, postrzega zastosowanie nauk do życia.

Prawie tak samo dzieje się z pannami świata wielkiego. I one otrzymują nauki zamiast wychowania. O rozmnożeniu ducha, o uprawie serca nie masz mowy. Szczęśliwe, jeśli tylko przykład rodziców i guwernantek, widok domowych zabaw i przyjemności nie sprawia zgorznienia, nie jest zepsuciem. Kiedy młodzieniec oburącz rzuca się w życie i czynny udział w nim bierze, kiedy je przebiega wzdłuż i wszerz, klejąc sobie z doświadczenia jego teorię, to panna, przeciwnie, nie widzi go tylko z kraju, jakby patrzyła w ogród przez sztachety i pojmowała go z tego, co na krawędziach obaczy lub co o głębiach zasłyszyci. Młodzieniec z praktyki życia przechodzi do jego teorii, dziewczyna z teorii do jego praktyki. Dlatego w wychowaniu panien główną jest rzeczą dać im świat zdrowo pojmować, aby nie zwichnąć im życia, nim jeszcze rzeczywiście żyć zaczną. Źle jest zatem czynić jakiegokolwiek tajemnice; zostawianie pewnych stron zasłonięnych ostrzy ciekawość, nieci domyślności. Panna wielkiego świata ma się za oświeconą, za mądrą dla guwernantek, jakie do niej trzymano, dla nauk, jakie jej udzielano. Ani jej to przez myśl przejdzie, że obok języków i tego wszystkiego, czego się uczyła przez lat kilkanaście, jest jeszcze głupusienka jak gaska. Pełna zarozumiałości, lekceważąca przestrogi starszych jako spłowiące maksymy mroknijących czasów, z sercem niezrozumiale tęschnącym, z krwią gorącą, z oczkiem błyszczącym, bez wyrobionych zasad, bez rozumowych pewników, bez najmniejszego doświadczenia, bez pojmowania ustaw społecznych, nieraz sprzeciwiających się osobistemu pragnieniu, zaczyna wchodzić w świat życia, powoli kosztować, to jest bywać po wizytach i balach, po publicznych przechadzkach i w teatrze. W godzinach samotnych czyta najczęściej romanse francuskie, jeden po drugim, który się nawinie; a skoro się za próg wychyli, oskakuje ją rój wielbicieli, brzdąkających pochlebstwa. Z książek, a raczej z podrywanych zdań, które ją bardziej zajęły, wymarza sobie wyznania społeczne, tworzy mniemanie o świecie, a z grzecznostek gładyszów nabiera mniemanie o sobie.

Po części przez pryzmę takiego usposobienia, po części przez młodocianość i ufność serca poziera na wszystko oczyma żądz i wiary. I matka, i guwernantka, i przyjaciółki, i krewne utwierdzają ją w tej próżności, że tryumfem panińskim jest ilość zalotników. Zatem zaczyna ich znęcać i wpisuje jednego po drugim jak brańców wojennych w rejestr pamiątek. Wysilając na to całą gorącość młodej główki, ćwicząc się w tym ustawicznie, nabiera wprawy, czyni olbrzymie postępy i odciąga nareszcie kochanków matce i guwernantce, i przyjaciółkom. Nie czas już wtedy wstrzymywać i powściągać ją w zwycięstwach. Niech matka lub guwernantka, przerażone własnym niebezpieczeństwem, zaczną co o moralności, to ona im na to z pani Sand o posępnych ideach w Europie, o emancypacji kobiet. Im więcej napotyka trudności, tym bardziej czuje potrzebę tej emancypacji. Zasmakowawszy raz owocu miłostek, nie tak go już łatwo porzuci. Zaczyna rozprzestrzeniać czynności swoje na wielką miarę, ażeby próżność życia wypełnić. Bo panna wielkiego świata nie trudni się kuchnią ani domem, ani kądzielą, ani igłą, cóż wtedy będzie robiła? W salonach romansuje z każdym starym i młodym dla sławy licznych podbojów i w zamiarze uwikłania jakiego głupca w sidła małżeńskie. Ale w salonach wszyscy są znajomi, nie masz zachwycających nadzwyczajności, nie masz wielkich tajemnic, które by dopiero w ciągu wypadków rozwiązywały się patetycznie, jak w drukowanym romansie. Przeto na przechadzkach rozmawia oczyma z pięknym nieznanym.

Twarz jego dziwny ma wyraz. To jakiś sławny podróżny, którego burze życia miotają po świecie. Jak przenikliwie poziera, jak się wszędzie zdybuje, jak się gorąco rozkochał. Bez względu na trudności, bez względu na znajomość, zawsze patrzy, zawsze śledzi, zawsze szuka, zawsze wzdycha. Tamci w salonach chcą żony, chcą majątku, ale miłość tego jest bezinteresowną. W ten sposób przechadzka staje się zajmującą, a pannie świata wielkiego towarzyszą do domu słodkie marzenia, a z tyłu o kilkanaście kroków wielki podróżnik. „Co też on robi? Czy się nie chce narazić? Czy go zapamiętała miłość nie uniesie na schody?” Serce bije gwałtownie, duszno jest pannie w pokoju, potrzeba okno otworzyć, potrzeba wejrzeć na ulicę. „Ach! Oto stoi pod oknem, czy tylko nie posądzi mnie o zalotność? Lecz już się stało. Jaki wierny, jeszcze stoi! Stać będzie zapewne do świtu, jak ów niezrównany Romeo. – Wielkie to szczęście być piękną i umieć tak gwałtowną obudzić namiętność. Ale cóż to? Chce odejść! Przycisnął dłoń do serca, o! czemuż on cierpi? – Pocałował się w rękę. To jakiś artysta, uczył swój talent. Albo chce mi dać do zrozumienia, że cięży mu w głowie natchnienie, że idzie wylać na papier kantatę na cześć moją, która rozśławi nas w Europie. Dlatego nie mógł wystać do świtu. O przebaczam mu! Wielkiemu artyście wszystko wolno. Szkoda, że m skiniem głowy lub powianiem chustką nie dała widzieć, że poznałam się na nim. Trzeba było może napisać ołówkiem kilka słów pobieżnych i opuścić z okna karteczkę, jak owa niewinna Henrieta. Chociażby wyrazy miały być ostre, gromiące, na przykład: dlaczego pan kompromitujesz mnie? Lecz za cóż bym miała pomnażać jego strapienia? Czyż winien temu, że nie może żyć bez oddechu, który go dolatuje z mojego okna? Lepiej było napisać: ja wzdycham; te wyrazy, nic nie dowodzą, a przecieży on je wycalaował i pieścił się nimi. Miałby talizman na chwilę goryczy. Dlaczegoż odmawiać kilka kropel balsamu pociechy, wyglądanego z rąk naszych, kiedy nas Pan Bóg stworzył na uszczęśliwienie? Odmawiając, chybiamy powołania, nie pełniemy naszego obowiązku. Wszakże powiedziała Twarz Pąsowa: «Artyście nic bym odmówić nie mogła». To artysta, pewno artysta! – Już ledwie dojrzeć go można, podobno obejrzał się jeszcze? Zginął w zakręcie ulicy. Bonne nuit!” Po takich uniesieniach zaczyna się dopiero wielkoświatowa roztropność, roztropność miłostek. „On pewno iść będzie za mną jutro i pojutrze, i co dzień, cóż tedy mam począć? Gdybym, wypuściwszy matkę kilka kroków naprzód, opuściła chustkę i wróciła potem ze schodów po chustkę? A byłoby to skromnie?”

Panna z dobrym wychowaniem jest skromną, bo pojmuje sercem, bo czuje każdą nieskromność, najodleglejszy cień nieskromności odbiera jej odwagę, płoni ją i wstydzi. Panna wielkiego świata, przeciwnie, wyrozumowuje skromność, czyni ją zawisłą od swej woli, jest skromną, kiedy chce. Pyta, co jest skromność, usiłuje pojąć ją i rozebrać myślą. I niezrozu-

miałe to słowo tłumaczy sobie innym również niezrozumiałym: „skromność to przesąd”. Gmin jest nieoświecony, zdanie publiczne jest niewolnikiem przesądów. I ten niewolnik ma tysiącnymi ustami swoimi głosować, kto skromny? O czym ludzie nie wiedzą, to zawsze jest skromne. A zatem nieostrożność tylko może być nieskromnością. „Dobrze mężczyznom, używającym do woli świata, wymagać dla samolubstwa swojego jeszcze od nas skromności i niewinności. Jak się kochamy, to rodzice lub opiekuni powiadają nam: «to niestosowna partia»; i długoż trzeba być skromną i niewinną, nim się wynajdzie partia odpowiednia ich widokom, choć nie sercu naszemu? Często do śmierci lub do tej pory, kiedy już o naszą skromność i niewinność nikt się ani pyta, a gdybyśmy same pochwalić się chciały, to nas wyśmieją. – To niewolnictwo, okrucieństwo niesprawiedliwości męskiej i postanowionych przez nią ustaw społecznych. Skromność i niewinność są tylko dla oka ludzkiego, kto ma oświatę, może je zrobić, jak mu ich potrzeba. W salonie, skąd mamy mieć mężów, będę oczka spuszczała, będę rozmawiać cicho, będę się oburzać śmielszym obejściem, będę wiele nie rozumieć i będę skromną w mej koterii. Ale młodość sobie zawiązać w nadziei, że jakiś panicz bogaty... ho! ho! niech głupiec myśli, że czekam na niego. Muszę mieć w objęciu tego wielkiego podróżnika, tego artystę. Nikt o tym wiedzieć nie będzie; nie popsuję sobie losu, a co mnie ma spotkać, to spotka”.

Po tylu jasnych roztrząsaniach i dowodach panna świata wielkiego usnęła ze stałym, postanowieniem. Nazajutrz podróżnik wielki znalazł się znowu w kościele i na rynku, i w sklepie, i na wałach, bo oczywiście podróżnik wielki wszędzie podróżuje. Więc podróżował znowu pod okna. I przyszło jakoś do zdybania się w sionkach, i do pisywania liścików, i do umawiania zdybań, i nareszcie nie wiedzieć do czego, bo powiedziałem w pierwszej części, że miłostki, zaszedłszy do pewnego kresu, kryją się jak myszy po dziurach. A teraz tłumaczę tylko, dlaczego się to dzieje, oto aby nie pogryzły reputacji.

Jedną razą zapytała panna świata wielkiego swojego podróżnika – dlaczego nie każesz się przedstawić w domu rodziców moich, tam moglibyśmy się widywać częściej i swobodniej.

– A na co? – odpowiedział wielki podróżnik – wyście hrabiowie, wy chcecie wystawności, mnie by tam nie przyjęto, ja bym się znaleźć nie umiał.

– Tak dobrze się znamy – mówiła dalej panna świata wielkiego – a ja nie wiem, kto jesteś; wśród ciągłych pieszczot nie miałam jeszcze czasu o tym pomyśleć, zapytać o to. Ale dusza moja przeczuwała artystę. Rodzice moi dla artystostwa wszystko poświęcą, ty nie znasz ich zamilowania. Połączenie nasze...

– Ej! Nie myśl o tym głupstwie – przerwał jej wielki podróżnik – bo mnie to ani w głowie. Wiem, żeby mi ciebie nie dano i dlatego nie kuszę się o to. Grywam wprawdzie na flecie, ale to zabawka uboczna. Jestem dependentem i chudopachołkiem. Choć do wielkiego świata nie należę, mam przecież gusta jego. Podróżuję po ulicach i szukam sercu zajęcia. Lubię miłość. Wy się tam między sobą pobierajcie, dla mnie dosyć, kiedy mnie kochasz.

– O, wspaniałomyślny człowieku – zwołała w uniesieniu panna świata wielkiego, rzucając mu się na szyję. – Ubogi jesteś i nie chcesz korzystać z miłości, nie chcesz wnosić niespokoju w dom nasz. Złośliwi ludzie obmawiają miłość o interesowność. Możeż być wyraźniejszy dowód na to, że mnie kochasz dla samej osoby?

Oto jest mała próbka panny świata wielkiego i tych miłostek, na których się zaprawia do ważniejszych wypraw. Nie tylko brak moralnego wychowania przyczynia się do takiej bujności chwastu zepsucia, ale często nawet prowadzenie fizyczne powszechnie przyjęte tłumy zarody najpiękniejszych przyrodzonych uczuć. Gdybyśmy drugich nie małpowali, lecz myśleli i zastanawiali się sami, łatwo byłoby nam pojąć, jak nieobyčajnym, ohydny i szkodliwym zwyczajem jest odsłanianie ramion i piersi, czyli tak nazwane gorsowanie. Młoda panna oswaja się od dzieciństwa z obnażaniem ciała swojego przed licznymi widzami, już ją nie żenuje jej nagość, bo utracą z czasem przyrodzoną wstydlivość, tę najpiękniejszą ozdobę dziewiczości, tego anioła stróża cnoty niewieściej. Ponętne są ramiona i piersi kobiece, sama

natura umieściła tam wabik płciowego popędu. Drażnić nim ustawicznie publiczność jest to niejako wyzywać ją, ośmielać, przymuszać. Widok taki sprawia zachcenia i pożądlivości, budzi myśli wszeteczne.

Najostroźniejsze dziewczę dość hojne,
Gdy księżycowi wdzięki odkryje.

Pewną jest prawdą, że sposobność robi złodziei. Zostaw izbę otwartą i porozrzucane pieniądze, a skorci i takiego może, który by w innym razie wcale o kradzieży nie pomyślał. Wszakże sami ojcowie święci twierdzą w przypowieściach, że „Otwarta skrzynia pobudzi i sprawiedliwego do grzechu”. Kiedy więc chowacie pieniądze i klejnoty, aby się kto o nie nie pokusił, dlaczegoż mniej dbacie o ciała wasze i odkrywacie je przed oczyma domowników i sług, i publiczności? Powiedział Chrystus, iż samo pożądanie niewiasty jest wszeteczeństwem i cudzołóstwem duchowym, a wy to wszeteczeństwo płodzicie ustawicznie i z umysłu z domownikami, sługami i całą publicznością? Cóż więc tak bardzo złego zrobiła Rozrzutność, kiedy chwalcemu płeć jej powiedziała z filozoficzną obojętnością, odsłaniając nogę: „Tu jeszcze piękniejsza?”.

Jakaż jest różnica między nagością piersi pokazywaną wszystkim publicznie a nagością udka pokazywaną tylko niektórym tajemnie? Skąd pochodzi taka popularność jednych części ciała, a taka arystokratyczność drugich? – Brak to myślenia! – Zepsucie dało temu początek, a nawyknienie z tym oswoiło. Są narody całkiem nago chodzące, nazywamy je dzikimi. Słusznie jest zatem nazywać półnagich półdzikimi, ćwierćnagich ćwierćdzikimi. Odziani wymysłami przemysłu i sztuki, otoczeni, jak obłokiem, pasmem rozmów i tęczami myśli duchowego pochodzenia, zostawiamy nie zakryty kawał surowego zwierzęcia, jakby z umysłu, aby, olśnieni umysłowymi przyborami, nie brali nas za wyższe istoty, nie powściągali zachceń zwierzęcych, nie poprzesztawiali na duchowym obcowaniu.

W społeczności i społeczeństwach, równie jak w pojedynczych osobach, są zarody złego i dobrego, na których rozwinięcie wpływają okoliczności. Według nich tedy przybywa zdrowia i wdzięku lub zepsucia i szpetności. Od tego zawisła sława i żywot pojedynczych osób, pojedynczych towarzystw i całych narodów. Złe poczyna nieznacznie, toczy z cicha jak robak w ukryciu wnętrzości, aż wreszcie rozżarty i oswojony wypęła na wierzch plugawić wśród dnia w obliczu słońca. Był czas, kiedy obnażanie piersi i ramion uchodziło w uznaniu publicznym za sromotę. Nie dopuszczały się tego, tylko jawne nierządnice, wzgardzone powszechnie i wszelkiego wstydu wyzute. W Polsce dłużej jak w innych krajach Europy przechowała się surowa obyczajność, duchowa czystość, skromność i wstyd. Dopiero Bona sprowadziła z zagranicy próbki rozwiązłości, a zepsucie zaczęło się od dworu. Dworactwo ówczesne po części dopuszczało się rozchełzań gorszących naród, po części pobleżało je w innych przez źle pojmowaną grzeczność i dworność, przez brak własnego zastanowienia, własnych rozumowań, przez naśladownictwo obcych niby to oświeceńszych zwyczajów i wytworności, przez parafiańszczyznę.

Współczesny pisarz Andrzej Wolan, człowiek – jak mówi Cyprian Bazylisk: „cnotą, nauką i rozumem zacny”, taką nam o tym podaje wiadomość: „Dziś kiedy zamiast współubiegania się w cnotach, o sam tylko przepych i bezrozumną bogactw okazałość w zawody idą, dlatego też na świetniejszych zgromadzeniach i biesiadach same sromotnice lub wdowy z nierządu i gachostwa znajome, przed wszystkimi innymi zacnymi niewiastami witane i przyjmowane bywają. Każda bowiem, ponieważ bogactwa tylko są u nas w cenie, uważa siebie za dosyć uczciwą, kiedy się wspaniałym wozem od wielu koni ciągnionym przejeżdża albo też kiedy w złoto, szkarłaty i perły wystrojona po wszystkich rynkach i rozstajnych ulicach oczom się ludzkim przedstawia. Ale u naszych kobiet prócz innych wad ze zbytku pochodzących i to jest jeszcze właściwym, że tak do strojów przywiązane nie przestają na siedzeniu w domach,

lecz po wszystkich końcach miasta przejeżdżając się, nawzajem siebie odwiedzają, a szczeniobiąc i biesiadując z sobą, niekiedy nawet popijając razem, występne płomienie podbudzać starają się”.

Od tego czasu jakżeż się złe rozszerzyło i rozrosło! Szatan lubieżności nagabywał w różnych postaciach. To w czuprynie modnisiowskiej, to w systemacie filozoficznym, to w przepisach etykiety, to w romansie socjalnym, to w przykładach obcych narodów, to w blasku przemysłowego dowcipu, w uroku różnych błyskotnych towarów i świecidełek. Pod pozorem postępowej pracy usamowolnienia niewiast pozbawiano je wstydu nieznacznie, okruszyna po okruszynie. Zrazu liczone do cnót ubiór pojedynczy, życie ukryte i ciche. Potem wyśmiano te cnoty, nazwano je przesadami i niewolnictwem. „Co to szkodzi, mówiono, że jejmość sady się na stroje, kiedy ją stać na to? Że się przejeżdża po mieście? Że uczęszcza na zabawy?” itp. Prawda! Nic to nie szkodzi. Tylko odrobinę odwyknie od domu i domowych zatrudnień; tylko odrobinę oswoi się z widokiem publicznym, odrobinę pozbędzie się nieśmiałości; tylko odrobinę rozlubuje w bawidelkach i strojnej pstrociźnie, odrobinę stanie się jej myśl leksza, jej duch odrobinę pstrzejszy; tylko odrobinę nowych gustów nabierze, odrobinę będzie wybredniejszą, tylko odrobinę rozpalą głowę i serce nowe potrzeby i zachcenia, jakich przedtem nie znając żyła spokojnie? Tylko odrobinę z surowej rzeczywistości życia przedzierzgnie się w teatralność; tylko odrobinę stanie się wyrozumialszą, odrobinę jawniej wpadać będzie w te błędy, które przedtem tała lub się ich strzegła, odrobinę głośniejszawać będzie na nieuchronną konieczność słabości ludzkiej, aż je nareście uzna za właściwość przyrodzoną, jak np. brodawkę, za co nikt nie odpowiada.

Odrobinka po odrobinie z ziarek piasku powstają góry. „Co to szkodzi, że odsłonię szyję, ramiona i piersi? Ze z tym obnażeniem nawyknę do licznych widzów?” A gdybyś odsłoniła łydki, golenia i tam dalej, cóż by szkodziło? Nawyklabyś także do widzów i widzowie do ciebie. Wszakże prababki w błogościach rajy za jedyne pokrycie miały liść figowy. Przecież nawykły! „Mężowie nasi szukają rozrywek, grywają do późna, mamyż się nudzić samotne? Cóż to szkodzi, że sprosiemy młodzież uprzejmą, pragnącą także zabawy? A że nie można opuścić teatru, więc zjedziemy się po teatrze na herbatkę północną. To do dobrego tonu należy. Tak robią w Paryżu; a iść spać wcześniej – nieprzyzwoicie! Myślano by, że wcześniej wstajemy, że trudnimy się gospodarstwem”. Dalej więc, uciechy północne! Motłoch, nie znający świata i elegancji, sądzi z pozorów, obmawia i spotwarza. Pokażmyż mu, żeśmy wyższego rzędu istoty, że urągamy z jego zdania, gardzimy jego sądem! Posadźmy do powozów gachów, a same na kozłach uganiajmy z nimi po mieście dniami i nocą. Czy siedzieć w powozie, czy w koźle, wszystko to jedno. Cóż to ma szkodzić? A gdyby wam napluto w twarz, cóż by szkodziło? Obetrzeć można chustką batystową i uśmiechać się jak pierwej.

„O wstyd mniejsza, ten się dawno wytarł z czoła”. Wydoskonalone w ten sposób w beżeceństwach panie świata wielkiego, pozbywszy się wstydu do ostatka, fabrykują go znowu naprędce, kiedy sądzą, że przydać się może. Tenże sam lubieżnik, którego ukazywano z chlubą, obwożąc po mieście, bywa w sypialni odtrącany ręką ostrożną w chwilach gorącej natarczywości. Widzi oczy spuszczone i żywsze rumieńce, słyszy nieśmielem wymawiane: „wstydzę się”. Szczęśliwy głupiec! – jeżeli uwierzy i pochlebia sobie, że tylko siłą miłości pokonał wstyd swojej bezwstydnicy.

Nie trzeba na to dowodów, że bezwstyd jest źródłem rozwiązłości i ostatniego zepsucia. Zobojetniało na wszystko sromotnice mają hańbę jeżeli nie za zaszczyt, jeżeli nie za wdzięk, to przynajmniej za świadectwo wdzięków, za zwyczajność, która nie powinna by zrażać ani gorszyć. Rozłączone z mężami od lat kilku spraszają nagle licznych gości na huczne chrzciny. Łaska to pańska zapładnia sieroty i pomnaża rodziny! Przykro jest widzieć, jak bezczelność miewa nieraz twarz piękną, jak nosi czoło wyniosłej i jawniej niż cnota. Począwszy od pierwszego obnażenia piersi, a przeszedłszy drogą rozmaitych miłostek tajnych i coraz jawniejszych, zepsucie świata wielkiego dopina ostatecznego rozbestwienia. Gdyby je z wypalonym

piętnem na czole puścić między ludzi, gniewałoby się, ale nie wstydziło. Chodziłoby mu o gładkość czoła, nie o znaczenie piętna. Na j nikczemniejsza ulicznica ma jeszcze wstydu cośkolwiek i woli tajność. Bezecnice świata wielkiego, przeciwnie, żądają nieraz umyślnie bezeceństwa swojemu jawności, chępią się ze swoich związków, które świat, nie wiem dlaczego, pokątnymi nazywa. Chciałyby, aby wiadano, jakich to i jak wielu mają kochanków. Plugawstwa są dla nich przedmiotem zawiści i zazdrości, nieraz przyznają się do nich kłamliwie na złość drugim; a chcąc się wzajemnie obgadywać chcąc sobie ubliżyć, zaprzeczają ich sobie.

– Wiecie – mówiła Rozrzutność z uśmiechem – Bucefał żądał dziś klucza do tajnych drzwi buduaru mojego. Pokonywałam go jak bohatera, a skoro uległ, miałam złośliwość drożyć się i utrudzać.

– To szczęśliwa kobieta – mówiła na boku Twarz Ciemna – nażyła się do syta, nic sobie nie odmawiała, dawno straciła reputację, dawno gadają na nią, co jest biedy; a ona jeszcze w tych latach więcej ma zdobyczy niż która młoda. Oto zwyciężyła Bucefała, a niedawno widziałyśmy jak szalał Bywało, aż się zrujnował.

– Zwyciężyła? – odpowie Głowa Meduzy, wykrzywiając usta z goryczą – musiał być pijany, jak mu się często zdarza, lecz po tej próbie zaręczam, już i upicie nie pomoże; wytrzeźwieje wprzódym nim ulegnie.

– Nie wiercie panie – przerwała Twarz Błada z miną znaczącą – wiem ja najlepiej, gdzie Bucefał był dzisiaj, mogłabym złożyć dowody, ale nie lubię się chlubić. Ot! Chwali się, aby młodsze przywozić do rozpacy. Źle z nią, kiedy językiem sztukuje.

– Czemu – pytała Twarz Pąsowa zausznika Cielca Złotego – nie zaprosiliście na wieczór dzisiejszy mojego kochanka?

– Jak to nie? – odpowiedział Zausznik, pokazując Krucyfera.

– Ale nie tego – rzekła Twarz Pąsowa, wcale nie pomieszana.

– Wszyscy, ilu nas tu jest – odpowiedział Zausznik jesteście wielbicielami i kochankami pani.

– O! Wietrznicy! – zawołała Twarz Pąsowa – wy tylko dla zabawki; ale i ja wam prędko daję odpustkę. Zabawiłeś się, to idź! Tamtych zaś kilku wiąże trwalsze uczucie, tamci nie przychodzą do mnie jak po ogień.

– Kiedyż bo – mówił Zausznik – mąż pani...

– Ho! ho! – przerwała Twarz Pąsowa – nie udawaj! Nie udawaj! On wam nie przeszkadza, wiecie wy o tym dobrze. To godny człowiek.

Panie świata wielkiego sądzą, że im tylko z rozpustą pięknie, że mają na nią wyłączny przywilej. Przeto jak są pobłażające i wyrozumiałe dla siebie, tak znowu surowe i nieubłagane dla innych. Nie wierzą, aby serce nietuczone romansami mogło mieć uczucia. Jeszcze męskie czasami, ale kobiece nigdy. Wzmianka o miłości u ludu budzi na wielkim świecie śmiech, dowcipkowania, domysłności, drwiny, nieraz urąganie i pogardę.

– Skąd ty powracasz? Gdzie ty się włóczysz? – pytała Rozrzutność służącą.

SŁUŻĄCA

Mój narzeczony jest rzemieślnikiem, pracuje do późna, mieszka daleko. Zaledwie w południe ma godzinkę wytchnienia. Dni kilka nie widziałam go, lękałam się, czy nie zasłabł. Ubodzy nie mają sług, aby się wyręczać, chodziłam sama odwiedzić go.

ROZRZUTNOŚĆ

Co znowu słyszę? To i Wpannie w głowie amory? Rzemieślnik miałby zasłabnąć z tego, że trzy dni lalki swojej nie widział? Jesteś w służbie, powinnaś Boga chwalić i pracować. Uboga dziewczyna bez majątku, bez środków zapewniających niezawisłość, potrzebuje reputacji. Wstydź się mówić mi o tym, niech to będzie po raz ostatni.

SŁUŻĄCA

Ależ pani! My dorabiamy się uczciwie, aby się pobrać.

ROZRZUTNOŚĆ

Pobrać się? Kiedyście ubodzy, na romanse czasu nie macie? Kogo Bóg przeznaczył do pracy, niech nie zaprzęta głowy bałamuctwami. Każdy człowiek ma inny cel i inne powołanie. Nie trzeba się nad sferę swoją wynosić. Dla gruszek na wierzbie zaniedbujecie obowiązki, odwykacie od zatrudnień, rozwłóczycie się i rozwałęście. I cóż z was będzie?

SŁUŻĄCA

Kiedyż ja żyć bez niego nie mogę. Myśl o nim jest jedynym moim szczęściem. Ja nic na świecie nie mam prócz niego! On mi uprzyjemnia uciążliwość służby i ukwieca sny.

ROZRZUTNOŚĆ

Brawo! Gdzieżeś się tego nauczyła? Czy nie byłaś kiedy w teatrze? Co mi za czuła gołąbka! Życie nie może bez rzemieślnika! Szkoda tylko, kto takie szczytne ma sentymenty, ten nie powinien służyć, dla niego gitara, strumyk i arkadia. Czy twój Adonis rozumie się na tym kwileniu? Może równie czuły? O! To pieści teraz pewno pierwszą lepszą piękność kuchenną, przesiąkniętą bulionem. A ty się unosz, szalej, przepadaj! Co za upór! Proszę poprzestać tych głupstw! Jeszcze byś wyszła na publiczną... Piękna kariera! Ja nie chcę w domu sromoty.

SŁUŻĄCA

z goryczą

To kiedy tymi drzwiami wpuszczam aktora, a tamtymi wypuszczam malarza, kiedy mi serce pęka, że zmuszona jestem przez niedostatek do takich usług: to to nie sromota dla pani? Kiedy po teatrze i aż do północy... A ja to wszystko widzę z boleścią i znoszę dla niego... to, to nie sromota dla pani? A moja miłość niewinna...

ROZRZUTNOŚĆ

Chcesz rezonować, to za drzwi! Ja nauk nie potrzebuję! Znam się na takich niewinnościach, bywają z nich multiplikacje! Koniec końcem, za romanse płacić nie myślę, odprowadzam cię. Nie chcę, abyś się gorszyła u mnie. Co za niewiniątka! Serce jej pęka! Jeżeliś do czego lepszego stworzona, to owszem. Obaczmy, na co wyjdą te skrupuły w służbie i te miłosne muchy w nosie.

Po tym uniesieniu czując Rozrzutność płomienie w twarzy, wyszła czym prędzej na wały, aby dodać do świeżego gniewu trochę słodkiego uśmiechu, ujmować tym sfabrykowanym wdziękiem. Było to piękne, jesienne przedpołudnie i mnóstwo przechadzało się osób. Jedne z zadartymi nosami pozierały na przechodzących jakby od niechcenia, potoczkiem; tyle właśnie, ile było potrzeba, aby fryzura arystokratyczna nie zawadziła o demokratyczne kudły. Inne w różnych wygięciach i wypięciach, i podskokach, i półdygach, oblane olejkami jakby kadzielnice chodzące, budziły zadziwienie, skąd się bierze od takich dziwolągów tyle wonności. Inne obzierały stroje ciekawie, lorynetowały z przodu i z tyłu, polowały i szpiegowały oczyma popod brożeczki (parasoliki) i w skos rozmachanych wiejaczek (wachlarzy). Tu przywitania i ukłony, owdzie śmiechy i półgłówna rozmowa, z której ledwo podchwycisz drobne ustępy. Oto dwie poważne postacie w aksamitnych mantylach wleką z wolna ton dobry. Za nimi słuszny mężczyzna w barwie, w migdałowych kamaszach, ze złotymi bramami i herbowymi guzikami. Przed nimi w białych sukienkach dwa dziewiętnastoletnie niewiniątka, świeże jak róże, uśmiechają się i tulą do siebie.

JEDNO

Obiecałaś mi go pokazać, bardzo-jestem ciekawa.

DRUGIE

Rada bym, abyś go poznała. Zakochasz się i ów się w tobie zakocha.

JEDNO

Toby już trzecia! Bo ty... i wiesz...

Nastąpiło cichsze szeptanie.

DRUGIE

Często zastanawiam się, jak ów tyle istot i tak płomiennie kochać może. Uważam to za łaskę i dar boży.

ROZRZUTNOŚĆ

zastępując drogę Karolowi

Teraz już pana nie puszczę! Tłumacz się, dlaczego odwracałeś głowę wczoraj w ogrodzie? Nie zbliżyłeś się do mnie, unikałeś!

KAROL

Przez wzgląd na jej towarzysza; sądziłem, że będę zanadto.

ROZRZUTNOŚĆ

z uśmiechem

La jalousie bien déplaçait. Gdzie na jednego gotują, tam się dwaj mogą pożywić.

KAROL

To coś jak uczta Piasta, której przybywało w miarę używania. W takim razie mógłby się pożywić świat cały.

ROZRZUTNOŚĆ

La jalousie! Rien que la jalousie!

Przy jednej ławce poprawiała młoda blondynka suknię zmiętą od siedzenia, a ściskając za rękę siedzącą przyjaciółkę – „do zobaczenia – mówiła – śpieszę się do domu, mój stary dziwak...” – dalsze słowa wiatr porozrywał.

Śpiesznie pomykała blondynka, którą Lnem nazwę, do stojącego na boku powozu, a wsiadając, powiedziała służącemu zamykającemu drzwiczki: „do łazienek”.

Tu znowu inna rzeczy postać. Powozy stały wprawdzie szeregiem, jako świadectwo obecności świata wielkiego, ale świat wielki nie występował na widok. Ukrywał się gdzieś to w zakrętach dalekich ulic, to w gąszczu zarośli, to w wannach. Czasami spoza firanki odsłaniającej ręką lekliwą błysnie ócz parę, to jedwabna suknia zaszeleści między drzewami, to znowu jakaś para zbłąkana zwrotami na lewo i na prawo unika zręcznie spotkań i ciekawości natrętnych. Wszystko obleczone jakowąś tajemniczością.

Pani Len przechadzała się niecierpliwie uboczną ulicą, pozierała w różne strony, zawracała na środku drogi, stawała, zamyśliwała się i znowu szła dalej. Nareszcie zbliżywszy się ku łazienkom, kiwnęła na dozorczynię wanien, a stanąwszy z nią na ustroni, tak iż dosłyszeć nie można było ich rozmowy, opowiadała coś z żywością, pokazując na palce, jak gdyby liczyła. Po krótkim przestanku rozpoczęła na nowo też samą gestykulację, jakby nie spuszczać się

na uwagę i pojętliwość dozorczyńni, powtarzała jej i objaśniała. Potem kiwnęła palcem koło nosa, niby zalecając ostrożność czy milczenie, obróciła się żwawo, pospieszyła w ulicę, obzierała się często, wsiadła do powozu i odjechała. Po jakimś czasie zbliżał się do łazienek żwawy, krępy mężczyzna w białym kapeluszu. Krzyknął z daleka na dozorczyńnię łazien i zażądał wanny. Obejrzała się dozorczyńni, potrząsała głowę, jakby się czegoś domyślała, zaczęła wpatrywać się w nadchodzącego mężczyznę i mierzyć go oczyma jak łokciem.

BIAŁY KAPELUSZ

Czy nie słyszałaś? Żądałem kąpieli.

DOZORCZYŃNI

wpatrując się coraz bystrzej

Zaraz, zaraz! Ale pan masz biały kapelusz.

BIAŁY KAPELUSZ

I cóż stąd?

DOZORCZYŃNI

I białe rękawiczki?

BIAŁY KAPELUSZ

Tak jest.

DOZORCZYŃNI

I surdut brązowy, i długie blond włosy?

BIAŁY KAPELUSZ

Doskonale! Co do joty.

DOZORCZYŃNI

Za pozwoleniem! A masz pan chustkę od nosa?

BIAŁY KAPELUSZ

Jeżeli nie zapomniałem jej w domu.

dobywa z kieszeni

DOZORCZYŃNI

I na chustce litera L?

BIAŁY KAPELUSZ

Wiesz wszystko. Ale przystąpmy do rzeczy.

DOZORCZYŃNI

z uśmiechem

Nie kap się pan teraz.

BIAŁY KAPELUSZ

A to dlaczego?

DOZORCZYNI

Bo... bo... Wykąpiesz się pan wieczorem.

A dobywszy kartkę z kieszeni, podała ją młodemu mężczyźnie.

Na kartce było szpilką wykłute: „à 7 heur[es], nr 38”.

Biały Kapelusz nie zwykł odmawiać, a jakkolwiek wszystko to było dla niego zagadką, jednak bujna wyobraźnia czyniła jak najdziwaczniejsze domysły i przypuszczenia; więc uradowany widocznie rzekł: „Dobrze, dziękuję pani!” i odszedł bując w krainie marzeń.

O siódmej stawił się pilnie. Dozorczyni mrugała na niego powiekami i wskazała na drzwi. Wszedł śmiało Biały Kapelusz i zamknął drzwi za sobą, a ze środka dał się słyszeć nagle krzyk przeraźliwy, jakby zdziwienia, pomieszania lub radości. Po chwili wszystko ucichło. Niebawem wyszła pani Len widocznie rozdrażniona spod 38-go numeru, a zbliżając się do dozorczyni rzekła: „Cóżeś zrobiła! Wszak powiedziałam wyraźnie, brodawka na lewym licu”.

DOZORCZYNI

Ach! Zapomniałam. Ale wszystko inne jak kubek w kubek. Biały kapelusz, białe rękawiczki, brązowy surdut, chustka, włosy, oczy. Albo może nie ten?

LEN

Oczywiście, że nie. Biały kapelusz, białe rękawiczki, to głupstwo. Ale powtarzałam na rozum, brodawka na lewym licu.

DOZORCZYNI

Ej! Nie wymyślaj pani! Nie obrażaj pana Boga! Wszak już ciż lepiej bez brodawki jak z brodawką.

CO MÓWIĄ O „PARAFIAŃSZCZYŃNIE”

WIZYTA WIZYT

*Sua cuique calamitas tamquam
ars assignatur.*

Seneca

Przy jednej z główniejszych ulic postrzegłbyś onego dnia w obszernym salonie ruch niezwykajny jeszcze przed siódmą. Słudzy, których tam lokajami zowią, zwijali się bez \ustanku, to nakrywając stoły, to znosząc ciasteczka i cukry, to ustawiając czajniki i filiżanki. Wszystkie te zastawy zanurzała, jak przezroczysta powódź, światłość lamp i licznych świec. Dla ócz nienawykłych miałby ten widok istotnie urok czarodziejski, budzący zdumienie i ciekawość. Jakżeż nie pragnąć obznajomić się z istotami, co jak ryby w jeziorach żyją w światłościach? Czasami grubsza pomyka sztuka ze złotą łuską na piersi, to lwy morskie i rekiny; wiele tam wliwie w ten gardziel! Tu i owdzie sterczą kosze z owocami i czary pełne cukrów i różnobarwne marcepany, i różnej budowy naczynia i zastawy, to są skały i korale, i muszle, i perły, i konchy, i rośliny w świetle jasności. Świat ten, to świat wielki. Przy jednej z ścian odleglejszych stał mały stoliczek okrągły, dwójgiem świec oświetlony.

Tam usiadłszy średniego wzrostu mężczyzna, gospodarz zapewne – chodź tu – rzekł do kobiety przechadzającej się z wolna po bawialni, przezwaney salonem – usiądź przy mnie, a nim się zjadą, przeczytam ci dalej cokolwiek.

Wziąwszy więc zwitek do ręki, z wierzchu do gazety podobny, zaczął: „I tak siedziała sobie na powietrzu z wielką dokuczliwością starych już kości, ale zarazem z respektem wszystkich myślących, że ona siedzi na kanapie”.

– Dosyć już, dosyć! – zawołała pani, zrywając się z miejsca – to jest wyraźnie Grande Dama, będzie tam pewno i o mnie, nie chcę nic słyszeć, nic wiedzieć, ja miewam spazmy, ja jestem słaba, ja wszystko wezmę do siebie, dla mnie to śmierć.

Wtem otworzyły się drzwi pokoju, a gospodarz schował czym prędzej dziennik do kieszeni. Weszła Grande Dama sapiąc poważnie i opierając się wspaniałomyślnie na ramieniu uszczęśliwionej i podskakującej adwokatowej. Za nimi pełzła powoli i prędko panna Glista, to ociągając się, to wyciągając, zwyczajnie jak Glista, dobywając niby to gracji gdzieś aż od brzucha.

– Wiedziałam – rzekła donośnie Grande Dama – że dzisiaj będę najpierwszą, ale chciałam państwa moich uprzedzić. Wtem opuściwszy adwokatową na środku salonu, tak jak się chust-

kę opuszcza (jakoż ją podjął gospodarz), podtoczyła się spieszenie ku gospodyni i dalej cicho szeptała: Spodziewajcie się gości niezwykłych, pospraszałam różne osoby, wszystko się stawi na mój mandat. Przecierpicie tą rażą, że towarzystwo będzie mieszane. Trzeba nam naszych uprzedzić, by się z tym grzecznie obesli, a to też będzie wdzięczne i może się na co przyda.

Prędko przybywało osób i salon napelniał się coraz gwałtowniej. Z łoskotem wpadł Wielki Kaliber ze słodziutkim Kołnierzykiem przy boku, Twarz Błada wchodziła posuwisto z podchmielonym Miłoszem, Twarz Pąsową wprowadzało Kolanko; z dumą spojrziała na Twarz Bładą, odchrząknęła, wzdrygnęła czerwonymi ramionami, odwróciła głowę i poszła w stronę przeciwną. Rozrzutność z licem rozjaśnionym i oczkami zawróconymi toczyła się kreto jak gałka z kości słoniowej. Za nią wchodziło kilkanaście wąsów z wyłogami i bez wyłogów; nie wiedzieć z kim przyszła. Enfin był tam i Anfe, jak zwykle enfin, i mnóstwo różnego rodzaju liberii, i adwokaci, i lekarze, i uczeni, i dorobkiewiczze miejscowi i przybyli, gdzieś od brzegów błogosławionego Sanu i aż do granic dzikiej Bukowiny.

I płaszcze białe i czarne,
I bezroźni, i rogaci
Strojno jak kozły ofiarne;
I książęta, i magnaci,
I tłum wielki szlachty braci.
I hrabiowie, i barony,
I ich siostry, i ich ciotki,
I ich córki, i ich żony,
Stare panny i dewotki;
Słowem, wszystkie wiejskie plotki.
I litanie, i szkaplerze,
Cały Ojciec nasz i Wierzę.
Aż się w głowie ludzkiej kręci,
A twarze, nazwiska, wota,
Tak się rozłazą z pamięci,
Jak gdyby mrówki z rzeszota.

Zbieraj że! I któż by wszystkich wyliczył? Trzeba by nowych ksiąg rodzaju Adamowego. Seth zrodził Enosa, Enos Kaimana itd. i potomstwa Jafetowego: Gomer i Magog, i Madai, i Javan, i Thubal, i Mosoch, i Thirias. Mądry Salomon nazwał jeden z utworów swoich *Pieśnią piesień*, a ja w tym duchu nazywam ten utwór świata wielkiego *Wizytą wizyt*. Znajdowali się na niej wszyscy, których miałeś sposobność, kochany czytelniku! poznać w obydwóch tomach *Parafiańszczyzny* i którzy się teraz nawiną na oczy i znikną może na zawsze, i ci jeszcze, których dokładniej poznasz w tomie III-cim, i ci nareszcie, których już nigdy widzieć nie będziesz.

Kiedy uprzejma gospodyni wskazując miejsca prosiła usiąść, rozpędziła się Grande Dama ku kanapie, a odskakując nagle jak oparzona – „Nie – rzekła – na kanapę nie siadę, bo nachodzą się paszkwilanci, co to wyśmiewają”. Dała tym jednak zręcznie do poznania, że jej się kanapa należy.

Istotnie, dziwnym zrzędzeniem, zastygało dzisiaj to miejsce, ogrzewane zwykle przez najszanowniejsze matrony. Wszyscy mieścili się po stołkach, a kanapa stała opuszczona jak grzesznik skazany na rozpamiętywanie. Za cóż świat wielki mści się na tobie, sprzęcie niewinny?! Słusarz zawinił, a powieszono kowala; działo się w Pacanowie, gdzie kozy kują.

Kiedy tak szczęśliwym zwrotem obróciła Grande Dama rozmowę ku przedmiotowi, który jej szczególnie ciążył na sercu – „A propos paszkwilów – dodała – czy czytaliście państwo jakowąś tam *Pa, pa, Parafiańszczyznę*?”

Na to niespodziewane zagadnienie panowała chwil kilka niema konsternacja i nie było takiego, który by się odważył przyznać, że czytał; jedni patrzyli na drugich, to uśmiechając się, to kręcąc, aż wreszcie zahaczony groźnym spojrzeniem Wielkiego Kalibru przerwał milczenie

KOŁNIERZYKOWY ŁASKAWCA

Słyszałem, ma to być głupstwo solenne; same niedorzeczności, których czytać nie warto.

KAROL

Czytałem sam i mogę państwu dokładnych udzielić objaśnień. Jest to satyra chłoszcząca śmieszności, wady, nieraz i występki wyższego społeczeństwa, tym niebezpieczniejsze, że często za dobre przyjęte, że ponętne i ukryte pod maską wielkiego tonu i etykiety.

FACJENDA

Wyższego społeczeństwa? C'est dont [!] la guerre à nous?

KAROL

Nie pani! Wojna niezliczonemu szeregowi błędów, głupstw i uprzedzeń ludzkich, wojna czasowym przesądom i zepsuciu, w najgorszym zaś razie tym także, którzy się poczuwają i przyznają.

PODPIECEK

Któż nam ma prawa dawać, narzucać wyobrażenia i zmuszać do zmiany naszych postępowań? Skąd upoważnienie? Gdzie przywilej?

KAROL

Autor, jak ksiądz z mównicy, nie przymusza, tylko przekonuje i nakłania. A komu się podoba zostać szulerem, pijakiem, czupiradłem, służalcem i tak dalej, niech zostanie.

PĘCHERZ

Ależ bo proszę pana, proszę pana, wiele osób się tam poznaje, mają się za opisane, za zohydzone, oburzają się. Pfu!

GRANDE DAMA

Poznają? Oburzają? Kto taki?

PĘCHERZ

Proszę pani! Ja nie wiem, proszę pani! Ja nie powiadam, że... proszę pani! Proszę pani!

GRANDE DAMA

Ja się bynajmniej nie gniewam, chyba za to, że mnie opuścił, a przecież należę do wielkiego świata. Rzetelnie powiem, że się tam wcale nie widzę, a nieźle byłoby zostać Grande Damą.

BERLACZ

cicho do sąsiadki

Słyszysz pani! Mówi rzetelnie! Powiada, że się nie widzi. Możeż kto dokładniej być odmalowany? Wszakże to kubek w kubek, na włos nie chybił, sama ona.

Głośno

Mnie, chwała Bogu, dał pokój, przecież ja zawsze mówię, zły to język, zjadliwy, niepowściągliwy.

GRANDE DAMA

Już ciż ja także nie chwalebę tego zapamiętałego obrzucania błotem osób poważanych przez wiek i znaczenie, odszczególniających się majątkiem, urodzeniem i znakomitą łaską, czyli wziętością. Trzeba by prawdziwie być całkiem z rozumu obranym, aby się za tym ujmować.

OSIOLEK

Co już dowiedzione.

KAROL

Dziękuję pani, za tak pochlebny dla mnie wyrok.

GRANDE DAMA

Alboż pan bronisz tych potwarzy? Ja w to nigdy nie uwierzę, człowiek taki rozsądny i reputowany.

WIELKI KALIBER

Mówi umyślnie, ażeby drożyć się z nami.

KILKA GŁOSÓW

Nie! Nie wierzymy.

KAROL

Bronię słuszności. Skądże tu potwarz? Gdzie spotwarzony? Niech wystąpi wnieść osobiście swoje dowody i zażalenia.

Po chwili

Nie masz nikogo, każdy się wypiera? Więc to tylko przez miłość bliźniego gniewacie się państwo, za błędy innym

przyznawane niby niesłusznie? Nie lepiejże by było przez miłość bliźniego nie upatrywać w innych tych błędów, jeśli ich nie mają?

PANTOFEL GRANDE DAMY

cicho do Gila

Oho! Wydał się, to jego stronnik; dobrze, że milczała. Trzeba wprzód duchy sądować. O! On mu wszystko doniesie. Pięknież by było, gdyby mnie potem opisał w tym zapowiedzianym rozdziele: Co mówią o Parafiańszczyźnie! Ot, siedźmy cicho.

BERLACZ

cicho do Pantofla

Otom się w porę wyrwała! Może nie uważał. Wiem, że to dzieło szkaradne, ale już schowam dla siebie, nikomu ani słóweczka.

KOLANKO

Przecież przyznasz Karolu, że chociaż nazwisk nie wymienił, z opisów łatwo jest dociec, kogo miał w myśli?

KAROL

Alboż to zagadki, ażeby trzeba czegokolwiek dociekać? Autor powiedział otwarcie: oszust, głupiec, rozpustna; nie domyślajcież się na tych, co nie są takimi. Będzie to jeszcze winą

autora, że gwałtem chcecie się domyślać i źle domyślacie? Domyślajcie się prawdziwie, a skoro prawda, to nie ma potwarzy.

PATRIOTEK

Chociażby prawda była, czyż godzi się własnych współziomków przed swoimi i obcymi osławiać, ich ukryte wady i słabości na wierzch wywlekać i rozgłaszać? Zły to ptak, co kala gniazdo rodzinne, nie masz w tym patriotyzmu. Ja byłem w Warszawie, to wiem, jak mówił Osiński i Brodziński, i wszyscy uczeni. A co się działo!

KAROL

Więc nie ten kala gniazdo ojczyście, co się dopuszcza bezwstydnów i podłości, ale ten, co je karci i na wzgardę publiczną wystawia? Toć by już sprawiedliwość kalała gniazdo swoje, że zbrodniarzy ukazuje na rusztowaniu. Wszak-ci to jedyny środek, aby to ulubione gniazdo z dawniejszych kałów oczyścić i od nowych ochronić. Co jeśli się dzieje z narażeniem własnej spokojności i bezpieczeństwa, jest najlepszym dowodem przywiązania do kraju, troskliwości o jego pomyślność i prawdziwego patriotyzmu, bo złączonego z poświęceniami. Nikczemnicy tylko zasłaniają się zwykle jak tarczą, tak opaczynymi świecidełkami, ażeby broić mogli w cichości i naśmiewać się w duchu z milczących patriotów. Il faut laver son linge sale en famille – mawiał Napoleon. Gdybyśmy łotrami byli, nie byłoby zasługi wmawiać w siebie i w drugich, że poczciwymi jesteśmy. Patriotyzmu takiego trzymają się od dawna złodzieje. Aby ich naśladować, trzeba by mieć logikę tego pisarza, który powiedział niedawno: „a jeżeli prawdą jest, że nawet Cygan nie odmówi niczego w dobrej kompanii, dlaczegoż ja miałbym być gorszy od Cygana?” Faworyt to pań, które w dobrej kompanii niczego nie odmawiają. W tym właśnie jest patriotyzm, aby przez miłość narodu swojego poprzestać zwyczajów i postępków ubliżających jego honorowi, a których rozgłoszenie wstydzic by mogło. Przez mylne pojmowanie patriotyzmu opuszczano u nas nieraz najświętsze obowiązki, popełniano oczywiste głupstwa, a nawet występki. Jeszcze teraz są tacy, którzy powstają na Libelta rozprawę: *O miłości ojczyzny*, utrzymując, że miłości ojczyzny nie trzeba uczyć Polaków. A przecież pod pozorem patriotyzmu powstał związek targowicki, pod pozorem patriotyzmu oddawano swobody polskie w opiekę i obronę chciwości moskiewskiej. Dotychczas nawet pod pozorem patriotyzmu żądają niektórzy, aby błędy i głupstwa zasłaniać i utajać. Nie tak o tym rozumieją bezstronni cudzoziemcy.

TWARZ BLADA

Co do patriotyzmu mniejsza, bo to każdy inaczej rozumie. Ale wróćmy do potwarzy, bo chociaż wiem, iż sama opisaną nie jestem, znam przecież osoby, które są opisane z pewnością.

TWARZ PAŚOWA

cicho do Kolanka

Jej tam nie ma! A to jedno, co najlepszego w książce. Oj! Gdyby mnie pytał, więcej bym mu powiedziała.

Głośno

Pani tam nie masz; naturalnie! cóż by twarz blada na wielkim świecie robiła? Wszak to nie szpital.

TWARZ BLADA

Więc pani przyznajesz się, że jesteś?

TWARZ PAŚOWA

Kto pani mówił? Bynajmniej.

TWARZ BLADA
półgębkiem do Miłosza

Bynajmniej! Ślepy by poznał.

Głośno

Naturalnie, cóż by twarz paśowa na wielkim świecie robiła? Wszak to nie szynkownia.

TWARZ PAŚOWA
prędko

Znarti przecież takie, co sprawiedliwie są opisane i jeszcze nie dosyć.

TWARZ BLADA

I ja też samo.

MIŁOSZ

Ale nie unosić się panie dla głupstwa.

GRANDE DAMA
do swego Pantofla

Nie masz ich, nie masz! Obiedwie jak na półmisku; a któż wreszcie będzie.

PANTOFEL GRANDE DAMY
potakując obiema rękami

To prawda.

HISTORYK ANFĘ

Tegom ciekawy, kto też sprawiedliwie jest opisany? Enfin nie postrzegłem tam nic historycznego.

TWARZ BLADA
z gniewem

Otóż i pan tam jesteś.

ANFĘ

Pani żartujesz, a za co?

GRANDE DAMA

Alboż pamflicista wie, za co?

CZARNUSZKA

Chociażby osób nie było, nie jestże oszczerstwem zmyślać krzywdzące zdarzenia?

KAROL

Jakie na przykład?

CZARNUSZKA

A ów przypadek, co miała mieć panna...

KAROL

Alboż to żadna panna nie miała przypadku?

CZARNUSZKA

gwałtownie

Ta, o której ja myślę, nie miała go.

KAROL

Czemuż pani z łaski swojej o tej nie myślisz, która go miała? Wszak to byłoby słuszniej podobno. Już samo alegoryczne nazwisko. Kamfory stosuje się tylko do jakowegoś zniknięcia, a pani go gwałtem stosujesz do osoby, o której wiesz, że nie zniknęła. Jeśli w tym jeszcze wina autora, to niby ślepy mógł krzyknąć, że autor ciemno popisał, bo on przeczytać nie może.

BERLACZ

cicho do Głowy Meduzy

Wiesz pani, dlaczego wielom nie podoba się to dzieło? Bo znajdują w nim przytyki do siebie i swoich rodzin, a prawda kole.

Głośno

Nigdy w to nie uwierzę, ażeby Jawor do portu zawinął, gdzież znowu osoba dobrego tonu i wychowania tak się zapomnieć. Powiedziałabym nawet samemu autorowi.

Cicho do Bibuły

Wiem, że tak było, lecz chciałabym wyciągnąć Karola na dowody, bo wpada w zapal.

KAROL

Czy jeden Jawor był w porcie? Zresztą nie wolnoż artyście zmyślać, co mu się podoba na karb osób, które także wymyślił? Czemuż nikt nie zarzucił Arioście, że wparł w szalonego Orlanda tyle oczywistych cudaków i nieprawdziwości. Lub lepiej, czemuż nie ujmujecie się państwo za Donkiszotem? Był czas, kiedy prześladowano i Cerwantesa, bo dzieło jego było parafiańszczyzną wieku swojego. Nikt państwu nie każe tych opisów brać za ewangelię; a jeśli są tylko prawdopodobne i mogły się zdarzyć, już autor zbył się odpowiedzialności, był sprawiedliwym.

RURA

Takaż to sprawiedliwość, aby nas czernić? Któż teraz bezpieczny, kiedy targają się na nas? Co teraz znaczy obywatel? Czyż obejdzie się artysta i autor bez obywateli? Obywatelstwu zaś i stanowym nie trzeba artystów. W co obróci się podpora narodu i jego majestat? Już koniec świata.

FIOLET

Appropinquante mundi termino, damno omnino hoc opusculum.

GRANDE DAMA

Czemuż, kiedy tak sprawiedliwy, nie opisał sam siebie? Gdzież więcej znaleźć głupstw i śmieszności? Niechby się w lustro popatrzył, jaki nie ociosany. W dobrej kompanii znaleźć się nie umie, dlatego też nie cierpi tych, co się lepiej od niego znachodzą; nie może w pierwszych społeczeństwach być pierwszym, więc je wyśmiewa; czysta to zawiść.

KAROL

O! On tam zawsze się cisnął.

KOŁNIERZYK

Gdzie tam, od ludzi jak dzik ucieka i z dala jak wilk poziera; ni to grzeczności, ni to maniery.

TWARZ BLADA

Jak ćma, zawsze gdzieś w ciemnym kącie przylega; ani go dojrzeć. Oj! Złe sumienie, kiedy oczu ludzkich unika.

TWARZ PAŚOWA

Lęka się spotkać zapewne z tak niebezpiecznym dla niego nieprzyjacielem.

MIŁOSZ

A prostak, bez wychowania, bez ogłady.

ANFĘ

Nic sam nie umie, wszystko połapał. Nie sądźcie państwo, aby on to wymyślił, co tam opisał, przepisał gdzieś z starej książki.

KAROL

Tak jest, z książki życia.

GIL

kiwając głową

U! u! u! W którejże książce są takie głupstwa.

HRABINA

A złośnik i uparty, jak się zatnie, w najprzyjemniejszej kompanii słowa nie przemówi.

GŁOWA MEDUZY

Bo też nie miałyby co mówić w dobrej kompanii. Kto by chciał słuchać płaskich konceptów i brzydkich kalumnii?

GIL

Ja nie czytałam jeszcze, bo dostać nie mogę, a chciałabym, bo quand l'homme est seul à la maison et il n'a rien à faire, to i głupstwami rad się zabawić.

KAROL

Więc zdałyby się literackie wieczorki.

JASNY MAŹ

Pfe! Kto by to czytał? Szkoda czasu i atlasu, samo dotknięcie powala.

KAROL

Drudzy zapominają, co czytali, a państwo zapomnieć nie możecie, czegoście nie czytali. Jak przeczytacie, dopieroż będziecie pamiętać.

PANNA CZTERDZIESTKA

Ma foi! Plugawe pismo. Czego tam nie ma!

BIBUŁA

Bo autor to plapla, co wie, to wyplaple.

LITANIA

Miły Boże! Wiemy jeszcze więcej.

KAROL

I nie mówny, i nie plapla! Prawda, że dziwny.

PANI KRAKÓW

C'est vraiment indigne d'un homme d'esprit de se mêler de coquets des garde-robres.

TWARZ PAŚOWA

Z oczyma jak u szpiega, aby podejrzeć albo podsłuchać. Gotów się targnąć na wszystko, spotwarzyć, wydrzyźnić, podrapać, podrzyć i pokąsać.

TWARZ BLADA

Conune un chien acharné sur la viande fraîche.

TWARZ PAŚOWA

Oh! C'est un chien enragé.

KAROL

Ostrożnie panie! Aby nie pokąsał. Przysłowie powiada: „Gdzie diabeł nie może, tam... A cóż gdyby posłaniec jego wściekł się?

LITANIA

Oj! Nie wszystko to, nie wszystko.

GRUDKA

Albo ponury, albo z szyderskim uśmiechem.

ADOLF

A butny, ani przystępuj.

PANNA GLISTA

A efront.

LITANIA

Panno Najświętsza! Wiemy my więcej.

MIERZYNKA

Nieobyczajny.

PRZYJACIÓŁKA

Niewdzięczny! Zdradza tajemnice, nic mu zaufać nie można.

KAROL

I na cóż miał się sam opisywać, kiedy to jedno panie umiecie zrobić tak dokładnie i wyczerpanie.

LITANIA

Oh! Słodki Jezu Nazareński! Nie wszystko to, nie wszystko.

FUŁA

Skryty, zawsze sam w sobie, pojąć go nie można. Jak gdyby spisek knował lub czyhał, gdzie puścić żądło zatrute.

KAROL

Podobno zanadto otwarty. Bo kiedy drudzy rozwożą ploteczki z domu do domu, składając je w uszy ciekawe pod tajemnicą pieczęci, to on uwagi i zastanowienia swoje podaje jawnie do wiadomości publicznej i rozumowaniem popiera, jak przystało na prawego męża i literata. Prawdziwy miles litterarius, jak nazywano dawniej.

LITANIA

Oh! Nie wszystko to, nie wszystko.

OSIOŁEK

Kiedys pan wspomniał o literacie, pochlebiam sobie, iż chociaż w tak zacnym zgromadzeniu wielce uczonych i pobożnych, jednakowoż i ja, literat z powołania i reprezentant tutejszych literatów, co już dowiedzione, mówiąc nawiasowo w przedmiocie de quo, jako artis peritus, bo zęby się zjadło, zgłębiając ducha wszystkich piśmienności, z jakich tworzyw jak wąż złotoluski, do takiego doszły rozwoju i w taki rozdźwięk strzeliły, mogę wnioskować. Co już dowiedzione.

KILKA GŁOSÓW MĘSKICH I ŻEŃSKICH

Bardzo prosimy i słuchać będziemy z uwagą tak poważnego zdania.

GRANDE DAMA

dobitniej

Poważnego zdania.

PANTOFEL GRANDE DAMY

A prawda.

OSIOŁEK

Otóż, pominąwszy wszystko, co dotychczas bardzo zwięźle i dokładnie z najgłębszych zasad umu o potwarzach i paszkwilach, jako tu na j właściwie j zastosowanych, a tak niezawodnie w niniejszym wypadku miejsce mających, powiedzieliście państwo, co już dowiedzione; mijając nawet, iż autor ten tak nawykł do bryzgania piórem, że nie dba, czy siebie, czy drugich obryzga, co już dowiedzione; muszę jeszcze uczynić postrzeżenie, w czym dziwnym zrządzeniem spotkałem się w myślach z bardzo znakomitym krytykiem nieznajomego nazwiska, panem K. T., co już dowiedzione, iż przez wzgląd na delikatność płci pięknej i cześć, jaką wszystkie ugrzecznione narody oddają damom, wypadało, używając wyrażen skromniejszych, tę piękną płęć, mówię, oszczędzać, jak to wyraźnie stoi w «Roku» 1844, w zeszytcie piątym i już dowiedzione; który to «Rok» 1844 właśnie przypadkowo mając w kieszeni, jeżeli państwo łaskawie uznacie, odczytać miejsce głównejsze, nie długie, a to same, zaraz nie zaniedbam.

GEANDE DAMA

Najchętniej! Obaczmy, co o tym piszą. Wiem, że w pismach poznańskich z błotem zmieszano, jak warto.

OSIOŁEK

przerzucając stronicę

Początek opuszczam, aby nie trudzić długim określeniem, chociaż i tu także zdybałem się w myślach z uczonym krytykiem K. T., co już dowiedzione. Otóż właśnie strona 60-ta, słuchajcie państwo: (*Czyta*) „Grubą bardzo pomyłkę popełnił autor przeciw rzeczywistości stosunków życia, rozpoznając prawdę obowiązków towarzystwa, każdej płci właściwych. Kobieta jest istotą uczuciową, a mężczyzna umysłową, równi co do wartości moralnej; kobieta jednak była i będzie zawsze i wszędzie (tu nawet jest rym) (*Czyta dalej*) tylko miarą ukazującą stopień uszlachetnienia męskiej umysłowości, która w kobiecie więcej uczuciom serca podlega. Kobieta tworzy poezję zmysłowo-moralną, mężczyzna poezję duchowo-moralną w życiu człowieczym”. (*Zamyka książkę*). Co już dowiedzione.

KAROL

Możnaż się grubiej pomylić. Aimé Martin dowodzi przeciwnie, że umysłowość męska zawisła i kierowała się zwykle kobiecą uczuciowością, i dlatego wydał dzieło: *O wychowaniu rodu ludzkiego przez matki*. Uczuciowość czy umysłowość wychodzi najprzód z tych gibkich rąk, najpierwsze odbiera od nich wrażenia i dalszy pęd. Niejeden z fanfaroników starałby się o obszerniejsze wiadomości i oświecenie, gdyby tego potrzebował w świecie, w którym żyje, gdyby tego wymagały kobiety i lubiły rozmowy rozsądne. Głowy większej części młodzieży naszej są umeblowane całkiem według gustu kobiet, zaczawszy od zwierzchniego ufrызowania, a skończywszy na znajomościach modniarskich. Francuszczyzna i tańce, i muzyka, i śpiew, i czytanie czułych romansów, i naśladownictwo wielkich zalotnisiów, talenta, ćwiczenia i nauki są tylko dla oka kobiet, aby się nimi podobać. Aby więc wpłynąć na ukształcenie mężczyzn, potrzeba zmienić upodobania kobiet, wyśmiać ich błahe rozrywki i płytkie zajęcia, a cóż dopiero nieczułość moralną. Kto zaprzecza, że kobiety najgłówniejszą są dźwignią i najczynniejszym bodźcem w uznamięnowaniu życia społeczeńskiego i nadania mu kierunku, ten nie zna ani natury ludzkiej, ani historii. Odłącza się on od życia jak jaki kamienny pedagog i lepi zasady z własnych urojeń, upodobań i wstrętów. Zakazuje kochać się młodzieży dla jakichsi tam przedmiotowych i podmiotowych mierników i średników, i rozwojów, dla poezji moralnych, zmysłowo i duchowo, jednym słowem, dla całej swojej głębokiej filozofii, pełnej wyrazów zrozumiałych i niezrozumiałych. A tymczasem doświadczenie, jak jaki śmieszek, kpi z tych mądrości, czasami i z mędrca, okazując oczywiście, że młodzież kochała się zawsze na przekorę wszystkim podobnym wyrokom, zasadom i wywodom a priori i a posteriori, z rymami i bez rymów; a zdrowy rozsądek przepowiada, że i na przyszłość kochać się będzie i od wpływu kobiet oderwać się nie da. Uczeni, którzy z uwagą zgłębiali ten przedmiot, sprzeciwiają się wbrew twierdzeniom nieznanego krytyka K. T. Etange-la-Ville w szacownym dziele o wychowaniu kobiet, w 5-tym rozdziale powiada: „Jakikolwiek są obyczaje narodów, kobiety są w nich wyrocznią obyczajów. Wolne czy poddane, panują nad nami etc. etc.”. A i Karol Kleinpaul w dziele: *Die Hebung des Gemeinsinns durch den Unterricht* utrzymuje, iż wychowanie kobiet jest w każdym narodzie najważniejszą rzeczą i omal bez paradoksu powiedzieć by można, że od nich, jako od matek, zależy los całego narodu. Pedagog zatem, zaprzeczający kobiecie przewagi w stosunkach, nie mówię politycznych, ale społecznych, rozchetał zupełnie męską swoją zarozumiałość, zdjął z niej uzdę doświadczeń, nie dziw więc, że sobie po odludnych wertepach pobryka. Ale na cóż się zdadzą wszystkie te usilności? Te ciężkie skoki i susy? Chyba tylko dla zdrowia wielce uczonego

krytyka nieznanego imienia, jeżeli potrzebował potów. I spoci się, i publiczność nic na tym nie zyska.

OSIOLEK

Ależ bo on mówi, że jest źle, a tak jak on mówi, być powinno, co już dowiedzione, i w tym szczególnie zdybał się w myślach ze mną, jak państwo widzicie, co już dowiedzione.

KAROL

Potrzeba świat brać, jak jest, nie jak go sobie pustelnik lub filozof jaki całkowity czy połowiczny życzy, wystawia lub układa. Wiem, że inaczej mogłoby być lepiej, ale autor *Parafiańszczyzny* nie przedsięwziął wykryć, co byłoby, gdyby; skreślił on, co znalazł. Książka jego jest obrazem życia, nie zaś składem martwych teorii i domysłów. W społeczeństwie, które odmalował, wodzą rej kobiety, ubrały mężczyzn w spódnice, zrobiły z nich próżne zera, powodujące się ich wymysłem, upodobaniem i podżeganiu; wodzą ich, jak to powiadają, na piękne za nosy. A jeżeli znajdzie się krytyk mówiący, iż być powinno inaczej, nie powiedział jeszcze nowości i nie zrobił tym autorowi zarzutu. Podobniusię to do historii owego malarza, który, wymalowawszy miasto, podawał domom drzwi z boku i z tyłu od strony podwórza. „To błąd, wołał znawca za gorący, bo drzwi być z przodu powinny”. „Prawda – odpowiedział pokorny artysta – ale ja przedstawiłem Konstantynopol, a w Konstantynopolu tak jest, jak tutaj, a znać nie tak, jak być powinno”. I autor *Parafiańszczyzny* mógłby powiedzieć: „Moi panowie! Nie tak to jak w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie, nie tak jak w Sielcach, w Bydgoszczy lub w Tarnopolu, nie tak jak w stolicy lub na partykularzu, ale tak jak w *Parafiańszczyźnie*. Dziwneć to uroszczenie samolubstwa męskiego, ażeby wszędzie celować i przewodzić, choćby w błędach, w śmiesznościach, a nawet w podłości”.

OSIOLEK

Ależ bo zawsze inaczej, co już dowiedzione.

TUZINEK

Ustęp ten z krytyki, jaki nam szanowny kolega odczytał, nie zadowolił mnie. Warto by wcale inaczej odpisać. Mam ja w myśli poemat satyryczno-żartobliwy. Nazwę go *Zemstą Wandy* – dla różnych przygód, jakie spotkały mnie samego, o czym w poprzedniczych dziełkach pisałem. Słuszna jest razić przeciwników taką bronią, jaką wojują.

GRUDKA

W tym by nam najlepiej usłużył łaskawy Gospodarz swoim powszechnie uznanym talentem.

KILKA GŁOSÓW

Albo Osiołek.

GLOSZY INNE

Albo Haspirat, albo Tuzinek.

GOSPODARZ

Moim zdaniem nie rozmazywać. Niech żółć energię swoją wyparska. Najlepiej zamilczyć i zapomnieć; aby nie wyjść jako ów sługa, który wyprowadzając otyłą jejmość z teatru, kiedy ktoś z przechodzących zawołał: „na bok z kalafarnią”, ujmując się z całą przychylnością, przez godzinę odgrażał i na głos wołał: „Moja jejmość nie kalafarnia, moja jejmość nie kalafarnia”. Już mu kalafarnia własną ręką zatykała usta i to nie pomogło, on wołał swoje. Stąd

też nazajutrz opowiadano po rogatekach o tym, co było przeznaczone zginąć na zawsze w ciemnym korytarzu. Najrozsądniej – nie brać do siebie i nie przyznawać się.

KILKA GŁOSÓW MĘSKICH

Któż bierze do siebie?

KILKA GŁOSÓW ŻEŃSKICH

Kto się przyznaje?

GOSPODARZ

Wszyscy, którzy się gniewają. – Najsromotniejsze to przyznawanie, twierdzić uczynkami, a słowami zaprzeczać.

ANFĘ

Kiedy już tak, to dam państwu plan inny. Nie odpisywać samemu, bo istotnie nie warto, kto by się chciał paskudzić? Alboż to nie ma takich, co się najmą i tego odpiszą? Uczy historia, że rządy nawet przepłacają i przekupują pisarzy i gazety, aby widoki swoje popierać, a sprzeczne dążności obalać. W naszej gazecie i pod naszą cenzurą umieszczą wszystko za pieniądze, co tylko nie rewolucyjne, co nie komunistyczne, co nie dąży do jakowegoś tam postępu, który literatom głowy zawraca.

FUŁA

To wyjdzie na jedno – odpisać lub kazać odpisać. Nie bój się, nikt od ciebie nie żąda pisania.

Wszyscy się śmieją

Jeżeli najmować, to lepiej takich, którzy by gdzieś w ciemnej uliczce tego przetrzepali. Ci lepiej usłużą i tańsi.

ADWOKATOWA

Wiem z pewnością, że z tym zamiarem przyjechał skądś jakiś rezolut.

KAROL

Rzeczywiście, naśladować bandytów i opryszków, dowiedziemy najlepiej uczciwości i oświecenia.

RUDASZ

Na co najmować? Napadnięcie ludzi najętych nie krzywdzi, bo to ciury; ale samemu wziąć kij do ręki i...

Wywija ręką

KAROL

surowo

Czy jesteś pan obrażony?

RUDASZ

Co, ja? Broń Boże! Ja bym nie czekał, ale od dawna skroił już kurtę.

Radość powszechna

KAROL

Brawo! Niechby kto słowo pańskie przypadkowo z prochu podjął i wydrukował, miałby świat dowód, że jesteś człowiekiem rozumnym i człowiekiem honoru.

RUDASZ

zwawo

Mój panie! A na diabła to drukować?

KAROL

Przecież nie wstydzilibyś się ani wypierał swojej moralnej własności.

RUDASZ

Mnie to tam wszystko jedno. Ja takich własnością nie mam. Ja mam wieś i o nic więcej nie pytam.

KAROL

A znane panu wierszyki Stanisława Starzyńskiego?

Aby naukę zostawić,
Każ na wielkim wyryć słupie:
Że musi własnej nadstawić,
Kto po cudzej gmerze.....

FACJENDA

C'est du burlesque.

JASNY MAŻ

Czy to hrabia ten Starzyński?

KAROL

Tak jest, tak.

Kilka dam kręcą nosami

ŚLIWKA

A nieobyczajny.

KAROL

O paskudztwach mówić zmusza nas konieczność. Słowa świętego Augustyna.

RUDASZ

Ej! Niech tam sobie piszą i drukują co zechcą, ja pojedę na polowanie.

KAROL

na boku

Chwat! Z arendy po kądzieli przyszedł do majątku i dmie; chce rąbać i zabijać. Dzieci mniejszymi będą zuchami, bo ich pohamuje krew izraelska.

RĘBAS

Ja bym poradził wyzwać na pojedynek! To rzecz honorowa, obraził, niech odpowiada.

KOŁNIERZYK

Toby potrzeba się przyznać do tego, co tam i tak, i owak. Dopiero by wyszło na kpa. Zresztą pojedynki są zakazane, tyle kłopotu. Przy mnie tego nie mówcie, ja mam znaczenie, ja wchodzę... Jestem wasz przyjaciel, to was nie wydam, ale przy mnie tego nie mówcie.

GRANDE DAMA

Jakże więc znieść wszystkie obelgi i najsromotniejsze zniewagi?

GOSPODARZ

Czy znowu? Któż znieważony? Kto się przyznaje?

PODPIECEK

Jemu by tylko trzeba krwi trochę upuścić.

KAROL

Prawda, od serca, aby nie bolał tyle na obojętność i otrętwienie, czyli bezwstyd tych, którym by krwi od głowy puścić wypadało.

KOŁNIERZYK

Oto narobił sobie przyjaciół! Wszyscy go chwala! Patrzaj Karolu, czy to rozumnie? Cały świat rozburzył na siebie. Czyliż nie lepiej żyć z każdym w zgodzie i jedności? Ustąpić, prześlepić, pobłażać i ukrywać dla miłości bliźniego i przez szacunek dla świętej naszej religii, która żąda, aby się wszyscy jak bracia kochali..

KAROL

Czemuż nie wykonujecie jej przepisów, tylko ścigacie i prześladujecie? Bywają czasy zepsucia i zapamiętania, w których autor, a nawet każdy obywatel, albo być musi lichym pochlebcą, albo martwym, na wszystko, albo się wielom narazi i nieprzyjaciół narobi. W tym położeniu był Chrystus, kiedy powstawał przeciwko faryzeuszom, arcykapłanom i nauczycielom zakonu, słowem, przeciwko zepsuciu świata wielkiego w Judei. Czuł on to dobrze, mówiąc: „Świat mnie ma w nienawiści, że ja świadczę o nim, iż sprawy jego są złe”. A przecież ani prześlepiął, ani pobłażał, lecz nieprzyjaciół sobie narobił i dał się policzkować, biczyć i rozbić na krzyżu dla słów swoich i swojej nauki. O, był on prawdziwym przyjacielem katów swoich. *Fessimum inimicorum genus laudantes*. A czyliż nie jest najpierwszym obowiązkiem chrześcijanina naśladować Chrystusa?

Chrystus im swoje odkrywa rany,
Głowę opuścił na piersi;
Jak gdyby mówił: i ja cierpiałem,
Skonajcie wszyscy, jak ja skonałem,
A w Bogu będziecie pierwsi.

Nawet nakazuje religia strofować się i napominać, a nie dbać o ludzką przyjaźń lub łaskę. Jakoż nazwany przez świętego Hieronima zbrojownią wiary Paweł apostoł powiada: „Jeśli bym się jeszcze ludziom podobał, nie był ci bym sługą Chrystusowym”. A i święty Jakub w *Liście powszechnym* naucza wyraźnie: „iż przyjaźń tego świata jest nieprzyjaciółką bożą. Kto by kolwiek tedy chciał być przyjacielem tego świata: stawa się nieprzyjacielem bożym”. Było to po wszystkie wieki i będzie zawsze dowodem wielkiego poświęcenia, tego charakteru i prawdziwej, niegnuśnej świętości w człowieku, jeżeli obstawał w obronie prawd swoich i zasad, pomimo nienawiści, szkalowań i prześladowań. Czyżby się przyjął i rozrósł chrześci-

janizm, gdyby pierwsi wyznawcy, dbając o przyjaźń współczesnych, nie podlewali go krwią własną? Krew męczenników jest nasieniem chrześcijan, powiedział jeden ze świętych ojców kościoła. Kto się narażać boi, jest niedołągą, jest automatem. Zadawnionego i uprzywilejowanego zepsucia nie wytepi pochlebstwami i chwałą. Ulepszenia każdego wieku muszą wprzód stoczyć zajadłą walkę z przesadami i uroszczeniami, nim na tron siądą. To stanowi postęp. Trzeba było w średnich wiekach zwoływać sobory, narażać się i waśnić, odradzając lub broniąc baronom, aby nie napadali i nie rabowali po drogach. Ówczesny świat wielki miał to za nietykalne prawo swoje, za słusność i zwał przeciwników gwałcicielami porządku. „Derhalten ist dieses unsere Meinung, dass man stracks Alles soll herumziehen, strafen, zu Schanden machen, nichts verschonen, nichts durch die Finger sehen, nichts entschuldigen”, powiedział jeden z największych ludzi niemieckich, którego jednak nie nazwę, abym nie wzbudził wielkich spazmów. Nie zaleca też i świecka mądrość utrzymywania pułków przyjaciół na żołdzie pobłażania i potakiwań. Byłoby to czystym –przekupstwem, a przyjaciele tacy najemnikami. Jeden prawdziwy przeważy ich tysiące. „Prawy obywatel – powiada Hijacynt Korn – potrafi się obejść bez faworów salonowych i być wyższym nad ohydę i nienawiść. Nawet go nie zastrasza, choćby się dlatego widział opuszczonym, bo przymus wszelki jest mu nieznośnym”. Cóż warte te wasze przyjaźnie, zasadzone na pozorach i przyzwoitości? Lada namiętność obala je, co mówię? Lada czepeczek. Ubiegać się o nie jest to poniżać się, bo pięknie powiedział La Rochefoucauld: Le meilleur moyen de n’être estimé de personne est de vouloir plaire à tous.

PANTOFEL GRANDE DAMY

Niechby i tak było, ale powiedzcie mi państwo, do czego...

GRANDE DAMA

przerywając

Nie, tak nie jest.

PANTOFEL GRANDE DAMY

A już ciż tak nie jest.

OSIOŁEK

Co już dowiedzione.

ADOLF

Ale rzecz każda powinna mieć swój koniec, a to jest bez końca.

PANNA GLISTA

Trzeba by i temu koniec położyć, nie trudno się o to postarać.

KOLANKO

To kłóci spokojność publiczną i jest ciężkim politycznym przestępstwem.

ŚLIWKA

Pepraszam, to bardzo niepolityczne.

GIL

To by powinno być zakazane.

TWARZ BLADA

Już ja się o to postaram.

TWARZ PAŚOWA
cicho do Kolanka

Ona też właśnie do tego.

GRANDE DAMA

To najrozumniej! Ja się przychyłam. Potwarca publiczny powinien sromotnie i publicznie być ukarany. Dawniej to książki takie palono na rynku.

KAROL
z boku do Szczyпки

Wtedy palono i czarownice, i rajki.

WIELKI KALIBER

To jedno z całej rozmowy, przecież prowadzi do celu.

ADOLF

A jużci! To ja to wnosił. Ja powiedział, że rzecz każda powinna mieć koniec.

KOŁNIERZYK

Co do tego, to służę i wszystko państwu ułatwię; mam wpływy.

TWARZ PAŚOWA

I ja poświęcę się dla ogółu; przecież damom nie odmówię.

TWARZ BLADA
cicho do Miłosza

Przed laty dziesięciu!

Głośno

Teraz za późno.

TWARZ PAŚOWA

Wytłumacz się pani jaśniej.

TWARZ BLADA

Już się dużo książek rozeszło.

BIBUŁA

Jak zakażą, będzie spokój.

PĘCHERZ

Proszę pani, proszę pani, to najlepiej.

RUDASZ

Bo też to zgroza ostatnia; w dziewiętnastym wieku takie paskudztwa! To czysty paszkwil.

ADWOKAT NR 1

Ex paragra[ph]o de calumnia.

ADWOKAT NR 2

cicho do Karola

Nie wiem, czy moja żona, czy jego, ale jest tam koniecznie.

KAROL

Jakże pan to wiesz?

ADWOKAT NR 2

Z własnego ipsijus zeznania. Napisał, adwokatowa.

KAROL

Co tu, to się złapał.

ADWOKAT NR 2

Aha! Nie zwiedziesz!

ŁASKAWCA

Wszyscy się o to udajmy!

GRANDE DAMA

Oskarżmy jak paszkwilanta.

WIELE GŁOSÓW

Paszkwil! Paszkwil! Niewątpliwie.

KAROL

Jako! Więc państwo wzięlibyście istotnie to wszystko do siebie? Prawdziwie za wiele zaszczytu! Tyle nakreślili poeci i powieściarze zajmujących obrazów, pięknych zdolności, tegich charakterów, cnót znakomitych, wielkich poświęceń, a nikt się do nich nie przyznał, nikt nie powiedział: mnie opisano. Skoro zaś odmalowano głupstwa, nikczemność, lizunostwo, wszystkie brzydoty, kalectwa i niedołężności moralne, natychmiast znaleźli się liczni miłośnicy, a otwierając zdumione pyski, jakby się w lustrze ujrzeni, wołają: my to jesteśmy. Jakżeż to autorowi nie wierzyć? Przecież każdy, jak wygląda, wie sam najlepiej.

Wpadając w uniesienie

Piękne mi społeczeństwo, gdzie jak w jaskini zbójców, zawołaj: zabił, zrabował, okradł, zdradził, oszukał, przekupił, uwiódł, to zaraz tysiączne odezwą się głosy: to ja, to ja, to ja, to ja. Paszkwil jest tam tylko, gdzie wytknąwszy nazwiska, zarzuca się wady lub występki, do których wymienieni przyznać się nie chcą. Ale gdzie ledwie odczytasz z rejestru długi szereg społecznych podłości, znikczemnień, zgnilizn i smrodów, a niewymienieni przytomni zaraz odzywać się złączą, jak gdybyś czytał katalog nazwisk szanownych słuchaczy; jakież tam jeszcze paszkwil być może? Dopiero by był paszkwil, gdyby jaki łgarz przekupiony lub lizun z nałogu wołał: cnota, oświata, poświęcenie, prostota obyczajów, miłość ojczyzny i bliźniego, wzgarda podłych, nienawiść ciemnych itd. Znane to larwy wszystkie: owe lamenta na potwarz i potwarców, na paszkwile i paszkwilantów. Kryją one występki. Trzeba się było lepiej zasłaniać, chcąc użyć takiej obrony. Powiedz wszetecznej, wszeteczna, to się rozkrzyczy na paszkwil, a o kilka kroków dalej znęci do siebie grzeczniejszych dziesięciu. Powiedz ufryzowanemu salonowcowi: służalec, to nazwie to czarną potwarzą i złośliwością, a zaciągnąwszy białe rękawiczki, pójdzie uśmiechać się i kłaniać, i łasić najeżdźcom i gnębicielom. W obrażeniu jego nie jest to podłością, więc...

FUŁA

Ależ bo unosisz się i zapominasz, to całkiem co innego. Trzeba mieć wzgląd na okoliczności i stosunki; nie zawsze to jest otwartość roztropną.

KAROL

żywo

Nie zawsze i roztropność zasługą, bo kiedy chwila działania...

GOSPODARZ

Słuchają nas.

KAROL

Dziękuję panu.

HASPIRAT DUKLANIN

W huznanhiu shiebie shamych, czhyli whłasnegho jha, rhozumie się tu whie Fichthowskie jha...

Wszyscy w śmiech

FUŁA

na boku

Oj! Nie fichtowskie, ale głupekowskie.

HASPIRAT

Alhe jestesthwo authorskie uroszczhenia phelneshadowią gho na litherackim throjnożku...

Wszyscy w śmiech

KAROL

na boku

Teraz, chwała Bogu, wypocznię! Tu już nie trzeba obrony, bo i osły poznają się na głupstwie swojego adwokata.

HASPIRAT

Hależ nie shmiejcie shię phaństwo! Chciałem phowiedzieć, zhe thrzebha szhanować chudzą zhasługę i ihmie, abhy shię sthać shamym phoszanowhania ghodnymi, a..

KILKA GŁOSÓW

Czy on nam przymawia?

HASPIRAT

z gniewem

I zhe się *Parafiańszczyzna*, mhowię o phapierzhe, niebhawem w phyłki rozleci

Wszyscy w śmiech

KAROL

Nie prorok ze mnie; zobaczymy! Co zaś do zasługi, zgadzam się z panem; lecz radzę rozróżnić, czy zasługa to, czy okpiwancja. Bo, że ktoś sobie ma za zasługę, że b..... zakadził pod kościołem w Dukli...

Wszyscy w śmiech

HASPIRAT

z gniewem

Jhuż jha tho zrobnię w innyhm miejscu i czhasie.

KAROL

Nie wąpimy!

Wszyscy w śmiech

DŁUGOSZYJKA

Tego mu przecież wybaczyć nie mogę, że wszystko widzi w czarnym kolorze, same wady i przywary.

KAROL

Czyż lekarz opisujący kalectwa i słabości będzie mówił o powabach?

DŁUGOSZYJKA

Nie jestże piękniej wynajdywać cnoty ukryte? Unosić się nad przymiotami? Chwalić za-sługi? Podziwiać wspaniałość i miłosierdzie? Czyliż już nie ma dobrych? Przecież dawny nasz pisarz umiał tak ładnie wystawić i dowieść, że nieźli są ludzie.

KAROL

Sława na bok, bo to jeszcze nie rozum, a bywa często czystym oszukaństwem. Zresztą trzeba by dochodzić, kto ją rozdyma, bo wiadomo pani z Boala, który to za świętym Hieronimem powtórzył, że znajdzie głupi głupszego, który go pochwali. Na bok więc sława, a weźmy przed siebie twierdzenia pani ulubionego pisarza, jego dowody. Możeż być co płytszego, co nierozmyślniej powiedzianego? Dobrzy są ludzie, bo czynią składki i dają jałmużny. Tak utrzymują tylko żebracy. Ale kraj, zwłaszcza w trudnym położeniu będący, nie poprzestanie na tak niedołącznych obywatelach i obywatelkach. Ta dobra, bo czyni składki, daje fanty, wymyśla loterie, wspiera ubogich. Toż to wszystkie obowiązki obywatelki? A ona spokojność domową zatruwa, za zabawami ugania, na starość uczy się kadryla, trzęsie sobą jak opętana, czczościami serce zaprzęta, obnaża ramiona i piersi, trawi się zawiścią i zawziętością, wychowuje dzieci na salonowców, zostawia im przykład gnuśności i bezwstydu, językiem ojczystym pogardza, zezem patrzy na sąsiadkę z mniejszym majątkiem, bo nie hrabina i nie zna obłudnej układności świata wielkiego, rozwozi plotki i obmowy, nie dba o rodzinę i ojczyznę, mizdrzy się i przymila możniejszemu najeźdźcom, a może nawet z bezrządów z nimi zyskała wziętość, znaczenie i pieniądze, które rozdaje: i ona dobra?! Ten dobry, bo się do składek przychyła i oczy drzeć sobie daje. Toż wszystkie obowiązki obywatela? A on całe życie stracił przy diabełku, gdzie obdzierał, obalał nieraz szczęście całej rodziny, podkopywał zamożność rodziców, niweczył przyszłość ich dzieci. Czyż mu tak trudno rzucić część tych dobyt-ków, w ten sposób skradzionych? On dobry, a końmi szachruje, poddanych zdziera i ciemę-ży, nie dba o potrzeby narodu, wyprawia bale i pijatyki, kiedy współbracia jęczą w wilgotnych ciemnicach i na wygnaniu, łasi się i nadskakuje ciemieżycielom, szerząc zgorszenie tą obojętnością w upodleniu; i on dobry? Komu o chleb chodzi i o chleb tylko, będzie zapewne chwalił ludzi, jak mu go dadzą. Lecz komu chodzi o pomyślność i przyszłość narodu, kto widział zepsucie wnętrza jego, jak gangrena trawiące, ten nie pójdzie usypiać go pism lizaniem i gnuśnymi komplementami; ale woła groźnie: „Samsonie! Filistyjczycy nad tobą!” Dobrze jest miłosierdzie, lecz samo przez się nie czyni ludzi dobrymi. Największy złoczyńca może roz-dawać jałmużny, tym więcej, im więcej w życiu narozbijał i nakradł. Na takich podwalinach spoczywa większa część zakładów dobroczynnych świeckich i duchownych.

C'est un homme d'honneur, de piété profonde
Et qui veut rendre à Dieu ce qu'il a pris au monde.

Płaszczkiem miłosierdzia okrywają się zwykle stare dewotki, dawniejsze nierządnicę i intrygantki. Godziż się być tak krótko widzącym, tak nierozważnym, aby to podawać za dowód dobroci ludzkiej? Obaczmy, co prawi o miłosierdziu Paweł apostoł w trzynastym rozdziale *Pierwszego Listu do Koryntian*. Prawdziwie ten sławny pisarz pani bardzo musiał być głodnym i dobrodziejów swoich po żebracku nadgradzał: Boha proste, dobry lude! boba proste, dobry lude! W ten sposób nietrudno jest przyjść do sprawy; lecz będzie to sława z kontraktu: Wszystkich was chwale, wszyscy mnie chwalcie. Passez-moi la rhubarbe et je vous passerai le séné.

PANNA GLISTA

Jak żądać, ażeby autor *Parafiańszczyzny* ludzi poważał, kiedy on nawet Bogu nie przepuszcza? Targnął się na religię, z gruntu jej zasady obala. Czy on ksiądz albo teolog? Skąd prawo?

LITANIA

Bo też to jawny heretyk; zmiłuj się nad nami! Do kościoła nie chodzi, postów nie zachowuje, wyraźnie duszę na potępienie oddaje. Ach, słodki Jezu, zmiłuj się nad nami! Nie żegna się i nie spowiada, rzeczmi świętymi pomiata, duchownych ma za nic, świętobliwe osoby znieważa, mszy świętej nie słucha. Uchowaj nas, Panie! Wyraźnie bez czi i wiary! Wiemy o nim i więcej! Wszystkie święte wdowy i panny, módlcie się za nami!

MIŁOSIERDZIE

Dałabym na mszę z wotywą i leżeć będę krzyżem przed Matką Najświętszą i nawiedzę pieszo obrazy cudowne; byle go tylko wszyscy diabli wzięli.

KAROL

na boku

Do Matki Boskiej pójdzie za diabłami! Wie, gdzie ich szukać! To mi świętobliwość!

RÓŻANIEC

Wiara nasza nakazuje tępić kacerzy i nie pobrażać im, aby nie było zgorszenia. Pieczono już nieraz żywcem bezbożników w imieniu kościoła świętego, z wielkim zbudowaniem prawowiernych i z pożytkiem dusz własnych.

LITANIA

Co daj Boże! Amen.

KAROL

Sprawiedliwie powiedział o tym pewien uczony Augustyn: iż gdyby sztuką było ogniem przekonywać kacerzy, to oprawcy byłiby najuczestniejszymi teologami na świecie.

MIŁOSIERDZIE

Miłosierdzie boże nieograniczone; nie da się szerzyć takowej zarazie; wysłucha westchnień naszych, wspomóż w naszych zamiarach i pocieszy w strapieniach.

MSZAŁ

Czy słyszał kto – z świeckim pisaniem pomieszać teksta *Ewangelii*?

PANNA CZTERDZIESTKA

Albo kasować niedziele i święta?

WAŻKA

Lub zakazywać modlić się z książeczek? Widno, że myślał, iż wszyscy tak łatwi do tworzenia myśli i nowych pomysłów jak on sam; w czym dużo się pomylił, bo większa część, czytając książkę do nabożeństwa, mało ją rozumie, nie dopiero, aby sami modlitwy tworzyli.

KAROL

To trudno! Zwłaszcza na wielkim świecie, bo trzeba myśleć. Ale Bóg dobry zapobiegł, przewidując to wszystko i nie wymaga modlitw tworzonych, czyli składanych. Kto słaby, wzdycha do niego o zdrowie, kto pozbawiony niepodległości i uciemżony, pragnie gorąco, bez ustanku, oswobodzenia i ulgi, a łącząc to pragnienie z myślą o Bogu, już się wymodlił. Ale czytanie z książeczki przygłusza modlitwę serca, tak jak chwast zboże przygłusza. „Bo jeślibym się modlił językiem”, rozumienie moje bez pożytku zostaje.

WAŻKA

Także i w tym się myli, że trudno w oznaczonych dniach być nabożnym, bo kto nim jest, jest w każdym momencie, a kto nie jest, nigdy nie będzie nim. Bo religia, moralność i rzetelność są u mnie trzy siostry, które albo istnieją w osobie, lub zupełnie nie egzystują.

OSIOLEK

Co już dowiedzione.

KAROL

Właśnie dlatego, iż prawdziwie pobożny jest nim zawsze, musi być głupstwem istocie pobożności przeciwnym, aby wyznaczać na to pewne dni i godziny. Co zaś do rodzeństwa religii, nie umiem pani w tym służyć. Wiem tylko, że umarł niedawno filozof, który utrzymywał, że trzy są umiejętności: religia, moralność i matematyka, pod ostatnią rozumiał może rzetelność.

PANNA GLISTA

Alboż nie jest prawdziwym zaślepieniem i zapamiętałością, aby nie kazać odkrywać głowy w kościele i najwyższemu stwórcy nie oddać tego uczczenia, jakie się ludziom oddaje?

OSIOLEK

O też tu także zdybałem się w myślach z wielce zasłużonym pisarzem i krytykiem, nie znanego mi imienia panem K. T., co już dowiedzione i jeśli państwo pozwolicie, wygłoszę?

Dobywa książkę

KAROL

O, zdybiecie się jeszcze nie raz. Ale tą razą zdybaliście się obydwaj w niezrozumieniu autora, który nie tylko nie radzi mieć w kościele kapelusza na głowie, ale nadto nigdzie go mieć nie radzi.

GRUDKA

A od czegoż kapelusz? Przesadzasz! To być nie może!

PĘCHERZ

Proszę państwa, proszę państwa, jakże to bez kapelusza?

KAROL

Szkoda, że nie mam książki przy sobie, bobym przekonał.

A ot! a ot! – mnogie ozwały się głosy i na raz z różnych kieszeni i fartuszków wylazło przeszło trzydzieści książeczek, sama Litania miała trzy egzemplarze przy sobie.

Wziął Karol najbliższą siebie i czytał: „Jeżeli zdejmowanie kapelusza w kościele ma swoją rozsądną przyczynę, tobyśmy całe życie z odkrytymi głowami chodzić powinni, bo tenże sam Bóg jest i za kościołem, a nie zechcemy podobno oddawać większej części biskupowi jak Bogu”. Czy rozumiecie państwo? To znaczy, że kiedy odkrywamy głowy w kościele, gdzie jest biskup przy Bogu, to należałoby odkrywać je i za kościołem, gdzie jest Bóg bez biskupa.

RURA

Biskup przy Bogu, Bóg bez biskupa, to jest szaleństwo, ja nie rozumiem!

PĘCHERZ

Proszę państwa, Bóg bez biskupa, to go nie widać, proszę państwa, na co tu kapelusz zdejmować, kiedy go nie widać? Proszę państwa!

PODPIECEK

Co to się w głowach nie roi! Ale ja po dawnemu zawsze mam kapelusz lub czapkę. Jakże by było w zimie, kiedy wiatr świszczę, a człowiek konie ujeżdża albo jest na polowaniu?

RUDASZ

Na kuropatwy w Opolu lub za szaraczem z chartami?

GRANDE DAMA

Dziwno mi jednak, że pomimo tego wszystkiego jeszcze go po domach przyjmują, on by powinien być wykluczonym.

KAROL

Według którego paragrafu w kodeksie?

GRANDE DAMA

Wczoraj, słyszę, znajdował się na wieczorze, czy to się godzi? U tak znacznej rodziny i spokrewnionej z nimi wszystkimi.

KAROL

Ej! Moja pani! Społeczeństwo, z którego nie wyganiają wszetecznic, w którym przyjmują szpiegów męskich i żeńskich, w którym różgami rajek nie biją, społeczeństwo takie niczym się już nie splami, nie ubliży sobie żadną bezczelnością: może śmiało wyłączać ludzi uczciwych i kochających ojczyznę.

GRANDE DAMA

Do kogóż pan to ośmielasz się stosować?

KAROL

Czyliż nie jasno powiedziałem? Może by znowu wziął kto do siebie?

MIERZYNKA

Toteż wczoraj, zaledwie wyszedł, odczytywano sobie wierszyki bardzo dowcipne, na niego ułożone.

GRANDE DAMA

A propos! Trzeba by państwu odczytać. Jest to bardzo szczęśliwy utwór jednej z pięknych głów naszych.

MSZAŁ

czyta

Człowiek i król, białym Leszkiem zwany,
Prawy i sprawiedliwy, od wszystkich kochany,
Trafił przecież na zdrajcę i w gorącej łaźni,
Padł niewinną ofiarą swojej nieprzyjaźni.
I my też mamy Leszka, paszkwilantem zwany,
Ni prawy, ni szanowny, ani też kochany.
Łaźnia go także czeka, a w tym jednym względzie
Życie jego podobnym do tamtego będzie.

TWARZ BLADA

A co, panie Karolu, nie piękne?

KAROL

Nie rozumiem, co tutaj Leszek ma znaczyć? Zresztą przypominam sobie także wierszyki:

Pracowała głowa nad kilkorgiem słówek,
Dokazała głowa, co by mógł półgłówek.

Rozumie się zawsze, piękny półgłówek.

CZARNUSZKA

Bądź co bądź jakież ma cel ta książka? Może obyczaje poprawić? A kiedyż ona, jak wszyscy uważacie, tylko drażni i jątrzy, co zwykle grzeszników zatwardza. Autor więc zmarnował oczywiście zdadności i wymowę swoją. Cel chybiony, wszystko chybione. Strzał głośny, ale w powietrze.

KAROL

Miło mi odpowiadać na zarzut tak roztropny, lecz pozwól pan, że mu przytoczę zdarzenie z innej części świata. Kiedy europejscy lekarze Egipt zwiedzili, zastanawiali się nad przyczynami gęsto tam panującej ślepoty i ogłaszali, że pochodzi z niewstrzeźliwości, ze zbytniego używania ryżu, z wyziewów namułu itd. Słyszac to starzy ślepcy wołali z gniewem: i cóż stąd? Czyż przez to widzieć będziemy? Głośne to rozprawy, ale na wiatr. Cel chybiony! My ślepi, jak byli. Im się zdawało, że lekarze mieli na celu powrócić wzrok starym ślepcom. Najłatwiej jest dowieść pisarzowi nieosiągnięcie celu, tylko mu podłożmy cel niepodobny. W świecie moralnym, jak i w fizycznym, każde lekarstwo drażni; ci, których słabość przemogła, ulegną jej, ale silniejszym naturom albo mniej słabym przychodzi w pomoc właśnie to jątrzenie. Snadziej odbywa się oddziaływanie w całym organizmie i mogą przyjść do zdrowia. A im większe otrętwienie, im większa nieczułość, tym drażliwszy użyć potrzeba środków.

RURA

Wszakże tu mowa o paszkwilu nie o Egipcie ani o lekarstwach. Co też pan mówisz?

KAROL

w uniesieniu

Ja mówię, że *Parafiańszczyzna* nie dla tych, którzy się szczycą, że ich żony są nałożnicami cudzoziemców, którzy się znikczemniają, zmiatając dobrowolnie prochy po posadzkach przywłaszczycieli i w tym znikczemnieniu upatrują zasługę i odznaczenie, którzy grają wodewile dla uciechy swoich bożków pogańskich, którzy...

Opamiętuje się

Bo tacy już pomarli.

KILKA GŁOSÓW

Pomarli? Proszę pana! Pomarli? A my żyjemy!

KAROL

Gdzież ja bym śmiał panów o taką podłość obwiniać?

Po długiej chwili

Możnaż mieć zamiar wskrzeszać umarłych? Lecz czyż dlatego, że zmarłych na tyfus nie wskrzesisz, nie godziż się układać na tyfus lekarstwa? Tak jest, panowie! Lekarstwo to na całą słabość, nie dla szczególnych słabych, którym chyba Bóg jeden pomoże.

JASNY MĄŻ

w innej stronie

On zwaryjuje, ręczę, zwaryjuje i umrze. Plecie ni w pięć, ni w dziewięć! A ciągle o tyfusie, o nieboszczykach! Kto tutaj słaby? Gadajże z nim!

W czasie tych sporów nie mięszała się Rozrzutność do wspólnej rozmowy, ale usiadłszy na boku z pałającą twarzą i iskrzącymi oczyma, zachodziła się od śmiechu, tworząc dla siebie Kółko oddzielne, złożone z Światłogłaza, Bucefała, Krucifera, Szczypty i kilku innych. Na czole jej obojętnym na wszystko i do wszystkiego gotowym tryumfowała jak diadem ta myśl wyraźnie: „Niech bają i czas tracą na próżno, ja trzymam się mego rzemiosła; lepszą nie będę”. Ku niej obróciła głowę Twarz Pąsowa, a opuściwszy tą razą, nie wiem dlaczego, swoje Kolanko, kiwnęła na jednego z otaczających Rozrzutność i szeptała mu z gniewem do ucha: – Przyjdź jutro o ósmej, uczynię, czegom nigdy nie myślała – aby przekonać, że ten przekłety oszczerca nie poprawia, ale, owszem, w dawnym utwierdza. Odtąd już tak. Przez ruch ten zbliżył się nieco salon Rozrzutności do naszego salonu, a Bucefał wydymając policzki świecące tłuszczem zadowolenia zmiarkował, że trzeba przecież z czymś się odezwać, a że jakoś nic nie miał na dorędziu, pochwycił więc przedmiot oklepany, ale najbliższy i rzekł: – Sagen sie mir, was ist denn eigentlich diese verrufene parafina?

KRUCIFER

Ależ tak! To osobliwe stworzenie!

WIELKI KALIBER

Fi! Nie mówcie mi o tym, hańba literatury, wstyd naszych czasów i narodu, że mogli się znaleźć autorzy, drukarze i czytelnicy podobnie zuchwali.

FACJENDA

Pismo pełne trucizny.

MIERZYNKA

Głupoty, kalambury, złośliwe żarty.

ŚWIATŁOGLĄZ

Cóż rozsądnego chcecie znaleźć w tym nędznym świstku? Jakież myśli mogą się tu rozwinąć?

KAROL

Tak, w dziełach „naukowych” w szóstym tomie zaledwie zauważa się, dokąd autor zmierza.

HRABINA

Nie, nie mogę się nadziwić, poniżyć się aż do pisania pamfletów!

KAROL

Wyzwolenie całkowite z więzów konwenansów epoki może być uznane za zasadniczą cechę talentu. A nasz autor łączy tu jeszcze tę nową dzielność szczerego przyjaciela kraju, którego umysł, wzniesiony ponad wszelkie uprzedzenia, widzi wszędzie prawdę, wypowiada ją bez obawy i w sposób zrozumiały dla wszystkich, przystępny, i nawet, jeśli chcecie, trywialny.

GŁOWA MEDUZY

Wariat. [Uciekł z Zielonych Świątek.]

FACJENDA

Nie ma nigdy plotki bezpodstawnej. Czy wyraźną intencję oczernienia wszystkich określi Pan również jako oznakę talentu?

KAROL

Jeśli o mnie chodzi, ponieważ czytam dzieło spokojniej, nie widzę tu tej intencji oczerniania, o którą oskarża się autora. Trzyma on wagę ręką pewną i sprawiedliwą; prawie wszystkie jego osądy były usankcjonowane postępowaniem publiczności. On ma doświadczenie w swym zawodzie; nie pozwala sobie na wzburzenie i wysłuchuje zażaleń z uśmiechem na ustach, jak dobry przewodnik, który wiedział, z jakiego punktu na niebie może przyjść burza, a nawet ją przepowiedział.

MIERZYNKI

O! Podły pamflecista!

CUDZOZIEMIEC

Czy to naprawdę Pani opinia?

TWARZ PAŚOWA

Proszę o tym bynajmniej nie wątpić. Ale Pan zna jednakże tak dobrze język, ażeby się o tym przekonać. Więc Pan jej nie czytał? Pan ma rację, tej książki nie można czytać.

CUDZOZIEMIEC

Ja ją przeczytałem, proszę Pani.

MIERZYNKI

No, dobrze, czy to nie paszkwil godny pogardy?

CUDZOZIEMIEC

Przeciwnie, proszę Pani, przeciwnie. To prawda, że nie opanowałem na tyle waszego języka, aby wyczuć czyste i nagie piękno tego utworu, jednak bez wahania umieszczam go obok «Spectatora» Addisona i «Osservatore» Gozziego, i on napawa mnie nadzieją jak najbardziej uzasadnioną, że Polska będzie miała wkrótce swego Teofrasta i La Bruyère'a. Nie wiem, czy autor upiększa swoje portrety, ale to wiem, że opanował lepiej niż ktokolwiek inny sztukę rysowania z natury, i że te kopie przetrwają o wiele dłużej niż ich oryginały. Oby ośmieszająca i ostra satyra, którą hojnie obdziela nie tylko poszczególne osoby, ale typy ludzkie – osiągnęła cel, oby Polacy, którzy od cudzoziemców zapożyczają jedynie ich wady i szaleństwa, zajęli się krzewieniem cnót narodowych i otrząsnęli jarzmo przesądów. Oby historia rodzaju ludzkiego, podobnie jak ich nieszczęsnego kraju, nie stała się nie wyzyskaną, wielką lekcją dla nich samych. Żegnam panie!

Chwila pomieszania ogarnęła całe towarzystwo, wreszcie odezwał się stanowczo

WIELKI KALIBER

To także jakiś postrzelony.

KOŁNIERZYK

To wartogłów!

GŁOWA MEDUZY

Nie pomogło, choć zwiedził Europę!

GRANDE DAMA

I w Paryżu z kaszy nie zrobią ryżu.

PANTOFEL GRANDE DAMY

To prawda.

PLEWA PARYSKA

Bo też on nie był tylko rok w Paryżu.

ROZRZUTNOŚĆ

A szkoda go, wcale niczego. Gdyby nie taki skrupulat.

TWARZ PAŚOWA

Co, on niczego? A daj że pokój! Brzydki wyraźnie!

TWARZ BLADA

Nie znalazł łaski u pani?

TWARZ PAŚOWA

Ja słabowitych i wymokłych nie lubię.

TWARZ BLADA

Zbytek zdrowia musi być wielką słabością, bo niektórzy leczą się na to.

ROZRZUTNOŚĆ

Ja mówiłam tylko o układzie, znać na nim polor światowy i dobrze mówi po francusku.

BERLACZ

Ach! Jaki polor? Niezgrabny, szorstki i rozplaskany.

HRABINA

A jaki żargon! Il écorche les oreilles.

GIL

Kiedy tak panie zajęły się obrabianiem biednego Cudzoziemca, który już może tej chwili gonił spokojnie w szybkowozie do Berlina, ani się spodziewając, jak mu język nazajutrz opryszczy, obaczył Karol dwóch mężczyzn opodał od całego towarzystwa i opodał od siebie. Jeden przy jednym, a drugi przy drugim oknie, każdy sam na sam. A że w ciągu całego wieczoru ani opuszczali miejsc swoich, ani mieszały się do rozmowy, ciekawość go zdjęła zbadać ich i zbliżył się na prawo do wyciągniętego w stołku słusznego młodzieńca, który z najobojętniejszą twarzą zdawał się drzymać.

– Tu widzę – rzekł Karol – kącik spokojny, można wypocząć, bo pana, jak uważam, nie obchodzi ten przedmiot i dajesz przecie pokój autorowi i książce.

– Moim zdaniem – odpowiedział mu cicho Leon – autor *Parafiańszczyzny* dotknął towarzystwa tak plugawego, że się samym dotknięciem splugawił. Znam ja dokładnie wszystkie te osoby, czyli raczej kloce, i pewien jestem, iż nie warto, aby je okrzesywał jakikolwiek kamieniarz, tym bardziej dłuto wprawniejsze, mogące uczcić przedmiot ważniejszy.

KAROL

Przebacz pan, ale sprawa ogółu jest zawsze najważniejszym przedmiotem. Ze lilipuci mają drobne, obchodzące ich potrzeby i zajęcia, przeto ich autor, aby się stać ważnym, nie pójdzie szukać wielkich zadań europejskich. Bo wtedy właśnie byłby nie na swoim miejscu, nie narodowym; bo od narodu nie zrozumianym, przystępnym tylko dla kilku scudzoziemczyńców, jakimi są zwykle wychowani za granicą wielcy panowie. W podobny błąd wpadali przez kilka wieków wszyscy historycy i zagraniczni, i nasi: nie chcieli się poniżyć, nie chcieli gminnych dotykać przedmiotów, wybierali osnowę odpowiednią mniemanej godności dziejów i dopiero, aby nie ubliżyć sobie, ubliżali prawdzie historycznej, bo czy kto jest ujęty pieniędzmi, czy mylnymi wyobrażeniami, wychodzi to na jedno, będzie stronniczy. Pisano więc historie narodu polskiego, w których były biografie królów, zwycięstwa hetmanów, sądy starostów, spory wojewodów, tylko narodu polskiego, a nawet żadnego nie było. Skąd dziś wziąć wyobrażenie o jego zwyczajach, zabawach, życiu społecznym i politycznym, jak stopniowo i z jakich pobudek wzrastał w cnoty i siłę lub psuł się i słabiał? Powiedział ktoś pisarzowi, tak właśnie, jak pan mnie mówisz, że tykając motłochu niegodnego opisów, skalałby pióro swoje; a on w to zaraz uwierzył i zamiast być historykiem, został pachołkiem panów, którzy myśleli, że sami tylko zasługują na pamięć potomnych. *Parafiańszczyzna* jest historią dni naszych, zabalsamowaniem jednej części życia naszego, dalszym ciągiem dziejów rozbioru i odkryciem przyczyn, dla których zostajemy tak długo w poniżeniu: małpiarstwo, lizunostwo i brak charakteru.

Sprzeczano się do niedawna i dotychczas jeszcze niektórzy nie wierzą, aby być mogła tragedia mieszczańska, aby nieszczęścia niższego stanu człowieka tak mogły przejmować i wzruszać jak nieszczęścia książąt i hrabiów, słowem, aby gmin i życie jego mogły być zadaniem umnictwa. Sądzono, że wyższość sztuki zawisała od godności i znaczenia użytych przez nią osób; a ona tymczasem zależy jedynie i wyłącznie od talentu autora. Czy Rafael robi Madonnę, czy prostą dziewczkę wodę dźwigającą, będą to zawsze dzieła natchnienia, godne podziwu. Na bohomasie zaś i królowa niebieska jest bohomazem. Cóż by rzekł naturalista, gdyby mu orzeł zarzucił: „my bujamy pod słońcem, pogardzamy ziemskim pyłem, a ty opi-

sujesz życie, skłonności i nałogi brzydkich robaczek”. I plugawe gady obudzają ciekawość, są przedmiotem nauki. Widzisz pan zatem, że nie masz nic niegodnego książki, ubliżającego umnikowi lub uczoneму. Plugawy nawet przedmiot nie plugawi jeszcze autora. Czyż malarz malujący szynkownię już jest pijakiem? Czyż lekarz trąd opisujący już trędowaty? Czyż prawodawca kodeks karny układający zbrodniarzem jest? Miał i Mickiewicz gęsto podobnych krytyków. Naganiano mu w *Tadeuszu*, że mówi o kapuście i harbuzach. Co to za poezja? wołano, ogród warzywny! A przecież harbuzy mickiewiczowskie są genialnymi harbuzami, głowy zaś jego krytyków dopiero prawdziwie harbuzy. Śmieszny to zarzut i dziwna do autora napaść: „nie pisz o Janie, tylko o Mikołaju!” A kiedyż on chce pisać o tym, co wie. Kto by się chciał uczyć gorzelnictwa i czytał w tym celu Jana Śniadeckiego *Filozofię ludzkiego umysłu*, możeż na autora powstawać: nie masz w nim nic o gorzelnicy? Niech każdy szuka, czego mu trzeba, a dlatego że chciałby biografii paniątek lub apologii salonowej układności, niech nie gani książki, która tylko wyszydza salonowe śmieszności, głupstwa i zepsucie.

LEON

Nie przeczę zdaniu pańskiemu, ale i pan zgodzisz się zapewne, że autor *Parafiańszczyzny* zaszczyił pracą swoją nikczemność osób, które opisywał. Wyrwał on zniszczeniu to, co przeznaczone było zdychać bydłęce, i zapewnił mu trwalsze życie w publicznym pośmiewisku i powszechnej wzdardzie. Jeżeli zaś książka jego także niedługo pożyje, jak głoszą tegocześni prorocy Aleksander Lis[s]owski z Leszna i Haspirat Duklanin, to osoby, które się w niej widzą jak w lustrze, umierać będą dwa razy.

Potem obrócił się Karol na lewo do drugiego samotnika, który wyraźnie odłączeniem i twarzą chciał naśladować we wszystkim pierwszego, lecz w skład mu to nie szło, bo ciekawy wszystkich rozmów stał z otwartymi uszami, oczami i gębą, podobien do biurka, czyli sekretarzyka z wyciągniętymi szkatułkami.

KAROL

Znużyły mnie na śmierć wszystkie te nadaremne spory i tłumaczenia; jest to prawdziwa męczarnia słuchać tych opacznych argumentów, które wsparte powagą najdostojniejszych na *ski* i na *er* przecież nie dowiodą, aby jakkolwiek przywilej mógł zamienić nikczemność w zasługę, występek w cnotę, głupotę w rozum lub zrobić błąd nie błędem, a śmieszność nie śmiesznością.

SEKRETARZYK

Ależ to są tylko pozory. Trzeba studiować naukę o państwie i ekonomię polityczną, aby wydać rzetelny sąd na temat mocy przywilejów, a von Haller dowodzi znakomicie, że artyści także dla narodu na pewnym poziomie kulturalnym, jako stopień pośredni lub pośrednicy w przekazywaniu idei pomiędzy tronem (*Schylł głowę*) a ludem (*Podniósł głowę*), stanowią czysto polityczny wyznacznik, który bazuje na bezpośrednich lub absolutnych społeczno-ludzkich prawach, jak długo wsparta na rozsądnych podstawach, znajdująca się w granicach umowy społecznej i tam się przejawiająca wola panowania, do której ograniczenia lub uprzywilejowanego wyniesienia, wedle opinii wszystkich znawców nauki o ekonomii i państwie, ba, nawet nauki, która w swej niezależności i samodzielności uznaje myślicieli takich jak Hegel...”

KAROL

Dajmy pokój niemiecczyźnie! Bo ja mało co rozumiem.

SEKRETARZYK

Chociaż skargi swe społeczeństwo wydało głosem donośnym i gniewnym, przecież w gniewie nie przekroczyło skromności. Powiększył on hańbę, którą cierpiało; ale też pokazał, że społeczeństwo bolą nie tyle sprawy prywatne, co ogólne.

KAROL

Ledwie wiem, że to po włosku.

SEKRETARZYK

Opętani manią zbyt powszechną w naszych czasach, ci panowie przywiązują wagę tylko do spraw ogólnych.

KAROL

I Francuz ze mnie nietęgi.

SEKRETARZYK

You cannot make a silken purse of a sow's ear.

„To coś gorzej jak diabeł Mickiewicza” – pomyślał Karol, wciągając rękawiczki i biorąc spiesznie kapelusz do ręki.

– A gdzie Pan idziesz – zapytał Sekretarzyk tą razą po polsku.

– Idę spać – odpowiedział Karol także po polsku.

Kiedy już miał się ku drzwiom, kiwnęła na niego Przyspa i szepnęła na ucho:

– Czy uważałeś Pan, że nic nie mówiła?

– I owszem – odpowiedział Karol.

– Cóż takiego? Chyba żartem? – zapytała Przyspa zmieszana.

– Pani powiedziałaś, żeś nic nie mówiła, i nie pani jedna to powiedziałaś.

W czasie tej rozmowy obróciła się Grande Dama do kilku osób poblizszych i mówiła do nich półgębkiem:

– Karol nam robi dywersję; już go nie trzeba zapraszać na nasze wieczory, a wtedy pewno zgodzimy się wszyscy.

– Tak jest, mościa dobrodziejko – odpowiedział jej cicho pan Tabakierka – i świat się zdumi, jak wszystkie wnioski nasze lub jednozgodnie będą przyjęte, lub większością głosów zbliżającą się do jednomyślności.

Jedna z poufalszych znajomych Karola była dzisiejszego wieczora milcząca i smutna, zdawała się być cierpiącą, jakoż istotnie wymknęła się nieznacznie, że Karol nie mógł nawet dowiedzieć się o jej zdrowie. Chciał to wynadgradzić, wyszedłszy, wstąpił więc do niej; ale już spała. Służący tylko sprzątał po pokojach, a na stoliku leżała świeżo zapisana karta:

„Autor, który z piórem w ręku walczy z opinią, z przesądami swojego wieku, a co więcej swojego towarzystwa, swojej kasty, daje dowód większego męstwa i poświęcenia niż rycerz, który życie swoje naraża na polu sławy. Męstwo drugiego jest więcej instynktowe, machinalne, jeżeli się tak wyrazić wolno. Idzie on często za popędem drugich, tysiące walczą obok niego, walczy on za swobody kraju, którego jest członkiem i którego losy podziela, wie on, iż nie każda kula zabija, że z powrotem oczekują go laury i oklaski; a gdyby pozostał, wzgarda i wyrzuty. Ale pierwszy jest nie tylko bohaterem, lecz oraz prawdziwie chrześcijańskim męczennikiem. Nagrodą jego męstwa, poświęceń bezustannej walki, są zawsze prawie potwarze, nienawiści i nikczemne pociski dusz podłych, które jak żaby krzyczą na słońce, bo może wysuszyć nieczyste ich bagna. Walczy on często sam jeden, opuszczony, nie zrozumiany nawet od tych, którzy by go zrozumieć mogli, doświadcza on co chwila tej smutnej prawdy, że wszelka wyższość razi drugich. Odstąpią krewni i przyjaciele, a najbliżsi będą przeciw niemu.

Serce jego napawają goryczą każdochwilową; na tym polu walki każdy pocisk trafia, zręczną czy niezręczną wymierzony dłonią, bo nieustanne klucie lichego owadu często mocniej dotyka i niecierpliwi niż potężne razy silnego wroga. Ileż mu potrzeba męstwa i wytrwałości, aby nie ostygł w zapale, aby daną mu misję z nieba wykonywał sumiennie, by żadnemu nie przepuścił przesądowi, w jakkolwiek uludnej przedstawia się postaci, by poświęcił swój spokój, swoje domowe szczęście na ołtarzu prawdy. Poświęcenie świat zbawiło, poświęcenie co dzień go zbawia, bo doskonalili: bo myśl Boga tłumaczy ludziom i zamiary nieba wypełnia na ziemi”.

„O! Piękna duszo! – pomyślał Karol. – Tam zbierają się tłumy, ażeby głupstwo urodzić, a tu w ukryciu sam na sam puszcza nasienie zdrowej myśli i wzniosłego uczucia”.

Kiedy Karol przyszedł donosić autorowi, co słyszał i widział, znalazł go samego w malutkiej izdebce. Odczytywał on z Robertsona właśnie to miejsce: „Tedy jedyne przedsięwzięcie, dla którego łączyły się narody Europy, które popierały z zawziętością i gorączką, jest dzisiaj tylko uderzającym pomnikiem głupstwa ludzkiego”.

KAROL

To mi prawdziwy Archimedes. Tu dobywają miasta, plądrują po domach, a on przy cyrkle swoim spokojnie. Czyż nic cię nie wiąże ze światem, za murami tego pokoju? Czy przeczucie nic nie powiada?

AUTOR

Nie.

KAROL

Ogień nad głową twoją, pożar, zniszczenie!

AUTOR

Jest straż bezpieczeństwa, są kominiarze i sikawki.

KAROL

Nie uwierzysz, flegmatyku! z jakiego powracam koncertu. Toż to tam wrzało jak w kotle. A wszyscy bij zabij na ciebie. Różnymi głosami, chrapliwie i piskliwie, wydecie i donośnie, cicho i hucznie, słodko i groźnie, i Bóg nie wie jak.

AUTOR

z uśmiechem

Domyślał się. Bo też ten cały świat wasz wielki jest jak gdyby wielka duda, na której ja tylko grać umiem. Zaledwie ruszę palcami, a jużci odzywają się wszystkie gardziele i piszczele, i miechy, i kozy, i grajki, i tak dalej. Tarare-pon-pon.

Tu Karol opowiedział wszystko w takim nieporządku jak to autor opisał w rozdziale niniejszym. A kiedy już dość naunosił się gwałtownością opowiadania, kiedy się już zasapał i zmęczył, pojrzał na słuchacza swojego, który założywszy ręce siedział nieruchomie, nie wydając z twarzy najmniejszego wzruszenia. Gdyby nie oczy otwarte, myślałbyś, że śpi. Porwał go więc niecierpliwie za ramię, a wstrząsnawszy silnie, zawołał:

– Cóż to? Czyliś w letargu?

AUTOR

Odpuść im, panie, bo nie wiedzą co czynią.

KAROL

Coś bardzo rozpaczliwie, jak gdyby z krzyża.

AUTOR

Szewcze, patrzaj kopyta, krawiec niech nie zmierza
Do należących rzeczy do kuśnierza.

Jak chcesz, ażeby ludzie oddani próżniaczemu życiu i czczym zajęciom, bez zdolności i wprawy ocenili rozsądnie dzieło jakiegokolwiek i jego dążność? Pracę lichą i niedołączną pochwaliliby zapewne nie przez znawstwo, lecz przez analogię. Jak chcesz, ażeby zwierzę lubiące żołądź podobało sobie w wytworniejszym jadle. *Nolite margaritas spargere*, powiada *Pismo*. Że się gniewają, nie mam im za złe i wcale się temu nie dziwię. Jak się nie gniewać, kiedy gwałtem wszystko biorą do siebie i albo są zepsutymi, albo za takich się mają? Powiedz, że kradzież upadła, a nie odpuszczą ci tego złodzieje.

KAROL

Wszystko mówiłem, lecz nadaremnie.

AUTOR

O! Bardzo wierzę! Tylko gorliwość twoja o dobro powszechne i sławę narodu, tylko wiara poczciwego serca, że ślepi przewidzą, mogły cię skłonić do tak bezskutecznych usiłowań. Inne jest w tym położenie autora. Jako wyrobnik pański pełni on swoje powinność, znosi cegiełki swoje bez względu, jaki gmach stawia wieków budowniczy i kto się temu sprzeciwi.

Ty, co wieczności strzegąc od zatury,
Do jej budowy tkasz po jednym ziarnie,
Jednakże z czasów ogromnej opłaty
Twa ręka chwile, dnie i lata garnie.

KAROL

Bardzo uczenie, jak rabin żydowski! Kiedym płuca wybadał za ciebie, wpadając to w gniew, to w zapał, co nawet szkodzić mi może, bo różne tam były osoby, to ty z najzimniejszą krwią w Europie palisz cytaty i deklamujesz wiersze, a niestosowne, bo to świat wielki, im po francusku potrzeba.

AUTOR

patrzac w niebo

Natchnij mnie, muzo klasyczna Perrolta:

Przyjemna sprzeczka, którą się zabawiamy,
Przejdzie nie zakończona na przyszłe pokolenia,
My zawsze będziemy mówili rzeczy rozsądne,
Oni zawsze będą wypowiadali obelgi.

KONIEC